



LILIANA FABISIŃSKA  
GABRIELA GARGAŚ  
AGNIESZKA KRAWCZYK  
REMIGIUSZ MRÓZ  
MARTA OBUCH  
ALEK ROGOZIŃSKI  
MAGDALENA WITKIEWICZ

*Księgarenka*  
*przy ulicy Wiśniowej*

Każda księgarnia ma swoją historię...



LILIANA FABISIŃSKA  
GABRIELA GARGAŚ  
AGNIESZKA KRAWCZYK  
REMIGIUSZ MRÓZ  
MARTA OBUCH  
ALEK ROGOZIŃSKI  
MAGDALENA WITKIEWICZ

*Księgarenka*  
*przy ulicy Wiśniowej*

**FILIA**

Spis treści

Okładka

\* \* \*

Karta tytułowa

Liliana Fabisińska

*Ostatnie święta*

Agnieszka Krawczyk

*Malutkie czary*

Remigiusz Mróz

*Sędzia*

Gabriela Gargaś

*Oswoić szczęście*

Alek Rogoziński

*Cyganka prawdę ci powie...*

Magdalena Witkiewicz

*Nikt nie powinien być sam w taki wieczór*

Marta Obuch

*Nieżła szopka*

Liliana Fabisińska

*Zadanie niemal niewykonalne*

Książki z ulicy Wiśniowej

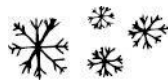
Polecamy powieści autorów *Księgarenki przy ulicy*

*Wiśniowej*, wydane w Wydawnictwie FILIA

Antologie świąteczne w Wydawnictwie FILIA

Karta redakcyjna





**LILIANA FABISIŃSKA**



*Ostatnie święta*

Wiedział, że ten dzień kiedyś nadejdzie.

Szykował się do niego co najmniej od dwudziestu lat. Już tyle razy wypisywał czarnym mazakiem ogłoszenie: „Księgarnia zamknięta z powodu likwidacji. W sprawie nieodebranych zamówień proszę dzwonić pod numer...”. Nigdy jednak nie zdołał go wywiesić.

Raz, kilkanaście lat temu, wyszedł już na próg, z kartką i taśmą samoklejącą w dłoni. Był naprawdę zdecydowany.

I nagle przed księgarnią zahamował z piskiem opon czerwony samochód. Wskoczyła z niego gładko uczesana kobieta o surowej twarzy i oczach zapuchniętych od łez. Płaszcz rozchyłał się przy każdym ruchu, ukazując zmienione kształty.

Rozpoznał ją natychmiast. Kilka razy wpadała tuż przez zamknięciem i kupowała książki w prezencie dla męża, teścia, dla przyjaciół. Zawsze nienagannie ubrana, z talią osy, w wypastowanych czarnych szpilkach.

– Gratuluję – uśmiechnął się, zawieszając wzrok na jej brzuchu.

Przewróciła oczami.

– Czego? Nieprzemyślanej decyzji, która może mieć fatalne skutki? – westchnęła. – Podjęłam ją zbyt pochopnie po kieliszku wina... Może po kilku. Niestety, chyba nie przysługuje mi apelacja. Wyższa instancja nie zdoła zmienić wyroku... A przecież w moim wieku naprawdę nie powinno się już rodzić dzieci...

– Gratuluję – powtórzył. – Nie mogła pani dokonać lepszego wyboru, naprawdę.

– Nie znam się na dzieciach – jęknęła, a jej ramionami wstrząsnął nagły szloch.

Opanowała się błyskawicznie, zanim zdążył otworzyć usta. Wyprostowała plecy, ściągnęła wargi w wąską kreskę i powiedziała, zupełnie już innym tonem:

– Chciałabym nabyć jakąś książkę o opiece nad niemowlakiem. Wie pan, przystępnie napisany poradnik dla młodych rodziców... Chociaż w moim wieku słowo „młodość” brzmi jak kiepski żart.

– Dziecko sprawi, że poczuje się pani znowu jak nastolatka – uśmiechnął się do niej krzepiąco. – Za kilka miesięcy sama pani powie, że to była najlepsza decyzja w pani życiu.

– Z pewnością nie przyznam się do tego przed panem – mruknęła, mitygując się natychmiast: – Przepraszam, nie chciałam być... Zabrzmiało to...

Machnął ze zrozumieniem ręką, po czym zniknął między regałami. Wiedział, że wróci... i powie mu więcej, niż zamierzała. Zawsze mówili...

Wielu klientów traktowało księgarnię Alojzego bardziej jak konfesjonał czy gabinet psychoterapeuty niż jak miejsce, gdzie można kupić przewodnik po Tatrach albo powieść z samego szczytu listy bestsellerów.

Przechowywał w notesie listę tych osób. Wiedział, że musi się z nimi spotkać, zanim wywiesi swoje ogłoszenie napisane czarnym mazakiem.

„Zamknięte z powodu likwidacji...”

Tym razem nie było już odwrotu. Żadna ciężarna kobieta w potrzebie nie powstrzyma go przed zrobieniem tego, co powinien zrealizować już dawno temu – już wtedy, kiedy wyskoczyła z tego czerwonego samochodu...

– Skąd pan wiedział, że macierzyństwo tak mi zasmakuje? – zapytała go Katarzyna Dering, stając na progu Księgarenki półtora roku później, znowu z okrągłym brzuchem, dumnie wychylającym się spod płaszcza przy najmniejszym ruchu.

Uśmiechnął się zagadkowo.

Tak naprawdę nie było w tym żadnej tajemnicy. Głęboko wierzył, że dzieci są największym skarbem. Jedynym, o który warto się troszczyć. Najlepszym.

Dziś po raz ostatni otwierał drzwi księgarni.

Początkowo miał zamiar zaprosić wszystkich stałych klientów na tę samą godzinę. Wypić z nimi herbatę, porozmawiać, sprawić, że po raz pierwszy popatrzą sobie

w oczy. Ludzie, którzy kochają książki, powinni przecież się poznać... Może byliby dla siebie wsparciem, kiedy jego już tu nie będzie?

W końcu jednak zmienił plany. Ich spotkania zawsze były intymne. A rozmowy – prowadzone półgłosem, by nie przeszkadzać innym klientom, szperającym po wysokich regałach.

Ostatnie spotkanie z każdą z tych osób też musiało być takie. Sam na sam. Jak w konfesjonale.

Chociaż... Tym razem role miały się odwrócić. To oni mieli słuchać, a Alojzy – mówić. Po raz pierwszy miał mówić głośno o tym, czego pragnie, za czym tęskni...

Jeśli tylko znajdzie odwagę i odpowiednie słowa.

Jeśli nie – po prostu ofiaruje im książki w prezencie... Na pożegnanie. Na dalszą drogę, niczym drogowskazy.

Najlepsze książki, jakie potrafił znaleźć.

Zaplanował wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Z każdym umówił się na inną godzinę.

Nie przewidział tylko jednego. Telefonu od mężczyzny, którego imię próbował wymazać z pamięci od tylu lat.

– Błagam, weź go do siebie tylko na kilka godzin – mówił ten człowiek, ciszej niż zazwyczaj. Nie tak hardo, bez tej nieznośnej pewności, że nikt mu się nie sprzeciwi. – Podpisz te dokumenty, proszę... Ktoś go odbierze od ciebie jeszcze przed Wigilią, obiecuję. To tylko kilka godzin i jeden głupi podpis. Jeżeli tego nie zrobisz, mały trafi do domu dziecka. Zrób to dla...

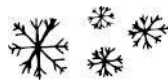
– Dla ciebie? – przerwał mu Alojzy, blady jak ściana, z wysiłkiem dobywając słowa ze ściśniętego gardła. – Naprawdę uważasz, że coś ci się ode mnie należy? Że po tym, co się stało,

masz prawo prosić mnie o przysługę?

Zapadła cisza.

Dopiero po chwili mężczyzna po drugiej stronie odpowiedział, niemal szeptem:

– Nie dla mnie, oczywiście, że nie. Zrób to dla Róży. Ze względu na nią. Wiesz, że tego właśnie by chciała, prawda?



## AGNIESZKA KRAWCZYK



### *Malutkie czary*

*Bo, widzicie, już tyle się ostatnio wydarzyło niezwykłych rzeczy, że Alicja doszła do wniosku, że bardzo niewiele jest rzeczy tak naprawdę niemożliwych.*

*Lewis Carroll, Alicja w Krainie Czarów*

– Chyba żartujesz! – Urszula z obrzydzeniem ujęła podany

kostium w dwa palce.

Strój wyglądał naprawdę okropnie. Co to właściwie było? Jakby cytryna, sądząc po kolorze, chociaż równie dobrze mogło to być jakieś zwierzątko. Miało przecież szpiczaste uszka i dziwny ogon w kształcie strzałki. Całość sprawiała jednak odpychające wrażenie i myśl, że miała to założyć, wydawała się jej niedorzeczna.

Marceli zdecydowanym gestem zabrał jej kostium z ręki i rozpostarł go przed sobą.

– Zobacz, jakie to ładne. Po prostu urocze. Ludzie na całym świecie za tym przepadają. To taka gra komputerowa i aplikacja na komórki. Biegają za tymi stworzeniami po parkach i ulicach, kto złapie najwięcej, wygrywa. Ten jest wyjątkowo sympatyczny, bo taki puchaty. Spójrz, jaki ma śliczny rumiany pyszczek...

Przy największej dozie dobrej woli nie nazwałaby owego stwora uroczym. Ani ślicznym. A już na pewno wyjątkowo sympatycznym. Kostium był wykonany z lekko ubrudzonego żółtego pluszu i przedstawiał grubawą, przerośniętą mysz o kretyńskim uśmiechu i wielkich czerwonych rumieńcach naszytych na policzkach. Po naciśnięciu brzuszka wydobywał się z niego dziwaczny dźwięk, coś jakby: „Kapi, kapi!”.

– Okapi? – zdumiała się Urszula, choć tak naprawdę niewiele ją było w stanie zaskoczyć.

Wczoraj przez cały dzień odgrywała w centrum handlowym bułkę francuską, ponieważ otwierano nową piekarnię. Koleżanka przebrana za kajzerkę miała dużo gorzej. Z trudnością przepychała się pomiędzy ludźmi, spieszącymi po ostatnie świąteczne sprawunki. Ona, jako elegancka bagietka, musiała tylko pilnować, żeby czubkiem nie zaczepić

o jakąś gwiazdkową dekorację. Tak właśnie wyglądały jej

dwa ostatnie przedświąteczne tygodnie – ani jednej poważnej, normalnej aktorskiej roli, tylko same chałtury w sklepach i na bożonarodzeniowych kiermaszach. Dwa dni temu rozdawała opłatki jako aniołek ze skrzydłami z tiulu, naciągniętymi na metalową konstrukcję, która gniotła ją w plecy przez osiem godzin, a dzień wcześniej asystowała Świętemu Mikołajowi i pomagała ustawiać kolejkę dzieci pragnących mu wyznać, jakich oczekują prezentów. Jediną fajną pracą, jaka jej się przez ten czas trafiła, było statystowanie w filmie przeciwko przemocy wobec świątecznych karpi. Szczerze mówiąc, sama czuła się jak ten karp w foliowym worku, ledwo żywa w swoim przebraniu bagietki czy elfa zapraszającego do sieciowej drogerii, gdzie kusily „Wymarzone upominki dla każdej kobiety czy dziewczynki” i tylko czekała, kiedy wreszcie wybije godzina zamknięcia centrum, a ona będzie mogła zdjąć paskudny kostium i uciec do domu.

No, a teraz to. Okapi.

– To nie jest żadne okapi – powiedział Marcelli. – Wydaje zabawne dźwięki.

– Wcale nie. Jest ohydny. Nie będę w tym chodzić i to jeszcze w Wigilię – zaprotestowała Urszula.

– Proszę cię, Ula. Został tylko ten – perswadował Marcelli zmęczonym głosem.

Aha. Więc były jakieś inne, lepsze. Dla niej został ten, bo przysłała za późno. Jak zwykle sama jest sobie winna, choć oczywiście Marcelli tego nie powiedział. Jakim cudem miała się nie spóźnić? Wczoraj była tak zmęczona po tej bułce francuskiej, że gdy odebrała Mateusza od pana Alojzego i podała mu kolację, po prostu padła do łóżka w ubraniu. Obudziła się w środku nocy, przerażona, że jeśli nie zmyje choć makijażu, to następnego dnia na pewno dostanie uczulenia. Wstała więc,



wykąpała się, nastawiła pranie, ugotowała zupę, no a potem nie mogła już zasnąć, bo zaczęła rozmyślać o swoim życiu.

Jakoś się to wszystko nie układało zbyt dobrze. Wiedziała, że nie jest wielką artystką sceny, taką, która może grać w dramatach Szekspira, angażowana przez pierwszorzędne teatry. Oczywiście, jeszcze na studiach była przekonana, że jest najlepsza i podbije na pewno telewizję i kino, stanie się sławna. Owszem, zagrała małą rolę w serialu, a potem ze dwie w reklamie, co sprawiło, że miała nadzieję na więcej, ale niestety jej kariera nie nabrała rozpędu. Sama nie bardzo wiedziała, dlaczego. Nie uważała się za mniej zdolną czy brzydszą od koleżanek. Może miała zbyt małą siłę przebicia? Nie potrafiła zdobywać odpowiednich znajomości i właściwie ich pielęgnować. Nawet jej małżeństwo, niby takie szczęśliwe, zawarte na studiach z wielkiej miłości, rozpadło się szybko, a Urszula została sama z Mateuszem, którego kochała ponad życie i nie zamieniłaby na żadną rolę świata.

I może właśnie w tym był problem? Mateusz i jego szczęście były dla niej ważniejsze niż wszelkie seriale i filmy, w których mogłaby zagrać...

Grała więc epizody w niewielkim teatrze różnorodności, gdzie podpisywała kontrakty z przedstawienia na przedstawienie i dorabiała sobie w firmie Marcelego, swego kolegi ze studiów, który od lat zajmował się obsługą właśnie takich imprez, jak otwarcie nowego stoiska z kiełbaskami, urodziny pięciolatki, na których ktoś musiał odegrać rolę wróżki, czy premiera nowej gry z paskudną myszą.

– Zlituj się, Marceli. Po tej wczorajszej bagietce byłam po prostu nieżywa, a przecież musiałam rano odstawić Mateusza z Gutkiem do mamy – próbowała wyjaśnić Urszula. Gutek był pieskiem Mateusza. Chłopiec znalazł go poprzedniej zimy na

parkingu i za nic w świecie nie chciał się z nim rozstać. Byli nierozłączni – tam gdzie był Mati, był i Gutek. Urszula poważnie obawiała się tego, co będzie, gdy Mateusz zacznie chodzić do szkoły, bo – jak dotąd – żadna podstawówka nie przewidywała klas dla uczniów z czworonogami.

– W dodatku to wczorajsze spotkanie z panem Alojzym... Wiesz, tym z księgarni obok mojego domu. Zupełnie mnie rozstroiło. Przy pożegnaniu dał mi prezent świąteczny... – wyciągnęła paczkę ze swego worka, który zastępował jej torebkę, bo był przepastny i praktyczny.

– Nie rozpakujesz? – zdumiał się kolega, widząc, że prezent wciąż jest nietknięty.

– Boję się. Pan Alojzy powiedział, że to jest książka, która w jakiś sposób ma mi wskazać drogę w życiu. Nie wiem, czy jestem na to gotowa, w każdym razie nie w tej sytuacji – wymownie wskazała na kostium okapi.

– Rozumiem. Ten Alojzy musi cię chyba bardzo lubić. Dał ci prezent pod choinkę, nie protestuje, kiedy podrzucasz mu dziecko i biegniesz na casting... Ze świecą szukać takiego sąsiada – uśmiechnął się Marcei, który już dawno przyzwyczał się, że z Ulą lepiej nie dyskutować. Jeśli wbiła sobie coś do głowy, trudno było ją przekonać, więc skoro nie chce otworzyć teraz prezentu, na pewno tego nie zrobi, nawet jeśli będzie ją do tego gorąco namawiał.

– Już nie będzie moim sąsiadem. Ta książka to upominek pożegnalny. Dlatego tak się wczoraj zdenerwowałam. Pan Alojzy postanowił zlikwidować Księgarenkę – dziewczyna westchnęła głęboko. – Już od jakiegoś czasu nie daje sobie z tym wszystkim rady.

– Gdyby potrzebował pomocy, zawsze możemy go wesprzeć jakąś promocją – zapewnił Marcei. – Sam mogę się

przebrać za trzytomowe wydanie *Krzyżaków* czy co tam będzie trzeba.

– Nie sędzę, żeby to było konieczne, po prostu chyba przyszła pora na emeryturę – odparła. – Nie powiedział tego wprost, ale wydaje mi się, że jest już bardzo zmęczony.

Staruszka nie wykańczała żadna wielka sieć księgarni, jak w tym filmie z Meg Ryan *Masz wiadomość*. Oglądali go razem w każde święta. Pan Alojzy zawsze mawiał wtedy, niby żartem: „Urszulko, ty także powinnaś baczej rozejrzeć się wokół siebie. Może gdzieś czeka na ciebie twój «pan Fox», na którego nie zwracasz uwagi”. Ona tylko wzruszała ramionami i podsuwała mu kolejny kawałek świątecznego piernika. A teraz... Czy to możliwe, że w tym roku obejrzą ten film po raz ostatni? Że już niedługo skończą się te posiedzenia po zamknięciu sklepu, przeglądanie starych książek dla dzieci, które kolekcjonował leciwy księgarz, opowiadanie bajek Mateuszowi i nagradzanie Gutka psimi smakołykami za każdą sztuczkę, jakiej udało się go wyuczyć (a był to naprawdę bardzo leniwy i sprytny egzemplarz).

Tak, było jej przykro, kiedy o tym myślała. Ale z drugiej strony... Każdemu w końcu należy się odpoczynek, a pan Alojzy miał prawo być znużony latami pracy w swojej małej księgarni. Rozumiała jego decyzję, oczywiście. Nie mogła jednak nic poradzić na to, że napawa ją ona smutkiem i trudno jej jest się z nią pogodzić.

– No to co, Ulka? Zrobisz to dla mnie? – Marceci potrząsnął tymczasem ponuro żółtą powłoką, a Urszuli zrobiło się go żal. Na pewno to zlecenie z pluszowymi reklamami gry na komórkę nie należało do najłatwiejszych, zwłaszcza tuż przed Bożym Narodzeniem. Ona sama wolałaby coś lepszego. Na przykład książniczkę. Poczulałyby się w takim kostiumie bardziej

świętecznie. A tak? Postanowiła przynajmniej wytargować coś dla siebie i dla Mateusza. Skoro ma poświęcić cały dzień, i to jeszcze w Wigilię, niech jej synek i mama coś z tego mają. Pomyślała o wspaniałym zestawie klocków, o którym od dawna marzył Mati.

– Zgoda, ale za podwójną stawkę – powiedziała takim głosem, że Marceli wiedział, iż żadne negocjacje nie wchodzą w grę.

– Niech będzie moja strata – zgodził się z rezygnacją. – Tylko dlatego, że to święta, no i że ten jest już ostatni. Musisz jechać do centrum handlowego Nagietek, będą jakieś konkursy dla dzieci związane z tą grą.

– Do której ta zabawa? – spytała Urszula, pakując kostium do wielkiej płóciennej torby, którą zawsze nosiła przy sobie.

– Do czternastej. Na miejscu dadzą ci ulotki i wszystkie gadzety, zgłosisz się do Joli, tu masz telefon, ona jest koordynatorką – Marceli wetknął dziewczynie kartkę do ręki.

– Dobra. Tę skórę ze szczura zwrócę ci po świętach, bo z Nagietka mam dwa kroki do domu.

– Nie ma sprawy. Na razie nie planujemy z nimi żadnej nowej akcji, ale za to zaraz po świętach będziemy mieli promocję soków w kartonach. Jesteś zainteresowana?

Myśl o wystąpieniu jako soczek w papierowym opakowaniu była mniej więcej tak atrakcyjna, jak przyjęcie roli ofiary jakiejś epidemii w filmie historycznym o średniowieczu, więc tylko uśmiechnęła się blado.

– Muszę się oswoić z tą niebywale kuszącą propozycją. Boję się, że od nadmiaru kasowych ról w końcu przewróci mi się w głowie.

– Słusznie. Nie naciskam. Masz sporo czasu. Soczki, jak to mówią, nie zające, nie uciekną. Co innego te okapi. Wiesz, w tej

grze trzeba je łapać i to szybko. – Marcelem był tak zadowolony ze swojego dowcipu, że Urszula tylko wymownie przewróciła oczami.

\* \* \*

– Jestem Jola – powiedziała dziewczyna ubrana w kolorowy blezer ze spodniami. Zestaw najwyraźniej był firmowym strojem tej gry, gdyż w identycznych przechadzali się inni pracownicy firmy. Nie musiała zresztą się odzywać, bo to samo, czyli: „Jestem Jola”, miała wypisane na identyfikatorze wpiętym w kieszeń blezera. Wręczyła Urszuli plik ulotek i całą torbę reklamowych gadżetów, które należało rozdawać dzieciakom.

– Trzymaj się blisko sceny – pouczyła Urszulę. – Zaraz zaczną się konkursy. Jak spikerka cię zawoła, wręczysz nagrodę. Prosta robota, czysta przyjemność.

– No a co potem, kiedy skończą się konkursy?

– Wtedy pokręcisz się po centrum razem z innymi – Jola wskazała ręką grupę nieszczęśników przebranych za stwory z gry. Urszula musiała odwołać to, co pomyślała w biurze Marcelego. Okapi był ohydny, ale te inne też były straszne. Właściwie wszystkie przypominały jakieś zwierzątka, tyle że takie trochę na opak. Niby ptaki były ptakami, a ssaki ssakami, a jednak albo czegoś im brakowało, albo wręcz przeciwnie – miały czegoś za dużo.

To trochę tak, jak w *Alicji w Krainie Czarów*, gdy główna bohaterka spotyka Niby-Żółwia. On także nie jest do końca sobą

– pomyślała Urszula, wciskając się na zapleczu w żółty kostium.

Było w nim gorąco i ogólnie niekomfortowo – ogon włókł się po podłodze, a uszy nieustannie opadały. Urszula nie musiała sprawdzać w lustrze, żeby mieć pewność, iż prezentuje się w tym pluszu po prostu żałośnie. Nie miała pojęcia, jak wytrzyma tyle godzin w czymś równie strasznym.

To jest na pewno praca w szkodliwych warunkach. Ciekawe, co na to inspektor BHP – pomyślała jeszcze, wsuwając sobie za gumkę bawełnianych legginsów, które założyła pod kostium, telefon komórkowy. Wciąż nie traciła nadziei, że ktoś jednak zadzwoni w sprawie prawdziwego castingu.

Szczególnie marzyła o jednym serialu. Może i było to głupie, ale historia po prostu ją urzekła, bo była o kobiecie takiej jak ona – optymistce, z sercem na dłoni, samotnie wychowującej dziecko, której jakoś się w życiu nie udawało. Agentka powiedziała jej o tej roli natychmiast, gdy tylko pojawił się szkic scenariusza.

– Wiedziałam, że taka Pollyanna to coś dla ciebie – roześmiała się Iza, która właściwie od początku zajmowała się karierą Urszuli. Ona obruszyła się od razu:

– Nie jestem żadną Pollyanną.

– Ależ jesteś! Zawsze widzisz świat z tej jaśniejszej strony, tylko on ci się dziwnie nie odwdzięcza.

– Jeszcze mi się odwdzięczy, zobaczysz – odpowiedziała wtedy Urszula buńczucznie. Teraz, gdy tkwiła w kostiumie żółtej myszy pod sceną i wręczała nagrody, pocąc się niemiłosiernie, nie była już tego taka pewna.

Aż do momentu, gdy podeszła do niej ta dziewczynka.

Miała może z sześć lat i włosy związane w warkoczyki, na końcach których bujały się niebieskie wstążki. Mało kto już dzisiaj nosi takie fryzury. Najpierw po prostu stała w pobliżu

Urszuli rozdającej te wszystkie plakietki, przypinki, maskotki i słodycze, aż wreszcie pociągnęła ją za podobny do strzałki ogon.

– Jesteś myszką? – zapytała piskliwym głosem.

– Nie – odpowiedziała Urszula, zajęta wymienianiem jednej przypinki na drugą, bo umorusany czekoladą gruby dzieciak złożył właśnie zażalenie, że ma już jedną taką, a jego równie tęga matka zgłosiła jakieś pretensje do organizatora.

– No to kim jesteś? – spytała dziewczynka.

– Jestem Okapi – burknęła zniechęcona Urszula, ale mała wyraźnie się ucieszyła.

– To ślicznie. Ja jestem Alicja. Nikt tu ze mną nie chce rozmawiać.

Urszuli zrobiło się żal dziewczynki.

– Przyszłaś sama? Gdzie jest twoja mama?

– Wszyscy robią zakupy. Mnie kazali tu zostać i patrzeć.

No tak, typowe. Ludziom żal kilku złotych na opiekunkę w centrum zabaw, to zostawiają dziecko pod sceną na imprezie, licząc, że się przez chwilę czymś zainteresuje. Niektórzy to naprawdę nie myślą... – Urszula przez moment zadumała się nad nieodpowiedzialnością takich rodziców, ale jej uwagę szybko przyciągnęła spikerka, która domagała się kolejnych nagród. Gdy wszystkie zostały już rozdane, małej Alicji pod sceną nie było. Widocznie rodzice skończyli zakupy i jednak po nią przyszli.

– Dobra robota – Ula usłyszała za sobą głos Joli. – Teraz weź ulotki, przypinki i pokręć się trochę po sklepie. Mamy fantastyczny dzień. Jest megazainteresowanie naszą grą, to po prostu hit. Wszystkie dzieciaki znajdą ją dzisiaj pod choinką.

Urszula miała ochotę powiedzieć jej, co sądzi na temat ganiań po sklepie w cytrynowym kostiumie groteskowej

myszy, ale się opanowała. W końcu była profesjonalistką i wzięła tę pracę z własnej woli. Mogła nie przyjmować zlecenia. Kiedy się już na coś decydowała, nie zwykła narzekać, bo uważała, że to nie fair, i chyba dlatego tak dobrze układały się jej relacje z Marcelim. On wiedział, że Urszula ma większe ambicje niż chałtura w roli mrożonego warzywa czy proszku do pieczenia. Doskonale pamiętał, jak grali w swoim dyplomowym przedstawieniu. Tak, tak, to był przecież Gombrowicz i wszystko było takie awangardowe. A mimo to Urszula ani razu – aż do dzisiaj – nie rzuciła żadnej cierpkiej uwagi na temat jakości pracy otrzymywanej z firmy „Ale rola!”. Inni koledzy nie szczędzili takich słów. Bardzo chętnie korzystali ze zleceń Marcelego, ale równie ochoczo dawali mu odczuć, jak nisko sobie cenią rangę tych występów. Ula była inna. Nie żeby uważała, że ta praca ją rozwija, na pewno nie, ale z drugiej strony wiedziała, że dzięki niej ma zapewnione utrzymanie. Dopiero dziś po raz pierwszy dała Marcelemu odczuć, że jest niezadowolona, a nawet wyklóciła się o podwójną stawkę. Powinna być z siebie dumna, ale tak naprawdę było jej głupio, że z tym wyskoczyła.

Nie zamierzała awanturować się jeszcze teraz z tą całą Jolą. Odetchnęła głęboko i powlokła się posłusznie główną alejką centrum. Było wigilijne przedpołudnie i mijali ją zaaferowani ludzie, w amoku ostatnich zakupów. Widziała zapominalskich wpadających do sklepu po brakujące produkty oraz pechowców, którym coś w kuchni nie wyszło i musieli ratować sytuację gotowcem. Ktoś odbierał z cukierni wielkie ciasto na pierwszy dzień świąt, u fryzjera siedziało kilka pań. Najwyraźniej miały w domu czyjąś pomoc, więc nie musiały same męczyć się z przygotowaniami i wyglądały na bardzo zrelaksowane.

Urszula nie zazdrościła im ani trochę. Lubiała świąteczną



krzątanicę i za nic nie zleciłaby jej gosposi. Ze złością pomyślała, że zamiast kręcić mak w makutrze i lepić z mamą pierogi, snuje się w brudnym pluszu po sklepie i tylko marnuje czas. A mogłaby teraz śpiewać z Mateuszem kolędy i przekomarzać się z nim przy wycinaniu pierniczków!

– Cześć, Okapi – usłyszała piskliwy głosik. Tak, to była Alicja.

– Mama dalej na zakupach? – powiedziała domyślnie Urszula, zatrzymując się obok małej.

– Tak, zapomnieli o czymś – wyjaśniła dziewczynka. – Kazali mi tu czekać. Poszłam pod scenę, ale tam już nikogo nie ma.

– Konkursy się skończyły. Chcesz ze mną pochodzić?

– Oczywiście. Dokąd pójdziemy?

– Niech to na razie będzie tajemnicą – powiedziała niespodziewania Urszula. Wyjęła jedną z przypinek z gry i wręczyła ją Alicji.

– Co to jest? – zapytała dziewczynka.

– Medal za dzielność. Jesteś dzielna, więc otrzymujesz medal.

– Ty także jesteś dzielny, Okapi, więc i ty musisz mieć medal – stwierdziła Alicja, a Urszula wydobyła kolejną przypinkę i wpięła ją w swój przykurzony kostium. Podała dziewczynce pluszową łapkę i powędrowały przez zatłoczoną alejkę. Nie przeszły nawet połowy drogi do głównej bramy, gdy zadzwonił telefon. To była Iza.

– Ula, jesteś może blisko Nagietka?

– Jestem w środku. Mam tu akurat małe zlecenie.

– Naprawdę tam jesteś? No to świetnie! Będę tam za godzinę z producentką tego serialu, wiesz, z główną bohaterką podobną do Pollyanny. Słuchaj, trafia nam się niebywała okazja!

Anka Metelska z niego wypadła, szukają na cito aktorki. Powiedziałam o tobie, chcę szybko rozmawiać. To jest dla ciebie szansa, dziewczyno, nie muszę ci mówić, że masz ją łapać w te pędy! Spotkamy się w kawiarni przy fontannie i błagam cię, nie spieprz tego. Ciao!

Urszula poczuła nagle przyływ euforii, a zaraz potem panikę. Wymarzona rola, szansa, która może się nie powtórzyć. No ale z drugiej strony – zlecenie od Marcelego i kostium Okapi. Jak niby miała to pogodzić? Pojawienie się na spotkaniu w takim stroju absolutnie nie wchodziło w grę. Producentka nie mogła się dowiedzieć, że Urszula ima się tego typu prac. Oczywiście nie było tajemnicą, że aktorzy biorą różne chałtury, ale co innego być konferansjerką na jakimś plenerowym festiwalu, a co innego pętać się w cudacznym wdzianku po sklepie. To jednak niebo a ziemia. Zatem trzeba było się jakoś pozbyć Okapi na te dwa lub trzy kwadransy. Rozmowa na pewno nie potrwa dłużej i będzie można wrócić do odgrywania swej roli.

Musiała sobie znaleźć jakieś zastępstwo, bo o porzuceniu miejsca pracy nawet nie pomyślała, była na to zbyt obojętna. Jak jednak namówić kogoś, by w Wigilię, w okolicach południa, przyjechał do centrum handlowego i włożył na siebie idiotyczny kostium postaci z gry nawet na tak krótki czas? Była to naprawdę misja beznadziejna. No i miała przecież jeszcze na głowie Alicję, którą należało się zająć w pierwszej kolejności.

– Gdzie miałaś czekać na mamę? – zapytała, nachylając się do dziewczynki w ten sposób, że uszy stwora opadły na jedną stronę.

Alicja zatoczyła ręką koło.

– Tutaj.

– A pamiętasz, do którego poszła sklepu? – zaczęła z innej beczki Urszula.

– Do takiego z przyprawami. Zabrakło czegoś. Chyba pieprzu – wyjaśniła mała, a Urszula przebiegła w myślach listę różnych punktów, w których sprzedawano przyprawy. Oczywiście było takie stoisko w głównej hali supermarketu, ale były też ze dwa specjalistyczne sklepiki, które kiedyś, w dawnych czasach, nazwano kolonialnymi. Może właśnie tam udała się mama dziewczynki? W drodze do jednego z nich Urszula postanowiła obdzwonić koleżanki, które mieszkały blisko i może dałyby się namówić na godzinne zastępstwo w roli Okapi. Ona sama była przecież uczynna: pożyczała ubrania i pieniądze (gdy była akurat przy forsie), zamieniała się grafikami, kiedy było to konieczne, nawet zaangażowała się w szukanie weterynarza dla chorego psa, no i niezliczoną ilość razy wysłuchiwała narzekań na niewiernych facetów. Liczyła więc, że ktoś się jej odwdzięczy w tej awaryjnej sytuacji. Zaczęła dzwonić.

\* \* \*

Zanim dotarły z Alicją do sklepu „Tam, gdzie pieprz rośnie”, Ula wiedziała już, że nic z tego. Gorzej – została wyśmiana. W Wigilię każdy ma lepsze rzeczy do roboty niż pomaganie komuś w pracy. Nawet jeżeli ta praca jest w centrum handlowym i można przy okazji zrobić ostatnie zakupy. Nie. Wigilia to co innego. „Jaka Wigilia, taki cały rok. Jeśli będziesz pracować, to potem cały rok masz taki” – powiedziała wesoło

jedna z koleżanek, ale Urszula odebrała ten komunikat zupełnie inaczej: „Jeśli dasz się namówić na takie zastępstwo, to potem zawsze będą cię wykorzystywać”. Zrobiło się jej przykro. Bardzo rzadko korzystała z czyjeś uprzejmości... No, może trochę za bardzo nadużywała dobrego serca pana Alojzego, gdy podrzucała mu Mateusza, idąc na jakiś casting, ale koleżanek nigdy nie prosiła o pomoc. One za to często i bez skrępowań obarczały ją swoimi problemami.

– O, jakich mamy wspaniałych klientów – zachwycił się starszy pan ze sklepu „Tam, gdzie pieprz rośnie”, widząc nadchodzące Alicję i Okapi. Trzeba było przyznać, że pojawienie się stwora z gry natychmiast przyciągało uwagę. Dzieci zbiegały się, prosząc o przypinki i naklejki, a rodzice tłoczyli się wokół sklepiku, próbując pilnować swoich pociech – była więc nadzieja, że zainteresują się egzotycznymi przyprawami. Rzeczywiście, kilka osób zaczęło oglądać przepięknie wyglądającą ekspozycję. W niewielkim sklepiku pachniało wprost nieziemsko, a i wystrój był ogromnie zachęcający: na małej przestrzeni zgromadzono eleganckie kolonialne meble z tekowego drewna, kolekcję starych map i urządzeń nawigacyjnych oraz dawne wyposażenie podróżnika – tropikalne kaski i lornetki.

– Uwielbiam zapach pieprzu – powiedziała Alicja.

– Szanowna panienko, mam kilkanaście rodzajów pieprzu – z dumą powiedział właściciel. – Od łagodnego po taki, który wykręca język w trąbkę. Nie bez przyczyny pieprz jest nazywany królem przypraw. W dawnych czasach płacono za niego czystym złotem, a gdy na podłogę spadało ziarno pieprzu, szukano go do skutku, bo było cenniejsze niż najpiękniejsza perła.

– A ma pan jakiś zestaw przypraw na prezent? –

zainteresował się mężczyzna w gustownym pulowerze, którego dzieci właśnie zakończyły fotografować się z Urszulą komórką i odebrały od niej przypinki. – Nie mam niczego dla teściowej – wyjaśnił jeszcze bezradnym głosem.

– Ależ proszę! Mam piękną skrzyneczkę wszystkich najbardziej przydatnych przypraw. Mahoniowa oprawa, elegancka skóra, paryski szyk. W sam raz dla mamusi – podsunął sprzedawca, a mężczyzna, nie zastanawiając się ani chwili, kazał zapakować skrzynkę na prezent.

– Znakomicie. A czego panie sobie życzą? Pieprzu? – zapytał życzliwie. Urszula pokręciła przecząco głową.

– Nie. Szukamy matki tej dziewczynki. Być może przyszła tu kupować przyprawy, prawdopodobnie właśnie pieprz. Nikt nie szukał tej małej?

– Zgubiła się? – zmartwił się starszy pan. – Nie, dzisiaj było mało klientów, muszę to z przykrością przyznać. Nikt nie szukał żadnego dziecka.

– Trudno, idziemy dalej, dziękujemy panu – Urszula pociągnęła Alicję za rękę.

– Gdzie teraz? – zainteresowała się mała.

– Do tego drugiego sklepu z przyprawami. Może tam poszła twoja mama. Nie martw się, na pewno ją znajdziemy.

– Ja się nie martwię. Ty jesteś bardzo fajnym Okapi.

Za to Urszula martwiła się coraz bardziej. Iza z producentką miały się zjawić za czterdzieści pięć minut. Wyciągnęła telefon i zadzwoniła do Marcelego. Na szczęście odebrał od razu.

– Chodzi o Okapi – powiedziała bez żadnych wstępów.

– Co z nim? Kostium się potargał?

– Gorzej. Muszę porzucić stanowisko pracy na pół godziny, no, góra, godzinkę. Trafił mi się pilny casting, tutaj, w Nagietku, do serialu *Dom na opak*. To moja wielka szansa, Iza dzwoniła

i ja muszę...

– Jasne, rozumiem, Ulka, ale jak ja mogę ci pomóc?

Uspokoila się w jednej chwili. Po prostu ją zatkało. Marcelli był jedyną osobą, którą normalnie odpowiadała: „Jak mogę pomóc”, a nie odmawiała od razu lub kpiła z niej w żywe oczy.

– Wiem, że to głupio zabrzmie, ale mam pomysł. Czy możesz przyjechać tutaj, przebrać się za to okropne Okapi i pochodzić za mnie przez godzinę po sklepie? Wiesz, nie chcę nawalić na całej linii, możesz mi w ogóle nie płacić za ten dzień, bo wiem, jakie to wszystko jest straszne – plątała się.

– Straszne? Co ty w ogóle gadasz, dziewczyno? Moim zdaniem Okapi jest urocze i tego się będę trzymał. A ten serial to rzeczywiście wielka szansa dla ciebie. Mogę być w Nagietku za dziesięć minut, o ile uda mi się wepchnąć choinkę z przeceny do bagażnika. Jestem na targu niedaleko centrum handlowego i sprawiłem sobie właśnie jodłę w doniczce, coś w sam raz dla singla, który spędza święta w biurze...

Poczuła trudną do wyobrażenia ulgę i wdzięczność. Tak, to prawda, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie.

– Czym mogę służyć? – usłyszała tymczasem miły głos, bo właśnie zbliżyły się do sklepu „Tam, gdzie rośnie wanilia”. Był bardzo podobny do poprzedniego – także wyposażony w kolonialne meble i akcesoria podróżnicze, ale tym razem należące najwyraźniej do podróżujących dam – próżno było w tym miejscu szukać pieprzu i papryki: królowały tu cynamon, lukrecja i gałka muszkatołowa.

– Dzień dobry – powiedziała Urszula. – Czy nie było tutaj kogoś, kto szukał dziecka? Konkretnie, tej dziewczynki – wskazała Alicję.

Właścicielka sklepu, starsza pani o rumianych policzkach, aż wyszła zza kontuaru, by lepiej się przyjrzeć małej. Nosila

węlnianą sukienkę z koronkowym kołnierzykiem i kraciasty, sympatyczny fartuszek.

– Nie, niestety nikt o nią nie pytał – powiedziała z wyraźną przykrością. – Zgubiłaś się, moja mała? Może trzeba pójść do punktu informacyjnego? – doradziła Urszuli. – Oni nadają komunikaty na cały sklep, to chyba najrozsądniejsze rozwiązanie. Mogę sobie wyobrazić, jak szaleją z niepokoju rodzice tej dziewczynki.

Urszula była tego samego zdania. Gdyby ona zgubiła w sklepie Mateusza, chyba by dostała zawału serca. Że też od razu nie wpadła na pomysł z tym punktem informacyjnym! Ogromnie była dzisiaj rozkojarzona, ale to chyba przez ten idiotyczny kostium Okapi i zamieszanie z castingiem.

Podziękowała właścicielce sklepiku, która sięgnęła za ladę i wyciągnęła ze szklanego słoja dwa świąteczne pierniczki. Podała je Alicji, wciąż przyglądając się jej badawczym wzrokiem.

– Czy ja ciebie tu już kiedyś nie widziałam, dziewczynko?

– Chyba nie, proszę pani – pisnęła Alicja, biorąc ciastka do ręki i dygając jak w starym filmie.

Sprzedawczyni patrzyła na nią, a potem nagle klasnęła w dłonie.

– Ależ tak! Ty się już kiedyś tutaj zgubiłaś. Pamiętam. To było pięć, nie... sześć lat temu, gdy otwieraliśmy z bratem nasze sklepy. Doskonale pamiętam to zamieszanie ze zgubionym dzieckiem – zwróciła się do Urszuli, która przecząco pokręciła głową w masce pluszowej myszy.

– Przecież ona ma niewiele więcej niż sześć lat. To musiała być jakaś inna dziewczynka – powiedziała spokojnym głosem, a starsza pani machnęła ręką.

– Rzeczywiście. Musiało mi się coś pokręcić. Dla starych

ludzi wszystkie dzieci są do siebie takie podobne. Na pewno się pomyliłam. Do widzenia. Niech pani ją odprowadzi do informacji. To w pobliżu skupu butelek przy głównej hali, łatwo trafić.

– Oczywiście. Dziękuję – powiedziała Urszula i wzięła Alicję za rękę.

– Zaraz odnajdziemy twoją mamę, nie przejmuj się.

– Ja się nie przejmuję. Jestem z tobą, Okapi, więc nic mi nie grozi – powiedziała pogodnie Alicja, zajadając ciastko.

W tym momencie zadzwonił telefon.

– Jestem już w Nagietku – meldował Marceli pełnym przejęcia głosem. – Mamy zaledwie pół godziny, gdzie się spotkamy?

Urszula wpadła w panikę. Pół godziny! Musiała odprowadzić Alicję do punktu informacyjnego, zamienić się strojem z Marcelim i jeszcze doprowadzić się do porządku przed spotkaniem. Nie. Wszystko należało zrobić inaczej. Miała już nowy plan. Poleciała Marcelemu przynieść swoją torbę z przebieralni przy scenie i umówiła się z nim przy damskiej toalecie. Złapała Alicję za rękę i po dwóch minutach prawie zderzyła się z Marcelim w drzwiach łazienki.

– Co to za dziecko? – zdumiał się jej kolega, gdy odbierała mu z jednej ręki torbę, a w drugą wsuwała dłoń dziewczynki.

– Nie teraz. Popatrz na nią przez chwilę, a ja zdejmę strój Okapi i ogarnę się trochę, dobrze?

– Dobrze, dobrze. Tylko że ja nie wiem, co to za dziecko, a nie chciałbym siedzieć za kidnaping.

– Co to jest kidnaping? – zainteresowała się Alicja.

– Wujek ci wszystko wytłumaczy – powiedziała Urszula, zamykając drzwi łazienki.

– Wujek da ci wspaniałego cukierka z gumą do żucia,



dobrze? I nie będzie tłumaczył, co to jest kidnaping, umowa stoi? – jęknął Marcei, ocierając pot z czoła. Miał niejasne wrażenie, że najgorsze dopiero przed nim.

\* \* \*

Urszula wyskoczyła z nieoddychającego pluszu i pogratulowała sobie, że założyła pod niego jedynie podkoszulek i legginsy. Obie te rzeczy mogła po prostu zdjąć i zamienić na spodnie i bluzkę. Gorzej było z włosami, które przyklapnęły i całkiem straciły wygląd. Potrzebowała jakiegoś szybkiego ratunku i to już, natychmiast. Rozejrzała się po łazience. Suszarka do rąk, to była myśl. Rozpuściła włosy i skierowała je pod strumień gorącego powietrza. Na szczęście miała naturalne loki, które uwielbiały takie zabiegi i świetnie się układały na wietrze. Po paru minutach miała już fryzurę jak z salonu piękności. Opłukała twarz wodą, zrobiła lekki makijaż i mogła ruszać do walki. Tylko strój był taki trochę zbyt codzienny – dzinsy i koszulowa bluzka. Nie spodziewała się żadnego wyjścia, więc ubrała się po prostu wygodnie, ale może nie wypadało tak iść na spotkanie? Sięgnęła do przepaścistej torby, która zawierała ratunek na każdą okazję, i pogrzebała w niej trochę. Na samym dnie znalazła niewielki pakunek. To była apaszka, którą kilka dni temu kupiła w sklepie z odzieżą na wagę i zupełnie o niej zapomniała. Miała słabość do takich dodatków. Posiadała dziesiątki apaszek i różnych chustek, ale wciąż kupowała nowe, nigdy nie miała dosyć. Uważała, że takie drobiazgi ożywiają i zmieniają każdy strój, potrafiła je wiązać na

setki sposobów. Ta chustka była wyjątkowa – blad różowa ze wzorkiem w uśmiechające się koty. Szybko zarzuciła ją na szyję i zamotała w najbardziej fantazyjny sposób, jaki zdołała wymyślić. Jeszcze tylko szminka i była gotowa.

Wyjrzała na korytarz, gdzie Marceli opowiadał Alicji jakąś bajkę.

– To ty, Okapi? – zapytała Alicja ze zdumieniem.

– Tak, ja. Ładnie wyglądam? – Urszula wygładziła rękawy koszuli.

– Przepięknie! – powiedzieli równocześnie Marceli i dziewczynka.

– Choć Okapi też mi się podobał – dodała Alicja.

– Właśnie. Muszę się przecież przyoblec w ten kostium – uświadomił sobie Marceli.

– Poczekaj. Zaraz ci go przyniosę. Jest dosyć niewygodny, ale pół godziny wytrzymasz. Tutaj jest męska toaleta – Urszula zniknęła jeszcze raz za drzwiami i po chwili wyniosła mu pluszową powłokę.

– Masz. Uważaj, zamek się trochę zacina.

– Nie rozumiem. Co się dzieje z Okapi? – zapytała Alicja, po czym zrobiła balona z gumy, którą dał jej Marceli.

– Teraz Marceli będzie przez chwilę Okapi. On cię zaprowadzi do mamy – wyjaśniła Urszula i zrobiło się jej trochę przykro, że nie załatwi do końca sprawy z dziewczynką. Jeżeli chciała zdążyć na spotkanie, za parę minut będzie musiała już iść, więc to Marcelemu przypadnie obowiązek odprowadzenia Alicji do punktu informacyjnego. Urszula była jednak pewna, że jej kolega znakomicie sobie poradzi.

– Okapi nie jest prawdziwy? – dopytywała się Alicja.

– To taki kostium reklamowy. Okapi to bohater gry dla dzieci, a ja jestem aktorką, która odgrywa tę postać, rozumiesz?

– Nie bardzo. Myślałam, że Okapi istnieje naprawdę – powiedziała dziewczynka żalosnym głosem.

– W krainie baśni na pewno tak jest. My go tutaj po prostu zastępujemy.

– Bo on nie może przyjść sam?

– Otóż to. Nie tak łatwo przyjechać z krainy baśni, zwłaszcza w Wigilię.

– Wiadomo, nie bardzo chcą wypuszczać, trzeba stosować różne sztuczki – stwierdziła Alicja, zupełnie już przekonana. Marceli wystawił głowę z łazienki.

– Ula, ratuj. Utknąłem w tym Okapi. Ani w tył, ani w przód, chyba coś źle robię. Pomocy!

– Mam wejść do męskiej toalety? – przeraziła się Urszula. – Nigdy w życiu. Raz na studiach przez pomyłkę weszłam do ubikacji dla facetów. Wychodzę z kabiny, patrzę, a tam zamiast umywalk rząd pisuarów... Myślałam, że zemdleję, dobrze, że akurat nikogo oprócz mnie tam nie było...

– Co to jest rząd pisuarów? – chciała wiedzieć Alicja, ale najwyraźniej nie miał jej kto tego wytłumaczyć.

– Mniejsza z tym. Nie przejmujcie się. Tutaj jest toaleta dla niepełnosprawnych, koedukacyjna – powiedział szybko Marceli, robiąc zgrabny unik. – Możecie wchodzić bez strachu.

Założyłem kostium do połowy i coś jest z nim nie za bardzo.

„Nie za bardzo” było łagodnym określeniem tego, co zobaczyła Urszula. Może i Marceli założył pluszową mysz do połowy, ale była to ta niedobra połowa. Wszystko leżało źle i zupełnie nie pasowało.

– Moim zdaniem to on jest za mały – stwierdził mężczyzna, przeglądając się w lustrze. – Nie wiem, jak to jest w ogóle możliwe, bo przecież nie jestem szczególnie potężny, ale może ten Okapi po prostu się skurczył na tobie? Może z gorąca?

– Bzdury gadasz – zdenerwowała się Urszula. – Jak mógł się skurczyć przez kilka minut? Jesteś ode mnie może głowę wyższy, to niemożliwe, żeby aż tak nie pasował. Źle musiałeś włożyć. Czy ty w ogóle czasami przymierzasz te swoje stroje?

Okazało się, że Marceci nigdy tego nie robił. Raz próbował wystąpić na urodzinach pewnego dziecka w stroju klauna, ale nikogo nie rozśmieszył, więc zrezygnował.

– Ja się, kochana, nadaję wyłącznie do odgrywania ról tragicznych. Rozumiesz, Fortynbras w *Hamlecie*, Merkucjo w *Romeo i Julii*... Tacy, co albo przychodzą na końcu, albo od razu giną – tłumaczył Urszuli, wciąż zajęty walką z pluszowym wdziankiem Okapi.

– Akurat... Przyznaj lepiej od razu, że wstydzisz się występować jako śpiewająca rzodkiewka – powiedziała sarkastycznie Urszula, próbując naciągnąć mu kostium na plecach.

– No coś ty. Ja nawet lubię popatrzeć. Często przychodziłem zobaczyć, jak odgrywasz te role. Podobała mi się na przykład wróżka dwa tygodnie temu.

– Ta na urodzinach rozgłośni radiowej?

– Tak. A w lecie była taka fajna akcja ze schroniskiem dla zwierząt, byłyście poprzebierane za postaci z bajek, ty za Pippi Långstrump...

Urszula pamiętała tę imprezę. Była na niej z Mateuszem, Gutkiem i panem Alojzym. Świetnie się wtedy bawili i prawie namówiła pana Alojzego do przygarnięcia kota. Szkoda, że się nie udało. Miałby teraz, po zamknięciu księgarni, jakiegoś towarzysza. Ciekawe, że nigdy nie widziała na tych wszystkich akcjach Marcelego, skoro mówił, że na nie przychodził. Czego on w ogóle tam szukał? Sprawdzał, jak wywiązuje się z kolejnych powierzonych jej ról? To raczej nie było w jego

stylu...

– Ja chyba wiem, dlaczego ten kostium nie pasuje – powiedziała niespodziewanie Alicja.

– Tak, mądralo? Dlaczego? – zapytał Marceli zmęczonym głosem.

– Włożyłeś ręce tam, gdzie powinny być nogi – dziewczynka wymówiła te słowa powoli, bardzo zadowolona z siebie.

Rzeczywiście miała rację. Gdy się dobrze popatrzyło, sprawa była oczywista.

W torbie Urszuli rozdzwonił się telefon. Iza.

– Gdzie ty jesteś? Czekamy – powiedziała pełnym pretensji głosem.

– Przepraszam, nie mogłam znaleźć tej kawiarni.

– Przecież jest przy głównym wejściu, tuż koło tej sieciowej drogerii, widać ją od razu. Pospiesz się.

– Już idę.

Urszula spojrzała na Marcelego, który sprawnie dopinał kostium.

– Dacie sobie radę? Marceli, odprowadź Alicję do punktu informacyjnego przy skupie butelek w głównej hali. Trzeba dać ogłoszenie, że dziewczynka się zgubiła i szukamy jej mamy. Ja tam przyjdę po rozmowie, tak szybko, jak tylko będę mogła.

– Jasne. Wszystko będzie zrobione. Leć i nie martw się. No i czekaj, jeszcze kopniaczek na szczęście.

– Jaki kopniaczek? – zaciekała się Alicja.

– Nie wiesz? To taki przesąd u aktorów. Jak wychodzą na scenę, to ktoś z kolegów musi ich kopnąć lekko w pupę, żeby nie zapomnieli roli.

– Ojej i ty ją tak kopniesz? – ucieszyła się dziewczynka, a Marceli, obecnie w ślicznym ubranku Okapi, skinął żółtą

głową, po czym wymierzył Urszuli delikatnego kopniaczka w to miejsce, w którym plecy tracą swą szlachetną nazwę. Ona roześmiała się wesoło.

– Uważaj na Jolę – przestrzegła go jeszcze. – Poznasz ją od razu. Ma kolorowy blezer z logo tej gry i jasne, rozczochrane włosy. No i nosi plakietkę z napisem: „Jestem Jola”.

– Trudno zatem nie zauważyć – rzucił wesoło Marcei. – Kiedy na nią wpadnę, będę milczał jak grób. Nie pozna się na tej mistyfikacji, spokojna głowa. Nie martw się niczym i ruszaj po swoją rolę.

\* \* \*

Producentka wyglądała na czterdziestkę po liftingu, z twarzą mówiącą, że jej właścicielka wiele już widziała w tym biznesie i nie da się jej łatwo oszukać. Kiedy Urszula zbliżyła się do stolika, miała wrażenie, że Marta Fern, bo tak właśnie nazywała się kobieta, natychmiast przejrzała całą jej grę. Obrzuciła ją szybkim i taksującym spojrzeniem, oceniając w jednej chwili włosy ułożone w sklepowej toalecie suszarką do rąk, fantazyjną chustkę z ciucholandu mającą ożywić zbyt zwyczajną bluzkę, pospieszny makijaż zdradzający, że musiała oderwać się od jakiejś chałtury, by pobiec na ten casting. Urszula poczuła się jak na egzaminie.

– Marto, to jest właśnie Urszula, o której ci mówiłam – zaczęła Iza z zawodowym uśmiechem na twarzy. – Ula marzy o tej roli, świetnie by się w niej sprawdziła, bo doskonale czuje takie tematy.

– O, naprawdę? – grzecznie stwierdziła Fern, ale w tej uprzejmości było tyle sarkazmu, że Urszula aż skurczyła się w sobie. Zrobiło się jej naprawdę nieprzyjemnie.

Po co ja tu przyszłam? – pomyślała i przez jedną straszną chwilę zatęskniła za kostiumem Okapi, który może nie był piękny, ale zapewniał bezpieczny azyl.

– Tak. Wiemy, że tę rolę miała wziąć Ania Metelska, ale wypadła z obsady – ciągnęła Iza, lecz Marta przerwała jej gestem dłoni.

– No właśnie, Ania. To wielka gwiazda, jej obecność gwarantowałaby serialowi sukces. Nie ukrywam, że szukamy w zamian jakiejś mocnej twarzy, która nam pociągnie tę produkcję, a ty...

A ja tej produkcji nie pociągnę – pomyślała Urszula – bo grywam księżniczki na przyjęciach urodzinowych i soczki w kartonikach. A gdy rozmawia ze mną ważna producentka, to mam ochotę wskoczyć w pluszowy kostium Okapi i wiać, gdzie pieprz rośnie. *Tam, gdzie pieprz rośnie...* Te słowa przypomniały jej nazwę sklepu z przyprawami, a to z kolei przywiodło na myśl Alicję i poszukiwania jej matki. Przed oczami Urszuli przesunęło się to całe zwariowane przedpołudnie – wędrówka po sklepie w idiotycznym przebraniu, szukanie zastępstwa, przybycie odsieczy w osobie Marcelego, jego heroiczna walka z kostiumem Okapi w toalecie dla niepełnosprawnych. Tyle poświęcenia i ona teraz miałaby się poddać? Podle stchórzyć? O nie! Może i Anna Metelska była najbardziej znaną aktorką serialową w tym kraju i mogła przebierać w rolach jak w ulęgałkach, bo pojawiała się na każdej kolorowej okładce i w każdej telewizji śniadaniowej, ale to nie znaczy, że ona, Urszula, nie może wykorzystać swojej szansy.

Odchrząknęła.

– Ja... Ja nie jestem co prawda tak znana, ale nie mam opatrzonej twarzy. Grywałam większe role wyłącznie w teatrze, a to jest pewien atut – powiedziała, najpierw cicho, a potem nabierając pewności siebie. – Poza tym przeczytałam szkic scenariusza i bardzo mi się spodobał. Opowiada o kobiecie takiej jak ja. Która ma dobre chęci, lecz niewiele jej wychodzi.

Marta Fern spojrzała na nią z rozbawieniem.

– Naprawdę uważasz, że taka jest bohaterka?

Urszula kiwnęła głową.

– Iza stwierdziła nawet, że ma w sobie coś z Pollyanny.

Marta zapisała coś w swoim notesie elektronicznym.

– Skoro tak jest, to chyba będziemy musiały poprawić scenariusz.

– Dlaczego? – Urszula nie rozumiała.

– Wybacz, ale nie chcemy głupiej bohaterki.

– Nie uważam, że jest głupia – zaprotestowała Ula.

– No to naiwnej, co zresztą na jedno wychodzi – wzruszyła ramionami Marta.

– To, że ktoś jest dobry, nie oznacza od razu, że jest naiwny czy głupi – sprzeciwiła się Urszula. – Moim zdaniem macie bardzo fajną bohaterkę. Ludzie chcą takich pozytywnych postaci. Powiem szczerze, w serialach jest wystarczająco dużo zimnych suk, może więc czas zrobić film o kimś sympatycznym?

Fern popatrzyła na Urszulę w osłupieniu, a Iza zakrztusiła się wodą. Cisza zawisła w powietrzu, ale nie na długo, bo przerwała ją dziwaczna postać biegnąca przez alejkę i wołająca rozziewającym głosem:

– Urszula, Urszula!

Był to Marceli w kostiumie myszy, ścigany przez Jolę oraz kilku pracowników firmy zajmującej się grą komputerową. Ich



cwał przez główną alejkę centrum handlowego był naprawdę widowiskowy. Marceli miał niezłą kondycję, skoro udawało mu się w niewygodnym stroju utrzymywać stały dystans pomiędzy sobą a grupą pościgową. Nieliczni już o tej porze klienci zatrzymywali się, patrząc z podziwem. Niektórzy nawet klaskali, myśląc, że to kolejny element kampanii promocyjnej.

– A cóż to takiego? – odezwała się Marta.

– Przepraszam bardzo, ale muszę już iść – powiedziała Urszula, która i tak nie sądziła, żeby w kwestii jej roli było jeszcze cokolwiek do dodania. Najwyraźniej wizja serialu, jaką miała Marta Fern, i jej własne oczekiwania zdecydowanie się rozmijały. Chyba nie było dla niej jednak miejsca w świecie sławnych i bogatych aktorek srebrnego ekranu. Właściwie to była wdzięczna Marcelemu, że pojawił się w doskonałym momencie, bez względu na to, jak dramatyczne wypadki go tutaj przywiodły.

– Ale co się właściwie dzieje? – Marta nie ustępowała.

– Dzieje się prawdziwe życie – wypaliła Urszula ze złością i odważnie odwróciła się do producentki, żeby powiedzieć jej to w twarz: – Tak właśnie na nie zarabiam. To jest mój kolega, dla którego pracuję. Ponieważ daleko mi do znanej aktorki, Ani Metelskiej, nie gram zimnych suk, a jestem jedynie dobrym człowiekiem... Dobrym, czyli głupim i naiwnym... Tak więc moim głównym źródłem dochodów są chałtury w centrach handlowych, przebieranie się za postaci z bajek, bagietki, aniołki rozdające opłatki i inne takie. Prawda, jakie to żalosne? Można się pośmiać, że ktoś taki jak ja, kto przez kilka godzin dziennie paraduje w stroju żółtej myszy po sklepie, śmie wyobrażać sobie, że może zagrać główną rolę w serialu *Dom na opak*. Cha, cha, cha, boki można zrywać, prawda?

– Tego nie powiedziałam – stwierdziła Marta. – Jesteś

niesprawiedliwa...

Nie zdążyła już niczego dodać, bo w kawiarni pojawił się Marceli, a za nim Jola i reszta ekipy mysiej gry.

– Ulka, ratuj – jęknął. – Sprawa się ryła, dopadli mnie.

– Co pani tutaj robi? – zdumiała się Jola, widząc Urszulę przy stoliku. Jednocześnie przetarła zmęczonym gestem czoło i wskazała dramatycznym ruchem na Okapi.

– W takim razie kto jest w kostiumie? I dlaczego przed nami ucieka? Ja niczego nie rozumiem... Chcieliśmy tylko poprosić panią o poprowadzenie konkursu finałowego pod sceną, bo gra znakomicie się sprzedaje i na zakończenie mamy efektowną niespodziankę, czyli rozlosowanie kilku pakietów pod choinkę. Podeszłam do pani, to znaczy myślałam, że do pani... Czy ktoś ukradł pani kostium? Może trzeba wezwać ochronę? – mówiła koordynatorka rozgorączkowanym głosem.

– Proszę się nie denerwować – uspokoiła Urszula. – W kostiumie jest pan Marceli Jaworski, właściciel firmy „Ale rola!”, mój szef. Rozmawiała pani z nim kilka razy przez telefon. Zastąpił mnie na chwilę. Musiałam coś załatwić.

– Pan Marceli? – Jola nie mogła zrozumieć. – W takim razie dlaczego pan uciekał?

– Bo mnie pani goniła – mruknął Marceli.

– Nie goniłam pana! Po prostu krzyknęłam: „Stój”, a pan się rzucił do ucieczki – sprecyzowała Jola.

– Pani Jolu, w każdym kryminale jak policja woła: „Stój”, to wszyscy, czy są przestępcami, czy też czują się całkowicie niewinni, rzucają się do ucieczki, taka już jest specyfika tego słówka, więc trudno, żebym się zachował inaczej – wyjaśnił pogodnie Marceli. – Poza tym obawiałem się zdemaskowania. Nie chciałem zaszkodzić Urszuli.

– Przecież pani Urszula jest pana pracownikiem – nie

mogła zrozumieć Jola.

– No tak, ale ona się tu umówiła z jakąś flądram z telewizji i chodziło o to... Pardon, madame, nie miałem niczego złego na myśli – zaczął się wikłać Marceli, który właśnie zauważył Martę Fern towarzyszącą Izie i zrozumiał, że spotkanie wcale się jeszcze nie zakończyło.

– Nie, spokojnie, słyszałam już na swój temat gorsze epitety. „Flądram” w ustach osoby we wdzianku z lekko nieświeżego pluszu to coś nowego, muszę przyznać – rzuciła Marta ironicznym tonem.

Marceli poczuł się dotknięty do żywego, bo natychmiast potrząsnął łebkiem Okapi w sposób niewróżący nic dobrego:

– Tak mi się wyrwało, niech się pani nie obraża. Proszę za wszystko obwinić mnie, nie Ulę. To jest złota dziewczyna. Była najzdolniejsza na naszym roku, tylko, wie pani, miała za dużo skrupułów. W tym biznesie trzeba mieć łokcie i pośladki ze stali zbrojonej, a ona jest z delikatnej materii, trochę jak jedwab. Powiem pani, że to jest prawdziwa artystyczna perła, którą tylko trzeba wyłowić. Zawsze na uczelni mówiliśmy, że gdyby tylko Ulce dać szansę, to ktoś by na niej miliony zarobił, więc niech pani nie będzie głupia i posłucha głosu rozsądku, tym razem przemawiającego przez faceta w nieświeżym pluszu.

– Marceli – jęknęła Urszula, całkowicie zgnębiona, a Iza wydała kolejny stłumiony kwik.

– Muszę sobie to wszystko przemyśleć. Rzeczywiście, dzisiejsze wczesne popołudnie było niezwykle pouczające. Dziękuję za spotkanie. Wkrótce się odezwę. Wesółch Świąt – Marta Fern ucisnęła dłonie Izy i Urszuli, a nawet łapkę myszy.

– Czy może mi pan zdradzić, co to właściwie jest? – zapytała na koniec, dotykając delikatnie i z pewną obawą kostiumu.

– Okapi – odpowiedział Marceli wesolutko.

– No tak. Można się było czegoś takiego spodziewać – producentka wyszła z kawiarni, nie oglądając się za siebie.

– Co ci strzeliło do głowy? – napadła na Marcelego Iza. – Niby tak się przyjaźnisz z Ulką, a położyłeś całe jej spotkanie.

– Odczep się – warknął Marceli. – Niczego nie położyłem. Nie ma co się wdzięczyc do takich fląder, to żadna metoda. Dobrze mówię, pani Jolu?

– Dobrze pan mówi, chociaż powiem szczerze, w dyplomacji to pan nie robi kariery. Nie chcę być niemiła, ale my mamy z państwem swoją umowę jeszcze na dwie godziny i musimy ją zrealizować. Chcemy wreszcie zrobić ten konkurs pod sceną. Może za kwadrans?

– Jasne. Ja się zaraz mogę z powrotem przebrać – zadeklarowała Urszula, lecz Marceli powstrzymał ją ruchem łapy.

– Daj spokój. Zupełnie dobrze się w tym czuję. Jakiś bardziej odważny się zrobiłem. Mówię to, co myślę. A do tej pory rzadko mi się to zdarzało. Nie wiem, czy w ogóle oddam to Okapi centrali. Może codziennie będę w nim chodził?

Urszula spojrzała na niego z przerażeniem. Miała nadzieję, że chodzenie w kostiumie myszy nie zaszkodziło mu zbytnio na nerwy.

\* \* \*

– Gdzie jest Alicja?

– W tym właśnie tkwi problem.

– Proszę cię, Marceli, nie strasz mnie.  
– Alicja zniknęła praktycznie od razu, jak poszłaś na swoje spotkanie.

– Jak to zniknęła?

– Po prostu rozplynęła się w powietrzu. W jednej chwili stała obok mnie, rozmawialiśmy... Ustaliliśmy, że idziemy do punktu informacyjnego szukać jej mamy... A potem, kiedy chciałem ją wziąć za rękę, odwracam się, patrzę, a jej nie ma.

Urszula zamachała bezradnie rękami. Nie mogli dłużej rozmawiać, bo właśnie rozpoczynała się ostatnia impreza przy scenie. W sklepie nie było już zbyt wielu kupujących, właściwie tylko, jak to się niezbyt ładnie mówi – niedobitki, ci, którzy zapomnieli czegoś w ostatniej chwili albo przyjechali, licząc na przecenę choinek – i wcale się nie zawiedli. Sklep wystawił wszystkie niesprzedane drzewka i można je było nabyć nawet za jedną trzecią ceny. Wprawdzie nie było za bardzo w czym wybierać, ale i tak znaleźli się chętni.

Za to przy grze z dziwnymi stworami zebrał się spory tłumek. Urszula musiała przyznać, że był to prawdziwy przebój. Ludzie chyba od dłuższego czasu czekali na to losowanie, bo gdy tylko usłyszeli zapowiedź, zbiegli się nagle ze wszystkich zakątków centrum. Na scenę wszedł sam prezes wystrojony w garniturek w papuzich kolorach z wyobrażeniami postaci z gry i długo dziękował zebrany za przybycie i cierpliwość, aż wszyscy chyba na dobre ją stracili, bo w tłumie zaczęły się rozlegać dziwne pomruki. Wtedy na estradę wkroczyli aktorzy, a Jola wypchnęła do przodu Marcelego, który z wielkiej kolorowej piłki miał wylosować kupony wrzucane tam od rana przez osoby chcące wygrać darmowe zestawy gier.

Oczywiście, jak można się było spodziewać, kilku pierwszych szczęśliwców po prostu nie było. Wrzucili swoje

kupony podczas zakupów, ale nie liczyli na wygraną, więc nie chciało im się czekać do finałowego losowania. Na szczęście dwa kolejne losy były pełne – jedną z gier wygrał grubawy dzieciak, któremu trzy godziny wcześniej Urszula wymieniała przypinkę na inną. Nagroda należała mu się przynajmniej za wytrwałość, spędził w sklepie prawie cały dzień, a jego matka była wyraźnie w ekstazie i mało brakowało, a ucałowałyby pudełko. Urszula pomyślała ze współczuciem o katuszach, jakie musiała zapewne przechodzić ta biedna kobieta – porzuciła faszerowanie karpia i przygotowywanie barszczu z uszkami, żeby wziąć udział w loterii. Na szczęście się opłaciło. Trudno sobie wyobrazić, jakby syn zatruł jej życie, gdyby nie wygrał. Nie należał bowiem do dzieci łatwo godzących się z niepowodzeniem, o czym Urszula już się przekonała, gdy nie dostał wymarzonej przypinki.

– Numer czterdziesty drugi – wyczytał ze sceny prezes i przez chwilę nikt się nie zgłaszał, więc dziwny stwór przypominający skrzyżowanie ptaka z jaszczurką, który podawał nagrody, zaczął wymownie potrząsać pudełkiem, próbując zachęcić Marcelego, by wylosował następną osobę.

– Jestem! – rozległ się piskliwy głosik.

Urszula nie miała najmniejszej wątpliwości, że należał do Alicji.

Tak było w istocie.

Zobaczyła dwa warkoczyki podskakujące w tłumie i pod scenę zaczęła się przeciskać chuda dziewczynka. Marcelli pomógł jej wydrapać się na górę.

– Bardzo pięknie. Jak masz na imię? – zapytał prezes.

– Alicja.

– Znakomicie. Alicjo, żeby wszystko odbyło się zgodnie z prawem, musisz nam pokazać swój odcinek kuponu, żebyśmy

mogli sprawdzić, czy zgadza się numer. Masz go przy sobie?

Alicja skinęła głową i wyjęła z kieszonki sukienki niewielki świstek.

Prezes z namaszczeniem sprawdził zgodność numeru, a potem uroczyście ogłosił:

– Wszystko w porządku, naszą kolejną laureatką jest Alicja. Proszę o nagrodę. Czy podoba ci się nasza gra, Alicjo?

– Nie bardzo. Ale on mi się bardzo podoba – wskazała na Marcelego. – Mogłabym z nim chodzić po tym sklepie przez cały dzień. Zupełnie jak w Krainie Czarów, tylko jeszcze fajniej, bo mam go tylko dla siebie!

Prezes roześmiał się nerwowo i natychmiast kazał losować kolejnego szczęśliwca. Urszula podbiegła do sceny i pomogła Alicji zejść.

– Gdzie ty się podziewałaś? Tak się o ciebie martwiliśmy z Marcelim!

– Och, poszłam sobie tylko na chwilę pozwiedzać – powiedziała od niechcienia dziewczynka, z zainteresowaniem oglądając pudełko z grą.

– Pozwiedzać? Co ty w ogóle mówisz? Przecież mogłaś się zgubić – wykrzykiwała Urszula, uświadamiając sobie, że przecież dziewczynka już się zgubiła i przez tyle godzin nikt jej nie szukał. Jak to było w ogóle możliwe? Całe zamieszanie trwało już tak długo, a nie nadano żadnego komunikatu, nikt nawet nie ogłosił, że poszukiwane jest dziecko? A może Alicja tutaj skądś przyszła? Może wcale nie zgubiła się w Nagietku? Urszula zdała sobie sprawę, że powiadomienie punktu informacyjnego może nie wystarczyć. Być może trzeba będzie zawiadomić policję.

Tymczasem rozdano już szczęśliwie wszystkie nagrody i tłum spod sceny zaczął się powoli rozchodzić. Promocja gry

okazała się wielkim sukcesem. Jola gratulowała Marcelemu udanej akcji, zapewniając, że chętnie jeszcze skorzystają z usług jego firmy.

Na widok Urszuli i Alicji Marceli aż klasnął w pluszowe łapy.

– Bardzo się ucieszyłem, jak cię zobaczyłem, Alicjo. Znalazłaś mamę?

– Nie. Pewnie robią dalej zakupy – powiedziała spokojnie dziewczynka.

– Alicjo, czy ty jesteś pewna, że twoja mama robiła zakupy w tym sklepie? – zapytała ostrożnie Urszula. – Może ty skądś tutaj przyszałaś, na przykład z jakiegoś innego centrum handlowego?

– Z innego centrum? – nie rozumiała dziewczynka. – Nie, ja cały czas byłam tutaj.

– A pamiętasz, o której godzinie tu przyszłyście? – włączył się do rozmowy Marceli, który od razu zrozumiał, do czego zmierza Urszula.

– Niedawno. Chwilę temu. Pięć minut – powiedziała z uśmiechem Alicja. – A teraz to bym się napiła herbaty, bo strasznie jestem spragniona.

– No tak, herbata. Przydałoby się coś ciepłego w taki dzień – stwierdził Marceli. – To może wy usiądźcie na chwilę w tej kawiarni obok sceny i zamówcie coś, a ja szybko zdejmę kostium Okapi... A potem poszukamy tej informacji, dobrze?

– Już ci się znudził Okapi? – zapytała przekornie Urszula. – Przecież mówiłaś, że ci dodaje pewności siebie.

– Z niczym nie należy przesadzać, przynajmniej ja tak sądzę. Poza tym ten materiał niemiłosiernie grzeje. Nie twierdzę, że to źle, to się bardzo sprawdza w zimie, szczególnie na Spitsbergenie, ale muszę jednak zachować umiar.



To mówiąc, oddalił się w kierunku łazienek, elegancko zamiatając po drodze ogonem podobnym do strzałki. Urszula patrzyła za nim z uśmiechem.

Zamówiła dla Alicji herbatę, a sama wzięła kawę. Dochodziła druga. Za chwilę miała zakończyć dzień pracy i pojechać do mamy, żeby pomóc jej przy ostatnich przygotowaniach do Wigilii. Niewielka to była pomoc – mama i Mateusz zrobili już pewnie większość sami, do wieczery mieli zasiąść z pierwszą gwiazdką, czyli przed siedemnastą. Urszula poczuła ciepło w sercu, myśląc o swoich bliskich i o tym, że już niedługo będą razem. Jak to dobrze, że miała do kogo wracać, każdego dnia, dzień po dniu. Cudownie było mieć kogo kochać. Spojrzała na Alicję pijącą powoli herbatę i zrobiło się jej przykro. Nie mogła wracać do domu, zanim nie znajdzie rodziców tej dziewczynki, którzy na pewno odchodzą od zmysłów, że zaginęło ich dziecko. I to w dodatku w Wigilię. Tego dnia nikt nie powinien być smutny i nieszczęśliwy, a już na pewno martwić się o swoją córeczkę. Musiała doprowadzić tę sprawę do końca, w tej chwili było to najważniejsze zadanie. Choćby więc miała się spóźnić na kolację do domu, nie zostawi Alicji samej.

Gdzie jest ten Marceli – zniecierpliwiła się nagle. – Rozumiem, że zakładanie kostiumu tyle trwało, ale żeby tak długo go zdejmować, tego nie pojmuję.

Lecz Marceli w końcu najwyraźniej uporał się z powłoką Okapi, bo dosłownie w tej samej minucie pojawił się w alejce przed kawiarnią. Żółty plusz wystawał mu z wielkiej brezentowej torby, włosy miał lekko zmierzwione, twarz zaczerwienioną, ale był szczęśliwy.

– Fajna przygoda – stwierdził.

– Ale nie chciałbyś jej pewnie powtórzyć, co?

– Dlaczego nie? Chyba za mało się udzielałam aktorsko we własnym biznesie – stwierdził. – Byłem do tej pory zbyt nieśmiały, jak widzę – niesłusznie.

– Tak. Masz talent – Urszula roześmiała się serdecznie.

Alicja właśnie dopiła herbatę, Ula wzięła więc dziewczynkę za rękę, po czym ruszyli w kierunku punktu informacyjnego.

\* \* \*

– Dziecko? Nie, proszę pani, nikt tutaj od rana nie szukał dziecka, nie zgłaszano też żadnego zaginięcia – powiedział dyżurujący pracownik punktu, gdy Urszula wytłumaczyła mu, w czym rzecz.

– Ale czy pan jest tutaj od momentu otwarcia sklepu? – upewnił się Marcelli, przechylając się przez kontuar, żeby lepiej się przyjrzeć pracującemu tam mężczyźnie.

– Nie, pracuję od południa, proszę pana.

– A kto był przed południem? – spytała Urszula.

– Koleżanka. Ale jak się wymieniamy, ona mi wszystko przekazuje. Nie wspominała o zgłoszeniu zaginięcia dziecka.

– Może zapomniała? – zasugerował Marcelli.

Pracownik punktu popatrzył na niego pełnym oburzenia wzrokiem i wyciągnął spod lady pomięty zeszyt.

– Proszę pana. My tu mamy specjalny rejestr, w którym zapisujemy takie zdarzenia, żeby nam nic nie umknęło. Proszę bardzo, pod dzisiejszą datą widnieją dwa zdarzenia: piesek błąkał się po sklepie oraz zginął wózek dziecięcy spacerowy, który odnalazł się zresztą w dziale sportowym na trzecim

piętrze. Żadnej wzmianki o zaginionej dziewczynce.

– Ale może zadzwoniłby pan do tej koleżanki? – błagalnym głosem poprosiła Urszula. Pracownik spojrział na nią spod oka, jakby chciał powiedzieć, że nie będzie ludziom przeszkadzał w Wigilię, skoro sprawa i tak jest oczywista, lecz zrezygnował.

– Dobrze. Zrobię to, żeby panią uspokoić. W końcu są święta. Proszę mi powiedzieć, jak wyglądała ta dziewczynka, upewnię się, czy ktoś nie zgłaszał zaginięcia osoby o takim rysopisie.

– Niech pan sam popatrzy – powiedział Marcelli i wskazał Alicję, a właściwie pokazał miejsce, gdzie jeszcze przed sekundą stała Alicja, bo w tym momencie już jej nie było. Po prostu rozplynęła się w powietrzu.

– Gdzie ona jest? – nie rozumiała Urszula.

– No właśnie – westchnął Marcelli. – Dokładnie taki sam numer mi wycięła, jak poszłaś na to spotkanie. Jakby umiała znikać.

– No i jak wygląda ta mała? Mam dzwonić? – niecierpliwiał się pracownik punktu.

– Niech pan na razie nie dzwoni – powiedział z rezygnacją Marcelli. – Musimy ją na nowo znaleźć. Gdyby ktoś pytał o dziewczynkę o imieniu Alicja, wiek około sześciu lat, dwa warkoczyki i sukienka w niebieską kratkę, to niech pan szybko nada ogłoszenie na cały sklep, dobrze?

– Tak jest. To mogę zrobić bez problemu – stwierdził zadowolony pracownik.

– No i co teraz? – zamyśliła się Urszula.

– Nie mam pojęcia. Nie zadzwonimy na policję, bo co im powiemy? Że szukamy dziecka, które pojawia się i znika w centrum handlowym?

– Ona się nie pojawia i nie znika. Na pewno sobie gdzieś

poszła, kiedy rozmawialiśmy z tym facetem z informacji, po prostu nie zwróciliśmy uwagi – zaprotestowała Urszula.

– Tere-fere. Poprzednio zwracałem uwagę, a ona po prostu wyparowała – powiedział Marcelli. – Moim zdaniem to jakaś tajemnicza sprawa.

– Sam jesteś tajemnicza sprawa. Trzeba kogoś zapytać – Urszula rozejrzała się po sklepowych alejkach. W pobliżu nie za bardzo było z kim rozmawiać. Na ławce siedział tylko jakiś nastolatek, gapiąc się w ekran swojego smartfona.

– Przepraszam, nie widziałeś tu może takiej małej, około sześćioletniej dziewczynki? – zagadnęła Urszula.

Chłopak podniósł na nią znudzone spojrzenie.

– Dziewczynki? Nie. Chyba nie.

– Stała z nami obok punktu informacyjnego, a potem sobie gdzieś poszła, szukamy jej. To naprawdę bardzo ważne, żeby ją znaleźć. Jej rodzice na pewno szaleją z niepokoju o swoją małą córeczkę...

– Nic nie widziałem. Piszę sobie z kumplami, nie zwracam uwagi. Chyba nikt tędy nie przechodził – wzruszył ramionami chłopak i znowu wbił wzrok w ekran telefonu.

– Ja widziałam. – Urszula odwróciła się i zobaczyła, że mówi do niej właścicielka sklepu „Tam, gdzie rośnie wanilia”.

– Naprawdę? – ucieszył się Marcelli. – Gdzie ją pani widziała?

– Poszła w tamtą stronę. W kierunku sklepu z wyposażeniem wnętrz.

– Dziękujemy bardzo – wykrzyknęli i ruszyli szybkim krokiem do sklepu, zwłaszcza że widać było, iż obsługa powoli szykuje się do zamknięcia.

– Czy nie wchodziła tu mała dziewczynka? – zapytała Urszula, a ekspedientka zastanowiła się przez moment.

– Dziewczynka? Chyba tak. Poszła do działu z lustrami, nawet wydało mi się to trochę dziwne.

– Alicja, chodź, za chwilę zamykają – krzyknął gromko Marceci, rozglądając się sklepie. Dział z lustrami był niewielki, ale zwierciadła naprawdę robiły wrażenie. Wielkie trema w złotych ramach stały naprzeciwko siebie, odbijając bez końca swój obraz. Alicji tam jednak nie było, tylko przed największym z luster leżała paczka z grą, powielana w nieskończoność przez zwierciadlany labirynt. Odbicia tworzyły coś w rodzaju długiej ścieżki ginącej gdzieś w mroku.

– Może się gdzieś schowała? – zastanowiła się Urszula.

– Proszę ją znaleźć – delikatnie zasugerowała ekspedientka.

– Nie chciałabym, żeby to zabrzmiało niegrzecznie, ale jest Wigilia i chcemy już zamykać, żeby pójść do domu.

– Oczywiście, rozumiemy to doskonale – zapewniła Urszula. – Alicjo, to są niemądre zabawy, proszę zaraz wyjść!

Cisza. Nikt się nie odezwał, dziewczynka się nie pojawiła. Ekspedientka z westchnieniem zaczęła zaglądać we wszystkie kąty, a Marceci z Urszulą posunęli się nawet do otwierania szafek i szuflad. Kamień w wodę.

– Czy mają tu państwo kamerę przemysłową? – zapytał wreszcie Marceci, gdy oczywiste stało się, że nie znajdują dziewczynki. – Może ona się jakoś stąd wymknęła, a pani jej nie zauważyła?

– To chyba niemożliwe, ale dzisiaj jestem w stanie we wszystko uwierzyć – powiedziała ekspedientka, poprawiając włosy zmęczonym ruchem. – Mamy kamerę przemysłową, tylko nie wiem, czy powinnam z państwem przeglądać nagrania. Chyba trzeba wezwać właściciela.

– No, niech się pani nie waha. To zaledwie kilka minut. Przecież nie będziemy przeglądać zapisu z całego dnia. To

bardzo wszystko ułatwi – perswadował Marcelem.

Ekspedientka szybko uległa. Uruchomiła komputer i przewinęła zapis. Po chwili oglądali już film, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

– Czy państwo też to widzą? – spytała ekspedientka, a Marcelem i Urszula skinęli w milczeniu głowami.

Alicja weszła do sklepu z pudełkiem z grą w objęciach. W kątku z lustrami położyła pudło na podłodze i podeszła do największego zwierciadła. Jak gdyby nigdy nic przełożyła nogę przez ramę lustra, a potem po prostu... zniknęła po jego drugiej stronie. Zwierciadła przez chwilę odbijały jej oddalającą się postać, a później Alicja zrobiła się tak malutka, że nie można jej już było dostrzec w ogóle. Tafle luster wygładziły się i po chwili wyglądały zupełnie normalnie, były gładkie i lśniące jak powierzchnia jeziora w spokojne zimowe popołudnie.

– Ja chyba zwariowałam – stwierdziła Urszula, trzymając w rękach grę Alicji i zupełnie bezwiednie przyciskając ją do siebie.

– Po prostu nie do wiary – kręcił głową Marcelem. – Jeszcze wnukom to będę opowiadał, o ile ich doczekam, a i tak nikt mi nie uwierzy. – Alicja – powtarzał ciągle. – Alicja!

Urszula otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Chciała powiedzieć Marcelemu, że w dowodzie osobistym miała kiedyś wpisane imię Alicja. Zmieniła je urzędowo zaraz po maturze. Musiała nawet przedstawić świadków, że nigdy go nie używała. Nie znosiła tego imienia, właśnie dlatego, że wszyscy mówili: „A, Alicja? Jak ta z Krainy Czarów?”. Życie nie było Krainą Czarów, zrozumiała to bardzo szybko.

Nie znosiła tego imienia, jak i swojej okropnej sąsiadki, pani Alusi.

Cieszyła się, że urzędnicy pozwolili jej zmienić kolejność

imion w dowodzie. Studia rozpoczęła już jako Urszula, a znenawidzona Alicja została zepchnięta na drugie miejsce – i nikt o niej nie wiedział.

Chciała powiedzieć Marcelemu: „Wiesz, tak naprawdę to ja jestem Alicją...”, ale natychmiast uznała, że to bez sensu. Przecież to nie miało żadnego znaczenia. Nie miało, prawda?

\* \* \*

– I co? Znaleźli ją państwo? – spytała właścicielka „Tam, gdzie rośnie wanilia”, zupełnie jakby czekała na ich powrót.

– I tak, i nie – powiedziała Urszula. – Trudno to wytłumaczyć. Chyba by pani nie uwierzyła, co się z nią stało.

– Dlaczego miałabym nie uwierzyć? – zdziwiła się starsza pani. – Już niejedną rzecz widziałam na świecie. Proszę mnie zaskoczyć.

– Weszła do lustra. I co pani na to powie? – wypalił Marceli, patrząc na nią z góry.

Staruszka pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Tak właśnie myślałam, że zdarzy się coś w tym stylu. Poprzednim razem było podobnie. Tylko już nie pamiętam dobrze, co zrobiła – odleciała do Nibylandii czy też weszła do jakiejś szafy? Miała wtedy na imię Wanda albo Łucja, w każdym razie sytuacja była bardzo podobna.

– To znaczy jaka? Były święta i zgubiło się dziecko? – nie rozumiał Marceli.

– Być może były święta, to nie jest tak istotne i nie chodziło też o to, że ktoś się zgubił. Ważne było, że co się miało

odnaleźć, to się odnalazło...

– A co miało się odnaleźć? – zapytała Urszula, ściskając grę.

– Zawsze to samo. Wśród tych wszystkich zawirowań losu, burz i niepowodzeń ma się odnaleźć dwoje ludzi, których coś prowadzi do siebie, ale potrzeba im na końcu jakiegoś malutkiego czaru, żeby wszystko dobrze się skończyło. No to może po pierniczku na drogę? – dokończyła niespodziewanie, a oni spojrzeli na siebie i roześmiali się niepewnie.

Wzięli pierniczki, podziękowali, życzyli jej wszystkiego najlepszego, po czym wyszli na parking.

– Zimno – powiedział Marcelli, otulając się kurtką.

– Oj, tak. Prawie jak na Spitsbergenie. Gdzie spędzisz Wigilię?

– Jak zwykle. W biurze. Wiesz, typowa wieczerza singla, ale ja nie narzekam – zastrzegł się. – W tym roku będę miał nawet choinkę, no i poświęcę w towarzystwie Okapi, a przynajmniej jego powłoki, więc będzie mi wesoło.

– To może... Przyjmiesz zaproszenie do nas? Spędzamy święta tylko we troje – ja, mama i Mateusz, to znaczy we czworo, bo jeszcze jest Gutek, nasz pies, który na pewno pokocha Okapi. To jest towarzystwo w sam raz dla niego.

– Naprawdę? Chciałabyś? – spytał wzruszonym głosem.

Kiwnęła głową, starając się nie patrzeć na w jego kierunku, ale potem spojrzała i zobaczyła w jego oczach tak wiele, że ten zimny dzień stał się od razu najcieplejszym dniem tego roku. Chciało się jej śmiać i trochę płakać jednocześnie, bo miała wrażenie, że wkracza w coś nieznanego i dobrego zarazem. Bała się, jak to będzie.

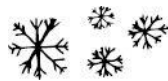
– A ta książka od pana Alojzego? – zapytał Marcelli, gdy wsiedli już do samochodu. – Właściwie mogłabyś odpakować.



Jest już wigilijne popołudnie, więc zgodnie z regułami sztuki można już sobie wręczać prezenty.

Urszula kiwnęła głową, wydobyła z torby ozdobny pakunek, po czym rozerwała papier. Po chwili miała już prezent na kolanach. Długo wpatrywała się w piękne ilustrowane wydanie cudownej opowieści dla dzieci. Marceli wziął ją za rękę; ich dłonie splotły się nad obwolutą książki przedstawiającą dziewczynkę ściskającą pod pachą flaminga.

Urszula uśmiechnęła się do siebie. *Alicja w Krainie Czarów*. No tak. Jakże by mogło być inaczej. Płatki śniegu wirowały, osiadając na przedniej szybie samochodu, a oni milczeli. Ta cisza była wymowniejsza niż tysiące słów. Po prostu małe czary, takie, które mogą zdarzyć się tylko raz w roku, właśnie w Wigilię.



## REMIGIUSZ MRÓZ



*Sędzia[1]*

*Ludzkie sumienie jest jedną z tych rzeczy, które nie poddają się woli większości.*

Harper Lee, *Zabić drozda*

Sędzia Dering wyszła z księgarni przy Wiśniowej i ściągnęła poły płaszcza. Przez chwilę stała w bezruchu,

obserwując, jak para z ust znika w świetle ulicznej latarni. Potem ruszyła do zaparkowanego nieopodal samochodu.

To musiało stać się prędzej czy później – pomyślała. Ile małych księgarni mogło przetrwać ofensywę wielkich sieci i gwałtowny, nieustanny rozwój tych internetowych? Sama pewnie by się w nich zaopatrywała, gdyby nie to, że właściwie nie znała się na literaturze i od wielu lat nie potrafiła dokonać wyboru bez wskazówek Alojzego.

Księgarz był nieoceniony. Zawsze potrafił powiedzieć choćby jedno lub dwa zdania o każdym tytule znajdującym się w jego sklepie. Czy to samo można było znaleźć na portalach i w sklepach internetowych? Nie, tam zdarzały się pozycje bez opinii. U Alojzego zaś można było zawsze zasięgnąć porady.

A teraz zamykał Księgarenkę. I twierdził, że robi to, bo ma już swoje lata i chce w końcu odwiedzić córkę. Katarzyna Dering zbyt dobrze jednak znała się na ludziach, by w to uwierzyć. Była przekonana, że przez wszystkie lata spędzone w sali sądowej stała się ludzkim wykrywaczem kłamstw.

Szczególnie że parała się sferą, w której obłudy było najwięcej – prawem rodzinnym. To właśnie podczas posiedzeń pojednawczych, wywiadów środowiskowych, wysłuchań nieletnich, rodziców i opiekunów, do jej uszu docierało najwięcej nieprawd i przeinaczeń. Mając taki bagaż doświadczeń, uważała, że może wyczuć je na kilometr.

Była pewna, że w tym wypadku także jej się to udało. Alojzy musiał mieć problemy finansowe, innego wytłumaczenia nie znajdowała. Do córki leciał zapewne po to, by uzyskać nieco wsparcia – mieszkała w Australii, dolarów miała w nadmiarze, a kurs wymiany na złotówki był teraz całkiem korzystny.

Katarzyna obróciła się w kierunku Księgarenki i westchnęła. Powiodła wzrokiem po świątecznych ozdobach

i zaczęła zastanawiać się, kiedy stała się tak cyniczna. Być może zawsze taka była, a dostrzegała to jedynie w chwilach takich jak ta, kiedy zaczynała odczuwać nostalgię.

Będzie jej brakowało Alojzego. Przychodziła do niego od wielu lat i choć nigdy nie kupowała niczego dla siebie, zawsze służył jej radą w wyborze pozycji dla dzieci. Miała trzy córki, teraz już kilkunastoletnie. To księgarz podsunął jej kiedyś *Lottę z ulicy Awanturników* Astrid Lindgren, która szybko stała się ulubioną lekturą najmłodszej. Ostatnią rewelacją okazał się wielotomowy cykl fantasy Johna Flanagana, choć sędzia była przekonana, że taka literatura trafi raczej do chłopców niż dziewczynek.

Po raz kolejny okazało się jednak, że Alojzy miał rację. Dering utwierdziła się zaś w przekonaniu, że między nią a dziećmi jest przepaść nie do przemierzenia. Ale czy mogła się dziwić? Najstarszą córkę urodziła, mając na karku czterdziestkę. Wcześniej była zajęta karierą, a decyzję o macierzyństwie przesuwiała z roku na rok. I być może nigdy nie skończyłaby tego robić, gdyby nie jedna suto zakrapiana impreza służbowa i chwila nieuwagi.

Po pierwszej ciąży wszystko się jednak zmieniło. Wraz z mężem podjęli decyzję, że chcą trojga dzieci – i zabrali się do roboty, jakby na powrót mieli po dwadzieścia lat. Pewnych rzeczy jednak nie dawało się przeskoczyć. Tak jak tego, że Katarzyna żyła w zupełnie innym świecie niż jej córki.

Wprawdzie Alojzy polecił jej mnóstwo pozycji, które miały przygotować ją do roli matki, ale przejrzała je jedynie pobieżnie. Zawsze brakowało jej czasu na czytanie, a jeśli już udawało się trochę go wygospodarować, siadała z kodeksami lub opracowaniami, by być na bieżąco.

– Czymże jest życie bez czytania? – pytał ją kilkakrotnie

Alojzy, kiedy w przerwie między jednym a drugim zajęciem wpadała do niego po kolejną pozycję dla dzieci.

Przypuszczała, że to przyczynek do zacytowania jakichś wielkich myślicieli, ale po postawieniu pytania księgarz zawsze milkł.

Katarzyna weszła do samochodu i postawiła torebkę na siedzeniu pasażera. Przez moment trwała w bezruchu, obserwując roztapiające się na szybie płatki śniegu. Potem otworzyła torebkę i wyjęła telefon. Rzuciła okiem na książkę, którą dostała w prezencie od Alojzego, ale po nią nie sięgnęła.

Wybrała numer męża.

– Jedziesz? – rzucił nerwowo. – Czekamy na ciebie z ubieraniem choinki.

– Tak, właśnie wyszłam od Alojzego.

– Masz coś dobrego dla każdego?

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że złamała tradycję. Rok w rok kupowała całej czwórce książki w Księgarence, a tym razem zupełnie o tym zapomniała. Miała jednak inne prezenty, dawno spakowane, poukrywane w domu i czekające na odpowiedni moment.

Popatrzyła w tylne lusterko, przez moment się namyślając. Ostatecznie uznała, że po drodze zatrzyma się w jakiejś sieciówce. Weźmie to, co wszyscy, pierwsze lepsze książki ze szczytu listy bestsellerów. Dla córek coś z literatury kobiecej, dla Dominika z literatury faktu, a potem poprosi, by ładnie jej to zapakowano.

– Kaśka?

– Tak, tak, mam dla was coś dobrego – odparła, uruchamiając silnik. – Szczególnie dla ciebie.

– Co takiego?

– Pytanie.

- Więc śmiało.
- Czymże jest życie bez czytania?

Dominik przez chwilę milczał, a potem wydał z siebie głębokie mruknięcie.

– Udzielił ci się refleksyjny nastrój Alojzego? – spytał z przekąsem. – Rozumiem, że jest czas przedświąteczny i...

- Zamyka biznes.
- Co? Dlaczego?

– Mówi, że jest stary i chce spędzić czas z córką – nie chciała się teraz nad tym rozwodzić. – Odpowiesz mi czy nie?

Odchrząknął znacząco i mogłaby przysiąc, że podrapał się po głowie. Zerknęła na wyświetlacz na desce rozdzielczej i zwiększyła nieco temperaturę. Radio miała wyciszone, ale RDS pokazywał, że na antenie grają właśnie *Last Christmas* duetu Wham!

Dering czym prędzej zmieniła stację. Nie chciała widzieć tego kawałka nawet na wyświetlaczu.

– Jak mam niby odpowiedzieć? – mruknął w końcu Dominik.

- Nie wiem.
- Przyjeżdżaj. Zaraz wieszamy bombki.

Katarzyna pożegnała go, a potem wycofała i ruszyła w kierunku domu. Kiedyś mieszkali niedaleko, rzut beretem od Księgarenki. Po tym jednak, jak pierwsza córka przyszła na świat, przenieśli się na peryferie miasta. Normalnie dojazd zabrałby jej kwadrans, może dwadzieścia minut, ale teraz na pewno utknie w korkach przed centrum handlowym. Nie ona jedna będzie kupowała prezenty w ostatniej chwili.

Półtorej godziny później opuszczała centrum. Ruch był wzmożony, jednak kiedy tylko wyjechała na miejską obwodnicę, odetchnęła. Wciąż nie włączyła radia, wychodząc z założenia, że

trafi albo na kolejne szlagiery, albo na informacje o liczbie wypadków podczas świątecznych podróży.

Zapadał zmrok, a nadjeżdżające z naprzeciwka światła samochodów zaczynały ją razić. Kilka miesięcy wcześniej była u okulisty, zaniepokojona tym, jak słabo widzi nocą. Lekarz stwierdził początki dystrofii siatkówki, co właściwie niespecjalnie ją zdziwiło. Zapadnięcie na kurzą ślepotę stanowiło niejaką tradycję w jej rodzinie.

Wszystko było dziedziczne. Życie kolejnych pokoleń dopełniało kręgu.

Jeśli przez wszystkie te lata pracy w sądzie rodzinnym nauczyła się czegoś, poza rozpoznawaniem kłamstw, to właśnie tych dwóch rzeczy.

Mimowolnie spojrzała prosto w reflektory nadjeżdżającego samochodu. Jechał wolno, ona miała na liczniku znacznie więcej. Przez chwilę bawiła się w głowie myślą, że gdyby zjechała na przeciwległy pas ruchu, połączona prędkość sprawiłaby, że wszyscy zginęliby na miejscu.

Potrząsnęła głową. Najwyraźniej wcześniej źle zdiagnozowała swój nastrój – nie miał nic wspólnego z nostalgią, był raczej wstępem do depresji.

W sam raz na święta – pomyślała, kiedy auto ją mijало.

Zaparkowawszy pod domem, zobaczyła, że w salonie mrugają kolorowe lampki. Stanęła przed oknem i zajrzała do środka. Dominik i dzieci kończyli już ubierać choinkę. Słusznie, na ich miejscu też by nie czekała.

Zabrała prezenty z samochodu, a potem weszła przez garaż. Odwiesiła płaszcz i stała przez chwilę z opuszczoną głową. Potem wyprostowała plecy, zmusiła się do lekkiego uśmiechu, odchrząknęła i przybrała maskę, którą zakładała dla rodziny.

Odwróciła się i zobaczyła stojącego w przedpokoju męża.

– Dziewczyny nie wytrzymały – usprawiedliwił się, opierając się o futrynę. – Stwierdziły, że bałwanowampiry nie mogą dłużej leżeć w pudłach, bo się zemszczą.

Bałwanowampiry były hitem świąt pięć lat temu. Katarzyna kupiła bombki-bałwany tak, jak teraz prezenty, w ostatniej chwili. Nie nadawały się właściwie do niczego, przywodziły na myśl najtańsze chińskie podróby. Dziewczyny domalowały im jednak markerem kły, podpisały na brzuchach męskimi imionami. I tym sposobem „Stefan”, „Damon”, „Klaus” i „Bill” zyskali rodzinny status bombek kultowych.

Przynajmniej na jakiś czas.

– Jasne – bąknęła Dering.

– Próbowałem je powstrzymać, ale...

– Poświadczasz nieprawdę, mój drogi – przerwała. –

Dziewczyny już dawno nie pamiętają o bałwanowampirach, a cały pośpiech wziął się z tego, że mają cały szereg zajęć przed Wigilią. – Ruszyła w jego stronę. – Muszą wysłać snapy, cyknąć trochę zdjęć na Instagram, napisać parę SMS-ów z życzeniami i przewinąć całą masę świątecznych postów na Facebooku.

Dominik wyprostował się i zatarasował przejście.

– Chciały mieć to z głowy jak najszybciej – dodała. – Ot i cała tajemnica.

Mąż rozejrzał się, jakby naprawdę szukał ratunku. Na dłużej zawiesił wzrok na otwartej torebce i uniósł znacząco brwi.

– Zapomniałaś zapakować? – spytał, jakby odkrył coś, czego nie powinien.

Sędzia potrzebowała chwili, by zorientować się, o co chodzi. Zerknęła na grzbiet książki wystający z torebki, a potem z czułością staranowała Dominika.

– To nie dla ciebie – rzuciła. – Dostałam od Alojzego.



– Co to za pozycja?

– *Zabić drozda* Harper Lee.

– Powinien sprezentować ci raczej prequel. *Idź, postaw wartownika*.

– Dlaczego?

– Bo tę już czytałaś.

Pokręciła głową, wchodząc do salonu. Dziewczyny powitały ją zdawkowo, jak na nastolatki przystało. Właściwie „Cześć, mamó” i tak należało uznać za nie najgorszą ewentualność. Gdyby mieszkali w Stanach, pewnie zwracałyby się do niej po imieniu, a jedyny kontakt ograniczałyby się do wspólnych *friendsie* w samochodzie przed wypadem do centrum handlowego na zakupy.

Obejrzała się przez ramię na Dominika.

– Nie czytałam.

– W takim razie oglądałaś film. Na dobrą sprawę był równie udany jak książka.

– Nie oglądałam.

Mąż spojrzał na nią z niedowierzaniem, unosząc kąciuki ust.

– Zostałaś prawnikiem, nie zaznajamiając się z *Zabić drozda*?

– Najwyraźniej się to zdarza.

Pokręcił głową i skrzyżował ręce na piersi.

– Teraz przynajmniej wiem, skąd te wszystkie niesprawiedliwe wyroki – odparł. – Żadna lektura nie wykształciła w tobie wystarczającej empatii.

Zaczepiał ją, a ona zazwyczaj to uwielbiała. Niewielu facetom po dekadach wspólnego życia chciało się to jeszcze robić. Dziś jednak była to szpila, której wbicie naprawdę ją zabolalo.

Pomyślała o wyroku, który wydała tego dnia. I nagle

zrozumiała, co było powodem jej przygnębienia.

\* \* \*

W domu panowała absolutna cisza. Dziewczynki poszły spać, a Katarzyna usiadła w salonie z kieliszkiem różowego wina. Rozparła się w fotelu, obserwując leniwie mrugające światełka choinkowe. Nawet one zdawały się nie pasować do świątecznej atmosfery.

– Nie śpisz jeszcze? – mruknął Dominik, mijając wejście do pokoju.

Było to zwykłe, niezobowiązujące pytanie, które rzucał często, gdy z pustym kuflem szedł do kuchni. Gdyby od razu odpowiedziała, rozmowa natychmiast by się zakończyła. Milczenie jednak sprawiło, że po dolaniu sobie piwa mąż wrócił do salonu.

Usiadł na kanapie i założył nogę na nogę.

– Nie wstajesz rano?

– Wstaję – odparła. – Przestępcy nie śpią, więc Temida też nie.

– Pracujesz w wydziale rodzinnym. Nie masz do czynienia z przestępcami.

– A jednak czasem mam wrażenie, że to u nas jest ich najwięcej.

Wydał usta i napił się piwa.

– Może coś w tym jest – przyznał. – Tak czy inaczej, późno już.

– Nie mam jutro żadnych rozpraw.

- Więc możesz być nieprzytomna?
- Czemu nie? – wzruszyła ramionami i też się napiła.

Wino było całkiem dobre, pochodziło z hiszpańskiego regionu Cigales, gdzie nie produkowano właściwie innych niż różowe. Producent zapewniał, że jest wytrawne, ale Katarzyna czuła wyraźnie słodycz malin i truskawek, zupełnie jakby było półsłodkie.

Nie żeby miało to wielkie znaczenie. Dziś piła tylko po to, by uspokoić myśli.

- Coś nie tak? – spytał Dominik.
- Nie. Po prostu jestem zmęczona.
- Poczytaj książkę. Niewiele jest na świecie rzeczy, które są lepszym lekarstwem na tę przypadłość.
- Z pewnością.
- Poza tym ta od Alojzego nadaje się idealnie.

Rozejrzała się i zmarszczyła czoło.

– Pożyczyłem sobie – rzucił z teatralną niewinnością. – I już po pierwszych rozdziałach utwierdziłem się w przekonaniu, że księgarz trafił z prezentem.

- Doprawdy?
- Szczególnie jeśli chodzi o opis życia w Maycomb.

Dering nie była specjalnie zainteresowana, więc nie dopytała. Wprawdzie przyjęła prezent z szerokim uśmiechem i zapewniła Alojzego, że książkę na pewno przeczyta, ale właściwie nie planowała tego zrobić. Chciałaby, ale zdawała sobie sprawę, że nie znajdzie na to czasu.

- Harper Lee pisze, że mieszkańcy żyli, jakby doba miała ponad dwadzieścia cztery godziny – dodał po chwili Dominik.
  - W takim razie pozostaje mi tylko im zazdrościć.
  - Nie ma czego. Sami ją wydłużyli.
- Katarzyna przez moment obracała kieliszek w dłoni,

a potem odstawiała go na stolik przy fotelu.

– „Pośpiech nie istniał, bo nie było się dokąd spieszyć” – dodał mąż.

– Brzmi jak antyteza mojego życia.

Zaśmiał się cicho i pokiwał głową.

– Rzeczywiście.

Przez chwilę milczeli, patrząc na siebie, jakby oboje z tyłu głowy mieli multum rzeczy, którymi chcieliby się ze sobą podzielić, ale z jakiegoś powodu nie mogli o tym szczerze porozmawiać.

– Ale dokąd ty się spieszysz, co?

– Sama nie wiem.

– Harujesz jak wół, ślizgasz się z dnia na dzień, jakby całe twoje życie było oblodzone i...

– Które to piwo? – przerwała mu z przekąsem. – Trzecie?

– Może.

– Normalnie przy trzecim wpadasz w refleksyjny nastrój.

Uniósł lekko kąciki ust i kiwnął głową. Znali się jak łyse konie, nie musiał dodawać nic więcej. Oboje doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że powiedział wystarczająco dużo, by się nad tym zastanowiła.

Po kolejnej minucie ciszy Katarzyna znów napiła się wina i odchrząknęła.

– Wiesz, jak u nas jest – zaczęła.

Spojrzał na nią pytająco.

– Ci od prawa karnego, cywilnego... do cholery, każdego poza rodzinnym, mają jasną sytuację.

– To znaczy?

– Dostają sprawę, wypełniają procedurę, a potem wydają wyrok w imieniu Rzeczypospolitej. U nas wszystko się ciągnie, nic się nie kończy.

Nadal sprawiał wrażenie, jakby nie łapał clou problemu.

– Chodzi mi o to, że jesteśmy przeładowani robotą – dodała. – Mamy za dużo na głowie. Wyroki nie kończą spraw, tak jak w innych wydziałach... U nas wydaje się później orzeczenia wykonawcze, a potem trzeba nadzorować ich realizację. Czasem przez kilka lub kilkanaście lat. A cały czas dochodzą nowe rzeczy. Wiesz, jak to się nawarstwia?

Potarła skronie i opróżniła kieliszek jednym łykiem. Dominik przyglądał się jej, jakby starał się ustalić, do czego konkretnie zmierza. Konkluzja zdawała się wisieć w powietrzu, choć sama Dering nie potrafiła jej sprecyzować.

Szczęśliwie mąż znał ją lepiej niż ona samą siebie.

– Masz wyrzuty sumienia? – zapytał.

– Co?

– Mówisz, jakbyś się usprawiedliwiała.

Szybko uznała, że ma rację. Tyle że podczas całej swojej wieloletniej kariery nigdy nie kwestionowała własnych decyzji. Nie wspominając już o jakichkolwiek wyrzutach. Jeśli nawet pojawiała się w jej głowie jakaś wątpliwość, powtarzała sobie, że nie jest ostatnią instancją. Wszystkie ewentualne błędy można było poprawić na wyższym szczeblu.

– Opowiedz mi o ostatniej sprawie – dodał Dominik.

– Wybierz którąś, bo trochę ich było.

I jeśliby ktoś zapytał ją, co stanowi największą bolączkę sądów rodzinnych, to odparłaby, że właśnie to. Liczba spraw i konieczność nadzorowania przez lata orzeczeń sprawiały, że sędziowie nieustannie się spieszyli. Ich kalendarze były przeładowane zadaniami, przez co trudno było traktować poszczególne sprawy indywidualnie.

Każdy chciał uporać się z danym problemem jak najprędzej i zająć się kolejnym. Tymczasem chodziło przecież o ludzki los.

Najczęściej – o los dzieci.

Znieczulica. To było jedno słowo, które oddawało wagę problemu. Katarzyna odnosiła czasem wrażenie, że sędziowie rodzinni są jak sanitariusze podczas najdłuższego, najbardziej krwawego konfliktu światowego. Obcują ze wszelkimi krzywdami na tyle długo, na tyle intensywnie, że dawno się na nie uodpornili.

– Mam na myśli tę najświeższą – ciągnął mąż. – Tę, przez którą siedzisz tu i sprawiasz wrażenie burzy bez piorunów i grzmotów.

– Ale...

– Dziś była rozprawa?

– Nie wiem, o jakiej...

– Doskonale wiesz, o jakiej sprawie mówię.

Miał rację. Doskonale wiedziała.

– Osińscy – powiedziała i głęboko westchnęła. – Młode małżeństwo, ona pracuje jako konsultantka w call center, on jako brukarz. Niewiele zarabiają, mają jedno dziecko, mieszkają w wynajmowanej dwupokojowej melinie i...

– Aż tak źle?

Katarzyna wzruszyła ramionami.

– Może przesadzam, ale z pewnością trzeba by zapewnić dziecku lepsze warunki bytowe.

– Odebrałaś im prawa rodzicielskie?

Dering uniosła brwi ze zdziwieniem.

– Nie – odparła. – Dlaczego miałabym to robić?

– Po prostu strzelam.

– I pudłujesz, więc lepiej posłuchaj do końca. Ale najpierw mógłbyś dolać mi wina.

– Wcześniej radziłaś sobie z tym całkiem nieźle sama – odpowiedział, wskazując na niemal pustą butelkę.

Katarzyna przez moment wpatrywała się w niego ponaglająco.

– Jesteś pewna?

– Do rana zejdzie. To lekkie wino.

Kiedy jej dolewał, podjęła:

– Ich sprawa nie była specjalnie skomplikowana, załatwiłam to dość szybko i zajęłam się kolejnymi rzeczami. Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku, dziecko zdrowe, zadbane, bez śladów przemocy, sąsiedzi poświadczyli na korzyść rodziców...

– Ile ma lat?

– Dziewięć. Chłopiec.

Mąż podał jej kieliszek.

– Więc dlaczego ich przypadek w ogóle trafił na wokandę?  
– spytał.

– Bo chłopak pobił kolegę z klasy. Niedotkliwie, ale wystarczająco mocno, żeby jego rodzice wybrali się do Osińskich. Od nich usłyszeli, że najwyraźniej doszło do jakiejś prowokacji. Nie tylko nie padło słowo „przepraszam”, ale Osińscy zrzucili jeszcze całą winę na pobitego.

– I tyle?

– Ależ nie, tamci przeprowadzili dość skrupulatne dochodzenie.

– Jak to wkurzeni rodzice. Są najlepszymi śledczymi.

Katarzyna pokiwała głową i pociągnęła łyk wina.

Sprawa, która zniszczyła życie trzem osobom, zaczęła się właściwie w błahy sposób. Sama bójka wynikła bowiem z tego, że rówieśnik Osińskiego wpadł na niego, grając w Pokémon GO. Zagapił się – i tyle wystarczyło. Wszystko, co stało się później, było ciągiem niefortunnych następstw tego pierwszego zdarzenia.

Dering nabrała tchu, by kontynuować.

– W toku swojego amatorskiego dochodzenia ustalili, że chłopak Osińskich...

– Jak ma na imię?

– Janek.

Doskonale wiedziała, dlaczego zadał to pytanie. Chciał, żeby traktowała go jak osobę, nie jak kolejną sprawę na wokandzie. Właściwie to samo wpajano jej od czasów studiów. Sędzia rodzinny powinien zawsze kierować się dobrem dziecka. To ono jest najwyższą wartością. Na tyle istotną, że reguła obowiązywała na dwóch płaszczyznach – ustawodawca miał kierować się nią przy tworzeniu norm, a sędziowie mieli stosować tę zasadę podczas wykładni prawa. To wszystko miało sprawić, że rozstrzygnięcia zawsze będą korzystne dla dzieci.

W praktyce bywało jednak różnie.

– I co tamci ustalili? – podjął Dominik.

– Że Janek był już w pięciu szkołach. Wszędzie wdawał się w bójki i konflikty z innymi uczniami. A rodzice, broniąc go, wchodzili w scysje z nauczycielami lub nawet dyrekcją.

– Poinformowano policję?

– Nie, rodzice pobitego chłopca zgłosili się do ośrodka pomocy społecznej. Twierdzili, że działają w interesie dziecka.

– I rzeczywiście tak było?

– Wydaje mi się, że tak. Że w pewnym momencie przestało chodzić o ukaranie Janka, a o zapewnienie mu pomocy.

– Co stało się potem?

– Tryby maszyny urzędniczej poszły w ruch, urzędnicy zostali wysłani na miejsce, a drukarki w kilku instytucjach rozgrzały się do czerwoności, podobnie jak nerwy rodziców.

Katarzyna na moment urwała, myśląc o tym, że wówczas można było jeszcze wszystkiemu zapobiec. Wystarczyło, by



Osińscy byli trochę mniej szczerzy, a odrobinę bardziej zaradni.

– Nie stwierdzono, by ktokolwiek się nad dzieciakiem znęcał, ale szybko stało się jasne, że z rodzicami jest coś nie tak.

– Coś?

– Oboje mają poprzestawiane w głowach – odparła Dering i ciężko westchnęła. – Kobieta jest przekonana, że potrafi nawiązać bezpośredni kontakt z Pięcioma Braćmi Męczennikami.

– Z kim?

– Z grupą katolickich świętych, którzy zmarli na początku jedenastego wieku. Najbardziej znany z nich to Benedykt z Pereum, określany przez Kościół także jako dowódca Boskiej Kohorty. Pozostali to zakonnicy: Jan, Mateusz i Izaak. I jeden chłopak, który znalazł się w złym miejscu i o złej porze, Krystyn.

Dominik zagwizdał cicho i uniósł brwi.

– Jestem pełen uznania – skwitował. – Nigdy nie powiedziałbym, że jesteś tak biegła w żywotach jakichkolwiek świętych.

– Musiałam przeczytać akta sprawy, prawda?

– Prawda – przyznał. – Jak zginęli?

– Napad rabunkowy, nic specjalnie męczeńskiego.

Złodzieje ukradli srebro ofiarowane przez Bolesława Chrobrego i...

– Stop. Poczekaj.

Katarzyna wstrzymała oddech.

– Tobie płacą za słuchanie takich rzeczy, mnie nie – dodał Dominik. – Pomińmy więc te pasjonujące fakty historycznie.

– Słusznie – odparła Dering i rozsiadła się wygodniej. – W każdym razie matka chłopca wierzy, że ma z nimi kontakt. Zeznała zresztą w sądzie, że braciom zdarza się przez nią

przemawiać, a jej mąż to potwierdził.

– Wariaci...

– ...albo wybrańcy boscy. Nigdy nie mogę uchwycić różnicy między nimi – bąknęła i znów upiła łyk różowego trunku. – Ale nie to zaniepokoiło mnie najbardziej.

– Co w takim razie?

– Fakt, że powód każdego przenosin Janka był podobny, a reakcja rodziców identyczna. Zawsze stawali w jego obronie.

– I dlatego odebrałaś im dziecko?

Zabrzmiało to jak oskarżenie rzucone jednemu z nazistów podczas procesów norymberskich. Katarzyna nie spodziewała się takiej reakcji męża, tym bardziej że nie zdążyła powiedzieć mu wszystkiego. Ściągnęła brwi, a on uniósł lekko otwarte dłonie.

– Zachowywali się nieracjonalnie, niewychowawczo – powiedziała. – Chłopak ewidentnie prowokował innych i wszczywał bójkę, a oni nie tylko stawali w jego obronie, ale zdawali się to pochwalać. Wzywano ich do szkół i nawet chętnie się zjawiali, tyle że zwykli byli wygłaszać tyrady pod adresem nauczycieli i władz placówki. W tym ostatnim przypadku miarka się przebrała.

– Więc kazałaś zabrać młodego?

– Nie. Ja na tym etapie nie byłam jeszcze zaangażowana w sprawę. Ale włączył się kurator i policja. Kilku funkcjonariuszy pewnego dnia zapukało do ich mieszkania i zabrało chłopaka.

– Siłą?

– A jak myślisz? Z akt wynika, że nie było łatwo cokolwiek im wytłumaczyć – odparła. – Potem zawieźli Janka do pogotowia opiekuńczego. Chłopak protestował, bił, groził, a ostatecznie po prostu prosił, żeby mógł wrócić. Ustalono, że

darzy matkę podobnym uwielbieniem jak ojciec. Najpewniej też jest przekonany, że kobieta ma kontakt z Pięcioma Braćmi Męczennikami.

- Potem sprawa trafiła do ciebie na wokandę?
- Niestety.
- Przesłuchałaś rodziców?
- O jeden raz za dużo. Zachowywali się jak nawiedzeni.
- Zabrano im dziecko, to poniekąd...
- Nie. Są dziwni, Dominik, mówię ci.
- Więc co postanowiłaś?

Katarzyna westchnęła, przypominając sobie ekspresowe tempo pracy. Nie poświęciła tej sprawie wiele czasu, bo była przekonana, że nie ma się nad czym zastanawiać. Narwani rodzice, zindoktrynowane dziecko, atmosfera bezkarności, wręcz zachęcanie do przemocy... Jak inaczej miała postąpić?

– Zarządziłam ograniczenie władzy rodzicielskiej – powiedziała, zawieszając wzrok na oknie, jakby podjęcie tej decyzji nie było wówczas automatyczne, a kłopotliwe.

Dominik z pewnością widział, że stwarza tylko pozory.

– Janka umieściłam w placówce opiekuńczo-wychowawczej, a...

- Mów po ludzku. W domu dziecka?
- Nie, w tymczasowym pogotowiu opiekuńczym. Zrobiłam to jednak pod jednym warunkiem.
- Jakim?
- Że rodzice poddadzą się terapii farmakologicznej. I jeśli wyniki będą pozytywne, Janek wróci do domu. Jeśli nie, trafi do domu dziecka.

Rozmawiali jeszcze przez kilka chwil, ale Dominik właściwie nie musiał pytać, jaka była reakcja rodziców. Osińscy stanowczo odmówili terapii, twierdząc, że z wiary nie da się

nikogo wyleczyć, bo nie jest chorobą.

Na przekonywanie ich, że powinni mieć na uwadze dobro dziecka i jego powrót do domu, Katarzyna poświęciła raptem kilka minut. Widziała, że ma do czynienia z bigotami, którzy nie przyjmują możliwości, by wyjść jej naprzeciw.

Owszem, matka zalewała się łzami i błagała, by nie odbierać im dziecka, ale kiedy przyszło co do czego, odmówiła poddania się terapii. Katarzyna przypuszczała, że postrzega siebie samą jako kolejną męczennicę, która za nic w świecie nie wyrzeknie się swoich przekonań i wiary. Nawet jeśli ceną będzie utrata dziecka.

Decyzja mogła być tylko jedna. Dering nie miała się nad czym zastanawiać.

A mimo to sprawa zdawała się wracać jak duchy, które nocą w Wigilię nawiedzały Ebenezera Scrooge'a.

\* \* \*

Dwudziestego czwartego grudnia korytarze sądowe świeciły pustkami. Większość sędziów wprawdzie musiała stawić się w gmachu, ale mało kto tego dnia pracował w pocie czoła. Ci, którzy mieli choćby poprawne relacje z prezesem, zadbali o to, by wokanda była pusta.

Katarzyna zaliczała się do tej grupy, przynajmniej na razie. Biorąc jednak pod uwagę nagłówki w lokalnej prasie porannej, mogła żywić pewne obawy. Tym bardziej że tuż po jedenastej asystentka przełożonego poinformowała ją, że ma się zgłosić do gabinetu prezesa. Stała przed drzwiami z duszą na ramieniu,

nabrała tchu, a potem zapukała.

Wszedłszy do środka, uśmiechnęła się zdawkowo i stanęła przed biurkiem.

– Nie usiądziesz? – zapytał szef.

– Czuję, że nie zostanę długo.

– Słusznie. Ale bynajmniej nie z powodu tych artykułów – odparł, podnosząc się ze skrzypiącego krzesła. – Zaraz wychodzę do domu. Wy kotłujcie się do woli, ale ja muszę jeszcze powiesić zasrane lampki na elewacji domu. Przynajmniej od frontu.

– Nie zrobił pan tego jeszcze?

– Kiedy? – burknął.

Było to jedno z pytań, na które nie musiała odpowiadać.

– Ty też nie próżnujesz, jak widzę – dodał, stukając palcem w jedną z gazet. – Walczysz o łatkę wroga publicznego numer jeden?

– Panie prezesie...

– Spokojnie. Nie mam zamiaru wnikać w meritum, zresztą znając twój wisielczy humor, zaraz doniosłabyś Krajowej Radzie Sądowniczej, że przełożony ingeruje w twoją niezawisłość.

– Jeśli bym tak zrobiła, to tylko po to, by zobaczyć pańską minę.

– Wyrażałaby zupełną obojętność.

– W przeciwieństwie do tej, którą teraz...

– Daj spokój – uciął i machnął ręką. – Nie mam czasu na zwyczajowe uprzejmości, światełka czekają.

Skinęła głową i wyprostowała się, jakby była oficerem mającym otrzymać rozkazy przed nadchodzącym starciem. Poniekąd tak właśnie było.

– Chodzi mi tylko o to, żebyś wyciągnęła do nich rękę.

– Do rodziców?

– W dupie mam rodziców – odparł, znów stukając w gazetę.

Typowy karnista – pomyślała.

– Do dziennikarzy – dodał sędzia. – Wiesz dobrze, że zawsze mamy przeciwko sobie prasę, a teraz dodatkowo też władzę. Jedni i drudzy błyskawicznie dobiorą ci się do tyłka, więc z którymiś trzeba podać sobie rękę. Proponuję dziennikarzy.

– Co konkretnie ma pan na myśli?

– Żebyś wyjaśniła, dlaczego podjęłaś taką, a nie inną decyzję.

– Nie mam obowiązku tłumaczyć się z...

– Nie, obowiązku nie masz. Ale są święta, a ty zabrałaś rodzicom dzieciaka. Wyobrażasz sobie rozmiar gówna, które na ciebie spadnie, kiedy ta sprawa zyska ogólnokrajowy rozgłos?

Mogła wyobrazić go sobie bez trudu.

– Nie będzie trzeba przepuszczać go przez wiatrak, żeby skrzętnie cię obryzgało.

– Panie prezesie...

– Powtórzę – są święta. W dodatku to katolicka rodzina.

– To świry!

– Którzy zasłaniają się wiarą. A to temat chodliwy, szczególnie w tym okresie. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Aż za dobrze.

Opuszczała biuro przełożonego niepewna, czy w istocie może jakoś zaradzić negatywnemu wydźwiękowi decyzji, którą podjęła. Temat niewątpliwie będzie stanowił pożywkę dla wszelkich programów interwencyjnych, szczególnie jeśli stacje telewizyjne pominą wątek związany z bezpośrednimi rozmowami z męczennikami.

Katarzyna czuła się tak, jakby ktoś wręczył jej pakunek,

w którym znajdował się granat bez zawłeczki. Tylko kwestią czasu było, kiedy eksploduje jej prosto w twarz. Przypuszczała, że stanie się to podczas typowej medialnej suszy w pierwszy lub drugi dzień świąt – wtedy, gdy portale informacyjne karmią użytkowników jedynie statystykami wypadków, zdjęciami miejskich choinek i relacjami z mszy świętych.

Gdzieś pośród tego wszystkiego pojawi się historia Osińskich. Ubogiego małżeństwa, któremu bezwzględna sędzia odebrała dziecko. Mimo że dbali o nie, walczyli o nie, a nawet stawali po jego stronie, gdy cały świat sprzymierzył się przeciwko niemu.

Katarzyna wróciła do swojego gabinetu i zabrała się za to, co wcześniej sobie zaplanowała. Dzień wigilijny był wprost idealny, by nadrobić całą papierkową robotę, która czekała od wielu tygodni.

Ledwo jednak Dering zaczęła, odpłynęła myślami. Coś w sprawie Osińskich powodowało zgrzyt, chociaż wciąż powtarzała sobie, że podjęła słuszną decyzję. Kobieta była ewidentnie szurnięta, a mąż być może jeszcze bardziej. Z ustaleń pracowników OPS-u wynikało, że traktuje żonę jak proroka. Nie trzeba było przenikliwości wykształconej podczas długich lat pracy w sądzie rodzinnym, by dostrzec, że to nieodpowiednie środowisko dla młodego człowieka.

Patologia nie zawsze sprowadzała się do bicia i znęcania nad dziećmi. Czasem wystarczyło, że rodzice mieli poprzestawiane w głowie.

Z zamyślenia wyrwał Katarzynę dźwięk dzwonka. Spojrzała niepewnie na telefon stacjonarny, wychodząc z założenia, że metaliczny odgłos nigdy nie zwiastuje niczego dobrego. Numer znały nieliczne osoby i nie było wśród nich nikogo, kto zwykł przekazywać jej dobre wieści.

Podniosła słuchawkę, jakby ważyła kilka kilogramów.

– Tak?

– Sędzia Dering?

– Mhm. Z kim mam przyjemność?

– Małgorzata Zalewska, NSI.

Telewizja. Najwyraźniej granat miał eksplodować szybciej, niż Katarzyna przypuszczała. Może nie powinna się dziwić – jak długo media mogły wałkować temat przygotowań przedświątecznych, tradycyjnych dań, sprawdzonych prezentów i zwyczajów w innych krajach? Potrzebne było urozmaicenie.

– Skąd ma pani mój numer?

– To chyba nie jest żadna tajemnica.

– Nie, ale jeśli dzwoni pani w sprawie związanej z funkcjonowaniem sądu, należy kontaktować się z rzecznikiem.

– Wolałabym porozmawiać z panią.

– Nie wątpię, ale jestem w tej chwili zajęta.

– Odkręcaniem tego, co pani zrobiła?

– Słucham?

– Do tego czasu chyba zdała pani sobie sprawę z tego, w jak głębokie bagno wdepnęła.

Sędzia Dering spojrzała na słuchawkę, jakby ta nagle zamieniła się w oślizgłego węża. Owszem, dziennikarzom z NSI zdarzało się publicznie krytykować sędziów, ale w prywatnych rozmowach zawsze okazywali daleko idący szacunek. Ostatnimi czasy Katarzyna zaczęła nawet sądzić, że jej zawodowi w istocie zaczyna przysługiwać respekt znany z systemów anglosaskich.

A wszystko dlatego, że władza uwzięła się na judykaturę.

Dziennikarze od razu stanęli w kontrze, opowiadając się po stronie sędziów – i był to bodaj jedyny plus całego zamieszania.

– Pani sędzio?

Cały szereg uwag cisnął się Katarzynie na usta, ale



w ostatniej chwili udało jej się opanować. Zdawała sobie sprawę, że w czasach, kiedy niejedna restauracja reklamowała się dużym szyldem: U NAS NIE MA PODSŁUCHÓW, należy uważać, co się mówi.

– Naprawdę nie mam teraz czasu. Proszę skontaktować się z rzecznikiem.

– Rzecznik nie wyjaśni mi, dlaczego odebrała pani dziecko dwojgu ludziom, którzy się o nie troszczyli.

– Ja również nie, bo nie przypominam sobie takiej sytuacji.

– Więc może odświeżę pani pamięć. Chodzi o państwa Osińskich, którzy...

– Przyczyny podjętej decyzji znajdują się w pełnym, pisemnym uzasadnieniu – ucięła Dering.

– Wyjaśnia tam pani, dlaczego mimo dobrych warunków bytowych, miłości rodziców, protestów dziecka i wbrew wszystkiemu podjęła pani taką decyzję?

– Wyjaśniam wszystko.

– Może uchyli pani rąbka tajemnicy? Widzowie z pewnością będą tego oczekiwać.

– Przykro mi, ale to tak nie działa. Są urzędowe terminy. Rozmówczyni przez moment milczała.

– Jest także urzędowa bezkarność, szczególnie wśród sędziów.

– Tak pani chce to przedstawić w materiale?

– To zależy od tego, co usłyszę.

– Usłyszała pani wszystko, co mam do powiedzenia – odparła cicho Dering. – Wesółych Świąt.

Zanim dziennikarka zdążyła odpowiedzieć, sędzia odłożyła telefon. Przypuszczała, że zadzwoni ponownie za jakiś czas – i nie pomyliła się. Nie miała jednak zamiaru odbierać.

Doskonale знаła schemat, wedle którego przebiegłaby kolejna

rozmowa: Zalewska przekonywałaby, że najlepiej będzie, jeśli sędzia przedstawi sprawę ze swojego punktu widzenia. Inaczej obraz będzie jednostronny.

Katarzyna nie miała wątpliwości, że jeśli na to przystanie, producenci potną potem jej wypowiedzi i ułożą tak, by współgrały z negatywnym wydźwiękiem materiału. Najlepiej było przekazać ten granat rzecznikowi prasowemu, a samej zająć się świętami.

Dokończyła tylko kilka spraw z parunastu, które zamierzała załatwić, a potem zamknęła gabinet i opuściła gmach sądu. Miała jeszcze ostatnie zakupy do zrobienia, szczęśliwie jednak nie musiała jechać do centrum handlowego.

Właściwie powinna udać się prosto do domu, ale najstarsza córka rankiem zorganizowała mały domowy protest, oponując przed „opychaniem się chemią”. Kategoriecznie oświadczyła, że nie zje żadnych świątecznych wypieków, o ile na stole nie znajdą się zdrowe alternatywy. Skutek był taki, że Dering musiała odwiedzić sklep z przedrostkiem „bio-” w nazwie i kupić mąkę kokosową, koniecznie odtłuszczoną, stewię jako zamiennik cukru, mleko migdałowe zamiast zwykłego i nasiona chia. Nie była pewna, do czego miałyby ich użyć, ale córka była nieugięta.

Kiedy stała przy kasie, miała wrażenie, że za tę cenę zaopatrzyłaby się w markecie na dwa tygodnie. Z ciężkim sercem sięgnęła do torebki po portfel i przekonała się, że dzwoni jej komórka.

Nieznany numer. Zazwyczaj takich połączeń nie odbierała, wychodząc z założenia, że jeśli ktoś rzeczywiście ma do niej ważną sprawę, wyśle SMS, przedstawi się i krótko wyjaśni, o co chodzi. Tym razem jednak coś kazało jej zrobić wyjątek.

– Włączył się Rzecznik Praw Dziecka, pani sędzio – rozległ

się głos Zalewskiej.

Powinna była się tego spodziewać.

– Nie ma chyba sensu pytać, skąd ma pani także mój numer komórkowy.

– Tajemnica dziennikarska.

Reporterka NSI stąpała po niepewnym gruncie, ale Dering przypuszczała, że niespecjalnie się tym przejmuje. Była gotowa na konsekwencje, może nawet liczyła na to, że jakieś się pojawią – byłby to temat równie chodliwy jak sama sprawa Osińskich.

– Rodzice zwrócili się do niego wczorajszego dnia.

– Wczoraj.

– Słucham?

– Wystarczy powiedzieć: „wczoraj”. Chce pani sobie dodać powagi?

Dziennikarka zamilkła, najwyraźniej spodziewając się wszystkiego, tylko nie tego, że rozmówczyni będzie ją poprawiać. Katarzyna zaklęła bezgłośnie, reflektując się, że było to tak potrzebne, jak nasiona chia do świątecznych wypieków.

– Sprawa jest poważna, więc staram się używać adekwatnego tonu – odparła Zalewska. – Rzecznik z pewnością będzie się z panią kontaktował.

– A pani dzwoni, by mnie po przyjacielsku o tym uprzedzić.

– Dzwonię, bo w materiale brakuje mi tylko pani komentarza.

– Już go wygłosiłam.

– Jest pani pewna? – spytała dziennikarka, nie kryjąc zadowolenia. – Bo to, co usłyszałam podczas naszej wcześniejszej rozmowy, nie brzmi najlepiej. Zapewniam.

– Musi wystarczyć.

– I nie ma pani nic więcej do dodania?

Dering obejrzała się na klientów stojących za nią w kolejce. Odchrząknęła, czując na sobie ich ponaglący wzrok, a potem sięgnęła po pieniądze do portfela. Przytrzymała telefon ramieniem, starając się odebrać od ekspedientki resztę i zabrać się ze wszystkim do wyjścia.

– Dodam tylko, że kierowałam się dobrem dziecka.

– Dziwnie pani je pojmuje.

– Dałam rodzicom szansę, by poddali się leczeniu.

Ograniczenie władzy rodzicielskiej ma charakter tymczasowy i nic nie stoi na przeszkodzie, by po zakończonej terapii sytuacja wróciła do normy.

– Ale odmówili.

– Owszem.

– Ponieważ są zdrowi i nie mają zamiaru poddawać się żadnemu leczeniu farmakologicznemu.

– Tak, w ich mniemaniu są zdrowi.

– W pani nie?

– Nie – potwierdziła, starając się otworzyć nogą drzwi.

Miała wrażenie, że zakupy, torebka i telefon zaraz wylądują na podłodze. Szczęśliwie jeden z wchodzących klientów przytrzymał jej drzwi.

– A jakie ma pani kompetencje, by to oceniać? – atakowała dziennikarka. – Ma pani doświadczenie w psychologii?

Pomyślała, że w tym wypadku przydałoby się je mieć raczej w psychiatrii, ale zatrzymała tę uwagę dla siebie.

Z trudem otworzyła drzwiczki samochodu, a potem położyła torbę z zakupami na siedzeniu pasażera. Odetchnęła.

– Proszę pani – podjęła Katarzyna. – Decyzję oparłam na przesłankach merytorycznych.

– To znaczy?

– Specjaliści uznali, że u ojca dziecka występują zaburzenia

psychotyczne, matka natomiast...

– Doprawdy?

– Zapewniam, że w przeciwnym wypadku nie orzekałabym w przedmiocie sprawy.

– Od kiedy głęboką wiarę można uznać za zaburzenie?

– Od momentu, kiedy stwarza zagrożenie dla rozwoju dziecka.

– U Osińskich tak było?

– Tak uznali biegli – odparła stanowczo Dering. – A teraz przepraszam, ale muszę kończyć. Jeszcze raz Wesółch Świąt.

Katarzyna nie czekała, by przekonać się, czy życzenia zostaną odwzajemnione. Cisnęła komórkę do torebki, po czym włożyła kluczyk do stacyjki i przekręciła stanowczo za mocno i za długo. Silnik zarzęził, jakby samochód obruszył się z powodu tak obcesowego potraktowania.

Dering zamknęła na moment oczy, starając się uspokoić. Na nic się to jednak nie zdało. Emocje buzowały w niej dopóty, dopóki nie naląła sobie w domu lampki różowego wina.

Szybko przebrała się w roboczy strój i zaczęła przedwigilijną inwentaryzację potraw. Właściwie większość była gotowa, dania czekały w lodówce na odpowiedni moment.

– Kupiłaś wszystko? – rozległ się głos najstarszej córki.

– Tak.

– Chię też?

– Też.

– To będzie dzisiaj coś na słodko?

– Nie zdążę niczego zrobić na dzisiaj. Jutro upiekę ci bardzo zdrowe ciasto z...

– Myślałam, że uda się na dziś. Do wieczora jeszcze sporo czasu.

Dering spojrzała na córkę z nadzieją, że znaczący wzrok

w zupełności wystarczy, by zrozumiała, że naprawdę nie ma czasu. Ta jednak stała z założonymi rękoma, sprawiając wrażenie, jakby od wypieków z mąki kokosowej zależały losy świata.

– Mam jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia – powiedziała Katarzyna.

Córka pokręciła głową, wyraźnie rozczarowana, a potem wyszła z kuchni. Sędzia westchnęła, uznając, że w te święta najwyraźniej nie zazna spokoju na żadnym froncie. Cóż, przynajmniej z Dominikiem nie wdali się w żadne słowne przepychanki, które od czasu do czasu wywoływały przedświąteczne porządki. Zdarzały się lata, kiedy był to wyjątkowo mocny katalizator, szczególnie gdy chodziło o odkładanie sprzątanania na ostatnią chwilę.

Tym razem jednak w domu panował spokój. Niewątpliwie dlatego, że Dominik siedział z nosem w książce. *Zabić drozda* pochłonęło go całkowicie i, mimo że mąż miał jeszcze kilka rzeczy do zrobienia, Dering właściwie była zadowolona z takiego stanu rzeczy. Przynajmniej nie kręcił się po kuchni i nie przeszkadzał.

Skończył czytać godzinę po tym, jak wróciła do domu. Uprzątnął kilka rzeczy, rozstawił stół, a potem oznajmił, że Katarzyna koniecznie musi przeczytać tę książkę. Podniosła wzrok znad garów i przez moment milczała.

– Kiedy? – zapytała, rozkładając ręce. – Między papierkową robotą w sądzie, rozprawami, nadzorowaniem orzeczeń, zakupami absurdalnych produktów, sprzątaniami a przygotowaniem potraw na wieczór?

Cofnął się o krok i uśmiechnął.

Typowe – pomyślała. Tylko faceci na kilka godzin przed Wigilią mogą okazywać taką bez troskę.

– Bierz przykład ze Skandynawów.  
– Jeśli masz na myśli minimalizm w kwestii potraw, to chętnie.  
– Raczej to, że chwilę po wieczery wstają od stołów i idą czytać.  
– To chyba jakiś mit.  
– Przeciwnie – odparł. – Jakiś czas temu czytałem artykuł na ten temat.  
– Musiało chodzić o *påskekrim*.  
– Niewykluczone.  
– To tradycja wielkanocna, mój drogi – odparła, mieszając dużą drewnianą łyżką sos do pieczeni. – Wtedy rzeczywiście wydają najwięcej kryminałów i urządzają sobie rodzinne czytanie, tak jak my rodzinnie siadamy do stołów. Ale w Boże Narodzenie...

– Pewnie mają podobne zwyczaje.

Właściwie nie mogła tego wykluczyć. Skandynawowie z jakiegoś powodu traktowali literacką zbrodnię jako nieodłączną towarzyszkę wszelkich świąt. Zawsze wydawało jej się to o tyle dziwne, że na północy Europy przestępczość jest najniższa. Może jedno było związane z drugim? Mieli tyle zabójstw na kartach powieści, że mało kto chciał mordować w rzeczywistości.

Uśmiechnęła się w duchu. Jej myśli szły w dość ciekawym kierunku, biorąc pod uwagę, że za parę godzin cała rodzina miała zasiąść przy wigilijnym stole.

– Mniejsza z tym – rzucił Dominik. – *Droзда* w każdym razie musisz przeczytać.

– Ponawiam pytanie: kiedy?

– Wygospodaruję ci dzisiaj czas.

– Przychodzą goście – przypomniała mu. – Nie sądzisz, że

powinnam z nimi posiedzieć?

– Nikt się nie obrazi.

– Szczególnie twoja matka...

– Zneutralizuję ją – zapewnił, podchodząc do Katarzyny od tyłu. Złapał ją w pasie, a potem przyłgnął do niej nieoczekiwanie. – Mam w tym wieloletnie doświadczenie.

Zbyła to milczeniem, ale uniosła lekko kąciki ust.

– A jeśli nie dziś, to w pierwszy dzień świąt.

– Przyjeżdżają wtedy moi bracia.

– Więc w drugi.

Dering spojrzała kontrolnie na piekarnik. Ciasto z mąki kokosowej właściwie powinno być już gotowe. Nie planowała go przyrządzać, ale widząc serniki i inne przysmaki, których córka nie tknie, nie miała innego wyjścia. Uznała, że zdąży.

Wyswobodziła się z objęć męża, kazała mu przypilnować wszystkiego, co grzało się na płycie, a sama sprawdziła ciasto. Wyszedł spektakularny zakalec. Stewia zamiast cukru okazała się gwoździem do trumny.

Katarzyna stała w bezruchu z gorącą blachą w dłoniach, patrząc na swoje dzieło. Czuła, jak powoli opuszczają ją siły.

– Harper Lee pisze, że ludzie będący przy zdrowych zmysłach nigdy nie są dumni ze swoich talentów – odezwał się Dominik.

Dering uniosła wzrok.

– Co takiego?

– Wydało mi się to w jakiś sposób adekwatne.

Starła się powstrzymać złość, ale wzbierała w niej, jakby przez ostatnie dwa dni coś osłaniało ją przed ulewą bezsilności, a teraz nagle pękło.

– Wygląda naprawdę nieźle – dodał Dominik, podchodząc do niej. – Twoje talenty kulinarne są...



– Nie kończ.

Odebrał od niej blachę, postawił ją obok płyty indukcyjnej, a potem wziął żonę za rękę. Poprowadził ją do salonu, wskazał fotel i poczekał, aż usiądzie. Potem podał jej książkę. Spojrzała na niego jak na niezrównoważonego.

Chciała wstać, ale natychmiast ją powstrzymał.

– *Halt* – powiedział, wyciągając dłoń jak policjant kierujący ruchem. – Wszystko jest gotowe.

– Chyba cię...

– Lodówka pełna, reszta się podgrzewa. Nie mam może takich zdolności jak ty, ale potrafię przez jakiś czas nadzorować tę skomplikowaną procedurę.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

– Jeśli coś zacznie się przypalać, poczujesz – dodał i ruszył w kierunku kuchni. – A teraz siedź. I czytaj.

Spojrzała na okładkę książki, nie mając najmniejszego zamiaru jej otwierać. Skorzystała za to chętnie z okazji, by przez kilka minut złapać oddech. Siedziała z zamkniętymi oczami, uspokajając się.

W końcu uznała, że sprawdzi, o co tyle szumu. Zaczęła czytać, początkowo nie mogąc się skupić. Po kilku stronach jednak weszła w świat hrabstwa Maycomb. Po kilkunastu przypadła w nim zupełnie.

\* \* \*

Czuła się jak dziecko. Być może tak właśnie miało być w święta...

Słuchała rozmów przy stole, uśmiechała się, kiwała głową, udzielała zdawkowych odpowiedzi, ale tak naprawdę czekała tylko na to, by usiąść znów z książką. Nie chodziło nawet o tę konkretną książkę. W jakiś sposób czytanie sprawiło, że wokół niej wyrósł wysoki żywopłot oddzielający ją od świata.

Nie doświadczyła tego od długiego czasu. Stanowczo zbyt długiego.

Owszem, czasem oglądała filmy – uznawała, że w końcu to raptem średnio dwie godziny wyjęte z życia. Zdarzało jej się oglądać serial – ot, przepadała niecała godzina. Od powieści trzymała się jednak z daleka, bo wymagały większego zaangażowania.

Teraz wiedziała, że popełniła błąd. W żadnym filmie ani serialu nie sposób było zatracić się tak, jak w książce. W trakcie oglądania angażowało się mniej zmysłów, zewnętrzny świat był cały czas obecny. Podczas czytania działo się coś innego. Pracowała wyobraźnia, kończyła się bierność.

Dering sama tworzyła w umyśle niewysokie przedwojenne budynki, uliczki Maycomb, drzewo, w którym Boo Radley zostawiał gumy, i cały świat, do którego poprowadziła ją Harper Lee. Oprócz tego zrobiła jednak dużo więcej. Stworzyła w wyobraźni pannę Skaut, Jema, Dilla i wszystkie inne postaci. To ona nadała im kształt.

Może z wyjątkiem Atticusa Fincha. Najsłynniejszy fikcyjny prawnik miał twarz Gregory'ego Pecka nawet dla tych, którzy nie widzieli nigdy ekranizacji *Droзда*.

– Więc jak sobie radzisz? – rozległ się skrzekliwy głos, który wyrwał Katarzynę z zamyślenia.

Wiedziała, że matka Dominika zwraca się do niej. Miała na tę okoliczność zarezerwowany specjalny, ni to agresywny, ni to obojętny ton. Z jakiegoś powodu słowa, które padały wtedy z jej

ust, przywodziły Katarzynie na myśl rzucanie śniętą rybą po mokrym podłożu.

– No? W porządku wszystko?

Plask, plask, plask.

– Tak, mammo.

– Nie wyglądasz najlepiej. Trapi cię ta sprawa.

– Sprawa?

– Czytałam o niej dzisiaj w gazecie – mruknęła teściowa. –

Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mowa.

– Mammo... – zaapelował Dominik. – Naprawdę musimy przy stole o tym...

– Trzeba o wszystkim rozmawiać – ucięła starsza pani, a potem odłożyła sztućce, skrzyżowała dłonie przed talerzem i spojrzała na synową z ukosa. – No więc? Zadowolona jesteś?

– Z czego?

– Z decyzji, którą podjęłaś.

Dering popatrzyła na męża w poszukiwaniu ratunku, ten jednak podjął jedyną decyzję, która była roztropna ze strategicznego punktu widzenia. Wycofał się, póki jeszcze mógł.

– Orzekałam na podstawie znanych mi faktów i...

– Nie mów do mnie jak do protokolantki, która spisuje ci uzasadnienia.

– Robię to sama.

Katarzyna znów poczuła się jak dziecko, tym razem jednak nie było to miłe wrażenie. Właściwie powinna spodziewać się tego, że nie ucieknie od tematu. Matka Dominika była dewotką, nie mogła przepuścić takiej okazji, by pokazać wszystkim, jak solidaryzuje się z innymi wiernymi.

– To naprawdę wątpliwe pod względem moralnym – rzuciła. – Zresztą widzisz sama, co się dzieje. Wszyscy są przeciwko tobie. Nie rusza cię sumienie?

Dominik odchrząknął.

– „Sumienie jest jedną z tych rzeczy, które nie poddają się woli większości” – oznajmił.

Zaległa cisza. Dering odniosła wrażenie, że wszyscy zamarli, skupiając wzrok na jej mężu. Ten, jako jedyny, zdawał się kontynuować jedzenie.

– Coś nie tak? – spytał z pełnymi ustami.

– Synu – odezwał się jego ojciec. – Wiele się po tobie spodziewałem, ale z pewnością nie takich złotych myśli.

– Nie są moje.

– A czyje?

Dominik wskazał książkę, którą Katarzyna zostawiła na oparciu fotela. Powiodła wzrokiem w tę samą stronę, myśląc o tym, że niebawem zrobi użytek z propozycji złożonej wcześniej przez męża. Zostawi go na polu bitwy, licząc, że rzeczywiście zneutralizuje wroga, a sama usunie się na bok i zagłębi w lekturze.

– W każdym razie powinnaś się jeszcze nad tym zastanowić – odezwała się po chwili teściowa.

– Wydałam już orzeczenie.

– Zawsze możesz...

– Nic już nie mogę, mamu. Teraz ta sprawa jest w rękach rodziców Janka.

– Prawo nie pozwala ci uchylić własnej decyzji?

– Jeśli złożą wniosek, to...

– Możesz przecież porozmawiać z tymi osobami. Załatwić to po ludzku, bez dalszych przepychanek pod płaszczykiem prawa. Czasem wystarczy rozmowa, czyż nie?

Katarzyna skinęła głową, nie mając ochoty wdawać się w dyskusję. W prawie rodzinnym rzeczywiście czasem rozmowa miała wystarczać. Z takiego założenia przynajmniej wychodzili

ci, którzy przepisy projektowali. Przed przystąpieniem do właściwych czynności każdy sędzia powinien dążyć do ugody, czemu służyć miało postępowanie pojednawcze. W praktyce Dering rzadko udawało się na tym etapie cokolwiek zakończyć.

Może miała pecha i trafiała na nieprzychylnych sobie ludzi, a może po prostu wszyscy tacy byli. Kiedy ktoś wchodził na drogę sądową, zazwyczaj nie robił tego, by spokojnie rozmawiać i szukać kompromisu. Chciał dopiec drugiej stronie, a ona w większości przypadków nie miała zamiaru pozostawać bierna.

Tak jak Osińscy. Wsadzili kij w o jedno mrowisko za dużo i zamiast szybko go cofnąć, zaczęli kręcić nim na boki. A wystarczyło posłuchać Harper Lee i wziąć sobie do serca jej słowa o tym, że czasem trzeba kłamać. Szczególnie, kiedy powiedzenie prawdy nic nie zmieni.

Katarzyna wytrzymała jeszcze niecałą godzinę, zanim odsunęła krzesło i oznajmiła, że odpocznie chwilę. Zerknęła badawczo na męża. Dominik otworzył usta, zaskoczony, ale się nie odezwał. Skinął tylko lekko głową.

Dering usiadła w fotelu i odetchnęła. Początkowo znów miała problemy ze skupieniem się, szczególnie że rozmowy przy stole nadal oscylowały wokół tematu Osińskich. Po kilku chwilach jednak ponownie znalazła się w Maycomb.

Stopniowo wsiąkała coraz bardziej w niespieszne życie mieszkańców. Zazdrościła właściwie wszystkim, w tym także patologicznej rodzinie Ewellów, nawet oni bowiem zdawali się w jakiś sposób korzystać z sielanki.

Sytuacja trwała dopóty, dopóki Atticus Finch nie podjął się obrony czarnoskórego mieszkańca. Rozpętała się burza, a prawnika zaczęła atakować cała społeczność. Błogostan w jednej chwili znikł, a Atticus zdawał się nosić na swoich barkach ciężar całego świata.

Katarzynie nietrudno było odnaleźć w tym analogię do jej sytuacji. Ona i Finch występowali wbrew wszystkim. Różnica polegała jednak na tym, że on bronił niewinnej osoby, a ona...

Właściwie co zrobiła? Orzekła na podstawie swojej najlepszej wiedzy. Zespół specjalistów zgodnie stwierdził, że rodzice mają problemy. Katarzynie nie pozostało nic innego, jak przymusić ich do terapii, a dziecku zapewnić jak najlepsze warunki.

Zamknęła książkę i przez moment zastanawiała się, dlaczego Alojzy zdecydował się podarować tę powieść akurat jej. Nie podał powodu, a ona nie dopytywała. Odbierając prezent, właściwie się na nim nie skupiła, myśląc już o tym, ile roboty czekało ją przed świętami.

Wiedział o sprawie, w której wyrokowała? Zapewne tak, zawsze trzymał rękę na pulsie, gdy chodziło o lokalne wydarzenia. Te globalne zdawały się interesować go najmniej, ale jeśli coś miało związek ze społecznością, pozostawał na bieżąco.

I w takim razie musiał uznać, że książka w jakiś sposób się jej przyda. Spojrzała na okładkę i przez chwilę nie myślała o niczym. Potem pokręciła głową.

Co za bzdura – uznała.

Owszem, powieść była dobra, wyrwała ją ze świata i pozwoliła chwilę odpocząć, ale nie mogła zmienić niczego w jej życiu. Myślenie, że może być inaczej, byłoby dziecięcą naiwnością.

Odłożyła *Droзда* i wróciła do stołu. Do końca Wigilii nie wracała już ani do Harper Lee, ani do Osińskich. Dominik najwyraźniej rzucił kilka gorzkich słów pod adresem matki, bo ona także nie poruszała już tematu.

Wieczór był długi. Dering samodzielnie opróżniła butelkę

różowego wina i kiedy kładła się spać, była lekko wstawiona. Mąż leżał obok na wznak, kompletnie pijany. Wraz z ojcem zaczęli tradycyjnie od piwa, jakby ostrożnie podchodzili do niebezpiecznego drapieżnika, który wyłaniał się z dziczy. Potem sięgnęli jednak po większy kaliber. Whisky lała się obficie, tematy polityczne były wałkowane jeden po drugim, a dzieci szybko zostały zwolnione z przykrego obowiązku uczestniczenia w tej części wieczoru.

Katarzyna podciągnęła się do wezglowia, uformowała poduszkę pod plecami i włączyła lampkę nocną. Rozłożyła konsumpcję alkoholu na wiele godzin, dzięki czemu teraz uznała, że znajduje się w stanie odpowiednim, by jeszcze trochę poczytać.

Wyjęła zakładkę spomiędzy stron i poczuła przyjemny zapach farby drukarskiej – zapowiedź przenosin do innej rzeczywistości. Uśmiechnęła się lekko, od razu żałując, że wcześniej zdecydowała się przerwać lekturę. Wyszłoby jej na dobre, gdyby odpuściła sobie dyskusje o Trybunale Konstytucyjnym, strategii Putina, roli NATO we współczesnym świecie i tym podobnych.

Ledwo zaczęła czytać, zrozumiała, że szybko nie odłoży *Droзда*.

Nie przypuszczała jednak, że będzie czytać przez całą noc. Ani tym bardziej że rankiem wszystko się zmieni.

\* \* \*

Dominik obudził się z cichym jękiem, jakby przyśnił mu się

wyjatkowo niepokojący koszmar, a obecne w nim demony wciąż nie chciały wypuścić go ze swoich szponów. Przeciągnął się z bólem, a potem spojrzął na Katarzynę.

– Nie śpisz? – zapytał.

Siedziała ze wzrokiem wbitym przed siebie, trzymając dłonie na kołdrze. Nie odzywała się.

– Wszystko w porządku?

– Nie – odparła.

– Źle się czujesz?

Popatrzyła na niego i przemknęło jej przez głowę, że to ona powinna zadać mu to pytanie. Wyglądał jak siedem nieszczęść i chyba tylko cudem powstrzymał odruch wymiotny.

Najwyraźniej wypił wczoraj jeszcze więcej, niż sądziła.

– Ze mną wszystko okej – powiedziała. – Ale ty masz kaca jak stąd do wieczności.

Odchrząknął i skrzywił się. Oczy miał przekrwione, z ust wydobywał się nieprzyjemny, kwaśny zapach. Jego skóra była blada i przesuszona, jakby whisky wyssała z niego ostatniej nocy całą wodę. Kaszlnął, rozsiewając wokół gorzelnii.

– Ojciec jak zwykle czegoś mi dołał...

Uśmiechnęła się. Niepisaną tradycją było, że w poranek, ciężki jak ten, Dominik składał wszystko na karb rzekomych machinacji alkoholowych swojego ojca.

– Co tym razem? Wódkę do piwa?

– Nie można niczego wykluczyć.

– Myślę, że byś to wyczuł. Twoje kubki smakowe są specjalistami w tej dziedzinie.

Zwłóknął się z łóżka i poszedł do łazienki. Wrócił po kilku minutach z mokrymi włosami i oparł się o framugę. Spojrzął na Katarzynę pytająco.

– Ty też zdaje się nie jesteś w najlepszej formie.



Po wielu latach małżeństwa w końcu nauczył się, jak sformułować taką uwagę, by zbytnio jej nie urazić. Trochę mu to zajęło, a w jego metodzie więcej było błędów niż prób, ale musiała przyznać, że ostatecznie znalazł właściwe określenie.

– Nie spałam.

Zmrużył oczy.

– W ogóle?

– Przez większość czasu czytałam, a potem... sama nie wiem, nie mogłam zasnąć.

Popatrzył na zamkniętą książkę i leżącą obok zakładkę. Kiwnął głową ze zrozumieniem, a pijacki uśmiech przewiął się po jego twarzy.

– Mówiłem, że to dobra rzecz.

– Dobra.

– Ale?

– Nie ma żadnego „ale”.

– A jednak powiedziałaś to tak, jakby wisiało gdzieś w powietrzu.

Odrzuciła kołdrę, podniosła się i podeszła do męża. Stała przed nim, a potem ujęła dłońmi jego skronie i spojrzała mu w oczy.

– W powietrzu wiszą tylko twoje wyziewy alkoholowe, mój drogi.

– Nie tylko.

– Nie? A co jeszcze, twoim zdaniem?

– Zmiana – odparł. – Jedna z tych, które zachodzą w człowieku po tym, jak mocno czymś oberwie. Ty najwyraźniej w nocy oberwałaś.

– Czym, mądralo?

– Perspektywą – odparł lakonicznie, a potem sprawnie się wyswobodził i wrócił do łóżka. Położył się na plecach i przez

moment sprawiał wrażenie, jakby wszystko było w jak najlepszym porządku. Potem jednak na jego twarzy pojawił się grymas świadczący o tym, że rozpoczyna się gehenna.

– Ładnie się załatwiłeś na pierwszy dzień świąt.

– Kultuwuję tylko tradycję.

– Czyją? Żuli czy meneli?

– A jest między nimi jakaś różnica?

– Oczywiście. Pomijając różnicę słownikową, inna jest etymologia. Menel wywodzi się od francuskiego *meneur*, a żul od rosyjskiego *żulik*.

– Mhm.

Zdawała sobie sprawę, że to temat zastępczy, dzięki któremu może choć przez chwilę uniknąć rozmowy o tym, co istotne. Zanim Dominik zdążył się o to upomnieć, wyszła szybko do łazienki.

Doprowadziła się do porządku, a gdy wróciła do sypialni, nie zastała w niej męża. Siedział już przy kuchennym stole, pijąc kawę rozpuszczalną. Mimo że wydali krocie na włoski ekspres ciśnieniowy, twierdził, że na kacu może pić jedynie rozpuszczalną. Upierał się nawet, że wraz z zupką *kuksu*, która miała uzupełniać elektrolity, pomaga mu w powrocie do formy.

Żonie zaparzył dużą, czarną kawę z ekspresu. Usiadła przy stole i z chęcią się napiła.

Podczas gdy ona obserwowała parę unoszącą się znad filiżanki, on wbił w nią wzrok. Czekał. Katarzyna nie miała jednak zamiaru zaczynać rozmowy. Pół nocy wystarczyło, by omówiła wszystko sama ze sobą.

– Co cię uderzyło? – spytał w końcu. – Fragment z nauczycielką?

– Między innymi.

Pokiwał głową w zadumie.

– Żeby zrozumieć drugiego człowieka, musisz wejść w jego skórę i pochodzić w niej trochę.

– Otóż to – przyznała. – Proste, ale prawdziwe.

– Trudno się nie zgodzić. Za te i inne myśli Lee dostała Nagrodę Pulitzera.

Dering milczała, popijając kawę. Dopiero teraz zorientowała się, że mąż dosypał do niej szczyptę cynamonu. Była to kolejna tradycja świąteczna, jedna z wielu drobnych rzeczy, które sprawiały, że ten czas był wyjątkowy.

Pomyślała, że łatwo mogła to przegapić. Podobnie jak mnóstwo innych spraw.

– Więc weszłaś w skórę Osińskiej i pożyłaś w niej trochę?

– Staralam się.

Najwyraźniej użyła poważniejszego tonu niż zamierzała, bo Dominik poruszył się nerwowo i ściągnął brwi.

– Zmieniłaś zdanie co do sprawy?

– Może... Sama nie wiem – odparła i westchnęła ciężko. – Z punktu widzenia matki w rodzinie nie działo się nic złego. Być może na jej miejscu zachowałabym się tak samo.

– Biorąc pod uwagę, że na zawołanie robisz ciasto z mąki kokosowej i stewii, przypuszczam, że tak.

Pokręciła głową z uśmiechem.

– Mówię poważnie, mój drogi.

– Ja też.

– Broniałabym naszych córek, choćby w istocie miało się to okazać niewychowawcze – ciągnęła, jakby go nie słyszała. – Każda matka by tak postąpiła, prawda?

– Wiedziałaś o tym doskonale już wcześniej. Nie musiałaś wchodzić w skórę Osińskiej.

– No tak... – przyznała cicho. – Tyle że w całej tej sprawie zabrakło mi konsekwencji dla dziecka. Powinna jakieś

wyciągnąć już po fakcie.

– Powinna.

– Ale jej perspektywa jest inna.

– To znaczy?

– Zeznała, że przez bezpośredni kontakt z Pięcioma Braćmi Męczennikami wybłagała przebaczenie win młodego. Z jej punktu widzenia to wystarczające. I może nawet dające gwarancję, że wdzięczność Janka spowoduje, iż drugi raz nie popełni tego samego grzechu.

Przez moment pili kawę w milczeniu.

– Ale nie to było dla mnie kluczowe w książce.

– A co?

– Fragment o drożdżach – odparła, zawieszając wzrok na firance. Za oknem padał śnieg. Właściwie nie pamiętała, kiedy ostatnim razem złożyło się tak, by dzień po Wigilii był biały. – Wywołał we mnie rezonans.

– To znaczy?

– Drgał mi w duszy przez pół nocy – dodała. – Chyba zresztą o to chodziło Harper Lee. Inaczej nie zatytułowałyby w ten sposób książki.

Tytuł rzeczywiście był dość enigmatyczny i początkowo Katarzyna nie mogła zrozumieć, jaki ma związek z powieścią. Zabić drozda? Pomijając fakt, że żaden drozd w książce nie występował, trudno było doszukać się tu nawet jakiegokolwiek przenośni. Przynajmniej do czasu.

– Ten fragment był jak błyskawica – ciągnęła. –

Powiedzieć, że niósł uniwersalną prawdę, to nie powiedzieć nic. Był...

– Rudymmentarny.

– Może to właściwe słowo.

– Dodałbym jeszcze, że dotyczył spraw zbyt

fundamentalnych, by w ogóle się nad nimi zastanawiać.

Skinęła głową z uznaniem.

– Jak na skacowanego menela, radzisz sobie całkiem nieźle.

– Dzięki. Motywuję się, jak mogę, bo nieczęsto zdarza mi się dyskutować o książce z własną żoną. Ciekawe przeżycie.

– Podziękuj Alojzemu.

– Zrobię to.

– Ja też – przyznała, oplatając kubek dłońmi.

Nie musieli mówić nic więcej. Dering miała wrażenie, że na każdym czytelniku ten fragment odciskał mniejsze lub większe piętno. Pewnie zostałyby przegapiony, gdyby nie to, że Harper Lee, nadając taki tytuł książce, kazała zwrócić na niego uwagę.

I słusznie, choć tak naprawdę chodziło o pozornie prozaiczną rozmowę.

Syn otrzymał od ojca pierwszą broń, co w latach trzydziestych w Alabamie nie było niczym dziwnym. Podobnie jak to, że młody mógł strzelać do ptaków. Jedyne zastrzeżenie dotyczyło tego, że Jem nie może nigdy strzelać do drozdów, bo ich zabicie jest grzechem.

Powód był prosty – drozdy nie przynosiły nikomu żadnych szkód. Nie niszczyły plonów, nie gnieździły się w okolicach domów, w niczym człowiekowi nie zawadzały.

Nie czyniły nikomu nic złego.

Podobnie jak Osińska. Owszem, była dziwna, bezkrytyczna wobec dziecka, być może nadopiekuńcza i sprawiająca niepokojące wrażenie, ale nikogo nie krzywdziła. Janek był zadbany, kochany i szczęśliwy.

Katarzyna niechętnie przypominała sobie relacje policjantów, którzy wraz z kuratorem zjawili się w mieszkaniu i siłą wywlekli z niego dziecko. Chłopiec bronił się, zapierał,

krzyczał i groził funkcjonariuszom. Uspokoił się dopiero, gdy zrozumiał, że niczego nie wskóra. Jego złość przerodziła się w rozpacz.

Kiedy wyprowadzili go na zewnątrz, zalewał się łzami. Rodzice byli w nie lepszym stanie, choć jakimś cudem udało im się utrzymać nerwy na wodzy.

– Co zamierzasz? – odezwał się Dominik.

– A skąd myśl, że w ogóle cokolwiek rozważam? – spojrzała na niego z zaciekawieniem. Pocierał skronie, sprawiając wrażenie, jakby głowa miała mu zaraz eksplodować.

– A nie rozważasz?

– Nawet gdyby... Są święta, instytucje nie pracują.

– Instytucje nie, ale ludzie tak.

– Masz coś konkretnego na myśli?

– Mam.

Jeszcze zanim wstały dziewczynki, Dering zdążyła nie tylko wysłuchać propozycji męża, ale także wcielić ją w życie. Zadzwoniła do dziennikarki, spodziewając się, że ta nie będzie zastanawiać się ani przez moment, czy odbierać w święta.

– Wreszcie mam okazję złożyć pani życzenia – powitała ją Małgorzata Zalewska. – Ostatnim razem...

– Dajmy temu spokój, szkoda czasu.

– Na uprzejmości? W takim okresie?

– Dzwonię w konkretnej sprawie.

– Chce się pani spotkać? Normalnie zaproponowałabym neutralny grunt, ale biorąc pod uwagę, że wszystko jest zamknięte, może wpadnę do pani?

– Nie.

– W takim razie możemy zobaczyć się u mnie.

– Nie mam zamiaru się z panią spotykać. – Odpowiedziało jej milczenie. – Ale chciałbym, by skontaktowała mnie pani

z Anną Osińską.

– Matką Janka?

– Zna pani inną? – bąknęła Dering.

Reporterka NSI najwyraźniej była zbyt zaskoczona, by od razu odpowiedzieć. Cisza przeciągała się tak długo, że Katarzyna zerknęła na wyświetlacz, niepewna, czy coś nie przerwało połączenia.

– Chce pani rozmawiać ze stroną procesową?

– Widzi pani jakieś przeciwwskazania? Wyrok już zapadł.

– Ale się nie uprawomocnił.

– Nie szkodzi – odparła coraz bardziej poirytowana Dering.

– Da mi pani numer czy nie?

– Nie jestem przekonana, czy powinnam.

– Ach, rzeczywiście. Zupełnie zapomniałam, że nie zależy pani na niczym innym, jak tylko na uzyskaniu dobrego materiału. A pozwalając mi porozmawiać z panią Osińską, niczego pani nie osiągnie.

Znów się nie odzywała.

– Nie, ja niczego nie osiągnę – powiedziała w końcu. – Ale Anna tak?

– Nie przekona się pani o tym, dopóki nie dostanę numeru.

Chwilę później Katarzyna siedziała już w samochodzie. Rozmowa z matką Janka była krótka i konkretna, właściwie sprowadzała się jedynie do ustalenia miejsca spotkania. Nie deliberowały nad godziną, obydwie przekonane, że powinny zobaczyć się jak najszybciej.

Umówiły się w parku niedaleko osiedla, na którym mieszkali Osińscy. Kiedy Dering parkowała na pustym placu, Anna już na nią czekała. Ściągnęła poły kurtki, a potem uniosła rękę, jakby istniała możliwość, że sędzia jej nie dostrzeże.

Nie było takiego ryzyka – w niewielkim parku były same.

Katarzyna wyłączyła silnik, a potem głęboko nabrała powietrza. Przypuszczała, że to nie będzie łatwa rozmowa. W dodatku wbrew temu, co powiedziała dziennikarce, nie była to sytuacja do końca komfortowa z zawodowego punktu widzenia.

Wyrok rzeczywiście zapadł, ale formalnie nie miał jeszcze mocy prawnej. Nabierze jej dopiero, gdy minie termin odwołania. Dering zabębniła palcami na kierownicy, a potem zabrała parasolkę i wyszła z auta.

Śnieg znów zaczął sypać, choć teraz byłaby wdzięczna, gdyby opady nieco zelżały.

Podeszła do Anny i podała jej dłoń.

– Chodźmy – powiedziała Osińska, obracając się w bok. – Odsnieżyłam jedną z ławek, możemy usiąść.

Dering skinęła głową. Podeszły do miejsca wskazanego przez Annę i usiadły obok siebie. Blisko, ale jednocześnie daleko. Katarzynie przemknęło przez głowę, że siedzisko jest mokre, ale szybko odsunęła tę myśl. Miała teraz ważniejsze zmartwienia.

Sędzia i Osińska milczały, nie patrząc na siebie. Wiatr zawodził cicho między wątlymi, nagimi gałęziami paru samotnych drzew. Właściwie trudno było nazwać to miejsce parkiem. Przypominało raczej cmentarz rachitycznych roślin, które nie odżyją nawet, kiedy stopnieją śniegi i nadejdzie wiosna.

O ile nadejdzie. Na dobrą sprawę Dering miała wrażenie, że zima będzie trwała bez końca.

– Przyznam, że byłam naprawdę bardzo zaskoczona, kiedy zadzwoniła do mnie pani Zalewska – zaczęła w końcu Anna.

– Wyobrażam sobie.

– Spodziewałam się, że nic już nie można zrobić... Że sprawa jest zakończona.



Katarzyna na moment obróciła twarz w stronę rozmówczyni.

– Dziennikarka informowała panią, jak przebiegała nasza rozmowa?

– Tak.

– Co konkretnie powiedziała?

– Że kategorycznie odmówiła pani komentarza.

– Tak kategorycznie, że ostatecznie powiedziałam to i owo...

– Tylko tyle, że jest pani przekonana co do słuszności podjętej decyzji – powiedziała beznamiętnym, obojętnym głosem Osińska. Nie było w nim nieprzyjemnego chłodu, który Katarzyna spodziewała się usłyszeć. Brzmiał do bólu neutralnie.

– Tak było – potwierdziła po chwili Katarzyna.

– Teraz jest inaczej?

– Owszem.

– Chce pani powiedzieć, że zmieni swoją decyzję?

– Chcę powiedzieć, że nie jestem już całkowicie pewna, czy postąpiłam słusznie.

– To niecodzienne...

– Można to tak ująć – przyznała Dering. – O ile zwykła pani używać niedomówień.

Anna dopiero teraz na nią popatrzyła. Uśmiechnęła się smutno – kąciki ust się podniosły, ale w oczach widać było smutek. Katarzyna zrozumiała, że mimo tego spotkania rozmówczyni nie spodziewa się żadnego przełomu. Jakby wbrew swojej głębokiej wierze dawno pożegnała się z nadzieją na cud.

– Rzeczywiście – odparła po chwili Anna. – Nie słyszałam chyba o sędzim, który przyznałby się kiedykolwiek do błędu. Mogę to chyba jakoś wykorzystać, prawda?

- Oczywiście.
- Jak konkretnie?
- Złoży pani odwołanie i przedstawi to, co usłyszała, przed sądem wyższej instancji.
- I co się wówczas wydarzy?
- Nie mnie to oceniać. Wszystko będzie zależało od innego sędziego.

Pokiwała głową w zadumie, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że mimo wszystko nie powinna tracić nadziei na boską interwencję.

- Może się pani zwrócić także do Rzecznika Praw Dziecka.
- Już to zrobiliśmy.
- Wiem, ale nie zaszkodzi przekazać mu nowe szczegóły. Jeśli ma pani numer do kogoś z jego kancelarii, przypuszczam, że odbierze nawet dzisiaj. Ci ludzie zazwyczaj nie uznają dni wolnych od pracy. I to bynajmniej nie ze względu na to, że są pracoholikami.

– Co mi to da?

Dering obróciła się do niej i założyła rękę za oparcie parkowej ławki.

– To, że pierwszą rzeczą, jaką rzecznik zrobi po świętach, będzie złożenie dwóch wniosków. Pierwszy będzie dotyczył uchylenia decyzji o zawieszeniu władzy rodzicielskiej.

Anna zamknęła oczy, jakby nie mogła uwierzyć w to, że da się to jeszcze cofnąć.

– Drugi uchylenia orzeczenia o umieszczeniu Janka w placówce.

– Rozumiem – odparła Osińska, nie otwierając oczu. – Co będzie potem?

– Jeśli sąd odwoławczy podzieli państwa pogląd, syn wróci do domu i prawdopodobnie przydzielony zostanie kurator. Przez

jakiś czas będzie sprawdzał, czy wszystko jest w porządku w domu i w szkole, czy Janek nie wdaje się w kolejne bójki z dziećmi...

– Nadal będziemy musieli poddać się terapii?

– Nie. Przypuszczam, że nie.

Anna kiwnęła głową, a potem powoli otworzyła oczy i spojrzała na sędzie.

– Dlaczego w ogóle chciała mnie pani na nią wysłać?

Prosta odpowiedź była taka, że tak radzili specjaliści. Czy jednak była wystarczająca? Z punktu widzenia orzekającego być może tak. Z punktu widzenia jakiegokolwiek matki z pewnością nie.

– Pani sędzio?

Katarzyna odchrząknęła. Niełatwo było przyznać się do tego przed sobą, co dopiero przed obcą osobą. W dodatku tą, która stała się ofiarą.

– Cóż, patrzyłam na sprawę jedynie ze swojej perspektywy – odezwała się w końcu. – Nie weszłam w pani skórę i nie pochodziłam w niej trochę.

– Przecież...

Zaczęła, ale nie dokończyła. Machnęła ręką bez przekonania, jakby tym samym chciała zachęcić Katarzynę do dalszych wyjaśnień. Dering nie wiedziała jednak, co jeszcze może dodać.

– Nie szkolą państwa, żeby zawsze to robić? Wchodzić w czyjąś skórę?

– Szkolą.

– Więc co poszło nie tak?

Dobre pytanie – skwitowała w duchu Katarzyna.

– Wszystko – odparła na głos.

– Zawinił system?

– W pewnym sensie... – nabrała głęboko tchu. –  
Miesięcznie trafia do mnie od siedemdziesięciu do  
osiemdziesięciu nowych spraw, a dodatkowo nadzoruję około  
pięciuset orzeczeń wykonawczych. Przy takim ogromie pracy  
trudno jest mi...

– Czuć empatię?

– Tak, przypuszczam, że do tego się to w gruncie rzeczy  
sprowadza.

– Ludzie zamieniają się w suche statystyki i tomy akt, które  
trzeba jak najszybciej usunąć z biurka?

Nadal nie było w jej głosie pretensji. Przeciwnie, teraz  
Katarzyna odniosła wrażenie, jakby słyszała współczucie.

– System trzeba zmienić – odparła wymijająco. –  
Potrzebujemy więcej kuratorów do nadzoru. I więcej  
asystentów. W tej chwili dzielę jednego z ośmioma innymi  
sędziami.

Anna zawieszała wzrok na odległym drzewie. Zdawała się  
tracić zainteresowanie rozmową.

Po chwili wstała i spojrzała z góry na Dering.

– Co sprawiło, że zmieniła pani zdanie?

– Pewien ptak z rzędu wróblowych, który nikomu nie  
wadzi.

– Słucham?

Katarzyna wstała, uśmiechnęła się do Osińskiej, a potem  
podała jej dłoń na pożegnanie. Wiedziała, że ten uścisk  
zawodowo może kosztować ją wiele. Moralnie jednak był  
nagrodą samą w sobie.

Sędzia wracała do domu z uśmiechem.

\* \* \*

Alojzy czekał na nią w Księgarence. Otworzył sklepik tylko na moment i przypuszczał, że żaden przechodzień nawet nie zwróci na to uwagi. Samo spotkanie też nie powinno potrwać długo, nie włączał więc nawet grzejników.

Chłód był przenikający, ale odczuwalny wyłącznie na ciele. W duszy księgarza było zupełnie inaczej.

W końcu się zjawiała, spóźniona o kilka minut. Zanim weszła do Księgarenki, otrzepała buty ze śniegu. Potem wraz z nią do środka wpadł powiew zimnego powietrza. Uśmiechnęła się i uściskała Alojzego.

– Dziękuję – powiedziała. – Dziękuję za wszystko.

– Nie ma za co.

– Gdyby nie pan...

– Naprawdę nie ma o czym mówić.

Rozmawiali jeszcze chwilę, głównie o książce, która wszystko zmieniła. Życzyli sobie wszystkiego najlepszego i pożegnali się, jakby mieli już nigdy się nie zobaczyć. Być może tak w istocie było.

Potem Alojzy stanął przy oknie i odprowadził ją wzrokiem. Anna Osińska sprawiała wrażenie, jakby padający śnieg ją omijał.

– Pokój bez okien – odezwał się Dominik.

Katarzyna na moment przerwała gniecenie ciasta. Tym razem również posłodziła je stewią, ale zmodyfikowała nieco przepis, dodając mąkę ryżową, drożdże i proszek do pieczenia. Chciała jeszcze zmiksować dwa lub trzy jajka ale spotkała się z tak stanowczym sprzeciwem córki, że musiała spasować.

Podniosła wzrok znad miski i spojrzała pytająco na męża.

– Pytałaś mnie, czymże jest życie bez czytania – wyjaśnił. – Jest pokojem bez okien.

– Aha.

– Nie zaimponowałem ci.

– Niespecjalnie.

– Nie szkodzi. Przygotowałem się odpowiednio.

– To znaczy?

– Zrobiłem szeroki *research*.

– To się chwali, mój drogi – odparła, ściągając ciasto pomiędzy palców. Po raz kolejny pomyślała, że powinna zainwestować w jakieś urządzenie, które wyręczy ją w wyrabianiu papki.

– To Horace Mann użył porównania z pokojem.

– Świetnie.

– Cynceron z kolei mówił, że pokój bez książek to jak ciało bez duszy.

Katarzyna uśmiechnęła się lekko.

– Dużo jeszcze masz tego w zanadrzu?

– Trochę.

– Myślę, że tyle mi w zupełności wystarczy.

– Ale rozważ jeszcze to: Życie bez czytania jest jak samochód bez paliwa.

– Beznadzieja.

– Sam na to wpadłem.

– Więc dobrze, że nie zajmujesz się tym zawodowo.

Pomarlibyśmy z głodu.

– W takim razie może... – zawiesił na moment głos, a potem pstryknął palcami. – Człowiek bez książek jest jak snajper bez lunety. Nie widzi celu.

Ściągnęła ostatnie kawałki ciasta i odsunęła miskę.

– Całkiem niezłe, prawda? – zapytał Dominik.

– Może być – odparła, nieobecna myślami.

Zdawała sobie sprawę, że najtrudniejsze decyzje są także zazwyczaj tymi najważniejszymi, ale miała coraz więcej wątpliwości. Dała Annie narzędzia, dzięki którym ta mogła realnie jej zaszkodzić. Nie, nie tylko jej, ale także całej rodzinie. Gdyby ziścił się najgorszy scenariusz i Katarzyna poniosłaby konsekwencje zawodowe, pensja Dominika z pewnością nie pozwoliłaby na życie na takim poziomie jak dotychczas.

Raz po raz nachodziła ją jednak refleksja, że ktoś nad tym wszystkim czuwa. Że ktoś zadbał o to, by nikt na tej sytuacji nie stracił. Może nie licząc sędziego w kolejnej instancji, który będzie musiał spożytkować trochę czasu na przejrzenie akt sprawy.

Kiedy zadzwonił telefon, Dering właśnie wyciągała ciasto z piekarnika. Szybko przekazała swoje cukiernicze dzieło najstarszej córce i sięgnęła po komórkę. Przez chwilę się zastanawiała.

Potem drugi raz w ciągu ostatnich kilku dni odebrała połączenie od nieznanego numeru.

– Pani Katarzyno, Alojzy z tej strony.

Uniosła brwi i ściągnęła rękawice kuchenne. Odeszła nieco, jakby któreś z domowników mogło przeszkodzić jej w rozmowie.

– Dobry wieczór – rzuciła i chciała kontynuować, ale księgarz nie dał jej czasu.

– Dzwonię, żeby się upewnić, że wszystko w porządku.

– Ale...

– Z książką.

– Ach tak.

– Już po lekturze?

- Niestety. Chętnie przeżyłabym to jeszcze raz.
- Czyli prezent okazał się trafiony.
- Wyjątkowo – przyznała.

Przypuszczała, że na zawsze zapamięta, jak Bob Ewell pluje Atticusowi prosto w twarz, a potem próbuje zamordować jego dzieci. Nie, nie to samo w sobie. Znacznie ważniejsza była reakcja Atticusa. To wtedy naprawdę wszedł w czyjąś skórę i pochodził w niej trochę. Pojął, kim był Bob Ewell. Poznał jego motywacje, pogodził się z jego pobudkami.

Naprawdę zrozumiał drugiego człowieka, mimo że okoliczności były ekstremalne. I właśnie dzięki temu Katarzyna pojęła, że ona może zrobić to samo względem Anny.

- Cieszę się – odparł Alojzy.
- Ale... Skąd ma pan mój numer?

Nie znało go wiele osób, właściwie tylko rodzina i najbliżsi znajomi. Katarzyna nie wiedziała, jakim cudem udało się uzyskać go dziennikarce, ale Zalewska była zaradna i zaprawiona w podobnych bojach. Trudno było podejrzewać Alojzego, by miał tak rozległe kontakty i był skłonny uciec się do gróźb czy składania intratnych propozycji tylko po to, by zapytać, jak podobała jej się książka.

Czekała na odpowiedź, ale rozmówca milczał.

- Panie Alojzy?
  - Myślę, że sama pani do tego dojdzie.
  - Tylko że...
  - Znalazła pani odpowiedź na moje pytanie? – przerwał jej.
- To o życie bez czytania?

Przysiadła na podłokietniku fotela.

- Nie.
- To dobrze.

Zmarszczyła czoło.

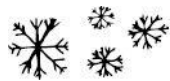


- Jak to?
- Bo gdyby się pani udało, to tak, jakby znalazła pani odpowiedź na to, czym jest życie bez oddychania.

*Od Autora:*

*Inspiracją do napisania tego opowiadania była historia rodziny Dzikowiczów z Legnicy. Odbiegłem dość daleko od rzeczywistych postaci, ale ciąg zdarzeń był podobny. Dziecko zostało zabrane kochającym rodzicom, po czym umieszczono je w placówce opiekuńczej, a ostatecznie w domu dziecka. Rodzice walczyli o jego powrót przez półtora roku – w końcu im się udało. Sąd zmienił wyrok, a rodzina sprzedała mieszkanie i wyjechała do Londynu w obawie, że sytuacja może się powtórzyć.*

[1] Historia zainspirowana rzeczywistymi zdarzeniami.



**GABRIELA GARGAŚ**



*Oswoić szczęście*

- *Co znaczy „oswoić”?*
  - *Jest to pojęcie zupełnie zapomniane – powiedział lis. – „Oswoić” znaczy „stworzyć więzy”.*
- Antoine de Saint-Exupéry, Mały Książę*

Franek wyszedł z przytulnej Księgarenki pana Alojzego,

trzymając w rękach pięknie wydany egzemplarz *Małego Księcia*. Padał śnieg, dlatego wsunął książkę pod kurtkę, mocno przyciskając ją do piersi. Do księgarni pana Alojzego przychodził średnio raz w tygodniu. Nigdy nie kupował książek, nie miał na to pieniędzy. Niekiedy przechadzał się między półkami, wybierał jakąś książkę, siadał na fotelu, który stał w rogu księgarni, i czytał. Pan Alojzy nigdy nie miał nic przeciwko temu.

– Niewielu tu przychodzi chłopców w twoim wieku – mówił.

– Nie wiedzą, co tracą – chłopak uśmiechał się do starszego pana, po czym wracał do lektury. Najbardziej interesowały go podróże. Marzył o tym, by kiedyś gdzieś pojechać, a potem to opisać. Przeczytał całą serię podróźniczek Neli. Nela była od niego młodsza, podróżowała z rodzicami po różnych krajach i spisywała wszystko, co zobaczyła. Bardzo chciałby mieć ją na własność. Nie Nelę, ale całą tę kolorową serię jej książek, z mnóstwem zdjęć i ciekawych historyjek.

Na razie jednak dostał od pana Alojzego w prezencie *Małego Księcia*. Nareszcie miał swój własny egzemplarz! Akurat teraz, dzień przed Wigilią. Czy mógłby sobie wymarzyć piękniejszy prezent? To była jego ukochana książka. Przeczytał ją już kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt razy. Za każdym razem odkrywał w niej coś nowego. To babcia dwa lata temu wypożyczyła *Małego Księcia* z biblioteki i podsunęła mu pod nos.

– Babciu, to książka dla dzieci! – oburzył się chłopak.

– A mnie się wydaje, że dla dorosłych, by zrozumieli...

– Ale co zrozumieli? – zapytał wtedy zdziwiony Franek.

– O co chodzi w tym życiu.

Przeczytał ją, a potem sam wypożyczał z biblioteki, kiedy

tylko była dostępna. Czytał ją również kilka razy w Księgarence. O takim prezencie i takim wydaniu nawet nie marzył. A tu los... Nie, co on mówi, nie żaden los, tylko pan Alojzy sprawił mu taki prezent. Czuł się dziwnie, wzruszył się. To nie zdarzało się często chłopcom w jego wieku.

Śnieg zaczął mocniej sypać. Franek na chwilę przystanął, zadarł głowę do góry i wystawił język. Wielkie płatki śniegu spadały mu na nos i policzki. Trafiając na język, roztopiały się w mgnieniu oka. Chłopak zaczął się śmiać i po chwili ruszył w stronę domu. Na dworze było niemal bajecznie. Łyse gałęzie drzew w ekspresowym tempie zaczęły przywdziewać śnieżne czapy. Franek mocniej przytulił książkę do piersi. Nie chciał się z nią rozstawać, ale wiedział, że ktoś inny potrzebuje jej bardziej niż on. Wcześniej jednak pozostawia w niej odpowiednie fragmenty. Aniela była czasami taka niedomyślna.

\* \* \*

Franek mieszkał w małym, dwuizbowym domku razem ze swoją babcią. Ich działka była otoczona dużymi, nowoczesnymi domami. Inwestorzy nie raz pukali do ich drzwi. Chcieli odkupić dom i ziemię wokół niego, ale babcia nie zgadzała się na sprzedaż.

– Za żadną cenę – odmawiała i zamykała drzwi przed nosem potencjalnym kupcom. Franek był czasami zły na babcię. Gdyby sprzedali tę ruderę, mogliby zamieszkać w jakimś wieżowcu bliżej centrum, zamiast tkwić w tej rozwalającej się drewnianej chatce, do której wstydził się kogokolwiek zaprosić.

Właściwie nie musiał się tym przejmować, bo i tak nie miał kolegów. Miał za to swój świat, swoje książki i swojego baranka, którego dostał od mamy zaraz po urodzeniu. Baranek miał więc tyle samo lat, co on. Dziesięć. Był zmechaniczny, ale zawsze czysty. Raz w tygodniu Franek prał swojego baranka, a kiedy pluszak wysechł, wkładał go do plecaka albo do kurtki. Nie rozstawał się z nim ani na krok. Miał tylko jego, babcię, no i przyjaciółkę. Anielę.

Ich historia była mocno pogmatwana.

Aniela była samotną kobietą, która lubiła mieć wszystko w życiu zaplanowane. Wstawała o piątej trzydzieści rano. Zakładała dres i wychodziła z domu. Biegała o każdej porze roku. Zimą lubiła ten sport bardziej niż kiedy indziej. Przebiegała kilka kilometrów, po czym wracała do domu, brała szybki prysznic, nakręcała włosy na grube wałki i robiła sobie śniadanie, na który składały się omlet na białkach i szklanka soku pomarańczowego z imbirem. Była fit. Lubiła to określenie, nie lubiła za to ani omletów białkowych, ani imbiru, ale czego się nie robi, by być szczupłym i zdrowym. Oczywiście, że czasami marzyła o drożdżówce i szklance kakao, ale nie ulegała pokusie. Nie paliła, nie piła. Raz na jakiś czas pozwalała sobie na szklankę coli z lodem. Czasami w piątek dla rozluźnienia piła kieliszek wina. Niekiedy nawet dwa. Najczęściej wtedy, kiedy było jej smutno.

Było jej smutno zazwyczaj nocą. To nocami człowiek czuje się najbardziej samotny. Sypiała niespokojnie. Właściwie to od ponad dwóch lat nie przespala całej nocy. Budziła się zwykle między drugą a trzecią nad ranem. Siadała na łóżku, rękoma obejmowała kolana. Płakała. Nad sobą, nad złym losem, nad tym, co straciła. Nie miała na tym świecie nikogo. Czasem chciała się komuś wyzalić albo opowiedzieć o swoim sukcesie,

ale nie miała komu. Najpierw łkanie było urywane, stłumione, a kiedy nie miała już siły dusić emocji, krzyczała z bólu.

A potem zasypiała zwinięta w kłębek. Następnego dnia rano obmywała twarz zimną wodą, wkładała dres, biegła, jadła fit śniadanie, brała prysznic, nakładała makijaż i przyklejała do twarzy sztuczny uśmiech. Udawała, że jest dobrze. Praca była w jej życiu najważniejsza. Wszystko, co w życiu osiągnęła, zawdzięczała ciężkiej pracy. Była właścicielką dużego domu, jeździła mercedesem eską, na koncie miała odłożoną sporą sumkę.

Aniela nie lubiła bombek, przepoconych, rumianych Mikołajów i całej tej atmosfery wokół świąt. Nie wiedziała wtedy, co zrobić z wolnym czasem. W ogóle starała się nie myśleć o Bożym Narodzeniu, ale w ostatnich dniach świąteczna atmosfera atakowała ją zewsząd. Wszędzie mijała przystrojone wystawy sklepów. Mariah Carey wyła z głośników, że najbardziej na świecie „chce ciebie”. A Aniela chciała świętego spokoju. Najchętniej zakopałaby się pod kołdrą i przespała te trzy dni albo obejrzałaby kilka rzewnych filmów i popłakała z tego powodu, że taki Leo albo inny amant nie stoi u jej boku. Rzadko użalała się nad sobą i nad tym, że nie ma u swojego boku faceta, ale czasami jednak jej się zdarzało...

Była zakochana raz, do szaleństwa. Ale niestety była za młoda, może zbyt głupia, żeby to docenić. Potem na swojej drodze spotykała tylko panów niewłaściwych. Sama nie wiedziała do końca, czy nie miała szczęścia do mężczyzn, czy to z nią było coś nie tak.

Rok temu była jeszcze w związku z Danielem. Spotykali się przez dwa lata. Pracowali w jednej firmie. Na wyjeździe integracyjnym, po suto zakrapianej kolacji coś zaiskrzyło. Aniela sama nie wiedziała, czy to, co ich łączyło, można nazwać

związkiem. Daniel zawsze powtarzał, że niczego nie może jej obiecać. Ale dlaczego? – zastanawiała się, lecz nigdy go o to nie zapytała. Nie kochał jej, tego było pewna. Ona w sumie też go nie kochała, chociaż była nim zauroczona. Daniel biegał z nią codziennie, chodził na siłownię, czytał książki po angielsku, nie pił alkoholu, pisał się po szczeblach kariery. Chodzili na wystawne kolacje do drogich restauracji, bo on tak chciał. Ona wolałaby pójść na spacer do parku...

Początkowo jej imponował, ale z czasem zauważyła, że Daniel jest – nazywając rzecz po imieniu – typowym burakiem. Podlizywał się szefowi, donosił na kolegów z pracy, całymi dniami siedział na fejsie. Zdjęcia, które wstawiał na swój profil, wywoływały u niej współczujący uśmiech. On w idealnej pozie, on na fotelu u fryzjera, on ze swoimi znajomymi, którym później, za plecami, godzinami obrabiał dupę. Już wtedy zauważyła, że coś w jej życiu jest nie tak. Po co być w związku z takim pajacem? – zastanawiała się nieraz. A mimo to nie potrafiła od niego odejść. Tkwiła w niej gdzieś głęboko schowana dziewczynka, która zrezygnowała ze swoich pragnień i bardzo chciała mieć przy sobie kogoś bliskiego. Była z Danielem tylko po to, by nie być sama. Bała się samotności, ale bała się przyznać sama przed sobą, że się boi. To ryzykowne – myślała – zaczynać wszystko od nowa po trzydziestce. W tym wieku powinno się już mieć rodzinę i dzieci. Ciągnęła ten związek, licząc na to, że może w Danielu obudzi się pragnienie bycia ojcem. I pewnie czekałaby tak do dziś, gdyby nie to, że pewnego dnia to on rzucił ją dla młodszej sekretarki.

Kilkanaście dni temu przyczepił się do Anieli Franek. Mały, dziwny sąsiad, który mieszkał w tym zaniedbanym domu obok.

Zaczepił ją któregoś dnia. Tego dnia wszystko jej się waliło. Kiedy zamykała furtkę, była już spóźniona. Przychodziła do biura zawsze jako pierwsza. Lubiła zaczynać pracę w ciszy. Tamtego poranka nie dość, że wstała kilka minut później niż zazwyczaj, a potem przypaliła omlet, to jeszcze samochód nie chciał odpalić. Szybkim krokiem szła w stronę przystanku autobusowego, w tę samą stronę podążał jej mały sąsiad.

– Jestem Franek – przedstawił się dzieciak.

– A pani jak ma na imię? – zapytał.

– Aniela – burknęła i przyspieszyła kroku. On również przyspieszył.

– Czy jest pani Aniołem?

– Nie – mruknęła.

– Ma pani takie piękne imię, Aniela. To anielskie imię.

– Nie sędzę.

– A ja myślę, że tak. Musi pani mieć niewidoczne skrzydła. Nawet sama pani nie wie, że potrafi pani latać.

Kurwa, kurwa! – Aniela zaklęła w myślach. Chłopiec bardzo ją irytował. Ta jego ufność, gadatliwość i durne insynuacje na temat skrzydeł. Aniela lubiła ciszę. Według niej milczenie było złotem.

– Słuchaj! – zatrzymała się w pół kroku. – Nie mam żadnych skrzydeł, z całą pewnością nie potrafię latać i... Ile właściwie masz lat?

– Dziesięć.

– Dziesięć? – wytrzeszczyła oczy. – Nie znam się na dzieciach, ale w twoim wieku dzieciaki biegają za pokemonami czy coś w tym stylu, a nie pieprzą bzdury o anielskich skrzydłach.

– Pokemony są przereklamowane. Ja wolę czytać.

– To przeczytaj coś dla dziesięciolatków, zamiast gadać mi



tutaj o aniołach.

Ruszyła szybkim krokiem, zostawiając chłopca za sobą.

– Ale z niej nerwowa babka – chłopak wzruszył ramionami i zaczął iść w stronę szkoły.

Franek był czasami zły na los za to, że nie jest kimś innym, nie mieszka w innej rodzinie, nie ma pieniędzy. Był wściekły, że babcia jest chora i tyle muszą wydawać na jej leki. Nie był oczywiście zły na babcię, tylko na jej chorobę. Babcia tak naprawdę nie była jego babcią, lecz prababcią. Prawdziwa babcia zmarła, podobnie jak jego mama. To prababcia się nim opiekowała. Była dla niego całym światem, a on dla niej „promyczkiem szczęścia”. Tak o nim mówiła.

Głupio się czuł z tym, że to nie wystarczało. Że czasami marzył o ładnym mieszkaniu w bloku, o zdalnie sterowanym samochodzie, komputerze czy PlayStation. Nie potrafił nawet w nic grać, tak jak chłopcy z jego klasy, bo nie miał w domu komputera. Nie było ich stać na komputer. Niby to rozumiał. Co tam komputer, ważne, że babcia jest przy nim. Gdyby ją stracił... Nie chciał nawet o tym myśleć. Ale o komputerze marzył każdego dnia. Czasami wyobrażał sobie, że wchodzi do klasy i opowiada kolegom o najnowszej grze i o tym, że zdobył dziesiąty level. Wreszcie by mu zazdrościli, a nie traktowali jak kupę, która przykleiła im się do buta.

Co tu dużo mówić, Franek odstawał od innych uczniów. Nabijali się z niego od pierwszej klasy, szczególnie ci starsi. Miał dziesięć lat, a czuł się jeszcze dzieckiem. W plecaku nosił małego baranka. Nigdy się z nim nie rozstawał. Kiedy było mu smutno, najchętniej wyciągnąłby baranka z plecaka i mocno go przytulił, jednak wtedy dzieciaki już nigdy nie dałyby mu spokoju. W klasie się do niego przyzwyczaili, a raczej traktowali jak powietrze, co mu nie przeszkadzało. Wolał być niewidoczny

niż prześladowany. Za to na przerwach zaczynał się dla niego koszmar. Popychali go, droczyli się z nim, wyzywali od lamusów i cieniasów. Zabierali okulary. Kilka razy połamali mu oprawki. Potem przestał nosić okulary, bo nie chciał babci przysparzać kłopotów.

– Znów połamałeś? – pytała go smutnym głosem. Nie przyznawał się do tego, że był gnębiony, babcia i tak miała swoje problemy. Ledwo wiązała koniec z końcem, starała się, jak mogła, więc nie chciał przysparzać jej smutków.

Minęło pięć albo sześć dni, zanim Aniela ponownie spotkała Franka. Na dworze sypał tak gęsty śnieg, że zdołała przebiec tylko dwa kilometry. Przybiegła do domu i napuściła do wanny wody. Zanurzyła się w pianie po samą szyję. Miała ochotę poleżeć dłużej, ale już po chwili zerwała się na równe nogi.

– Podjazd! – wyskoczyła z wanny. Musi odśnieżyć podjazd. Napadało tyle, że na pewno nie wyjedzie. Gdyby miała przy sobie mężczyznę, zrobiłby to za nią. A może i nie? Była realistką, ciągle słyszała utyskiwania zameężnych koleżanek na temat ich drugich połówek. Dzisiejsi mężczyźni nie palili się wcale do wyręczenia swoich partnerek...

Wytarła się, wysuszyła włosy, włożyła dres i ruszyła w stronę garażu po łopatę. Nagle, w połowie drogi do samochodu, zauważyła, że podjazd jest już odśnieżony. Cuda jednak się zdarzają – uśmiechnęła się do siebie. Po chwili odwróciła głowę w prawo. Franek odśnieżał chodnik przed swoim domem. Aniela odłożyła łopatę i ruszyła w jego stronę.

– Cześć – powiedziała.

Chłopak podniósł głowę.

– A, to ty. Diabeł o anielskim imieniu.

Uniosła brwi. Nie przypominała sobie, żeby przeszli na ty. Nie zamierzała jednak go upominać. Nie po tym, jak odśnieżył jej podjazd... Zresztą, zdaje się, że ostatnio faktycznie nie była dla niego zbyt przyjemna.

– Ha, ha, ha. To ja. Wiesz, przepraszam za tamto – uśmiechnęła się niezbyt pewnie.

– Nie wywarłaś na mnie dobrego wrażenia.

– Przepraszam – wzruszyła ramionami. – Spieszyłam się, a ty...

– Zachowałaś się jak...

– Masz rację. Wybacz.

– Spoko – chłopak dalej odrzucał śnieg sprzed drewnianej chatki.

– Dzięki, że odśnieżyłeś mój podjazd. Nie musiałeś.

– Tak, masz rację, nie musiałem, ale chciałem. Mieszkasz sama, więc pomyślałem, że obowiązkiem mężczyzny jest pomóc kobiecie.

Aniela uśmiechnęła się pod nosem.

– Dziękuję. Nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

– Nie robiłem tego, bo czegoś oczekiwałem w zamian. Po prostu uznałem, że tak trzeba.

– Aha – Aniela nie wiedziała, co powiedzieć. – Dzięki. Jak będziesz czegoś potrzebował, to wiesz, gdzie mieszkam.

– Wiem – Franek podniósł głowę i uśmiechnął się do niej.

Dziwny z niego dzieciak – pomyślała kobieta.

Aniela jak zwykle wracała późno. Naprawdę lubiła swoją pracę i była dumna z tego, że robi to, co jest jej pasją. Zaparkowała samochód na podjeździe. Wysiadła. Odruchowo spojrzała w stronę sąsiedniego domu. Zobaczyła, że na schodach przed domem siedzi Franek. Tego dnia nie był wesoły. Nawet

się do niej nie uśmiechnął, kiedy do niego machnęła ręką. Jakoś tak dziwnie zrobiło się Anieli na sercu. Podeszła do chłopca.

– Cześć – nachyliła się nad nim.

– Cześć.

Aniela spojrzała na świnkę skarbonkę, którą trzymał w rękach.

– Co jest?

Chłopak potrząsnął świnką. Ze środka słychać było pobrzękiwanie monet.

– Moje oszczędności. Będzie pewnie stówa, może więcej.

– Aaa – Aniela uśmiechnęła się do Franka. Sama nie wiedziała dlaczego, ale miała ochotę pogłaskać go po głowie. Powstrzymała się w ostatniej chwili. – Pewnie zamierzasz sobie kupić coś fajnego? Jakąś zabawkę? Najnowszą grę na konsolę?

Chłopiec spiorunował ją wzrokiem. Poderwał się na równe nogi.

– Ty nic nie rozumiesz! – krzyknął. – Nic nie rozumiesz! – przycisnął skarbonkę do piersi i wbiegł do swojego domu.

Aniela wzruszyła ramionami. Może faktycznie niczego nie rozumiała. Po co w ogóle się do niego odzywała?

\* \* \*

Czerwona tarcza słońca coraz szybciej chyliła się ku zachodowi. Ostatnie długie promienie zsuwały się łagodnie po ośnieżonych dachach pobliskich domów. Kolejny mroźny grudniowy dzień.

Do Wigilii zostało już tylko kilka dni. Aniela włączyła

telewizor, reporterka mówiła o tym, jak tanio przyrządzić wieczerzę wigilijną.

– Jezuuu! – jęknęła kobieta. Teraz dzień i noc będą jej tu pieprzyć o świętach, karpicach, miłości bliźniego. Wyłączyła telewizor i nastawiła radio. A tam pastorałki i kolędy. Naprawdę zaraz się porzyga od tego ckliwego, świątecznego nastroju. Wyłączyła odbiornik. Ciężko opadła na łóżko. Co się z nią działo? Kiedyś przecież lubiła święta. Ale to było jeszcze przed nieszczęściem, które ją spotkało.

Aniela pamiętała te zimy ze swego dzieciństwa. Zaspasy śniegu, w którym się zapadała, idąc przed siebie. Pamiętała, jak budowała z tatą igloo przez ponad dwie godziny. Uszy, nos i policzki szczypały ją przyjemnie, rękawiczki i kozaki były całe przemoknięte. Kiedy weszła do domu, mama zdjęła z niej mokre ubranie i roztarła zmarznięte dłonie. A potem we trójkę usiedli na kanapie i przykryli się kocem, popijając gorące kakao. Była wtedy taka szczęśliwa.

A święta? Cóż to były za piękne chwile. Pachnące zupą grzybową... Wieczerzę wigilijną jedli zawsze u babci Jadzi. Na środku pokoju stała duża, żywa, rozłożysta choinka, która zajmowała tyle miejsca, że trudno było się ruszyć. Drzewko udekorowane było łańcuchami zrobionymi z kolorowego papieru przez dzieci, szklanymi bombkami, cukrowymi soplami, czekoladowymi mikołajami. Na każdej gałęzce przyczepione były lampki choinkowe, w świetle których skrzył się włos anielski. Pod choinką stał żłóbek. Pod ławą, która była wciśnięta w kąt, piętrzyły się prezenty. Kilka dni przed świętami dom wypełniała krzątanina. Mama z babcią lepiły pierogi, przygotowywały farsz na uszka. Z piekarnika dochodził zapach sernika. Babcia wyjmowała swoją najlepszą zastawę. Aniela z tatą nakrywali do stołu. Zasiadali do wieczerzy wraz

z pierwszą gwiazdką. Dziadziusь czytał fragment Pisma Świętego, a potem dzielili się opłatkiem. Przy rozmowach, śmiechach spożywali wieszczkę. A potem przez godzinę albo dłużej śpiewali kolędy. *Bóg się rodzi...* Tak, tego dnia Bóg się rodził, od tysięcy lat ciągle na nowo, bo nie zwałpił w człowieka. A ona? Czy ona przypadkiem nie zwałpiła w Boga?

Byłaby nawet gotowa wypić ten okropny kompot z suszu, gdyby tylko dane jej było jeszcze raz przeżyć takie święta, ogrzać się w takim rodzinnym cieple. Jej wspomnienia z dzieciństwa pełne były zapachów i smaków.

A dzisiaj co? Dzisiaj ma trzydzieści cztery lata i tak bardzo brakuje jej rodziców, babci, rodziny, że czasami aż dusi ją w środku. Jej jedyną krewną jest ciocia Basia, ale od dawna nie utrzymują kontaktów... I chyba wcale nie jest jej przykro z tego powodu.

Aniela potrzęsnęła głową. I po co przywołuje bolesne wspomnienia? Nikt nie zwróci jej tego, co było. Musi się wziąć w garść.

Nie wiedząc, co nią kieruje, nagle jak w transie ruszyła do przedpokoju i zaczęła się ubierać. Zapagnęła kupić choinkę. Żywą, pachnącą lasem, rozłożystą. Kiedy rodzice żyli, tato zawsze przynosił choinkę z lasu.

– Wolę sztuczną – mawiała mama.

– E, tam. Nie ma to jak zapach lasu w domu – tato puszczał oko do małej Anielki, a ona chichotała.

Przełknęła głośno ślinę. Jakaś wielka klucha stanęła jej w gardle.

Szła zamaszystym krokiem w stronę targu. W pewnym momencie zobaczyła chłopca, który biegł co tchu, trzymając w rękach małą choineczkę. Za nim biegło dwóch osiłeków, którzy

potrącali przechodniów szerokimi barami.

– Ludzie, złodziej! – krzyczeli jeden przez drugiego. Przechodnie przystawali i patrzyli się na pogoń za chłopakiem. Aniela też przystanęła.

W końcu jeden z mężczyzn złapał malca za kurtkę. Chłopiec upadł z choinką na chodnik.

Osiłek podniósł go i zaczął nim potrząsać. Dopiero teraz Amelia dostrzegła, że tym małym chłopakiem jest jej sąsiad z naprzeciwka. Puściła się pędem w tamtą stronę.

– Niech go pan zostawi! – chwyciła osiłka mocno za rękę. Wyrwał się jej i spojrzał, zdziwiony, że śmie mu przeszkadzać.

– Pani, to mały złodziejaszek. Znamy tu takich. Ukradł drzewko.

– Choinka się połamała. Moja choinka się połamała – rozplakało się dziecko.

– Nie twoja, smarkaczu, a nasza! I kto teraz za to zapłaci? – barczysty mężczyzna podniósł rękę i zamachnął się w stronę Franka. Aniela była szybsza i złapała go za nadgarstek.

– Ile kosztowała ta choinka? – zapytała.

– Sześć dych.

Aniela drżącymi rękoma wyjęła z portfela pieniądze. Podała mężczyźnie banknot stułotowy.

– Proszę.

– Czy jest pani pewna? – osiłek gapił się na nią zaskoczony.

– Tak.

– Ale to złodziej.

– Załatwię to z nim. Przepraszam.

– Jak pani uważa – rosły mężczyzna wzruszył ramionami i schował banknot do kieszeni kurtki. Machnął ręką na kolegę, po czym obaj ruszyli w stronę swojego straganu.

Aniela stanęła na wprost Franka. Pomogła mu się podnieść.

Chwyciła też choinkę, której gałęzie były połamane.

– Dzięki, ale... – wydukał chłopak.

Aniela spojrzała na niego ze złością.

– Co ty sobie wyobrażasz? Dlaczego kradniesz? – zapytała surowym głosem.

– Bo nie mam pieniędzy.

– Nie masz? A skarbonka? Sam mi powiedziałaś, że jest tam stówa albo i więcej...

Chłopak zaczął szybko mrugać oczami. Czuł zbierające się pod powiekami łzy.

– Będę musiała porozmawiać z twoją babcią.

– Nie! – krzyknął. – Nie możesz tego zrobić!

– Dobrze – Aniela podparła się pod boki. – Nic mnie nie obchodzi ty ani twoje życie, ani to, dlaczego kradniesz. Radź sobie sam, a na mnie więcej nie licz.

Wręczyła chłopakowi choinkę z połamanymi gałązkami i obróciła się na pięcie. Odechciało jej się zakupów. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu. Chłopak wydawał jej się taki miły, a okazał się złodziejem. Nie mogła tego pojąć. Jak te pozory mylą...

Uszła kilka metrów, kiedy usłyszała za sobą głosy innych dzieci.

– Ej, Franek, ale masz drzewko. Połamane żes skombinował na święta – do uszu Anieli dobiegł ostry, szydery śmiech. Przystanęła i odwróciła się gwałtownie. Zauważyła grupkę chłopców, którzy otoczyli Franka. Nie widziała go, tylko pompon od tej śmiesznej czapki, którą zawsze nosił.

– Co, znowu u was bida? – powiedział inny chłopak. Pozostałe dzieci ryknęły śmiechem.

Nic mnie to nie obchodzi, nic mnie to nie obchodzi –



powtarzała w myślach Aniela.

– Ale masz pompon – odezwał się pryszczaty wyrostek i zdjął czapkę z głowy Franka. Kiedy chłopiec wyciągnął po nią rękę, pryszczaty rzucił ją do kolegi. Franek walczył jak małe lwiątko o swoją brzydką czapkę, a oni rzucali ją coraz wyżej, coraz szybciej, wybuchając raz po raz salwami śmiechu.

Aniela ruszyła w ich stronę.

– Dość, kurwa! – krzyknęła, nie poznając samej siebie. – Wara mi stąd, bo wam nogi z dupy powyrywam. Mój chłopak to Bolo. Znaćcie łysego Bola? – Nawet ona słyszała o miejscowym recydywiście, bez zęba na przedzie. Nikt nie chciał podpaść Bolowi.

– Ale my proszę pani, my...

– Jeszcze raz zaczepicie Franka, a Bolo z wami porozmawia.

Chłopcy wzięli nogi za pas i uciekli w te pędy. Aniela podniosła z ziemi brudną czapkę i podała Frankowi. Chłopak włożył ją szybko na głowę.

– Jest mokra i brudna – zauważyła kobieta.

– E, tam – Franek wzruszył ramionami i wytarł rękawem spływający z nosa katar.

Aniela podniosła z ziemi choinkę. Wyglądała naprawdę żałośnie.

– Nie ma sensu nieść tej choinki do domu – zawyrokowała.  
– Jest cała połamana.

– Jest sens. Zawsze jest sens! – powiedział Franek drżącym głosem i z całej siły złapał choinkę.

Szli w milczeniu.

– Franek? – odezwała się w końcu Aniela.

– Co?

– Czemu nosisz taką śmieszna czapkę? W twoim wieku...

– Tę czapkę zrobiła dla mnie babcia. Babcia ma chore stawy, trudno jej robić na drutach. Jej palce puchną, boją, czasami są nienaturalnie powykręcane. Mimo bólu zrobiła dla mnie tę czapkę, bo mnie kocha. Wiesz jak to jest, gdy ktoś cię kocha?

Anieli zachciało się płakać. Od tak dawna nie czuła się kochana.

Ruszyli dalej. Dopiero pod domem kobieta odezwała się cicho:

– Franek, a może pourywamy gałązki i wstawimy je do wazonu? Zrobimy taki bukiet świąteczny albo stroik...

– Nie chcę żadnego bukietu ani stroiku, chcę mieć w domu choinkę. To ważne dla babci.

– Uparty jesteś.

Chłopiec wydał zabawnie usta.

– No dobra – skapitulowała Aniela. – Mam w domu sznurek, za jego pomocą przymocujemy gałązki. Może choinka nie będzie wyglądała super, ale przynajmniej będziesz miał na czym powiesić bombki. Jak ustroisz ją łańcuchami, to nawet nie zauważysz, w których miejscach jest sznurek.

– Zgoda.

Weszli do domu Anieli. Kobieta odnalazła sznurek i nożyczki. A potem oboje zajęli się mocowaniem nadłamanych gałązek do pnia.

– Czy spędzasz święta z rodziną? – zapytał Franek.

– Nie mam rodziny.

– A ktoś do ciebie przychodzi?

– Nie obchodzę świąt.

– To smutne.

– Wcale nie, niektórzy nie wierzą w całą tę magię. Według mnie to jeden wielki *shit*.

Franek otworzył szeroko oczy.

– Co też za głupoty opowiadasz?

– Nie mam rodziny... – powtórzyła ni to do siebie, ni do niego.

– A przyjaciół?

– Znajomych.

– Ale znajomi to nie są przyjaciele. Możesz spróbujesz ich poszukać?

– Nie są mi potrzebni do szczęścia. Mam pracę i...

I co jeszcze ma? Zaczęła się zastanawiać.

– Ja wolałbym mieć przyjaciół zamiast pracy.

Nie odpowiedziała na to ani słowem.

Kiedy choinka była już gotowa, Franek podziękował i ruszył w stronę drzwi. Złapał za klamkę, nacisnął ją, a potem odwrócił się do Anieli.

– Ta stowa ze skarbonki poszła na leki dla babci. Babcia nie zawsze wykupuje wszystkie recepty. Chciałem jej pomóc...

– Ach! – Aniela przytknęła rękę do ust. Jak łatwo jest oceniać czyjeś postępowanie...

Franek miał zaoszczędzone pieniądze, na wszelki wypadek. Babcia dawała mu czasami drobniaki na słodkie bułki w szkole. Nie wydawał ich. Zdarzało się, że z głodu burczało mu w brzuchu, ale wiedział, że wytrzyma do obiadu. Odkładał te monety na czarną godzinę. I kiedy ona nadeszła, wziął babciną receptę i poszedł do apteki.

\* \* \*

Był sobotni poranek. Aniela myła zęby, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Zapewne listonosz – pomyślała.

Pobiegła w stronę drzwi, o mało nie wywijając orła.

To nie był listonosz. W progu stał Franek.

– Cześć – powiedział z uśmiechem od ucha do ucha.

– O Jezuuu... – jęknęła. – To znowu ty.

– Znowu ja.

– Jesteś prześladowcą czy co?

– Stalkerem.

– Że co?

– Stalker to osoba, która prześladowuje drugą osobę.

– Wiem, kto to jest stalker.

– To po co pytasz?

– Czegoś ode mnie chcesz?

– Mogę u ciebie posiedzieć?

– U mnie? Jest sobota...

– U ciebie. Powiedziałem babci, że idę do kolegi.

– No to do niego idź.

– Wyjechał.

– Oj, coś kręcisz.

– No dobra, chcesz znać prawdę?

– Nie wiem sama, czy chcę ją znać.

– Nie mam kolegów, podobnie jak ty nie masz przyjaciół.

– Ale co to wszystko ma wspólnego ze mną?

– Nie mam gdzie się podziać. Posiedzę u ciebie godzinę, dwie i sobie pójdę.

– A ja?

– Rób, co chcesz. Babcia jest taka smutna, kiedy siedzę w sobotę sam w domu. Dla niej to robię, żeby się nie martwiła.

– Kłamiesz, że idziesz do kolegi, którego nie masz?

Oszukujesz babcię, żeby jej sprawić przyjemność?

- W końcu zakumałaś.
- Aaa – Aniela złapała się za głowę. – Cholera jasna!
- O co chodzi?
- Nie wiem, postradałam zmysły. Odbiło mi. Już sama nie wiem. Wejdz. Usiądź, gdzie chcesz. Ja w tym czasie dokończę poranną toaletę.

Chłopak przycupnął na kanapie, chwilę rozglądał się po wnętrzu. Nie podobał mu się wystrój. U niego w domu kanapy były przykryte kolorowymi narzutami, które wydziergała babcia. W salonie Aniela sofy były skórzane, ciemnobrązowe. Na środku stał szklany stolik o powyginanych nogach, na przeciwległej ścianie wisiał wielki telewizor. Podłoga, ściany i zasłony miały śnieżnobiały kolor. W rogu stał biały fotel, a obok niego wielka lampa z kloszem w kształcie ważki.

Aniela wyszła z łazienki.

- Jakoś tu pusto u ciebie – powiedział Franek.
- Czasami mniej znaczy więcej. To taka złota myśl nowoczesnego designu.
- Te meble jakieś dziwne masz.
- Większość mebli powstała na zamówienie, innych długo szukałam na aukcjach internetowych. A na wymarzoną lampę gotowa byłam czekać pół roku.
- Na tę obrzydliwą lampę w kształcie ważki czekałaś pół roku?

– Nie podoba ci się?

– Nie. A tobie?

Aniela spojrzała na lampę i nagle stwierdziła, że faktycznie jest brzydka.

- Jest bardzo modna. I droga.
- Nie odpowiedziałaś na pytanie.
- Okej. Chcesz to wiedzieć? Jest beznadziejnie brzydka.

Franek się roześmiał. Aniela też.

Kobieta nie miała pojęcia, co ze sobą począć. Zawsze tak miała w weekendy. Według niej nie powinno być tych dwóch dni wolnego. Krzątała się po domu bez celu. Właściwie chodziła w tę i z powrotem.

– Co robisz? – zapytał ją chłopak.

– Sama nie wiem.

– Właśnie widzę. Usiądź. Posłuchaj muzyki, zrelaksuj się, poczytaj książkę.

– Nie lubię czytać.

– Nie lubisz? Jak to?

– A ty?

– Nie wyobrażam sobie, żebym przed snem nie przeczytał kilkunastu stron.

– Dziwny z ciebie dzieciak.

Franek wzruszył ramionami.

– A ty? Co robisz przed snem?

– Nic. Kładę się do łóżka i zasypiam.

– No i kto tu z nas jest dziwniejszy?

Aniela wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się lekko.

– Aniela, miałaś kiedyś męża?

– Nie.

Franek oniemiał. Wydawało mu się, że w tym wieku powinna być albo żoną albo rozwódką. Ewentualnie wdową.

– Ale chłopaka masz? – padło kolejne pytanie.

– Nie mam.

– Ale zakochana kiedyś byłaś? – drażył temat Franek.

– Byłam związana z pewnym mężczyzną.

– Jezu. Myślałem, że opowiesz mi o takiej miłości, gdzie fruwasz nad ziemią, motyle cię otaczają, uśmiechasz się głupkowato do siebie. We wszystkich filmach tak jest. Nawet

w tych, co babcia ogląda.

– Oj, Franek, dzieciaku. Dorośnij. Taka miłość zdarza się tylko w filmach.

– Nie. To niemożliwe.

– A jednak.

– Znam trochę fajnych facetów w okolicy.

– Nie będziesz mnie swatał – zaprotestowała kobieta, ale Franek nie dawał za wygraną.

– Ten mleczarz Mikołaj...

– Nie! On nie ma górnej jedyńki.

– Ząb można wstawić. Albo listonosz. Jest rozwodnikiem.

– Poranionych, z bagażem doświadczeń nie biorę.

– A pan Wojtek z kiosku ruchu?

– Jest z dziesięć lat ode mnie młodszy.

– Jezu – Franek jęknął z niedowierzaniem. – To ile masz lat?

– Wystarczająco dużo, żebym mogła zadbać o siebie sama.

– Ale to nie o to chodzi.

– A o co?

– W sumie nie wiem. Sam jeszcze nie miałem nigdy dziewczyny.

– No widzisz.

– Ale chciałbym mieć. Mógłbym z nią tyle fajnych rzeczy robić.

– Co na przykład?

– Wspinać się po drzewach. Chodzić na lody i do księgarni.

Dziewczyny są w sumie fajne – chłopak wzruszył ramionami.

– Ludzie dzielą się na tych, co chcą kogoś mieć, i na tych, co nie chcą.

– A mnie się wydaje, że wszyscy tak naprawdę chcą, ale niektórym wygodniej jest powiedzieć, że nie chcą, bo wstyd im,

że nikt ich nie chce.

– Myślisz, że nikt mnie nie chce?

– Na to wygląda.

– Coś ze mną nie tak?

Franek zlustrował Anielę od góry do dołu.

– W sumie ładna jesteś, ale musisz mieć jakąś wadę, skoro nie masz faceta. Może coś ukrywasz? Nie wiem, szósty palec u stopy?

– Mam siedem. Skończmy tę głupią rozmowę.

– Wiem! – krzyknął chłopak. – To wszystko przez to, że nie czytasz książek. Masz ograniczone horyzonty. Pożyczę ci jakąś książkę.

– Nie chcę.

– I tak ci pożyczę.

Posiedzieli jeszcze chwilę w milczeniu. Aniela zatopiła się w swoich wspomnieniach.

Poznała kiedyś kogoś, na dłuższą chwilę, na miłość. Była studentką ostatniego roku i stażystką w dużej korporacji. On był od niej kilka lat starszy. Ich związek traktował bardzo poważnie. A ona? Ona nie była gotowa. A może była, ale wybrała karierę.

Często o nim myślała. Zastanawiała się, czy ma wciąż ten sam numer telefonu. Co by zrobił, gdyby spotkał ją przypadkiem na ulicy? Wiedziała, że mieszka pod tym samym adresem, spotkała kiedyś jego mamę, która bardzo ją lubiła. Nie powiedziała, czy się ożenił, czy się z kimś spotyka. Przeprowadziły kurtuazyjną wymianę zdań, a Anielę cały czas zżerało w środku, aby o niego zapytać. Nie zapytała.

Oddałaby dużo, żeby znów móc z nim spędzić chociaż godzinę. Michał miał piwne oczy i blond włosy i najpiękniejszy uśmiech świata. Tyle chciałaby mu teraz powiedzieć. Tylu



rzeczy nie powiedziała, kiedy był jeszcze czas.

Kiedy z nim zrywała, płakał. A potem powiedział jej, że będzie żałowała kiedyś tych wszystkich chwil, których razem nie spędzili. Miał rację. Zresztą Michał niemal we wszystkim miał rację.

– Kocham cię bez opamiętania – mówił do niej szeptem. Opuszkami palców wodził po jej wypukłościach, całował delikatnie każdą cząstkę jej ciała. On nawet nią oddychał.

Nigdy niczego jej nie nakazywał. Nie chciał jej zmieniać. Nie wymagał. Był przy niej zawsze wtedy, kiedy go potrzebowała.

A ona tak się bała zaangażowania, miłości. Kiedy więc zauważyła, że za bardzo wpadła w tę miłość, zaczęła się wycofywać. Może to dlatego, że w tak wczesnym wieku straciła rodziców? A może przez te wszystkie kazania, których wysłuchiwała od cioci Basi?

Ciotka zawsze twierdziła, że mężczyźni to jedne wielkie zło. Wpajała jej, że chcą tylko jednego, że zawsze odchodzą, a kobiety muszą przez nich cierpieć. Ciocia cierpiała przez takiego jednego delikwenta trzy lata, on w tym czasie zdążył się ożenić, spłodzić dziecko i wziąć rozwód.

– Jesteś młoda – mawiała ciotka do Anieli. – Kariera, praca, potem niańczenie dzieci. Najpierw zadbaj o swoją przyszłość. Mężczyzna dzisiaj jest, jutro go nie ma, a o dobrą posadę trudno. Przez miłość zawsze się cierpi. Zawsze.

Gdyby mama żyła, powiedziałaaby jej coś innego. Na pewno. Mama była szalenie zakochana w jej ojcu. Nawet po szesnastu latach małżeństwa jej rodzice zachowywali się jak zadurzone w sobie nastolatki. Tata całował czule mamę na powitanie, ona go łaskotała, ojciec chwycił ją za rękę, a potem podnosił do góry. Roześmiana mama krzyczała: „Puść mnie!

Puść!”. Tato jej nie słuchał. Okręcał się z nią wokół własnej osi.

– Mamo, to już tyle lat – mówiła do matki nastoletnia Aniela. – A ty wciąż kochasz tatę jak szalona.

– Kocham – odpowiadała mama.

– A inni mężczyźni?

– To twojemu ojcu ślubowałam wierność. Zaciągnęłam zasłonę na wszystkie inne pożądanía, ciężoty, emocje. On i tylko on.

– Nie żałujesz?

– Czego? Takiej miłości?

– Masz jakąś swoją ulubioną maskotkę? – zapytał Franek, a Aniela błyskawicznie powróciła do rzeczywistości.

– Nie.

– A ja mam. Zaczekaj. – Franek zaczął się mocować z zamkiem w kieszeni bluzy. Po chwili szamotania wyciągnął z kieszeni małego pluszaka. – To baranek – uniósł maskotkę do góry.

– Masz dziesięć lat i bawisz się barankiem?

– Nie bawię się nim. Baranek po prostu przy mnie jest. Co za dziwoląg z tego dziecka – pomyślała Aniela.

– Mały Książę też lubił baranka.

– Co ty mi tu z Małym Księciem wyskakujesz?

– Bo to piękna książka. Powinnaś przeczytać.

– Mówiłam ci już, że nie lubię czytać.

– Ale ta książka jest wyjątkowa.

– Czytałam w podstawówce i jakoś mnie nie porwała.

– Teraz byłoby inaczej.

– Napijesz się coli? – Aniela zmieniła temat. Sięgnęła po butelkę z napojem i nalała do szklanek. Podała jedną szklankę Frankowi. Sama przechyliła swoją i wypića duszkiem.

– Cola nie jest zdrowa. Zawiera mnóstwo cukru. Czyści chrom, usuwa rdzę i plamy z krwi.

– Co z ciebie za dzieciak? Czyli nie będziesz pił coli?

– Wolałbym mleko. Ciepłe poproszę.

– Jesteś strasznie dziwny – powiedziała Aniela, podając chłopcu po kilku chwilach kubek ciepłego mleka.

– Trafił swój na swego.

– Czyli ja niby też jestem dziwna?

– A nie? Pracujesz, biegasz, pracujesz, biegasz. A w soboty włóczysz się jak zombie po domu. Nie czytasz książek i nie lubisz baranków.

– Wow! Sherlocku! Faktycznie ze mnie dziwoląg. Jestem jak inni dorośli.

– I to jest niby fajne? Lubisz swoje życie?

– Chyba tak.

– Chyba?

– Daj mi spokój – Aniela była podirytowana.

– Co z twoimi rodzicami? Dlaczego nie spędzacie razem świąt?

Pokręciła głową. Poczula znajomy ucisk w gardle.

– Bo nie.

– Dlaczego?

– Moi rodzice nie żyją.

– Aaa... Przykro mi.

– Mnie też. A ty? Co z twoją mamą? Mieszkasz tylko z babcią?

– Tak naprawdę to moja prababcia. Ale za długo byłoby mówić „prababcia”, więc mówię po prostu „babcia”. Zresztą ona mi powtarza, że czuje się młodziej, kiedy nazywam ją babcią. Czaisz?

– Chyba czaję.

– Mamusia zmarła, kiedy byłem malutki. Prawie w ogóle jej nie znałem. Pamiętam, że miała jasne włosy. Pachniała mydłem. I jeszcze pamiętam, jak mnie przytulała, chociaż sam nie wiem, czy to pamiętam, czy tylko sobie wyobrażam, że tak było. Pokażę ci coś.

Franek wyjął z małego notesika, który nosił w kieszeni spodni, pomięte zdjęcie. Aniela zobaczyła na nim młodą, uśmiechniętą kobietę, która trzymała na rękach niemowlaka.

– To moja mamusia i ja. Uwierzysz, że byłem taki mały?

– Trudno uwierzyć.

– Prawda? Moja mamusia... Wiesz, ja nawet nie wiem, jak to jest kochać mamę.

– Pewnie jest to podobne uczucie do tego, jakim obdarzasz swoją babcię.

– Mnie się wydaje, że jakieś takie mocniejsze. Choć nie wyobrażam sobie, jak można kochać jeszcze mocniej. Często chodzimy z babcią na grób mamy i babcia coś tam do niej mówi, a ja stoję jak kołek. Nie wiem, co miałbym powiedzieć.

– Czasami tak jest, że się nie wie, co w danym momencie mówić.

– Chciałbym jej powiedzieć, że ją kocham, ale ja naprawdę nie wiem, jak to jest kochać mamę.

Aniela poczuła, że chce jej się płakać. Zrobiło jej się szkoda tego chłopca. Ona wiedziała, jak to jest kochać. W jednej chwili zapragnęła krzyknąć na całe gardło: Kochajcie swoje mamy, mówcie im o tym każdego dnia. Nie obrażajcie się na nie bez sensu.

„Mama, mamusia, mamulka. Kochana” – bardzo często tak zwracała się do mamy: „Kochana”. Bo jak nie kochać takiej osoby, która rozświetlała twój dzień uśmiechem. Mama tak często się śmiała. Oczywiście, że czasami ją wkurzała, ale

częściej się z nią śmiała, niż na nią wkurzała. Któregoś dnia poprosiła ją, by mogła zostać w domu. Nie chciała iść na klasówkę, bo się nie nauczyła. Mama napisała jej usprawiedliwienie i pozwoliła zostać w domu, ale Aniela ten czas spędzony w domu musiała poświęcić na naukę. Mama pozwalała jej dotknąć płomienia, by mogła się sparzyć i przekonać, że czasami nie warto pchać się w ogień. Kiedy się przewracała, podawała jej rękę. Razem łatwiej było iść po wyboistej drodze. Mama była stuprocentową kobietą, śmiała się, płakała, czasami też przeklęła na zły los. Kochała na zabój rodzinę. Martwiła się na zapas, piekła najlepsze drożdżowe bułeczki.

W wieku piętnastu lat Aniela wiedziała, że wszystkiego w jej życiu może zabraknąć, ale nie mamy. Miesiąc później zabrakło mamy. Jej świat rozsypał się na tysiąc drobnych kawałków.

Stracić rodziców w tym samym momencie to naprawdę tragedia. Chciała przeżywać żałobę, ale nie było jej dane. Ciotka, u której spędziła kolejne lata, nie pozwoliła jej na to. Powtarzała ciągle, że musi wziąć się w garść. Ale jak tu wziąć się w garść, kiedy twój świat jest rozbity? Dziewczyna płakała tylko w samotności.

– I czemu się mażesz? – pytała ciotka. – Trzeba uporządkować rzeczy rodziców – zachęcała ją.

– Ja... Ja bym chciała je zostawić.

– I po co? – wzruszała ramionami ciocia Basia. – Jeśli je zatrzymasz, będziesz na okrągło rozdrapywała rany, a musisz żyć dalej, rozumiesz?

Aniela sama nie wiedziała, po co jej te wszystkie rzeczy po zmarłych rodzicach, ale wiedziała, że chce je zatrzymać. To było jedyne, co jej zostało.

- To ja już pójdę – Franek znowu przerwał jej rozmyślania. Aniela odprowadziła go do drzwi.
  - Franek?
  - Hm?
  - Fajny z ciebie chłopak. Dziwny, ale fajny.
  - Ty też nie jesteś taka zła.
- Uśmiechnęli się do siebie.

\* \* \*

Franek rozgryzł Anielę. Był jej wdzięczny za to, że z nim rozmawiała, za to, że pomogła mu z chłopakami i za to, że zapłaciła za choinkę. Teraz on musiał jej jakoś pomóc. Ona wyraźnie potrzebowała ciepła. Miał plan.

Babcia wysłała go po świąteczne zakupy. Lista nie była długa, świętowali tradycyjnie, ale skromnie, oszczędzając niemal na wszystkim. A jednak Franek postanowił, że z pieniędzy na zakupy weźmie dwadzieścia kilka złotych i kupi prezent dla Anieli. Wiedział już, co. Z uśmiechem na twarzy ruszył na łowy.

Tego samego dnia Franek położył na wycieraczce Anieli prezent. Wieczorem, kiedy usłyszał, jak samochód wjeżdża na podjazd, podsunął krzesło do drzwi i patrzył przez wizjer na reakcję kobiety. Aniela od razu zobaczyła pakunek leżący na ostatnim schodku.

- Mam nadzieję, że to nie bomba – mruknęła do siebie.
- Wzięła do rąk przezroczystą siatkę, w której był pakunek,

i obejrzała go ze wszystkich stron. Do upominku dołączona była karteczka:

*Żebyś mogła się ogrzać w te święta. Skoro nie masz nikogo...*

*Twój przyjaciel*

*F.*

Uśmiechnęła się pod nosem. Rozdarła papier i wyjęła termofor. Zaczęła śmiać się wniebogłosy.

Oj, ten Franek – pomyślała, a w jej sercu zrobiło się jakoś cieplej.

– Kupiłeś termofor sąsiadce? Wydałeś pieniądze na zakupy? Wiesz, że liczę każdy grosz, a ty... – babcia załamywała ręce, kiedy przyznał się jej, co zrobił.

– Ona nie ma nikogo.

– A my nie mamy połowy składników, by przyrządzić wieczerzę wigilijną.

– Ale mamy siebie. Jesteś dla mnie, babciu, całym światem. Całym światem...

W babcinych oczach zamigotały łzy.

– Tylko że ja chciałam ci zrobić kutię i pierogi z kapustą i grzybami.

– Przeżyję bez kutii, a zamiast pierogów z kapustą mogą być ruskie. Kupiłem twaróg i cebulę...

On mógłby się obejść bez tych pierożków i kutii, ale wiedział, jak bardzo święta są ważne dla babci. Co roku mówiła, że to mogą być już ich ostatnie wspólne... W tym roku było podobnie.

– Mamy siebie, Franek – powiedziała babcia i uśmiechnęła

się do prawnuka. – Mamy siebie... – podeszła do chłopca i przytuliła go. Franek lubił te babcine przytulanki. Wiedział, jak bardzo jest kochany. – A tak w ogóle, skąd znasz naszą sąsiadkę?

– Poznaliśmy się w drodze na przystanek autobusowy.

– Myślałam, że ona nie jeździ do pracy autobusem.

– Coś jej się wtedy zepsuło w tej wypasionej furze.

Zagadałem do niej i tak się zaczęła nasza znajomość. Fajna jest.

– Wydawała mi się zawsze taka wyniosła.

– To tylko pozory, babciu.

Franek opowiedział trochę babci o Anieli, by ją uspokoić.

Następnego dnia Franek ponownie zjawił się u Anieli w domu.

– Franek, nawet cię lubię. Ale to nie jest normalne, żeby kobieta w moim wieku spotykała się z chłopcem w twoim wieku – powiedziała Aniela.

– Dlaczego? Wiele nas łączy...

– Bo wiesz... – Aniela nie wiedziała, jak ubrać myśli w słowa.

– Pedofilia i te sprawy? – wyskoczył Franek.

– O, dobrze to ująłeś.

– Babcia o tobie wie i nie ma nic przeciwko temu, że do ciebie przychodzę.

– Przecież mówiłeś mi, że udajesz przed babcią, że chodzisz do przyjaciela, a nie do mnie.

– W soboty udaję. W inne dni nie. Powiedziałem jej, że się kolegujemy i tak dalej.

– I co?

– Podglądała cię kilka razy przez lornetkę.

– Matko jedyna. Rodzina świrów.



– Może. Stwierdziła, że jesteś niegroźna.

Muszę zasłaniać rolety – zanotowała w myślach Aniela.

– Trupów w lodówce raczej nie trzymasz.

– A jak teraz twoja babcia nas podgląda?

– Wyluzuj. Teraz to ona ma drzemkę. A ja mam do ciebie interes.

– Jaki?

– Może mogłabyś mi jakoś pomóc?

– Co masz na myśli?

– Coś doradzić w sprawie fryzury, ubioru... Żeby nie wyglądał jak lamus.

– Nie wyglądasz.

– Właśnie, że tak. I ty dobrze o tym wiesz.

Aniela zmrużyła oczy i popatrzyła na Franka.

– Jakby trochę przystrzyc ci włosy, zmienić oprawki okularów... – Aniela taksowała go wzrokiem od góry do dołu. – Gdybyś zamiast sweterków w serek nosił bluzy. Myślę, że mogłoby ci to wyjść na dobre.

– A skąd na to kasę mam wziąć?

– Pożyczę ci.

– A niby jak oddam?

– Nie wiem – kobieta wzruszyła ramionami. – Odrobisz. Zakupy zrobisz. Raz mi już podjazd odśnieżyłeś.

– Pomożesz mi? Nie wiem, gdzie kupić fajną bluzę, gdzie jest fryzjer.

– Fryzjera masz za rogiem. Franek, a kto cię do tej pory strzygł?

– Babcia.

– No tak. Jutro kończę pracę wcześniej, jak chcesz, możemy się razem wybrać na zakupy i do fryzjera.

– Byłoby super.

- Sama nie wiem, czemu się na to godzę...
- Bo mnie lubisz?
- Chyba innej możliwości nie ma. A tak w ogóle w domu wszystko w porządku?
- Chodzi ci o babcię?
- Tak.
- Wiesz, martwię się o nią nieustannie.
- O to, że choruje?
- O to, że umrze.
- Teraz nie umrze.
- Nie wiesz tego.
- Nie wiem.
- Nie chcę iść do domu dziecka.
- Nie pójdziesz.
- A co? Zaadoptujesz mnie? – zawsze, kiedy myślał o tym, że babci może zabraknąć, czuł paralizujący strach.

Aniela wyczuła zdenerwowanie chłopca, dlatego zmieniła temat.

- Dzięki za termofor.
- Franek uśmiechnął się od ucha do ucha.
- Grzeje cię?
  - I to jak.

Aniela zaczęła, aż Franek wyjdzie do szkoły i zniknie za zakrętem. Zamknęła drzwi od swojego domu i ruszyła w stronę starej chałupy. Zapukała. Po kilku chwilach z drugiej strony usłyszała szuranie. Drzwi otworzyła starsza kobieta, która uśmiechała się promiennie.

- Dzień dobry. Pani Aniela, prawda?
- Dzień dobry. Tak, to ja. Pani mnie zna?
- Z opowiadań. Franek dużo o pani mówił – starsza kobieta

zachichotała jak nastolatka. – Powiedział nawet, że się przyjaźnicie.

– Przyjaźnimy?

– Pewnie chciałby się z kimś przyjaźnić. Nie ma wielu przyjaciół w swoim wieku. Wie pani, teraz dzieci mają inne zajęcia. Mówiłam mu, żeby zaprosił kolegów na ciasto. Mogliby pograć w bierki. Mamy projektor, slajdy.

Ale nie macie gier, komputera – pomyślała Aniela.

Nie chciała mówić tego na głos, bo przecież w życiu nie chodzi o jakiś głupi komputer, ale dzieciaki potrafią być okrutne i naśmiewać się z innych dzieci, które do nich nie pasują. Nie miała serca powiedzieć staruszce o tym, co spotkało Franka. A właśnie z takim zamiarem przyszła tutaj. Tylko teraz, kiedy zobaczyła tę kruchą kobietę, nieoczekiwanie zmieniła zdanie.

– Proszę, niech pani wejdzie – babcia Franka odsunęła się i gestem ręki zaprosiła Anielę do środka.

– Tylko że ja się spieszę do pracy...

– Praca nie zajac. Upiekłam rogaliki z konfiturą z czarnej porzeczki.

Z czarnej porzeczki...

Do Anieli nagle wróciły wspomnienia. Kiedy jej mama żyła, kilka razy w miesiącu piekła rogaliki z porzeczkową konfiturą.

– Skoro tak, to wejdę. Nie mogłabym sobie odmówić tak pysznego rogalika.

Staruszka, mimo powyginanych artretyzmem palców, uwijała się w kuchni bardzo szybko. Po kilku chwilach na stole pojawił się talerz rogalików i dzbanek różanej herbaty. Aniela rozlała napój do filiżanek.

Usiadły naprzeciw siebie. Babcia na fotelu, młodsza kobieta na wersalce przykrytej wesołą narzutą.

– Czy zauważyła pani, że Franek jest bardzo wrażliwy? – zagaiła rozmowę Aniela.

– Franuś od dziecka był delikatny. Bardzo lubi się do mnie przytulać. Nawet teraz, kiedy ma już prawie jedenaście lat, wtula się we mnie jak kociak. Podoba mi się ta jego „wrażliwość”, jak to pani nazwała...

– A może powinien być bardziej twardy?

– Twardy?

– To chłopak.

– Ale wciąż dziecko.

– Widziałam, jak ostatnio zaczepiali go starsi chłopcy.

– Bili go? – w oczach staruszki zobaczyła przerażenie.

– To były zaczepki... Ale już się nie powtórzą. Obiecuję to pani. Trochę ich nastraszyłam.

– Dziękuję – staruszka sięgnęła po filiżankę. Upiła z niej kilka małych łyków, po czym odstawiła ją na spodek i zaczęła opowiadać: – Mama Franka umarła, kiedy chłopak miał cztery latka. Niewiele ma wspomnień z tego okresu, kiedy byli razem. Na pewno chciałby ją pamiętać... Marzena dowiedziała się, że ma raka, zaraz po porodzie. Ja myślę, że przeżyła tak długo właśnie dla Frania. Chciała, by miał kilka wspomnień związanych z mamą. Miała tak mało czasu, a chciała przekazać jak najwięcej miłości swojemu synowi. Kiedy ludzie dowiadują się, że niedługo umrą, żyją intensywniej. Pomiedzy chemią, wizytami w szpitalu, wtedy, kiedy nie boli, żyją pełną parą. Nie chcą niczego pominąć, o niczym zapomnieć. Marzena napisała do Frania kilkadziesiąt listów. Nawet kiedy nie była w stanie pisać, dyktowała mi... Ja pisałam, a ona drżącą ręką je podpisywała. Czasami musiałam jej podtrzymać dłoń. Tylko jeden podpis, jedno słowo: „Mama”, a sprawiało jej tyle trudności. Niekiedy po każdej napisanej literce musiała

odpocząć. To były jej ostatnie dni. „Daj, ja podpiszę” – proponowałam. Kręciła głową. „Ja jestem jego mamą”. Nie narzekała na swoją chorobę nawet wtedy, kiedy wiedziałam, że bardzo ją boli. Płakała, bo martwiła się, co będzie z Franiem. Jego ojciec zmył się, zanim Franek się urodził, i nigdy się do nas nie odezwał. Mama Marzenki, moja córka, zmarła, kiedy dziewczyna miała osiemnaście lat. Zostałam tylko ja, jej babcia, a prababcia dla Frania. Marzenę bolało to, że zostawia Frania praktycznie samego. Już wtedy byłam stara. Ale obiecałam jej, że zaopiekuję się nim należycie, że będę żyła. Dla niego.

– Franek panią uwielbia – Aniela czuła, jak łzy zbierają jej się pod powiekami.

– Wiem – starsza kobieta uśmiechnęła się do niej ciepło. – Wiem – powtórzyła. – Ale wie pani, może to przeze mnie on nie ma przyjaciół. Może dlatego go zaczepiają? Dzieli nas zbyt duża różnica wieku. On mówi jak dorosły, myśli jak dorosły. A ja nie wiem, czym się teraz bawią dzieci, w co się ubierają...

– I właśnie dlatego panią odwiedziłam. Chciałam panią zapytać, czy mogłabym zabrać Franka do fryzjera i na zakupy dziś po szkole.

Oczy staruszki rozświeciły się.

– Dobrze. W południe powinna przyjść moja emerytura...

– Ale ja chcę zapłacić ze swoich pieniędzy.

– Nie ma mowy – babcia Franka potrząsnęła głową.

– Proszę mnie posłuchać. Franek odśnieżył mi podjazd.

Niekiedy nie mam czasu, by zrobić zakupy, chciałabym, by Franek mi w tym pomógł. W ten sposób zwróci to, co ode mnie otrzyma.

– To rozumiem. Skoro to będzie wymiana, nie jałmużna...

Piły herbatę, Aniela zjadła trzy rogaliki i zastanawiała się, czy sięgnąć po kolejnego.

- A pani?
- Proszę mi mówić po imieniu.
- Aniela, a ty? Co z tobą? Masz takie smutne oczy...
- Moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym.

Pamiętam ten dzień. Nie mogę sobie wybaczyć tego, że się z nimi nie pożegnałam. Byłam czymś zajęta, kiedy mama pocałowała mnie w policzek. Nie oddałam pocałunku. Przytuliła mnie, a ja machnęła na odczepnego do niej ręką. Wtedy wydawało mi się, że zobaczę ją jeszcze tysiące razy, że mamy tyle czasu przed sobą, wiele chwil, które razem przeżyjemy. Los zdecydował inaczej. Kiedy rodzice odeszli, byłam już dużą dziewczynką, a przynajmniej tak mi mówiono. Miałam piętnaście lat. Zaopiekowała się mną ciotka, młodsza siostra mamy. Żyła samotnie, nie miała swoich dzieci ani męża. Nie wiedziała, jak ze mną postępować. Nie biła mnie, nie znęcała się nade mną psychicznie, ale też nie przytulała mnie, nie rozmawiała ze mną tak, jak robiła to mama. „Ciociu, mama odeszła, potrzebuję trochę spokoju” – powiedziałam do niej, kiedy zaczęła rzucać w moją stronę raniące komentarze.

- Co ona na to? – zapytała babcia Franka.

Aniela spojrzała przed siebie, przywołując w pamięci słowa ciotki.

– Kiedy widziała, że się rozklejam, próbowała szybko postawić mnie do pionu. Powtarzała: „Ludzie umierają... Czasami tak jest... Weź się w garść. Dorośnij”. Rugała: „Już od tygodnia siedzisz w domu”. Wydawało mi się, że to niedługo, straciłam przecież rodziców... Ale ona była innego zdania. „Jeszcze dzisiaj możesz zostać w domu, ale od poniedziałku bierzesz się w garść i idziesz do szkoły” – rzuciła, wychodząc z pokoju, a ja rozplakałam się na dobre. Wzięłam do ręki podomkę mamy. Zwinęłam się w kłębek na łóżku, przytulając

do siebie ten kawałek materiału. Pomyślałam, że wciąż pachnie mamą. W tamtej podomce mama witała mnie każdego dnia. Tuliła mnie do siebie na powitanie i całowała w czubek głowy, nawet wtedy, gdy byłam już nastolatką. Siadałyśmy razem przy stole i jadłyśmy śniadanie. Rozmawiałyśmy o wszystkim i śmiałyśmy się. A teraz? Teraz została pustka. Zastanawiałam się godzinami, jak ja sobie poradzę na tym świecie bez mamy. Musiałam przed ciocią udawać silną dziewczynę, bo inaczej bardzo się denerwowała. A tak naprawdę byłam jeszcze przecież dzieckiem. Nie przeżyłam należycie żałoby. Teraz to wiem. Nie doświadczyłam współczucia. Powinnam dorosnąć? W której chwili młody człowiek staje się dorosły? Wtedy, kiedy kończy osiemnaście lat? Wyprowadza się z domu? Zakłada rodzinę? Nie. Musimy dorosnąć, kiedy nasi rodzice odchodzą. Nikt nie powie już do nas: „Dziecinko”.

– Tak, to chyba ta chwila, kiedy dorastamy. Jeden z najtrudniejszych momentów w życiu – pokiwała głową staruszka.

– Ciotka była przeciwieństwem mamy – kontynuowała Aniela. – „Musisz dużo się uczyć, by zdobyć dobrą posadę w banku albo jakiejś dobrze prosperującej firmie” – powtarzała. – „Twoja mama chciałaby, żebyś była dyrektorem w korporacji”. Nieprawda. Mama wcale by tego nie chciała. Ona chciałaby, bym była spełniona, niekoniecznie pracując w banku na dyrektorskim stanowisku. „Chcesz sprzedawać antyki. To sprzedawaj antyki. Chcesz być instruktorką pływania. Bądź instruktorką pływania. Byle byś była szczęśliwa” – powtarzała mi to w kółko, kiedy żyła. Powiedziałam o tym ciotce. „Mama chciałaby, bym była szczęśliwa”.

– Jak zareagowała? – zapytała babcia Franka.  
Aniela uśmiechnęła się smutno.

– Ciotka pokiwała głową, zadowolona: „Właśnie to powiedziałam. Twoja mama chciałaby, żebyś dobrze zarabiała. By było cię na wszystko stać”. Zawsze, kiedy tak mówiła, czułam, jak łzy napływają mi do oczu.

Aniela skończyła opowiadać. Tak dawno nikomu się nie zwierzała, a teraz obciążyła swoimi smutnymi wspomnieniami tę kruchą staruszkę.

– Przepraszam... Nie powinnam – zaczęła dukać.

Babcia Franka podeszła do niej i rozłożyła szeroko ramiona. Młoda kobieta wtuliła się w jej pierś. Sweter staruszki pachniał szarym mydłem i cytryną.

Trwały w uścisku dobrych kilka chwil. Aniela zerknęła na zegarek. Babcia podała jej chusteczkę. Młoda kobieta otarła nią twarz.

– Już po dziewiątej. Jestem mocno spóźniona.

– Czym jest jedno spóźnienie naprzeciw wieczności?

– Niby niczym... – Aniela wstała i ruszyła w stronę wyjścia. Przy drzwiach odwróciła się i spojrzała na starszą kobietę – Franek... Przyszłam tutaj, żeby wyjaśnić całą tę sytuację z Frankiem. Żeby pani nie myślała, że go nagabuję...

– O niczym podobnym nie pomyślałam – staruszka uśmiechnęła się ciepło. – Franek panią lubi. A ja się z tego cieszę. W tych czasach, w których na siłę robi się ze wszystkiego sensację, ja doszukuję się czegoś innego.

\* \* \*

Dwudziestego trzeciego grudnia późnym wieczorem Franek



odwiedził Anielę.

– Spędzisz z nami święta? – zapytał.

– Dzięki, to miłe z twojej strony, ale... – szukała jakiejś dobrej wymówki.

– Babcia cię zaprasza. Ja też.

– Nie wiem, czy powinnam do was przychodzić w święta.

– A dlaczego nie?

– Nie jesteśmy rodziną.

– I co z tego?

– Oj, Franek, wkurza mnie czasami twoja naiwność i brak taktu.

– A mnie to, że nie czytasz książek.

– Obiecuję ci, że przeczytam jakąś, ale ty mi obiecaj, że nie będziesz mnie do niczego zmuszał.

– Obiecuję – chłopak skinął głową. Na jego twarzy odmalował się szeroki uśmiech. – Tylko pamiętaj, że w naszym domu jesteś mile widziana o każdej porze. A teraz zaczekaj... Zaraz wracam! – krzyknął i popędził w kierunku swojego domu. Przybiegł z powrotem zdyszany. W rękach trzymał pakunek.

– To prezent dla ciebie. Miałem ci go dać dopiero jutro, w Wigilię, ale nie wiem, czy się u nas pojawisz.

– Franek, nie powinieneś...

– Może i nie – uśmiechnął się szelmowsko. – Ale chcę. To książka. *Mały Książę*. Tak naprawdę nie kupiłem jej, tylko dostałem dzisiaj po południu.

– Nie chcesz jej najpierw przeczytać? – zdziwiła się Anieli. Potrząsnął głową.

– Znam ją na pamięć. To moja ulubiona książka.

Pozaznaczałem ci najlepsze fragmenty.

Anieli przewróciła oczami.

– Dzięki. Ale ja już dostałam jeden prezent od ciebie.

Termofor. Powiem ci, że przydaje mi się nocą.

– No wiesz, taką kobietę, jak ty, należy obsypywać prezentami.

– Oj, bo pomyślę, że się we mnie zakochałeś.

– W tobie? Takiej diablicy? – puścił do niej oko. Aniela odwzajemniła uśmiech.

– Przyznaj się, że przeszkadza ci różnica wieku...

– No ba. Kiedy ja będę w sile wieku, ty będziesz wspierała się o łaskę. Po co mi taka babuleńka?

Oboje zaczęli się śmiać.

– Wiesz, co? Ja też kiedyś zważyłem w magię świąt, ale nic o tym nie mówiłem babci. Byłoby jej przykro. Bo przecież tak się starała za każdym razem, kiedy przygotowywała piękną wieszczkę. Udawała Mikołaja i podkładała prezenty pod choinkę. Ale ja wiedziałem, że to ona, a nie Mikołaj. Przecież dostawałem coś zupełnie innego niż to, o czym marzyłem. Zazwyczaj sweter robiony na drutach albo ciepłe skarpety, albo tę przekłętą czapkę. Ją dostałem w zeszłe święta. Wtedy coś we mnie pękło. Kiedy otworzyłem prezent i go zobaczyłem, wkurzyłem się. Zacząłem krzyczeć, że nie chcę żadnych prezentów, skoro mają wyglądać tak, jak to! Podniosłem do góry czapkę i zacząłem się z niej śmiać. „Przykro mi, że nie mogę dać ci tego, czego oczekujesz” – babcia przełykała łzy. – „Może ta czapka nie jest idealna... Robiłam ją po nocach, żebyś nie zauważył... Słabo widzę... Palce mnie bolą... Wiesz te moje chore stawy... Jeśli nie chcesz...” Wyciągnęła stare, spracowane ręce w moim kierunku. A mnie zrobiło się głupio i smutno. W jednej chwili pożałowałem tego wszystkiego, co powiedziałem. Próbowałem jakoś to odkręcić. „Przepraszam. Nie chciałem. Ta czapka jest cool, tylko wiesz, babciu, myślałem o jakiejś książce... Przepraszam” – powiedziałem. Od

tamtej pory, kiedy tylko jest chłodno, wkładam tę głupią czapkę. I chyba już ją nawet polubiłem.

– Wiesz co?

– No?

– Jesteś cool. Nie każdego stać na odwagę, by nosić taką czapkę. Nie każdego stać na taki gest, żeby pokazać komuś, jak bardzo go kocha.

– A ty?

– Co ja?

– Dlaczego nie lubisz świąt?

– Kiedyś je lubiłam. Bardzo. Wierzyłam, że w tym czasie spełniają się wszystkie marzenia, zdarzają się cuda. A potem zginęli moi rodzice i uznałam, że cudu i tak nie będzie, bo nikt mi ich nie zwróci.

– Nie, nie zwróci. Ale może się wydarzyć coś zupełnie innego. Jakiś inny cud. Samo to, że tego dnia rodzi się Dzieciątko Jezus, jest cudem. Od tylu tysięcy lat.

– Franek, jak ty coś powiesz...

– Babcia mi to powiedziała. A z babci jest mądra babka. I ja jej wierzę.

Aniela pożegnała się z Frankiem. Odprowadziła go do domu. Zupełnie nie wiedziała, co ze sobą począć. Rozejrzała się po pokoju. Jej wzrok spoczął na książce, którą podarował jej chłopiec.

*Mały Książę* zawsze wydawał jej się infantylny. Nie rozumiała fenomenu tego badziewia. Ale z drugiej strony... Co ją napadło? Zaczęła się zastanawiać nad swoim zachowaniem. Nic, tylko narzeka...

Sięgnęła po książkę, z której wystawały kolorowe karteczki. „Pozaznaczałem ci najlepsze fragmenty” – powiedział

chłopak.

Otworzyła książkę. Franek napisał kulfoniastym pismem dedykację:

*Dla mojej dorosłej przyjaciółki, która była kiedyś dzieckiem.*

Wzruszył ją ten błąd w wyrazie „dziecko” ...

Antoine de Saint-Exupéry zadedykował książkę swojemu przyjacielowi, Léonowi Werth:

*Przepraszam wszystkie dzieci za poświęcenie tej książki dorosłemu. Mam ważne ku temu powody: ten dorosły jest moim najlepszym przyjacielem na świecie. Drugi powód: ten dorosły potrafi zrozumieć wszystko, nawet książki dla dzieci. Mam też trzeci powód: ten dorosły znajduje się we Francji, gdzie cierpi głód i chłód. I trzeba go pocieszyć. Jeśli te powody nie wystarczą – chętnie poświęcę tę książkę dziecku, jakim był kiedyś ten dorosły. Wszyscy dorośli byli kiedyś dziećmi. Choć niewielu z nich o tym pamięta. Zmieniam więc moją dedykację:*

*LÉONOWI WERTH,*

*gdy był małym chłopcem.*

Aniela też była kiedyś dzieckiem. Małą, radosną dziewczynką.

Gdzie się podziała ta wesoła dziewczyna, którą kiedyś była? – zastanowiła się nagle. Pewnie odeszła tam, gdzie znikają wszystkie dziewczynki. Dorosła. Przestała się śmiać na głos. Przestała marzyć. Cieszyć się z drobnostek. Franek na nowo obudził w niej tę dziewczynkę, która mieszkała gdzieś głęboko

w środku.

Bardzo powoli zaczęła czytać pierwszy zaznaczony przez chłopca fragment.

– *Jeśli chcesz mieć przyjaciela, oswój mnie!*

– *A jak to się robi? – spytał Mały Książę.*

– *Trzeba być bardzo cierpliwym. Na początku siedzisz w pewnej odległości ode mnie, ot tak, na trawie. Będę spoglądać na ciebie kątem oka, a ty nic nie powiesz. Mowa jest źródłem nieporozumień. Lecz każdego dnia będziesz mógł siadać trochę bliżej...*

*Oswoiłem cię!* – zanotował Franek na marginesie.

Kolejna kolorowa karteczka była doczepiona do siedemnastej strony:

*Dowodem istnienia Małego Księcia jest to, że był śliczny, że śmiał się i że chciał mieć baranka, a jeżeli chce się mieć baranka, to dowód, że się istnieje.*

Aniela od razu pomyślała o Franku, który nie rozstawał się ze swoim barankiem.

Czytała jeszcze przez chwilę książkę, ze zdumieniem stwierdzając, że naprawdę ją wzruszyła. Z każdą przeczytaną stroną odkrywała nowe przesłania. W końcu odłożyła *Małego Księcia* na szafkę i zadała sobie w duchu pytanie: Czy ten mały Jezus narodził się także dla mnie?

Po raz kolejny jej myśli zwróciły się ku mamie.

Mama była jej przyjaciółką. Kiedy dostała pałę z matmy, to do niej biegła, by się wypłakać.

– *Uczyłam się, a te zadania były takie trudne...*

– *Wiem, córeńko, że wkuwałaś do późnej nocy – mama*

tuliła ją w ramionach i gładziła po plecach. – Czasami tak jest, że mimo najszczerzych chęci coś się nie udaje. Nie jest z ciebie umysł ścisły. Podobnie jak i ze mnie.

Przez kolejny tydzień razem siedziały nad zadaniami do późnej nocy. Aniela poprawiła klasówkę na trójkę z plusem. Potem poszły z mamą do Horteksu na lody. Na te w pucharku, z bitą śmietaną, owocami i sosem malinowym.

Pamiętała też dokładnie ten dzień, kiedy zachorowała na ospę i wszystko strasznie ją swędziało. Mama smarowała krostki takim białym płynem. Okropnie śmierdział. Mama też się nim wysmarowała, żeby Anieli było raźniej. W nocy dziewczynka miała wysoką gorączkę. Mama robiła jej okłady na czoło, nuciła kołysanki i spała na podłodze obok jej łóżka. A rano przebierała się w swoje najlepsze sukienki i udawała, że jest wróżką, która odgania wszystkie choróbska i smuteczki. Taka była jej mama. Aniela cały czas miała do siebie żal, że nie powiedziała jej nigdy, jak bardzo docenia to wszystko, co dla niej robiła. I ten dzień wypadku. Zamiast oddać pocałunek, machnęła ręką. Chciała się jak najszybciej pozbyć z domu „starych”. Ile dałaby za to, by cofnąć czas. Czy mama wiedziała, że Aniela tak bardzo ją kocha?

Tyle razy leżały razem z mamą w łóżku i rozmawiały o tym, co kiedyś będzie.

To mama nauczyła ją gotować. Aniela świetnie piekła i gotowała, ale kiedy mama umarła, jej noga nie powstała już w kuchni. A przecież tyle czasu spędzały tam razem. Piekły baby na Wielkanoc i serniki na święta Bożego Narodzenia, tort czekoladowy na urodziny taty i bezę dla cioci Basi. Ona to wszystko kiedyś potrafiła. Więc może jutro jeszcze zdąży coś zrobić, by sprawić przyjemność Frankowi i jego babci. Mama nie chciałaby, aby spędzała te święta samotnie. Mama na pewno

polubiłaby Franka i jego babcię.

Nazajutrz wczesnym rankiem Aniela włożyła ciepły szal, płaszcz i kozaki. Czuła, że w jej sercu rodzi się jakieś dziwne, miłe uczucie. Podekscytowanie? Radość? Coś, czego nie czuła od dawna.

W jednej chwili już wiedziała. Wiedziała, że chce spędzić wigilijny wieczór z Frankiem i jego babcią. Wybiegła na zewnątrz. Może jeszcze gdzieś zdąży kupić prezenty dla babci i Franka? Może zamówi jakieś smakołyki? Albo nie, kupi produkty na kutię. Zrobi kutię, już postanowiła.

\* \* \*

O godzinie osiemnastej trzydzieści w wigilijny wieczór Aniela stanęła na progu domu swego małego przyjaciela i jego babci. W prawej ręce trzymała talerz z kutią, a w lewej torebki z prezentami. Naprawdę musi być coś magicznego w tym dniu, bo i w niej coś się zmieniało. Jak nigdy cieszyła się, że będzie ten wieczór spędzać z ludźmi, którzy w przeciągu kilku dni stali się dla niej ważni.

Kiedy weszła do domu, poczuła niezwykle ciepło. Przez chwilę zastanawiała się tylko, czy jest jej ciepło, bo od rana w jej domu wysiadło ogrzewanie, czy też to dlatego, że na twarzach chłopca i babci widziała promienne uśmiechy.

– Przyszłaś – powiedział chłopiec i wziął ją za rękę, prowadząc w stronę pokoju.

– Nie inaczej – Aniela też się uśmiechnęła.

Na środku stała choinka, ta sama, która miała połamane

gałązki. Teraz nie było widać, że drzewko zostało pokiereszowane. Ustrojone było w pierniczki, ciasteczka, bombki i łańcuchy z bibuły. Kiedy na niebie zaświeciła pierwsza gwiazdka, chwycili się za ręce i odmówili modlitwę. Następnie babcia podeszła do kredensu i z szuflady wyjęła kartkę.

– Usiądźcie – powiedziała. – Jako nestorka chcę wam przekazać cenne słowa. – Rozłożyła kartkę, rozprostowała ją palcami i zaczęła czytać:

*Narodziłem się z miłości, żebyś nigdy nie zwątpił w moją miłość. Narodziłem się w nocy, żebyś ty uwierzył, że mogę rozjaśnić każdą rzeczywistość spowitą ciemnością. Narodziłem się w ludzkiej postaci, żebyś ty nigdy nie wstydził się być sobą. Narodziłem się jako Syn Człowieczy, żebyś mógł stać się synem Bożym. Narodziłem się prześladowany od początku na znak, któremu sprzeciwiać się będą, żebyś ty nauczył się przyjmować trudności i sprzeciwy. Narodziłem się w prostocie, żebyś ty nie był wewnętrznie zagmatwany. Narodziłem się dla ciebie, w twoim ludzkim życiu, żeby ciebie i wszystkich ludzi zaprowadzić do domu Ojca.*

– Co to takiego? – zdziwiła się Aniela.

– Fragment orędzia z groty betlejemskiej Lamberta Nobena. Po coś ten mały Jezus nam się narodził... – babcia podniosła do góry talerzyk, na którym leżały opłatki. – Czas na życzenia.

Każde z nich wzięło do ręki opłatek. Najpierw przełamali się nim z babcią, składając jej życzenia pełne miłości. A potem Aniela z Frankiem stanęli naprzeciwko siebie.

Żadne z nich przez chwilę nie wiedziało, co ma zrobić. Mogli się przytulić, uśmiechnąć do siebie, ale każde bało się zrobić ten pierwszy krok. Oboje byli samotni, oboje coś stracili.



Oboje wiedzieli, że są dla siebie ważni i że pojawili się na drodze tego drugiego z jakiegoś powodu. Aniela wyciągnęła w kierunku Franka rękę, w której trzymała opłatek. On ułamał kawałek, uśmiechnął się do kobiety. Wszystko działo się jak w zwolnionym tempie. Klatka po klatce przesuwały się kadry z życia samotnej kobiety i samotnego dziecka. Bo są chwile, kiedy świat zwalnia. Bo są chwile miłości, odrodzenia. Przychodzi czas, kiedy spotykają się dwie samotności, które muszą siebie oswoić, aby coś sobie dać. Coś najcenniejszego, co posiadają.

Wigilia to czas cudów. Aniela nagle odczuła to niemal fizycznie.

Usiedli do wieczerzy. Stół był nakryty białym, wykrochmalonym, ręcznie haftowanym obrusem. Zastawiony suto postnymi potrawami. Jedli z apetytem, śmiali się i rozmawiali. Babcia włączyła stary adapter. O, dziwo, jeszcze działał. Eleni śpiewała dla nich kolędy. Po kolacji przyszedł czas na prezenty, które leżały pod choinką.

– Szczerze mówiąc, czekałem na ten moment – powiedział chłopak. Babcia z Anielą roześmiały się zgodnie.

Starsza pani otrzymała srebrną broszkę z bursztynem, Aniela – ręcznie robiony szal w kolorze soczystych, dojrzałych brzoskwiń.

Franek odpakował swój prezent.

– Wow! – krzyknął podekscytowany, kiedy zobaczył osiem książek podręczniczek Neli. – Mam Nelę na własność! – nie krył radości.

– Zastanawiałam się nad laptopem, ale stwierdziłam, że bardziej ucieszysz się z takiego prezentu.

– Co tam laptop – Franek machnął ręką. – Chociaż gdybym go dostał, to też bym nim nie pogardził – stwierdził przekornie.

- Dostaniesz na urodziny.
- Wiedziałem, kogo wybieram na przyjaciółkę.
- Znowu zaczęli się śmiać, tym razem wszyscy troje.
- A ty przeczytałaś swoją książkę? – zapytał Franek.
- Tak, przeczytałam.
- I co? Jakieś wnioski? Przemyślenia?
- Sprawdzasz mnie? – Aniela uśmiechnęła się do chłopca.
- No, ba... – natychmiast odwzajemnił ten uśmiech.

– Planeta Małego Księcia była zbyt mała, aby zaspokoić tęsknoty ludzkiego serca – powiedziała Aniela. – To dlatego Mały Książę ją opuścił. I ja też muszę wyjść ze swojego kokonu, otworzyć się na ludzi, życie, emocje.

- Opuścisz swoją wypasioną chatę?
- Już ją opuściłam na kilka chwil. Jestem przecież tutaj.
- Jesteś i robisz postępy.

– Podczas swojej wędrówki Mały Książę spotyka różnych ludzi – opowiadała dalej o tym, co przeczytała. – To oni pokazują mi, że można żyć inaczej. Nie zawsze to, co mówią, jest słuszne, ale zawsze warto ich wysłuchać, wyrobić sobie własny osąd. Podchodzi do dorosłych, by obserwować ich życie i stawiać im ważne pytania. Zdaje sobie bowiem sprawę z tego, że sam jest jeszcze zbyt mały, aby bez ich obecności i wsparcia mógł zmierzyć się z tajemnicą człowieka i z tajemnicą miłości. *Mały Książę* to przede wszystkim opowieść o dorastaniu do wiernej miłości, do prawdziwej przyjaźni, do odpowiedzialności za drugiego człowieka. Stawia pytania o hierarchię wartości, sens więzi między ludźmi.

– Wiesz – powiedział Franek, po raz kolejny zaskakując ją swoją dojrzałością – trzeba spotkać też tych ludzi, którzy cię odrzucają, nie będą chcieli być twoim przyjaciółmi. To tak, jak Mały Książę, który spotyka na swojej drodze różnych dorosłych,

zanim trafia na lisa czy lotnika.

– Sugerujesz, że jestem lotnikiem?

– Bardziej lisem. Masz takie ładne, rude włosy.

Aniela uśmiechnęła się do chłopca. Ogień dogasał w kominku, babcia drzemała w fotelu... A może tylko chciała, żeby tych dwoje myślało, że drzemie i nie może usłyszeć ani jednego słowa z ich rozmowy?

– Franek, pamiętasz, jak zapytałeś mnie, czy kogoś kochałam?

– Mhm – Franek w skupieniu przeglądał jedną z książeczek o Neli.

– Kochałam jak szalona.

– I co?

– Spieprzyłam to.

– Rzucił cię? – chłopak uniósł głowę.

– Dlaczego zakładasz, że to on mnie rzucił, a nie ja jego?

– Wiesz – chłopak potarł w skupieniu brodę – bądźmy szczerzy. Trudno z tobą wytrzymać.

Aniela parsknęła śmiechem.

– Powinnaś do niego napisać albo zadzwonić – dodał po namyśle.

– A jeśli ma żonę i gromadkę dzieci?

Franek przewrócił oczami.

– A jeśli nie ma? Nie proponujesz mu... No wiesz, czego.

– No wiem. Tylko że minęło tyle lat...

– Spróbuj. Do odważnych świat należy. Ponoć.

– Ponoć.

Aniela wróciła do domu po północy. Usiadła na kanapie, nawet nie zapaliła światła. Było jej dziwnie lekko na sercu. Dopiero teraz uświadomiła sobie oczywistą prawdę, że nikt, mimo swojej bolesnej przeszłości, nie powinien rezygnować

z szukania przyjaźni i miłości. Bo tylko przyjaźń i miłość mogą uczynić człowieka szczęśliwym.

– Ten mały chłopiec oswoił mnie – powiedziała na głos. – Teraz wiem, czego chcę.

Na chwilę przysnęła. Obudziła się, bo czuła w ręku mrowienie. Całe ciało jej zdrętwiało. Wstała z kanapy i rozmasowała bolącą dłoń. Podeszła do okna. Padały wielkie płatki śniegu. Prawdziwe, białe święta... Mróz wymalował na szybach cudne wzory. Na wysokości nosa Anieli okno zaparowało. Podniosła rękę i palcem narysowała w tym miejscu serce. Pomyślała o Michale. Poczowała ukłucie w sercu. Pamiętała, jak bała się przed nim otworzyć. Stać przed nim nago, bez maski, pozorów, jakie wokół siebie stworzyła. Powiedzieć mu: „Jestem słaba, ale udaję silną”. Bała się przed nim rozplakać, by nie pomyślał, że go potrzebuje. A potrzebowała. Czuła, że on, jak żaden inny mężczyzna, zrozumiałby ją. Bo to jemu mogła powiedzieć, że czuła się zraniona, porzucona, pozostawiona sama sobie. Franek miał rację, powinna do niego zadzwonić. Chwyciła telefon. Bez zastanowienia zadzwoniła pod jego stary numer. Nigdy go nie zapomniała. Automatyczna sekretarka poinformowała ją, że nie ma takiego numeru.

No i dupa! – pomyślała. Rzuciła się na łóżko. Spojrzała na laptop. Facebook! Może ma tam konto? Miał. Napisała do niego wiadomość o drugiej trzydziści w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia:

*Jeśli chciałbyś się ze mną spotkać, przyjdź. Mój adres: Lazurowa 3. Nie odpisuj, nie pytaj, dlaczego właśnie teraz. Po prostu przyjdź. Jeśli masz zobowiązania: żonę, narzeczoną, dzieci, zapomnij o tej wiadomości.*

Kiedy Aniela wyszła, Franek położył się na łóżku. Spod poduszki wyjął list, który wręczyła mu dzisiaj babcia. Babcia co roku dawała mu dwa listy. Jeden na urodziny, drugi na święta. Zawsze, kiedy dostawał list, ogarniała go taka euforia, że miał ochotę skakać do sufitu, a potem, kiedy kończył czytać, robiło mu się smutno, tak smutno, jak tylko może być smutno małemu chłopcu.

*Franiu,  
jesteś już dużym chłopcem. Sporo rozumiesz, a zapewne jeszcze więcej wiesz. W tym szczególnym dniu chciałam Ci napisać, co czułam, kiedy zostałam mamą, a następnie przez kolejne miesiące, kiedy byliśmy razem.*

*Zwariowałam na Twoim punkcie. Kiedyś myślałam, że zwariowałam na punkcie Twojego taty, ale to nieprawda, tego wariactwa nie dało się z niczym porównać. A jaką miłość poczułam? Jak stąd do końca wszechświata. Wyobrażasz sobie? Stałeś się moim końcem i początkiem.*

*Wzrusza mnie Twój uśmiech, cierpię, kiedy Cię coś boli. Tyle razy płakałam już razem z Tobą! Milczę, kiedy sobie coś gaworzysz, by słyszeć każdy dźwięk, który wydajesz. Odkąd pojawiłeś się na tym świecie, stawiam Twoje życie przed moim. Franiu! Moje kochane, największe szczęście!*

*Jeśli kiedyś pomyślisz, że jesteś niekochany, to się mylisz, bo był ktoś, ba... Jest ktoś, kto kocha Cię tak bardzo, że już bardziej nie można. Tą osobą, tym aniołem, którego nie widzisz, a który stoi zawsze przy Tobie, jestem ja. Twoja mama.*

Franek złożył list na pół. Pocałował kartkę i położył na piersiach.

– Kocham cię, mamusiu – powiedział łamiącym się głosem.

– Kocham...

Aniela zasnęła, ale wstała już o siódmej. Stwierdziła, że dziś może sobie odpuścić poranny jogging. Wzięła prysznic, zrobiła delikatny makijaż. O dziewiątej dwadzieścia usłyszała pukanie. Zerwała się na równe nogi i podbiegła do drzwi. Przeczesała ręką włosy, otworzyła drżącymi rękami. W progu stała ciocia Basia.

– Ciocia? – młodsza kobieta nie kryła zdziwienia.

– Masz minę, jakbyś ducha zobaczyła.

– Nie spodziewałam się ciebie tutaj.

– Ja... – ciocia też nie wiedziała, co ma powiedzieć. –

Chciałam cię zobaczyć.

– Naprawdę?

– Tak.

– Wejdz.

Ciocia weszła do domu, ciągnąc za sobą malutką walizkę na kółkach.

– Przywiozłam sałatkę i śledzika.

– A ja mam makowiec.

– Makowiec? Kupny?

– Nie, pieczony w domu. No, nie patrz tak na mnie – odezwała się Aniela, kiedy zobaczyła zdziwione spojrzenie cioci. – To nie ja piekłam, tylko przemiła starsza pani, u której spędziłam Wigilię.

Ciotka Basia zostawiła walizkę w przedpokoju i usiadła na kanapie w salonie. Aniela w tym czasie zaparzyła dzbanek herbaty i pokroiła ciasto. Ciotka obserwowała każdy jej ruch, czując dumę, że siostrzenica wyrosła na taką zaradną kobietę. Tęskniła za nią, odkąd się wyprowadziła.

Kiedy zmarła Marlena, matka Anieli, Basia tak naprawdę

nie wiedziała, co ma począć z tą roztrzęsioną dziewczyną. Patrzyła na Anielę ze współczuciem. Nawet sobie nie chciała wyobrazić, jakie piekło przeżywa. Ona też cierpiała. Jej starsza siostrzyczka umarła. Wstydziała się tego, że czasami w myślach złorzeczyła siostrze, kiedy ta jeszcze żyła. Basia była zazdrosna o rodzinę Marlenki, a najbardziej o Anielę. Kiedyś, zanim na świecie pojawiła się mała Anielka, to właśnie Basia była siostrze najbliższa. Siostra nigdy jej nie zaniedbywała, ale po urodzeniu dziecka, jak każda matka, zwróciła się ku swojej córeczce. Basia nigdy nie zbliżyła się do Anieli. Sądziła, że ta odebrała jej chwile, które to ona mogła spędzić z siostrą. Oczywiście, to było głupie, ale nie mogła pokonać tych wszystkich negatywnych emocji, które kłębiły się w jej duszy.

Kiedy zginęła Marlena, na progu jej domu pojawiła się Aniela. Zapłakana, zasmarkana, wyglądająca jak kupa nieszczęścia. Co ona miała z nią począć? Wiedziała, że musi się zająć siostrzenicą, jak tylko umie najlepiej. Bała się, ale to był jej obowiązek. Była bezdzietną starą panną. Najbliższą krewną dziewczynki.

Mijały miesiące, a Aniela z Barbarą nie potrafiły się do siebie zbliżyć. Wyraźnie wyczuwało się między nimi napięcie. I właśnie to napięcie, ten mur, jaki wyrósł między siostrzenicą a ciotką, spowodował, że Barbara nie chwyciła Anieli w objęcia i nie dała takiego wsparcia, jakiego ta młoda osoba od niej potrzebowała.

Aniela była bardzo podobna do swojej matki. Kiedy Basia na nią patrzyła, rodził się w niej żal za wszystkim tym, co stracone. Co ciekawe, wraz z upływem czasu pokochała Anielę tak bardzo, że po jej wyprowadzce płakała niemal codziennie przez miesiąc, jednak nikomu się do tego nie przyznała.

Odwiedzały się rzadko. Dziewczyna widocznie nie chciała

przyjmować starej ciotki, a ona nie chciała się narzucać. Dopiero w tę Wigilię coś w niej pękło. W pierwszy dzień świąt wsiadła w pociąg i ruszyła odwiedzić siostrzenicę. Niczego tak nie chciała, jak zobaczyć Anielę.

Ten dzień spędziły razem. Były na spacerze i w kościele. Śpiewały kolędy. Koło czternastej Aniela zaserwowała śledzia i sałatkę.

– Nie mam obiadu. Nie spodziewałam się gości.

– To wystarczy – Barbara uśmiechnęła się do siostrzenicy.

– Co u ciebie?

– Mam dobrą pracę.

– Piękny dom – ciocia zatoczyła ręką koło.

– Ale jestem samotna.

– Zawsze możesz do mnie przyjechać czy zadzwonić.

– Mogę.

– Ale nie chcesz.

– Oj, ciociu... – Aniela westchnęła, potrząsając głową. – Zawsze mi powtarzałaś, że muszę być silna, wziąć się w garść. Dlaczego miałabym do ciebie dzwonić i chlipać w słuchawkę?

– Bo jestem twoją ciocią. Wiesz... Może nie powinnam była ci mówić tego wszystkiego, że trzeba być silnym, nie mazać się. Ale wtedy sądziłam, że tak będzie ci łatwiej pogodzić się ze stratą rodziców.

– Nie było.

– Przepraszam...

Między nimi zapadła krępująca cisza.

– Nieważne, było, minęło... – Aniela machnęła ręką. –

Cieszę się, że przyjechałaś.

– Naprawdę? – w sercu Basi zatrzepotały motyle.

– Tak. Naprawdę.

Spojrzały sobie w oczy. Ten mur, który wznosiły przez te



wszystkie lata, zaczął pękać. Może to były mikropęknięcia, ale tak to się wszystko zaczyna.

Aniela włączyła odtwarzacz CD. Z głośników popłynęły dźwięki kolędy:

*Oj, Maluśki, Maluśki, Maluśki... kieby rękawicka...*

Barbara niezdarnie objęła siostrzenicę.

– Dziecinko – szepnęła jej do ucha.

Po policzkach Anieli popłynęła samotna łza.

Na to słowo czekała dziewiętnaście lat...

Wieczorem ciocia zaczęła się ubierać.

– Mam pociąg o dwudziestej – zakomunikowała Anieli.

– Jeśli chcesz zostać...

– Dziękuję...

– Odprowadzę cię na stację.

– Nie. Wolałabym się przespacerować. Sama.

– Skoro tak chcesz.

– Tak chcę – uściskały się na pożegnanie. – Kocham cię.

Zawsze cię kochałam. Może koślawo okazywałam swoje uczucia, ale wiesz, ja... Stara panna...

– Wiem, ciociu, ja wszystko wiem.

Barbara wyszła.

Ale los szykował dla Anieli jeszcze jedną niespodziankę tego dnia. Pięć minut później kobieta usłyszała pukanie.

Pewnie ciocia czegoś zapomniała – pomyślała. Otworzyła drzwi i zaniemówiła. W progu stał Michał.

Musiała się oprzeć o futrynę, bo zakręciło jej się z wrażenia w głowie.

– Ja myślałam...

– Jestem.

– Jesteś.

Gestem zaprosiła go do środka. Między nimi zapadła cisza.

Milczenie wślizgiwało się pomiędzy nich jak ostrze noża.

– Jesteś w moim domu – Aniela nie mogła w to uwierzyć.

– Napisałaś, więc... – wzruszył ramionami.

Kobieta patrzyła w oczy mężczyzny, którego kiedyś kochała. Wdychała jego zapach. Było jakoś dziwnie. Na jego twarzy malował się uśmiech. W pewnym momencie wyciągnął ku niej rękę i przyciągnął do siebie. Wtopiła się w jego ramiona. Byli tak blisko, że mogliby być jednym ciałem.

Kiedyś w jej oczach zakorzeniony był strach, teraz niczego się już nie bała. Uwierzyła, że w jej życiu może być już tylko lepiej. Mężczyzna patrzył na nią z czułością, pytając w milczeniu, czy jest pewna. Ona już wiedziała, że tego chce. Chce być z nim.

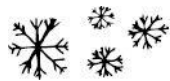
Michał nachylił się i pocałował Anielę. To był pocałunek delikatny niczym zefir. Usiedli na kanapie. Ona położyła głowę na jego ramieniu, on głaskał jej włosy. Rozglądał się po salonie. Jego wzrok spoczął na szafce, na której leżał *Mały Książę*. Uśmiechnął się pod nosem. Nie sądził, że Aniela będzie czytać właśnie tę książkę. Jego ulubioną książkę z dzieciństwa.

– „Dla całego świata możesz być nikim, dla kogoś możesz być całym światem” – szepnął jej do ucha.

\* \* \*

Trzeba nauczyć się patrzeć na zawieruchy z perspektywy kogoś, kto wie, że prędzej czy później niebo się rozpodzi, zaświeci słońce, a my będziemy silniejsi o kolejną walkę, stoczoną z przeciwnościami losu. Poskładamy na nowo

rozsypane puzzle emocji, nadziei, przeżyć i celów.



**ALEK ROGOZIŃSKI**



*Cyganka prawdę ci powie...*

*Wesołych Świąt. Też mi pomysł! Jakie masz prawo być wesołym? Jakie masz do tego podstawy?*

*Charles Dickens, Opowieść wigilijna*

Euzebiusz Skrócki wyszedł z księgarni przy Wiśniowej wściekły. Każdy, kto go znał, wiedział, że nie ma w tym niczego

dziwnego. Euzebiusz był wściekły właściwie bez przerwy, odkąd tylko w kołysce odebrano mu pierwszą w jego życiu grzechotkę. Przestał się wtedy uśmiechać, jak się potem okazało, prawie na zawsze, a radosne gaworzenie zamienił w przerażający ryk. Z biegiem czasu stał się on jego ulubionym sposobem komunikacji z otoczeniem. Kiedy dorastał, wrzeszczał i na swoich rodziców, tudzież resztę rodziny, i na kolegów z podwórka. Ci ostatni szybko uznali go za dziwaka i zaczęli unikać jak ognia, na sam jego widok dając nogę w przeciwnym kierunku.

Potem krzyczał na nauczycieli, którzy dla świętego spokoju zawsze – z reguły niezbyt zasłużenie – podciągali mu oceny, starając się tym samym uniknąć kłopotliwych dyskusji z rozhisteryzowanym podopiecznym. Wysłuchiwanie jego gniewnych wrzasków nie uniknęli też wykładowcy w szkole teatralnej, do której dostał się tylko dlatego, że w czasie egzaminów chorował na zapalenie krtani, co skutecznie uniemożliwiło mu dobitne wygłoszenie swojej opinii o kompetencjach osób zasiadających w komisji, jego zdaniem pretendujących do miana kompletnych imbecyli. Wyżywał się też na swoich pracownikach w teatrze, który przedziwnym zrządzeniem losu stał się jego własnością. Personel tej placówki oraz zatrudniony tam zespół aktorski szybko ograniczył do niezbędnego minimum wszelkie kontakty ze swoim szefem i nawet obdarzona złotym sercem pani Stenia, szatniarka, która przez lata z cierpliwością godną zakonniczy na afrykańskiej misji znosiła wybryki swojego męża-pijaka, na widok Euzebiusza zęgnęła się znakiem krzyża i nie używała w stosunku do niego innego określenia niż „ten Belzebub”.

Istniały tylko dwie osoby, na które Euzebiusz nigdy nie podniósł głosu. Pierwszą była jego mała córka, owoc krótkiego

związku z Izą, aktorką, która grała u Skróckiego rolę szekspirowskiej Julii i to tak przekonująco, że on sam zapragnął odegrać rolę Romea. Pragnienie trwało zaledwie kilka tygodni, po których partnerka zaczęła go wkurzać jakimis z sufitu wziętymi i niedorzecznymi żądaniem typu: „A może byśmy wyszli gdzieś razem na romantyczną kolację?”, „Dlaczego nigdy nie kupujesz mi kwiatów, popatrz, jakie piękne róże ma ta stara handlarka” albo: „Czy myślałeś o tym, żebyśmy kiedyś razem zamieszkali?”. Gdy wreszcie któregoś dni nastąpiła kulminacja jej nagłego i dla Euzebiusza bardzo rozczarowującego wariactwa, wyrażająca się w budzących grozę słowach: „A może poznasz moich rodziców?”, Skrócki czym prędzej zakończył swój związek, na koniec wyrzucając swoją niedawną ukochaną z teatru, a sztukę Szekspira z repertuaru.

Dwa miesiące później otrzymał niespodziewany list, w którym jego była (i na dobrą sprawę jedyna) partnerka informowała go w krótkich i, zwłaszcza jak na nią, lakonicznych słowach o tym, że za kolejne pół roku zostanie tatą. Tak też się stało. W ciągu ostatnich trzech lat Skrócki widział swoją córeczkę jedynie kilkanaście razy. Była urocza, miała mądre oczy, nigdy nie darła się wniebogłosy ani nie płakała jak inne dzieci i Euzebiusz czasem w duchu żałował, że zbyt pochopnie zgodził się na to, aby zrzec się do niej praw i jedynie łożyć na jej utrzymanie. Ale co się stało, to się nie odstanie. Skrócki był zbyt dumny, żeby przyznać się, choćby tylko przed sobą, że popełnił błąd.

Drugą osobą, na którą Euzebiusz nigdy nie podniósł głosu, był pan Alojzy. Nie żeby starszy pan go wiecznie nie irytował swoją ślamazarnością i głupimi, jego zdaniem, uwagami. Kiedyś, wręczając mu *Poskromienie złośnicy* Szekspira, zauważył po cichu: „Tylko płeć się trochę tu nie zgadza”. Innym

razem, gdy podawał mu sztukę *Sto lat milczenia*, westchnął: „Oby tylko udało się panu z tego wyciągnąć odpowiednie wnioski...”. Euzebiusz z trudem, ale zawsze hamował się przed ostrzejszą ripostą na takie zaczepki, bo też i zdawał sobie sprawę, że żaden inny księgarz nie zdobędzie dla niego szybko pozycji, których potrzebował. Czasem specjalnie wymyślał jakieś białe kruki, niedostępne nawet w Bibliotece Narodowej, aby tylko sprawdzić, czy pan Alojzy naprawdę zasługuje na opinię cudotwórcy, który potrafi wyczarować każdą książkę. I faktycznie, pod tym względem księgarz nigdy go nie zawiódł. Skrócki doszedł więc do wniosku, że może przymknąć oko na jego docinki i udawać, że go nie dotyczą.

Teraz jednak ten cholerny staruch stanowczo przekroczył granicę dobrego smaku! Nie dość, że likwidował swoją Księgarenkę, to jeszcze na pożegnanie zamiast czegoś, co by się Skróckiemu przydało w pracy, podarował mu jakąś ramotę dla dzieci. *Opowieść wigilijna* Dickensa, dobre sobie! Bezsensowna historia kogoś, kto nie dość, że widzi duchy, to jeszcze z nimi rozmawia! Ciekawe, jaka szalona myśl przyświecała panu Alojzemu, kiedy wybierał dla niego tę akurat pozycję? Pewnie żadna. Staruszek zbzikował i tyle.

W pierwszej chwili po wyjściu z księgarni Euzebiusz miał ochotę wyrzucić podarowaną mu kilka minut wcześniej książkę do kosza na śmieci, pokrytego dziś grubą warstwą śniegu, ale po namyśle schował ją do swojej skórzanej aktówki. W sumie powieść była ładnie wydana, bogato ilustrowana, w twardej oprawie i jako taka idealnie nadawała się na prezent. Na przykład dla dziecka księgowej, którą niedawno rzucił mąż. Zawsze lepiej wręczyć jej coś takiego, niż dać podwyżkę.

Euzebiusz uśmiechnął się pod nosem na samą myśl, że podarunek od pana Alojzego pozwoli mu choć na chwilę

zastopować ciągle nagabywania ze strony księgowej. Jasne, że powinna dostać tych parę złotych więcej już jakiś czas temu, Skrócki miał tego pełną świadomość, ale nie bez powodu przecież współpracownicy mówili, że jest człowiekiem, który „plasterkiem serka wyżywiłby pół Warszawy”. Skąpstwo było jego drugim imieniem i Skrócki wcale się tego nie wstydził.

Trzeba mu też sprawiedliwie oddać, że skąpy był nie tylko dla innych, ale też i dla siebie. Swoje potrzeby skutecznie ograniczył prawie do zera – części garderoby uzupełniał tylko wtedy, gdy poprzednie kończyły swój żywot i nijak już nie dało się ich zacerować, naszyć łąty czy też dokonać na nich innych operacji krawieckich. Nie posiadał telewizora i radia, bo, jego zdaniem, zużywały za dużo prądu. Posiłki łączył tak skrętnie, że wychodziło mu z tego jedno, niezbyt obfite danie dziennie. Z zarobionych pieniędzy zostawiał sobie jedynie skromną sumkę, która pozwalała na przeżycie od pierwszego do pierwszego, a resztę odkładał na lokacie długoterminowej, dostając piany na ustach ze wściekłości za każdym razem, gdy bank przysyłał mu komunikat o obniżeniu oprocentowania jego oszczędności.

Wszystkie dodatkowe zarobki wydawał tylko na książki. Bo choć kupienie nowego garnituru, w chwili kiedy stary jeszcze nie do końca puszczał w szwach, czy kilku plasterków droższej szynki, kiedy równie dobrze można było zjeść kanapkę z pasztetówką, wydawało mu się niezbyt rozsądną ekstrawagancją, to na książki nigdy nie skąpił. I nigdy też nie żałował tego, że je kupił. Były bowiem jego jedyną pasją i przyjemnością, przy nich zmieniał się nie do poznania, wzruszał... Ba! Często nawet wybuchał śmiechem.

Bo wbrew pozorom Skrócki poczucie humoru miał, tyle że jakoś nigdy nie czuł potrzeby dzielenia się nim z innymi,



w związku z czym większość osób uważała go za ponuraka.

Euzebiusz kochał więc kupować książki, ale wyłącznie dla siebie, nigdy dla innych. Dlatego jeszcze raz spojrzął, już nieco łaskawszym okiem, na prezent od pana Alojzego. Ramota nie ramota, a podarować ją będzie można i wyjść na szczodrego, nie wydając przy tym ani grosza. Po prostu znakomicie!

– Ładny pan – usłyszał zniecka za sobą. – Da powróżyć ładny pan...

Zdumiony Euzebiusz odwrócił głowę i zobaczył Cygankę. Wyglądała tak klasycznie, że przez chwilę Skróckiemu, zajmującemu się w teatrze nie tylko dyrektorowaniem, ale przede wszystkim reżyserowaniem przemknęło przez myśl, że ma przed sobą aktorkę, która urwała się z przedstawienia *Carmen*. Stojąca przed nim kobieta ubrana była w długą, kolorową spódnicę. Na ramiona miała narzucone dwie grube chusty, spod których miejscami wystawały fragmenty białej bluzki z bufiastymi rękawami. Do tego na nogach nosiła czarne skórzane buty na wysokim słupku. Jej głowę zdobiła opaska, równie wielobarwna co spódnica, a w uszach miała wielkie, okrągłe, srebrne kolczyki. Spod opaski wysuwały się długie, gęste, czarne, nieco kręcone włosy, zakrywające jej twarz tak, że trudno się było nawet zorientować, czy kobieta jest stara, czy młoda.

– Cyganka przyszłość przepowie – głos kobiety był niski, gardłowy i nieco schrypnięty. – Ładny pan, przystojny pan, Cyganka powie, co go czeka...

Ładny? Przystojny? Ja?! – pomyślał rozbawiony Skrócki. – Może jest ślepa?

– Nie, dziękuję – odpowiedział stanowczo i zaczął iść nieco szybciej. Kobieta nie zamierzała jednak tak łatwo się poddać. Też przyspieszyła kroku i po kilku sekundach złapała go za rękę,

przez przypadek wytrącając mu z niej aktówkę z prezentem od pana Alojzego.

– Niech ładny pan się da przekonać – poprosiła. – Cyganka wiele rzeczy widzi, pomoże, poradzi. Ładny pan da rękę, a Cyganka wszystko mu powie. I o tym, co było kiedyś, i o tym, co jest teraz, i o tym, co będzie później...

Później to zadzwonię na policję, żeby cię zgarnęła na dołek. Będiesz sobie przepowiadać przyszłość koleżankom z celi... – pomyślał gniewnie Skrócki, pochylając się, aby podnieść swoją sponiewieraną nieco teczkę. Kobieta go jednak ubiegła.

– Ładny pan nie ufa, że Cyganka wie rzeczy, których nie powinna wiedzieć – powiedziała, obracając w dłoniach jego teczkę. – Ale się myli! Cyganka wie. Dużo wie!

– Na przykład? – Skrócki sklął się w duchu za to, że wdał się w rozmowę z kobietą, zamiast posłać ją do diabła i postraszyć odpowiednimi służbami. W dodatku spieszyło mu się do teatru, gdzie pod jego nieobecność na pewno nic nie szło tak, jak powinno, a aktorzy, zamiast odbywać próbę, z pewnością siedzieli beczynnie, mieląc jęzorami i narzekając na to, że nie dał im wolnego, o co prosili go od kilku tygodni.

– Cyganka wie, że w tej teczce jest książka – powiedziała kobieta powoli. – Ładnemu panu wydaje się, że to książka nie dla niego, ale się myli. Ta książka zmieni jego życie. Ładny pan, przystojny, ale nieszczęśliwy. Miłości nie ma w sercu...

Miłości? – pomyślał Skrócki. – Co za nonsens! I ciekawe, skąd wie o książce. E, to proste. Pewnie podejrzała przez okno księgarni, jak pan Alojzy mi ją wręcza. Faktycznie, jasnowidzka...

– Ładny pan myśli, że mu miłość niepotrzebna – rzekła Cyganka, jakby czytając w jego myślach. – A to nieprawda. Myli się ładny pan, oj myli... I już niebawem się o tym

przekona... Czy da mi ładny pan rękę?

– No niechże pani sobie nie żartuje! – zachnął się gniewnie Euzebiusz. – I natychmiast zwróci mi moją własność, zanim wezwę policję!

Cyganka zrobiła krok do tyłu i nagle schowała teczkę za siebie.

– Niebezpieczeństwo widzę, groźbę – zaskrzeczała. – Wypadek...

Skrócki chciał popukać się w czoło, ale w tym samym momencie Cyganka podniosła do góry głowę. Była w średnim wieku, a jej twarz sprawiała dziwne wrażenie, tak jakby była nieco napuchnięta czy też może zdeformowana. Nie to jednak sprawiło, że Euzebiuszowi dreszcz przeszedł po plecach. Powodem tego był przerażony wzrok Cyganki. Odbite w nim światło latarni dodatkowo potęgowało wrażenie grozy.

– Niech mnie ładny pan posłucha – Cyganka znów chwyciła Skróckiego za rękę. Ten, nieco oszołomiony, tym razem nie wyrwał jej z uścisku. – Jeszcze dziś ładny pan spotka trzy osoby. Pierwszej z nich pomoże. Ona doprowadzi ładnego pana do drugiej osoby. Tę uratować będzie trzeba, groźba wisi też i nad nią. A dzięki niej pojawi się trzecia osoba. Ta niebezpieczeństwo odegna, groźbie zaradzi. Po tej nocy nic już nie będzie takie samo! Wspomni ładny pan moje słowa. Chyba że...

Przerwała i znów opuściła głowę, a włosy ponownie zasłoniły jej twarz.

– Chyba że...? – powtórzył pytającym tonem Skrócki, mimowolnie zainteresowany ciągiem dalszym.

– Chyba że ładny pan nie pomoże nikomu – ochrypli głos Cyganki zrobił się jeszcze bardziej gardłowy. – A wtedy zło spotka ładnego pana, Cyganka to widzi wyraźnie, wielkie zło...

Skrócki przez chwilę walczył ze sobą. Z jednej strony gdzieś w głębi duszy czuł się dziwnie nieswojo, a z drugiej rozum podpowiadał mu, że oto z wolna daje się omamić jakiejś niezrównoważonej kobiecie, która plecie trzy po trzy. Jak zwykle u Euzebiusza rozum wygrał.

– Wielkie zło spotka panią, jeśli zaraz nie dostanę z powrotem swojej teczki – powiedział stanowczo, wyciągając rękę w kierunku kobiety. – Już nawet dam pani tych kilka złotych za te dyrdymały, które mi tu pani wygaduje...

Cyganka podała mu teczkę. Ale kiedy Skrócki zaczął ją otwierać, aby wyciągnąć portfel, powstrzymała go zdecydowanie.

– Nie! – bez mała krzyknęła. – Cyganka nie weźmie ani grosza. Chce tylko obietnicy.

– Tak? – Euzebiusz lekko się zdziwił, a w duchu pomyślał, że baba musi być szurnięta na umyśle o wiele bardziej niż przypuszczał, skoro odegrała taką scenkę po to, aby nie zainkasować za nią pieniędzy. – Jakiej obietnicy?

– Jeśli ładny pan uwierzy Cygance, a uwierzy, oj uwierzy – powiedziała kobieta powoli, na jej twarzy niespodziewanie zagościł uśmiech – to niech jutro wieczorem, w Wigilię, o dwudziestej pierwszej przyjedzie tutaj, w to samo miejsce. I niech podaruje Cygance książkę, którą ma w tej teczce. Niczego więcej Cyganka nie chce...

Skrócki uśmiechnął się pod nosem.

– Oczywiście – powiedział. – Jeśli tylko to, co mi pani tu naopowiadała, spełni się, jutro podaruję pani tę książkę.

– Ładny pan składa obietnicę? – zapytała Cyganka poważnie.

– Tak, składam – Skrócki powstrzymał parsknięcie śmiechem.

– Niech ładny pan nie łamie obietnic, bo kara go za to spotka straszliwa – powiedziała.

– No jakże bym śmiał! – Euzebiusz starał się ciągle utrzymać poważny wyraz twarzy, choć czuł, że powoli zaczynają mu drgać kąciki ust.

Cyganka popatrzyła na niego uważnie. Przejeżdżający ulicą samochód na moment ponownie oświetlił jej twarz i Skrócki przez chwilę miał wrażenie, że jest ona dziwnie znajoma. Zaraz jednak doszedł do nieco pogardliwego wniosku, że zapewne wszystkie Cyganki wyglądają podobnie. Kobieta, jakby przestraszona tym, że znalazła się w blasku reflektora, szybko opuściła głowę, a następnie odwróciła się i, mrużąc coś pod nosem, zaczęła się oddalać od Skróckiego. Ten popatrzył jeszcze chwilę za nią, po czym wzruszył ramionami i ruszył w swoją drogę. Teraz już był solidnie spóźniony, więc przyspieszył kroku.

Oczywiście, najlepiej byłoby podjechać te dwa kilometry, jakie dzieliły go od teatru, autobusem, ale, jak to zimą, komunikacja miejska była czystą abstrakcją, a jej rozkład istniał tylko na kartkach powieszonych na przystankach i nijak nie oddawał stanu rzeczywistego. A ten był taki, że już od kilkunastu minut Skrocki nie widział na ulicy żadnego środka masowej komunikacji.

Jak to jest – myślał Euzebiusz, patrząc na swoje buty, na których już zaczynały się tworzyć białe plamy od soli, sypanej na ulicę, żeby jakieś niezdary nie wywinęły orła i nie zwichnęły sobie żadnej kończyny tudzież nie obtłukły kości ogonowej. – Jak to jest, że ta cholerna zima zawsze wszystkich zaskakuje. Pierwszy śnieg spada w listopadzie, no po prostu szok. Całe miasto stoi w korkach i nikt nie potrafi zapanować na chaosem. W grudniu to samo. I, co najdziwniejsze, w styczniu jest nie

inaczej. Choć akurat to jest może i zrozumiałe. Bo skoro przez dwa miesiące nic się nie stało, to wszyscy liczą chytrze, że i trzeci przeleci siłą rozpędu...

– Przepraszam, czy mógłby mi pan pomóc? – do Skróckiego, klnącego w duchu na Zarząd Transportu Miejskiego, Zarząd Tramwajów Miejskich, korporacje taksówkowe (z usług których i tak by nie skorzystał, bo szkoda pieniędzy) i zzymającego się w duchu z powodu faktu, że lektyki wyszły z mody jakieś dwa tysiące lat temu, dobiegł cichy, nieśmiały głosik. Euzebiusz popatrzył za siebie, ale nikogo nie zobaczył.

– Proszę pana...?

Skrócki skierował wzrok na dół, aby zobaczyć, że głos należy do małej dziewczynki. Zakutana w czerwony płaszczyk w kratę, zwieńczony ogromnym kapturem, oraz ubrana w buty, które Euzebiuszowi skojarzyły się z legendarnymi „Relaksami”, istotka patrzyła na niego dużymi, ufnymi oczami.

– Tak? – zapytał Euzebiusz, rozglądając się za opiekunami małej. Bezskutecznie.

– Zgubiłam się – powiedziała dziewczynka. – Wiem, że jestem blisko domu, ale przez ten śnieg wszystko wygląda inaczej i nie umiem tam trafić.

– A gdzie jest twoja mama? – zapytał Skrócki. – Albo tata?

– Tata uciekł z jakąś rudą lafiryndą – oznajmiła dziewczynka niewinnie słodkim głosem. – Tak mówi moja mama...

– Do ciebie? – mimowolnie zdziwił się Euzebiusz.

– Nie, do swoich koleżanek, ale podsłuchałam – wyjaśniła wyraźnie dumna ze swojego sprytu dziewczynka. – Nie wiem, co to jest lafirynda, ale to chyba nic dobrego, bo mama zawsze jest zła, kiedy mówi to słowo. Pan wie, co to oznacza?

– Faktycznie, nic dobrego – potwierdził Euzebiusz. – I chyba nie powinnaś znać takich słów...

– Wielu słów nie powinnam znać – zamyśliła się dziewczynka. – Ciekawe dlaczego, skoro wszyscy ich używają. Kiedy niektórzy ludzie mówią w filmach albo w programach i je słyszę, to mama się złości i wyłącza telewizor. A przecież to nie jest moja wina, że je słyszę, tylko ludzi, że je mówią.

A właściwie po co mówią, skoro wiedzą, że nie można? Pan to rozumie? Bo mama nigdy mi nie chce tego wytłumaczyć...

Skrócki, który sam kłął jak szewc, a ze swojego repertuaru wulgaryzmów, do których co rusz dorzucał jakieś nowe sformułowanie, mógłby bez trudu stworzyć pełnowymiarowy leksykon, po raz pierwszy zastanowił się, po co właściwie używa brzydkich słów. Bo daje tym ujście swoim emocjom? Bo lubi nimi ranić innych ludzi? Bo uważa, że przez to będzie ważniejszy? Licho wie.

– Dorośli czasem muszą ich używać – powiedział w końcu ostrożnie – żeby inni dorośli nie myśleli o nich, że są ciągle dziećmi.

Wyjaśnienie jemu samemu wydawało się mało przekonujące i nie dziwił się, że dziewczynka też nie wygląda na specjalnie zachwyconą.

– Coś pan kombinuje – powiedziała z potępieniem. – Ale dobrze, nie chce pan mówić, to nie. Jak dorosnę, sama to odkryję. Podobnie jak to, co znaczy skończyć ze sobą. Zupełnie tego nie rozumiem. Przecież ze sobą jest się przez cały czas, to niby jak można skończyć być?

Do Skróckiego, który wciąż – nie wiedzieć właściwie czemu – zastanawiał się, w jakim celu używa wulgaryzmów w ilościach wskazujących na to, że cierpi na zespół Tourette'a, dopiero po chwili dotarł sens ostatnich słów jego małej

rozmówczyni.

– A od kogo usłyszałaś, że chce ze sobą skończyć? – zapytał, czując lekki niepokój. – Chyba nie od swojej mamy?! I w ogóle, gdzie jest twoja mama?

– Mama musiała zabrać babcię do szpitala – wyjaśniła dziewczynka. – Babcia uparła się, że usiądzie ze mną na kolanach Świętego Mikołaja w supermarkecie. Do zdjęcia. I ten święty nie wytrzymał i mu się od tego wygięło kolano. Ale to nic dziwnego, bo babcia jest strasznie gruba, bardziej niż ta pani, co w telewizji chodzi po restauracjach, wszystko im wyjada z lodówki, a potem jeszcze na nich krzyczy. Więc jak babcia spadła, to coś sobie chyba złamała. Krzyczała, że jej wypadło biodro i że mama musi z nią jechać do szpitala. Potem mówiła jeszcze, że na Świętego Mikołaja powinni brać kogoś młodego i wysportowanego, a nie ramola z artretyzmem. Tego też w sumie nie zrozumiałam. Co to jest ramol z artretyzmem?

Euzebiusz poczuł, że na to pytanie nie jest już w stanie znaleźć żadnej odpowiedzi.

– I mama cię nie zabrała ze sobą? – jęknął. – Jak to możliwe?!

– Przyjechała karetka i wyszło z niej dużo takich dziwnych ludzi, żółto-czerwonych – powiedziała dziewczynka. – I powiedzieli, że z babcią może jechać tylko jedna osoba. A ja umiem bez trudu trafić do domu, więc powiedziałam, że dam sobie radę. I mama pojechała z babcią, a ja szłam i szłam, ale chyba się zgubiłam...

To, co w duchu Euzebiusz pomyślał o mamie swojej rozmówczyni, nie nadawało się do wygłoszenia na głos. Do tej pory Skróckiemu, który w sumie nie lubił żadnych matek łącznie ze swoją własną, wydawało się, że najgorszym ich rodzajem są, jak je nazywał w duchu, kwoki, czyli znerwicowane histeryczki,



nadopiekuńcze i wiecznie przerażone wyimaginowaną wizją porwania swoich latorośli przez terrorystów, łowców organów, UFO albo producentów telewizyjnych talent show. Teraz poczuł, że jeszcze gorsze są bezmyślne trzpiotki, które pozwalają swoim dzieciom łązić samopas po ciemnym mieście w zimie, bez żadnej opieki, powodując, że muszą się nimi przejmować obcy ludzie, tacy jak on.

– A pamiętasz swój adres? – zapytał.

– Tak – powiedziała dziewczynka. – Kubusia Puchatka 5.

Skrócki zdziwił się szczerze, że ulica o tak zapadającej w pamięć nazwie istnieje w zamieszkiwanym przez niego mieście, w którym w dodatku się urodził i które teoretycznie w związku z tym powinien znać doskonale. Wyciągnął komórkę i otworzył odpowiednią aplikację. Po chwili wszystko już wiedział. Malutka, składająca się zaledwie z kilku numerów uliczka faktycznie znajdowała się niedaleko miejsca, w którym stali.

– Zaprowadzę cię tam, chodźmy – obiecał Skrócki, podając rękę dziewczynce. Ta wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

– Mama mówi mi, żebym nie dotykała obcych – powiedziała dumnie.

– Ale wiesz, że jak się komuś przedstawiasz, to mu podajesz rękę? – uśmiechnął się Euzebiusz.

Dziewczynka przez chwilę pomyślała, a potem pokiwała głową potakująco.

– W takim razie, jestem Euzebiusz – powiedział Skrócki, nadal z wyciągniętą dłonią.

– Strasznie dziwnie... – powiedziała dziewczynka, podając mu swoją małą rączkę. – U mnie w szkole jest jeden chłopak, który ma na imię Symeon. Wszyscy z niego żartują i przezywają go Syfeon, bo ma takie czerwone dzioby na twarzy. A mi go

szkoda... Ja mam na imię Kalina.

– Ładnie – rzekł Skrócki. – Teraz już jesteśmy przyjaciółmi i możesz iść ze mną za rękę...

– No nie wiem... – dziewczynka stanowczo wyjęła swoją dłoń z jego i na wszelki wypadek od razu włożyła ją do kieszeni. – Jeszcze sama nie wiem, czy pana lubię. Ale mogę iść obok. Ciekawie się z panem rozmawia, chociaż nic mi pan nie chce wyjaśnić.

– Aaa, właśnie...! – ocknął się Euzebiusz. – Miałaś mi powiedzieć o tym kończeniu ze sobą...

– Usłyszałam to niedawno, właściwie przed chwilą – wyjaśniła dziewczynka. – Od takiego jednego pana. Całkiem jeszcze niestarego.

*Pierwszej z nich ładny pan pomoże. Ona doprowadzi do drugiej osoby. Tę uratować będzie trzeba...* – Skróckiemu nagle przypomniał się głos Cyganki.

– A gdzie spotkałaś tego pana? – zapytał, czując nagły niepokój.

– Szedł ulicą i rozmawiał przez telefon komórkowy – powiedziała dziewczynka. – I mówił do kogoś, że chcę ze sobą skończyć jeszcze tej nocy i że nagrywa ostatnią wiadomość. A potem mnie potrącił. Przez przypadek. I nawet nie przeprosił. Jak jadę autobusem, macham nogami i kogoś zahaczę, to mama zawsze każe mi przeproszać. Dlaczego dorośli tego nie robią?

Skrócki znów poczuł, że ma kłopot z odpowiedzią. Rozmowa z kilkulatką to jednak nie lada wyzwanie!

– Nie robią tego tylko ci, których rodzice źle wychowali – powiedział w końcu. – A potrafiłabyś rozpoznać tego pana, który chciał ze sobą skończyć?

– Z twarzy był podobny zupełnie do nikogo – dziewczynka na chwilę się zamyśliła, najwyraźniej próbując przywołać

w pamięci obraz planującego niezrozumiałe dla niej czynności mężczyzny. – Wydaje mi się, że miał włosy na twarzy. Ale nie takie długie jak Święty Mikołaj. I nie miał tych włosów białych, tylko czarne. Jak węgiel. Chyba był wysoki, nie za gruby. Strasznie stary, ale nie tak stary jak pan.

Euzebiusz przekroczył właśnie czterdziestkę. W oczach dziewczynki musiał więc być zgrzybiałym starcem.

– To zanim znajdziemy twój dom, może najpierw pokażesz mi, gdzie widziałaś tego mężczyznę – zaproponował. – Chyba że umiesz mi wytłumaczyć, gdzie dokładnie go spotkałaś.

– Możemy iść – zgodziła się dziewczynka. – To bardzo niedaleko stąd.

Odwróciła się na pięcie i popatrzyła na Skróckiego pytającym wzrokiem. Ten skinął głową. Dziewczynka zaczęła iść w stronę, z której poprzednio nadszedł Euzebiusz, ale po kilkunastu metrach skręciła w boczną uliczkę prowadzącą na skróty do supermarketu. Skrócki wypatrzył na niej zaledwie kilka osób, w większości objuczonych ostatnimi przedświątecznymi zakupami.

– Tu gdzieś był... – powiedziała dziewczynka, uważnie lustrując ulicę. – Chyba chciał iść do sklepu, ale potem, jak się odwróciłam, wydawało mi się, że się rozmyślił. O!

Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Podniosła rękę i wskazała palcem przed siebie. Skrócki podążył za jej wzrokiem i daleko, dobrych kilkaset metrów od nich, wypatrzył męską sylwetkę. Padający coraz mocniej śnieg nieco zacierał mu obraz i Euzebiuszowi trudno było nawet zawyrokować, czy wskazany przez dziewczynkę facet jest młodzieńcem, czy też takim jak on starcem jedną nogą stojącym nad grobem.

– Jesteś pewna? – zapytał bez przekonania.

– Tak, bo ten pan miał na głowie czapkę z takim zabawnym

pomponem. Dokładnie taką, jaką ten! – odpowiedziała dziewczynka, uradowana po pierwsze tym, że udało im się odnaleźć zgubę, a po drugie, że być może za chwilę dowie się, co to znaczy „skończyć ze sobą” i w ten sposób rozwikła choć jedną dorosłą zagadkę. – To musi być on – dodała po chwili.

Skrócki wytrzeszczył oczy, usiłując wypatrzeć już nie tylko pompon, ale w ogóle czapkę na głowie mężczyzny, lecz nijak mu się to nie udało. Szybko jednak przypomniał sobie, że jego oczy pracują już dziesiątki lat, a dziewczynki tylko kilka i w związku z tym są bardziej godne zaufania.

– No to w takim razie podejźmy do niego... – powiedział niepewnie, usiłując sobie w duchu wyobrazić, co niby za chwilę ma powiedzieć.

„Ta mała usłyszała, jak mówi pan komuś przez telefon, że chce ze sobą skończyć i w związku z tym chciałbym pana zapytać, czy to był tylko żarcik, czy też naprawdę planuje pan popełnić samobójstwo?” Do bani! Po pierwsze, nie można mówić takich rzeczy przy dziecku, a po drugie i tak by mu to przez gardło nie przeszło. Hm... Może podejść do niego z okrzykiem: „Hej, życie przecież jest tak piękne!”. Jeszcze gorzej, bo weźmie go za świadka Jehowy albo sprzedawcę Biblii. Ewentualnie chorego psychicznie w trakcie ataku szału.

Euzebiusz i Kalina przeszli kilkadziesiąt kroków. Byli już na tyle blisko mężczyzny, że Skrócki wreszcie widział go wyraźnie. Był młody, jego zdaniem nie miał więcej niż trzydzieści lat, wysoki, szczupły, co dało się zauważyć nawet mimo faktu, że okutany był w puchową parkę, jak wiadomo każdemu nadającą wygląd zawodnika sumo, i rzeczywiście miał na głowie fikuśną czerwoną czapkę, zapinaną pod szyją i zwieńczoną daszkiem z ogromnym pomponem. Stał, opierając się plecami o latarnię i wpatrując w trzymaną w lewej ręce

komórkę. W chwili, kiedy dzieliło ich tylko kilkanaście kroków, nagle zza zakrętu przy supermarkecie wyłonił się samochód. Jechał z dość dużą szybkością, co akurat Skróckiego w ogóle nie dziwiło, bo w tym miejscu kierowcy z reguły łamali nakaz ograniczenia prędkości, zwłaszcza widząc w oddali zielone światło na sygnalizacji świetlnej. I choć wątpliwe było, czy kierowca pojazdu jest w stanie poprzez śnieg wypatrzyć kolor światła, to i tak pruł przed siebie tak, jakby mu się spieszyło do pożaru. Mężczyzna oderwał wzrok od komórki i popatrzył w stronę samochodu, a następnie jakby mechanicznie zrobił krok do przodu. Skrócki poczuł ukłucie niepokoju. Mężczyzna uczynił drugi krok i teraz już dla Euzebiusza było jasne, co zamierza.

– Stój tu! – powiedział stanowczym głosem do Kalinki. – Stój i ani drgnij!

Widać było, że jego ostry ton zrobił na dziewczynce wrażenie, bo zatrzymała się w pół kroku i zastygła w wyczekującej pozycji. Samochód nadjeżdżał w oszałamiającym tempie, Skróckiemu wydawało się, że pędzi co najmniej dwieście kilometrów na godzinę. Mężczyzna zrobił trzeci krok w stronę jezdni i Euzebiusz poczuł, że za chwilę będzie już za późno, żeby zapobiec katastrofie. Odrzucił swoją teczkę i sprintem godnym Usaina Bolta dopadł do mężczyzny w momencie, kiedy ten był już na jezdni, tuż za krawężnikiem. Skrócki rozpaczliwym ruchem złapał go z tyłu za parkę i z całej siły pociągnął w swoją stronę. Po chwili obaj leżeli na chodniku.

– Co pan zrobił?! – młody człowiek patrzył na Euzebiusza wzrokiem, w którym migotały różne uczucia: ulga, rozczarowanie, wściekłość i, na szczęście dla Skróckiego, odrobina wdzięczności.

– Raczej, co pan zrobił? – syknął wściekle Skrócki,

gramoląc się z ziemi. – A właściwie, co chciał pan zrobić?!

Młody człowiek, który też już zaczynał się podnosić, nagle zrezygnował z tego pomysłu i z powrotem wrócił do pozycji leżącej, a następnie ku zdumieniu Euzebiusza, który starał się z całych sił nigdy nie okazywać publicznie żadnych emocji poza wściekłością i gniewem, zaczął płakać. Skrócki powstał nad nim przez chwilę, po czym powiódł wzrokiem w poszukiwaniu swojej teczki, a po chwili także Kalinki. Najpierw zobaczył teczkę, z której nieco wysunęła się *Opowieść wigilijna*, a potem swoją małą towarzyszkę, wciąż stojącą w bezruchu.

– A ty co taka zamurowana? – powiedział, podnosząc teczkę i otrzepując ją ze śniegu.

– No przecież kazał mi się pan nie ruszać – przypomniała Kalinka z lekkim wyrzutem w głosie. – Już mi do tego zaczynają mrówki chodzić po lewej nodze.

– Jakie mrówki? – zdziwił się Skrócki, nie za bardzo wiedząc, co dziewczynka ma na myśli.

– Takie gilgotliwe – wyjaśniła Kalinka, masując się po lewej łydce. – Strasznie ich nie lubię, bo jak się pojawiają, to niby chce się śmiać, ale ponieważ nie ma w tym nic śmiesznego, to się tylko denerwuję. Ma je pan czasem?

– Chyba tak – potwierdził bez przekonania, nie mogąc sobie przypomnieć, kiedy ostatnio zdrętwiała mu noga. Chyba w dzieciństwie... – Poczekaj tu chwilę cierpliwie, aż się ich pozbędziesz, a ja tymczasem pójdę porozmawiać z tym kretynekem...

– Oj, nieładne słowo – Kalinka spojrzała na niego z wyrzutem. – Mama zakazuje tak mówić o ludziach...

– No dobrze, z tym... – Skrócki poszukał w głowie jakiegoś odpowiedniego słowa, ale ponieważ na oczekaniu przyszły mu do niej same nienadające się do wygłoszenia,

zwłaszcza przy kimś nieletnim, spróbował posłużyć się opisem.  
– Nierozsądnym człowiekiem, który mnie nieco zdenerwował,  
lepiej?

– Lepiej – Kalinka pokiwała głową z miną sędziego *Tańca z Gwiazdami*. – Jak pan się postara, to całkiem dobrze panu wychodzi.

Skrócki z trudem powstrzymał uśmiech. Popatrzył jeszcze przez moment, jak Kalinka zawzięcie rozmasowuje gilgotliwe mrówki w swojej nodze, po czym ponownie podszedł do młodego człowieka. Ten przestał już płakać i tylko po cichu chlipał, a jego ramionami szarpał mimowolny skurcz.

– No i po co ta cała szopka? – zapytał Skrócki, przyklękając przy nim. – Ma pana jakieś kłopoty?

Młody człowiek skierował w jego stronę zażawione spojrzenie. Nic jednak nie powiedział.

– No, niech pan mówi – zniecierpliwił się Euzebiusz. – W końcu jest jakiś powód, dla którego chciał pan skończyć jako rozmazane zwłoki na asfalcie...

Młodzieniec szybko zaczerpnął powietrza i Skrócki był pewny, że zaraz znowu będzie świadkiem jego łez. Euzebiusz z całego serca nie znosił płaczu u kobiet i kiedyś nawet wyrzucił ze swojego gabinetu jedną z aktorek, która przyszła do niego po okolicznościowy urlop spowodowany zejściem z tego padółu swojej matki, radząc jej, żeby „wróciła, gdy jej kanaliki łzowe zaczną działać prawidłowo”, ale szloch mężczyzny wydał mu się już wyjątkowo niedorzeczny. Facet to w końcu facet – ma trzymać fason, a nie zamieniać się w mazepę. Chyba że młodzieniec jest takim trochę innym facetem...

– No już, spokojnie – powiedział, starając się nadać swojemu głosowi nieco cieplejszą barwę, choć w sumie najchętniej dałby temu młodemu człowiekowi w twarz na

otrzeźwienie. – Nic nie jest warte tego, żeby się rzucać po samochód...

Młodzieniec podniósł rękę, po czym przejechał zewnętrzną stroną dłoni po oczach, próbując zetrzeć z nich łzy i śnieg. Wziął kilka głębszych oddechów. Skrócki patrzył na niego, a w jego duszy irytacja mieszała się z – co zauważył z lekkim zdziwieniem – narastającym współczuciem. Nie wiedząc czemu, przypomniła mu się jedna scena sprzed wielu, wielu lat. Wracał ze szkoły i w księgarni na rogu kupił książkę, na którą zbierał pieniądze przez kilka tygodni. *Przygody Tomka Sawyera* Marka Twaina, piękne wydanie w twardej oprawie i z genialnymi rysunkami. Szedł, oglądając ją i ciesząc się, że oto za kilka minut usiadzie sobie w domu ze szklanką soku wiśniowego w dłoni i będzie mógł się oddać lekturze, zapominając o całym świecie. I wtedy zza rogu wyskoczyło kilku chłopaków.

– O, patrzcie! – powiedział jeden z nich. – Odmieniec idzie!!! Co tam czytasz, kujonie?!

Euzebiusz chciał swoim zwyczajem odpowiedzieć im gniewnym rykiem, którym odstraszał wszystkich dookoła, ale w tym momencie wydarzyło się coś, co odebrało mu głos. Zza kolegów wyłonił się jeszcze jeden dzieciak, jadący na rowerze. Zanim Skrócki zorientował się, jakie są jego zamiary, chłopak podjechał do niego, wytrącił mu książkę z rąk, a następnie, śmiejąc się na cały głos, przejechał ją swoim dwukołowcem, sprawiając, że okładka książki przerwała się, a sama powieść rozdzieliła na dwie części. Jedną Skrócki zdołał złapać, ale drugą zajęli się jego koledzy. Po chwili okolica pokryła się porwanymi kartkami papieru. Teraz nagle Euzebiusz zobaczył oczyma duszy, jak stoi na środku chodnika, a podarte strony *Przygód Tomka Sawyera* z wolna spadają mu na głowę. A potem



przeniósł się do domu, aby spojrzeć, jak szłocha, samotny w swoim pokoju, nad szklanką soku wiśniowego. Czy ten zapłakany dzieciak to naprawdę był on?

– Więc...? – spojrzał zdecydowanie już łagodniej na młodego człowieka.

Ten powoli podniósł się z ziemi, ale tylko po to, aby zrobić kilka kroków i usiąść na pobliskiej ośnieżonej ławce. Skrócki zajął miejsce obok niego, smętnie konstatując, że za chwilę będzie miał mokry płaszcz, a potem wilgoć dojdzie zapewne do jego spodni. No cóż... Z tyłu za ławką stanęła Kalinka, najwyraźniej już pozbawiona gilgotliwych mrówek.

– Nie mam po co żyć... – powiedział młody człowiek po minucie milczenia, która w głowie Skróckiego trwała jakieś dwie godziny. – Naprawdę nie mam...

– Bo...? – spytał Euzebiusz. – Co takiego się wydarzyło?

– Moja dziewczyna... – zaczął mówić chłopak, starając się, co dla Skróckiego było jasne, powstrzymać szlochanie. – Zdradziła mnie...

Euzebiusz ostatkiem sił powstrzymał się przed śmiechem. Z powodu takiej pierdoły rzucać się pod samochód? Chyba faktycznie jego pierwsze wrażenie było słuszne i młodzian jest psychicznie chory...

– I co z tego? – zapytał, zanim zdążył się opanować. – Też ma pan powód do desperacji!

– Ale... – młodzieniec posłał mu bezradne spojrzenie, które Euzebiuszowi skojarzyło się ze wzrokiem małego baranka, którego raz widział na łące. – Ona była dla mnie całym światem!

Skrócki nabrał powietrza, żeby coś na to powiedzieć, ale w tym samym momencie usłyszał głos Kalinki.

– A co to znaczy, że pana zdradziła? – zapytała dziewczynka.

– Ona... – młodzieniec spojrział na Kalinkę i dotarło do niego, że w tym przypadku nie może sobie pozwolić na nadmierną szczerłość. – Ona... Całowała się z innym panem.

– Ale lubiła tego pana? – Kalinka patrzyła na niego w skupieniu.

– No tak... – jęknął niedoszły samobójca. – Chyba aż za bardzo...

– Jeśli go lubiła, to dlaczego nie mogła go pocałować? – spytała Kalinka ze zdziwieniem. – Co w tym złego?

– Dorośli mają inaczej niż dzieci – młody człowiek jeszcze raz przetarł oczy. – Zawierają umowę, że nie wolno im całować nikogo innego oprócz siebie.

– Nawet tych, których bardzo lubią? – Kalinka nadal miała zdziwiony wyraz twarzy.

– Nawet tych – potwierdził młodzieniec.

– To bardzo głupia umowa – powiedziała Kalinka stanowczo. – Ja bym tego nie zrobiła. Jak kogoś bym lubiła, to bym i tak go pocałowała, i wszystkich bym całowała, którzy mi się podobają, a tego, którego bym naprawdę kochała, pocałowałabym najmocniej.

Skrócki najpierw lekko się zachłysnął i w duchu pomyślał złośliwie, że jak na kilkulatkę jego nowa znajoma ma dość progresywne poglądy w kwestiach obyczajowych i w sumie szkoda, że pewnie kiedyś z nich wyrośnie, a potem zastanowił się, jak czasem łatwo dzieciaki trafiają w sedno sprawy.

– Jest pan pewny, że pana dziewczyna przestała pana kochać? – zapytał.

Młodzieniec przez chwilę wahał się nad odpowiedzią.

– Mówi, że nie – odparł wreszcie. – Ale z drugiej strony czuję, że między nami nie jest już tak, jak jeszcze do niedawna...

– Ciekawe... – Skrócki poczuł, że wilgoć z ławki już dała sobie radę z jego płaszczem, ale zignorował to. – Twierdzi pan, że pana zdradziła, ale dalej kocha...?

– Tak do końca to właściwie nie wiem, czy mnie zdradziła... – powiedział niepewnie chłopak.

– Przepraszam, ale to nie ma sensu – osądził Skrócki. – Mógłby pan to lepiej wytłumaczyć?

– No bo... – chłopak ukrył głowę w rękach i kciukami delikatnie zaczął masować swoje skronie tak, jakby chciał, aby pomogło mu to w zebraniu myśli. – To było tak. Moja dziewczyna zaczęła chodzić na zajęcia jogi. I tam poznała trenera. Ten trener... No, jest ciachem.

– Jak to ciachem? – zapytała Kalinka, znów robiąc duże oczy. – To znaczy, że jest pączkiem?

– Nie, to znaczy, że jest ładny – wyjaśnił Skrócki. – O takich ładnych mówi się ciacho. Nie słyszałaś nigdy? Nie masz w klasie żadnego ciacha?

– Nie – Kalinka pokręciła głową przecząco. – U mnie w klasie jest jeden taki Bartek i wszystkie dziewczyny chciałyby, żeby z nimi chodził po korytarzu w czasie przerwy. I piszą mu liściki na lekcjach i chodzą oglądać, jak gra w piłkę na boisku. Ale ja nie. W ogóle nie wiem, co one w nim widzą. Ja tam wolę moje koleżanki. Nie wyobrażam sobie, jak można ześwirować na punkcie jakiegoś chłopaka. Zawarłyśmy nawet pakt i obiecałyśmy sobie, że żaden chłopak nigdy nie będzie ważniejszy od naszej przyjaźni.

Skrócki pomyślał, że chciałby zobaczyć Kalinkę za kilka lat i przekonać się, czy zweryfikuje swoje poglądy w kwestiach męsko-damskich, po czym znowu popatrzył pytająco na młodzieńca.

– No i co z tym trenerem? – zapytał.

– Odkąd Agnieszka go poznała, wszystko się między nami zaczęło psuć – kontynuował młody człowiek. – Nagle okazało się, że ona potrzebuje więcej swobody, że ją ograniczam, że ona nie chce, żebyśmy zawsze wszystko robili razem.

– Nie widzę w tym nic złego – zawyrokował Skrócki, w duchu solidaryzując się z, nie wiedzieć czemu, nieznaną mu Agnieszką. – Jak się wszystko robi razem, to wcześniej czy później ma się ochotę zabić drugą osobę... To znaczy, tego... Przepraszam.

– A, nie szkodzi – uśmiechnął się młodzieniec. – Jak widać, pomyślałem, że ją w tym zabijaniu wyręcę. Ale to w sumie nie o to chodzi, że ja koniecznie chcę, żebyśmy zawsze i wszędzie byli razem. Tylko co innego od czasu do czasu robić coś osobno, a co innego zniechęca mieć przed partnerem tajemnice i spędzać całe dni bez niego, a za to z kimś, kogo on nie lubi. Naprawdę staram się nie być zaborczy. Ona ma swoich przyjaciół, ja mam swoich. Ale dla niej więcej swobody oznaczało w tym przypadku tylko więcej spotkań z jednym, konkretnym facetem. A potem... – młody człowiek westchnął ciężko. – Którego dnia przyszła i powiedziała, że chce jechać na warsztaty jogi. Do jakiegoś cholernego ośrodka na Mazurach. Na trzy dni. Z tym całym swoim trenerem!

– Ale sam na sam? – zapytał Skrócki.

– Ponoć nie – przyznał młodzieniec. – Na tym obozie miało być kilkadziesiąt osób.

– Więc to chyba żadna tragedia? – Euzebiusz wzruszył ramionami.

– Ale on też tam by był! – jęknął młody człowiek. – Spotykałiby się codziennie, rozmawiali, dotykali się... Czy pan wie, jak on wygląda?! Jak lepsza kopia Roberta Lewandowskiego! I ma mięśnie tam, gdzie normalny człowiek

nic nie ma. I do tego jeszcze jest wolontariuszem w fundacji zajmującej się chorymi dziećmi. I jeździ wypasionym BMW. Jest jakimś cholernym ideałem!

– Niech pan zastanowi się, co pan mówi – poradził Skrócki.  
– Skoro uważa pan, że ta pana ukochana poleci na nadmierną ilość mięśni, ewentualnie dobry samochód, to może powinien pan przemyśleć, po co w ogóle się z nią spotykał. Jak długo jesteście razem?

– Pięć lat... – odpowiedział młody człowiek. – I każdego kocham ją coraz bardziej. A ona mnie coraz mniej...

Znów zaczął pociągać nosem. Skrócki pomyślał, że to i tak cud, że ta cała Agnieszka wytrzymała z nim tak długo. On by na jej miejscu rzucił takiego mazgaja już po tygodniu.

– Ale skąd ten wniosek? – zapytał. – Na razie rozumiem, że pana ukochana znalazła sobie jakieś hobby, a pan, z całym szacunkiem, zaczął wariować. Czy ona panu powiedziała, że chce od pana odejść, że już pana nie kocha, przyznała się do zdrady?

– No nie. Ona twierdzi, że wszystko sobie wymyśliłem i jestem paranoikiem, a ona nic specjalnego nie widzi w tym trenerze, a poza tym on już od dawna jest zajęty... Pytałem, czy widziała jego dziewczynę, ale zaprzeczyła. Nie widziała! A więc pewnie w ogóle jej nie ma! Wymyśliła ją, żeby mnie uspokoić. Ale nie ze mną takie numery. Ja i tak czuję, że ona się ode mnie oddala... – młody człowiek znów westchnął. – Odkąd chodzi na tę jogę, zaczęła się o wszystko czepiać. Nic jej już we mnie nie pasuje. Czegoś jak zwykle nie umiem zrobić, o czymś zapomniałem, czegoś nie dopilnowałem. O wszystko jest na mnie zła! I gdzieś zniknęła cała nasza czułość, a seksu nie uprawiamy już prawie wcale!

– Seks jest bardzo niedobry i człowiek jest po nim strasznie

chory – odezwała się potępiająco Kalinka, o której obecności obaj panowie zdążyli przez ostatnie minuty zapomnieć. – I nie należy w ogóle wymawiać takiego słowa. Mama jest zła za każdym razem, jak je powiem!

Skrócki poczuł nagle nieodpartą chęć poznania mamy Kalinki. Mogłoby się okazać, że są dla siebie stworzeni. On też uważał, że seks jest... Cóż, nie tyle może zły, co stanowczo przereklamowany. Kilka minut przyjemności, potem kilkanaście sekund nieco większej przyjemności – i czasem z takiego właśnie powodu ludzie łączą się w pary i muszą się znosić dwadzieścia cztery godziny na dobę. Szaleństwo!

– Po pięciu latach ochota na... – Skrócki zastanowił się, jak znów nie podpaść nowej znajomej – ...zabawy może trochę minąć. To chyba naturalne...

– No pewnie tak – potaknął młody człowiek, nie wyglądając bynajmniej na przekonanego. – Ale brakuje też takich naszych drobnych porozumiewawczych znaków. Na przykład kiedy rano wychodziłem z domu, Agnieszka zawsze na pożegnanie dawała mi lekkiego klapsa w tyłek. Takiego na szczęście.

– Klapsa na szczęście?! – Kalinka wyglądała na lekko przerażoną dziwnymi zwyczajami panującymi w świecie dorosłych. – Ja tam dostaję klapsa, jak coś poważnie przeskrobie. Ostatnio jak usiłowałam sprawdzić, czy złotej rybce będą smakowały moje ulubione czekoladowe krakersy...

– I...? – Skrócki mimo woli poczuł się zaintrygowany. – Smakowały?

– Chyba nie, bo zaczęła po nich pływać brzuchem do góry – wyjaśniła zasmuconym tonem Kalinka. – Mama się zdenerwowała, bo ta rybka była bardzo droga, a krakersy chyba jej zaszkodziły. I potem już jej nie było w akwarium, tylko taka

inna, niebieska. Mama powiedziała przez telefon do babci, że rybka odwalila kite. Tego tez nie zrozumialam, bo przeciez kite ma lis. Strasznie to wszystko skomplikowane...

– No dobrze... – Skrócki poczul, ze w jednym czasie jest w stanie rozwiacz tylko jeden problem, a poniewaz Kalinka wydalala mu sie o wiele bardziej rozsadna niz niedoszly samobojca, postanowil skoncentrowac sie na jego klopotach. – Nic z tego, co pan mowi, nie jest jeszcze dowodem na to, ze w pana związku dzieje sie cos złego...

– Poza seksem – wtracila sie zde gustowana Kalinka – który zawsze jest zły!

– No wlasnie... – mlody czlowiek pociagnal nosem. – A co z tym?

– Ksiazki uczą... – Skrócki wreszcie mogl wykorzystac wiedze z niektorych slabszych pozycji, za jakie w duchu uwazal absolutnie wszystkie ksiazki klasyfikowane jako literatura obyczajowa, a ktore czytala od czasu do czasu tylko po to, aby sie upewnic, ze nie sa dla niego – ze kiedy wygasa namiętnosc, trzeba ja umiec z powrotem rozpalic. Kiedy ostatnio probowal pan uwiesc swoja ukochana?

– Uwiesc? – zastanowil sie mlodzienc. – Chyba piec lat temu, kiedy zaczylismy sie spotykac... Po co ja mialem uwodzić potem, kiedy juz bylismy razem?

– Po to wlasnie, aby nie doszlo do takiej sytuacji, jak teraz – wyjasnil Skrócki, w duchu przypominajac sobie, co wyczytal w powiesciach Magdaleny Witkiewicz, do ktorej mial zawsze slabosc, bo nigdy nie uzyla w swojej powiesci tak lubianego przez jej kolezanki-romansopisarki sformulowania: „owoc ich miłości”. – O ukochana kobiete trzeba dbac codziennie. Nie nachalnie, nie natarczywie, ale tak, aby czula sie wciąz atrakcyjna i adorowana. A jak nie, to znajdzie sie ktos, kto pana

w tym wyreczy. Kobiety lubią, żeby o nie walczyć. Niech jej pan pokaże, że jest pan chłopem, a przede wszystkim wyczuje, kiedy jest z pana zadowolona i dumna, a kiedy ją pan irytuje. Po pięciu latach chyba zdołał pan ją choć trochę poznać! Wie pan, jak jest z dobrym związkiem. Połowa sukcesu to namiętność i miłość, a druga to dyplomacja i kompromisy...

Boszzz, gadam jak jakiś nawiedzony psychoterapeuta – pomyślał jednocześnie. – Ale jeśli nie postawię tego chłopaka do pionu, to gotów znowu zrobić coś idiotycznego. Już nawet wolę nie myśleć, jak bardzo jestem spóźniony na próbę...

– Myśli pan...? – zastanowił się młody człowiek, a w jego oczach rozpacz powoli zaczęła ustępować nadziei. Słabej bo słabej, ale jednak nadziei.

– Oczywiście, że tak – powiedział Skrócki tonem znawcy, choć w duchu pomyślał, że jak zna życie, pewnie i tak zakończy się na tym, że dziewczyna puści jego rozmówcę w trąbę i przeżyje kilka miesięcy u boku rozrośniętego mięśniowo trenera, póki nie odkryje, że ów ma na boku kilkanaście innych „jedynych kobiet jego życia”. – Niech pan działa. Święta są, idealny moment, aby się godzić i uprzyjemniać sobie nawzajem życie!

Młody człowiek wstał z ławki i przez chwilę wydawało się, że zamierza uściskać Euzebiusza. Powstrzymał się jednak i jedynie podał mu rękę.

– Ma pan rację – powiedział. – Mazgają się jak nadwrażliwa nastolatka, zamiast postępować jak facet. Ale już koniec tego! Albo wóz, albo przewóz...

– I to się nazywa duch walki – powiedział Skrócki, bardzo zadowolony, że jego koślawa mowa, godna oblanej studentki pierwszego roku psychologii, odniosła jakiś skutek. – Będę trzymał za pana kciuki!



– Ja też! – obiecała Kalinka.

Młody człowiek powiódł po nich wzrokiem, w którym po raz pierwszy zapaliły się iskiereki wesołości.

– Skoro będę miał takich sekundantów, to muszę wygrać – powiedział i raz jeszcze podał Skróckiemu rękę. – Zdaje się, że nie tylko uratował mi pan dzisiaj życie, ale i dał mi nadzieję. Nie wiem, jak się odwdzięczę. Jak będę mógł pana odnaleźć, żeby podziękować, jeśli uda mi się zatrzymać przy sobie Agnieszkę?

– Niech ją pan zaprosi do Teatru pod Gigantami – odrzekł Euzebiusz. – Umówmy się, że jeśli uda się panu wyjaśnić to nieporozumienie, a ufam, że cała ta afera takim jest... Jeśli się panu uda, otrzymacie ode mnie karnet na wszystkie nasze przedstawienia w tym sezonie. Co pan na to?

– A pan w zamian zaproszenie na nasz ślub! – ucieszył się młody człowiek.

Skrócki, oczywiście, nie cierpiał ślubów i uważał, że nawet najbardziej zgodną i kochającą się parę owa ceremonia potrafi błyskawicznie zamienić w Ksantypę i króla Henryka VIII, ale postanowił w tym momencie nie manifestować swoich poglądów.

– Niech mi pan chociaż powie, jak ma pan na imię – zaproponował.

– A, faktycznie, wyszedłem na bardzo niekulturalnego – młody człowiek po raz trzeci już wyciągnął rękę do Euzebiusza.

– Jacek Pawłocki. Bardzo mi miło.

– Mnie także, Euzebiusz Skrócki – powiedział, po czym wskazał na swoją towarzyszkę. – A to jest Ka...

– Sama się przedstawię – powiedziała dziewczynka z godnością, po czym wyciągnęła rączkę z gracją i elegancją godną królowej Elżbiety II. – Nazywam się Kalina Anna Jarzębowska...

Jacek uśmiechnął się i schylił, aby – jak na gentlemana przystało – pocałować dziewczynkę w rękę.

– No! – Kalinka wyglądała na wniebowziętą. – Wreszcie! Nikt mi tak jeszcze nie zrobił. To znaczy żaden chłopak, bo mama często mnie całuje po rękach. Teraz czuję się jak moja ciocia, którą mężczyźni zawsze tak witają...

– Bardzo mi miło, że mogłem być pierwszy – ucieszył się Jacek.

– ...ale ona mówi, że to niehigieniczne, że na pewno mają parchy i od tego jej potem wyskakuje na rękach wysypka – dokończyła Kalinka. – I jeszcze twierdzi, że wszyscy mężczyźni roznoszą gonokoki i dlatego ona zawsze ma przy sobie takie specjalne chusteczki, które zabijają bakterie po tym, jak ją ktoś pocałuje. Czy gonokoki to bakterie?! I czy one gryzą?!

Skrócki, patrząc na minę Jacka, kolejny raz musiał powstrzymać atak śmiechu.

– Nie gryzą – zapewnił Kalinkę. – I nie każdy, kto cię całuje w rękę, ma gonokoki albo cię nimi zaraża. Ale chusteczek warto używać, bo bakterie to i tak nic dobrego.

Przez chwilę panowała cisza. Z pobliskiego centrum handlowego Nagietek słychać było jedynie dźwięki piosenki *Last Christmas*, od bodaj trzydziestu lat będącej ogólnoświatowym hymnem świąt Bożego Narodzenia.

– Powiedziałbym, że musimy kiedyś powtórzyć nasze spotkanie – powiedział w końcu Jacek. – Ale mam nadzieję, że jeśli nasze drogi znów się skrzyżują, to wydarzy się to w znacznie bardziej optymistycznych warunkach. Przynajmniej dla mnie... A teraz darujcie, ale idę walczyć o swoje szczęście.

– Jasne, choć możemy jeszcze kawałek drogi przejść razem – zgodził się Skrócki. – Muszę odprowadzić tę młodą damę do jej domu.

– Byłem pewny, że to pana córka – zdziwił się Jacek.

– Nie, nie, choć faktycznie mam córkę – wyjaśnił Euzebiusz – tylko trochę młodszą. Pannę Kalinę spotkałem kilkanaście minut przed tym, zanim poznałem pana. Mam dziś szalony wieczór pomagania obcym ludziom. Cyganka mi to wywróżyła...

– Cyganka? – Jacek spojrzał na niego dziwnym wzrokiem. Skrócki poczuł, że musi co nieco wyjaśnić.

– Spokojnie, ja też nie wierzę w takie rzeczy, jak wróżby i inne tam gusła – powiedział. – Ale dzisiaj spotkało mnie coś, co zmusza do myślenia...

W kilku prostych zdaniach streścił wydarzenia dzisiejszego popołudnia. Jacek słuchał uważnie.

– Też z reguły jestem sceptyczny – powiedział, wysłuchawszy opowieści Euzebiusza. – Ale akurat co do Cyganów to sam nie wiem... Moja świętej pamięci prababcia opowiadała mi, że tuż przed wojną Cyganka wróżyła jej z ręki i powiedziała, że nadciąga wielkie niebezpieczeństwo, że ludzie będą się zabijać, głodować, że całe miasta zamienią się w ruinę, a ziemia spłynie krwią i przestanie dawać plony. I kazała babci pojechać tam, gdzie pierwszy raz ktoś jej podarował kwiaty, bo tam nic złego jej się nie stanie. Kiedy we wrześniu zaczęła się wojna, babcia przypomniała sobie tę wróżbę. Spakowała walizki i pojechała nad jezioro na Mazury, gdzie kiedyś jej pierwszy chłopak, jak w jakimś kiepskim melodramacie, zrywał dla niej lilie wodne. I niech pan sobie wyobrazi, że przez sześć lat wojny moja prababcia ani przez moment nie była w najmniejszym niebezpieczeństwie. Wszystkie fronty przechodziły z dala od jej domu. Mieszkała w nim wraz z dwoma innymi osobami. Mieli krowę, owcę, jakiś ogródek z warzywami, trochę pola. Żyli bardzo skromnie, ale o wojnie wiedzieli tyle, co im od czasu do

czasu opowiedział jakiś zabłąkany przybysz. Nawet o tym, że już się skończyła, dowiedzieli się dopiero kilka miesięcy po fakcie. I jak tu nie wierzyć Cyganom? Dziwny naród. Ja się ich zawsze trochę boję...

Skrócki przypomniał sobie irracjonalny lęk, jaki towarzyszył jego spotkaniu z tajemniczą kobietą, i ze zrozumieniem pokiwał głową. W milczeniu doszli do niewielkiego skrzyżowania. Tam Jacek pożegnał się z nimi i szybkim krokiem udał w stronę księgarni pana Alojzego, aby po chwili zniknąć za rogiem.

– Więc ten pan ze sobą nie skończył? – zapytała z uśmiechem Kalinka.

– Nie, na szczęście nie – odpowiedział Skrócki. – Jeszcze się ze sobą trochę pomęczą...

– To chyba niedobrze – stwierdziła Kalinka. – Moja babcia jak się męczy, wchodząc po schodach, to mówi, że to kara za grzechy. Ale ten pan w sumie nie wyglądał na zmęczonego. Może tyle nie grzeszy, co moja babcia. Bo ona to wiecznie jest zmęczona.

– Jesteśmy prawie na miejscu – zauważył Skrócki, nie odważywszy się nijak skomentować pokłóconej z dekalogiem babci swojej towarzyszki. – To chyba twój dom. Do mieszkania, mam nadzieję, trafisz już bez trudu?

– Tak – zapewniła go Kalinka. – Bardzo pan jest miły. Chociaż na początku wydawał mi się pan zły. Nie, może nie zły, ale jakiś smutny. Tak jakby ktoś panu zrobił głupi dowcip.

Życie mi taki zrobiło – pomyślał Euzebiusz.

– Ale potem już się do pana przyzwyczaiłam – podsumowała Kalinka. – A teraz to nawet uważam, że pan jest całkiem fajny. Dałoby się chyba z panem zaprzyjaźnić. Tylko mógłby się pan częściej uśmiechać. Całkiem dobrze pan

wygląda z uśmiechem.

– Postaram się – obiecał Euzebiusz.

– A przyjdzie pan do mnie jutro? – zapytała Kalinka. –  
W święta zawsze dostaję fajne rzeczy...

– A co chciałabyś dostać ode mnie? – zaciekawiał się  
Skrócki.

Kalinka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Nic! – wykrzyknęła. – Przecież to nie pan ma mi  
przynieść prezent, tylko Święty Mikołaj. Ale chciałabym, żeby  
pan też przy tym był. Bo ten święty nie zawsze mi przynosi to,  
co bym chciała. I ewentualnie wtedy mogę panu coś oddać...

– Umowa stoi! – uśmiechnął się Euzebiusz. – Ale tylko pod  
warunkiem, że i ja będę mógł ci oddać coś, co mi się nie  
spodoba z jego prezentów. Wiesz, on myli się dość często...

– Myślę, że to przez ten nawal pracy – zamyśliła się  
Kalinka. – Musi podarować prezenty wszystkim ludziom na  
planecie. To strasznie dużo roboty, zwłaszcza że ma na to tylko  
jeden dzień. W ogóle sobie nie wyobrażam, jak on daje radę. Nic  
dziwnego, że mu się myli. I jeszcze musi wiedzieć, że ktoś  
zasłużył na to, żeby być obdarowany, a ktoś inny nie. To też  
trudne. U nas w klasie jest taki jeden Maciek. Wszystkim się  
wydaje, że jest bardzo grzeczny. A ja bardzo dobrze wiem, że to  
nieprawda, bo raz podpatrzyłam, że jak kończy żuć gumę, to ją  
przyklepia z boku regału z książkami i potem, jak ktoś się o to  
oprze, to ona mu się wczepia w ubranie albo we włosy. I on to  
robi specjalnie! Mojej przyjaciółce tak się kiedyś przyklepiła, że  
musiała sobie wyciąć cały pukiel. Potem wyglądała jak trawnik  
na naszym podwórku, gdy go skosił pijany dozorca. Moja mama  
mówi, że dozorca pije, bo ma idiotyczną rodzinę. I jakby ona  
miała żonę-nieroba, matkę-złodziejkę i trzech synów, którzy za  
chwilę skończą w więzieniu, to też by piła i źle kosiła. A ten

trawnik był całkiem zabawny. Przypominał pola do gry w szachy. Tyle że zielone...

– Umiesz grać w szachy? – zaciekawiał się Skrócki.

– Tak – Kalinka wzruszyła ramionami, jakby Euzebiusz pytał o coś oczywistego. – Zapisalam się na kółko. W szachach jestem najlepsza!

– To jak cię odwiedzę, koniecznie musimy zagrać – rzekł Skrócki. – Tylko uprzedzam, że jestem mistrzem!

– Nie boję się mistrzów – powiedziała stanowczo Kalinka. – U nas na turnieju też był jeden mistrz i na początku długo mówił, że porażkę trzeba przyjmować spokojnie i z honorem. A jak przegrał z Dominiką z trzeciej „B”, to kopnął nogą w stołek i wymówił takie słowo, że za samo jego powtórzenie dostałabym od mamy klapsa. Pan pewnie wie. Takie na literkę „K”...

– Domyślam się – zapewnił szybko Skrócki. – Obiecuję nie kłać i nie niszczyć mebli, nawet jeśli przegram...

– On nie zniszczył tego krzesła – wyjaśniła Kalinka. – Było przymocowane do podłogi. Chyba tylko sobie uszkodził palec u nogi...

To by tłumaczyło, dlaczego przeklął – pomyślał Skrócki. Podał Kalince rękę na pożegnanie, a kiedy dziewczynka wystukała na elektronicznej tablicy kod wejściowy i otworzyła drzwi na klatkę schodową, pomachał jej jeszcze dłonią. Kalinka uśmiechnęła się i szybkim krokiem wbiegła na schody, kilka sekund później znikając Euzebiuszowi z oczu. Ten westchnął i ruszył w drogę do teatru. Był już spóźniony prawie godzinę, ale liczył na to, że szantażowany przez niego zespół aktorski wciąż w pocie czoła pracuje przy próbie generalnej spektaklu, którego premiera miała się odbyć drugiego dnia świąt.

Nie minęło kilka minut, kiedy Euzebiusz dotarł pod gmach

teatru. Zdziwiło go od razu, że światła przy wejściu są wygaszone. Nacisnął na klamkę, ale drzwi nawet nie drgnęły. Jak to?! Przecież obowiązkiem kasjerki było siedzieć w kasie, nawet po godzinach, i sprzedawać bilety, póki jej nie oznajmi, że może już iść do domu. Już on jej nagada...!

Skrócki wyciągnął z kieszeni klucz i otworzył drzwi. Zapalił światło i otworzył kolejne wielkie wrota, prowadzące do foyer.

W środku nie było żywego ducha. Mało tego! Żaden odgłos nie dobiegał też z sali, w której aktorzy powinni teraz karnie i w skupieniu ćwiczyć swoje kwestie. Nie wierząc własnym oczom, Euzebiusz przekroczył próg sali tylko po to, aby zobaczyć puste rzędy siedzeń dla publiczności i – o, zgrozo! – równie pustą scenę. Śmiertelnie zaskoczony, podszedł do niej i wtedy zauważył przyczepioną na kurtynie niewielką kartkę papieru. Wziął ją do ręki i przebiegł szybko wzrokiem.

*Szanowny Panie Dyrektorze!*

*Spieszmy donieść, że naszym zdaniem sztuka przygotowana jest na tyle dobrze, na ile tylko nasz talent na to pozwala. Jeśli uzna Pan jednak, że nieutalentowani z nas aktorzy, gotowi jesteśmy ponieść tego konsekwencje.*

*Rozumiemy, że za dzisiejszą niesubordynację zapewne spotka nas surowa kara, której chętnie się poddamy. Są jednak święta i nasze miejsce jest w domu, z bliskimi, na zakupach i przy przygotowywaniu wigilijnych potraw. Dlatego pozwalamy sobie opuścić teatr i odmeldować się na dwa dni. Do zobaczenia na premierze.*

*Pański (oddany) zespół.*

*PS Zresztą, jak widać, Panu też się dzisiaj do nas zbytnio nie spieszyło.*

Euzebiusz zmiął kartkę i cisnął nią w stronę kosza na śmieci, po czym ze złości kopnął w ten ostatni. Kosz potoczył się po podłodze, a echo rumoru, jaki przy tym wydawał, wzbilo się aż pod sufit doskonale akustycznego pomieszczenia. Cholera by wzięła tych nierobów...! Już on im pokaże święta! Skrócki oczywiście doskonale wiedział, że przedstawienie było dopięte na ostatni guzik już od wielu dni i mógł dać wszystkim wolne, ale swoim zwyczajem postanowił zrobić, ile się tylko da, aby każdy z jego podwładnych miał zmarnowane święta. Skoro on spędza je samotnie w domu, sfrustrowany, smutny i rozżalony, to czemu inni mają się cieszyć?

Wiedział, że i tak jutro wieczorem to on w pojedynkę otworzy opakowanie z karpem w galarecie i zje je przed telewizorem, oglądając dwudziesty raz z rzędu *Kevina samego w domu*, a jego pracownicy w tym samym czasie będą śpiewać kolędy z rodziną, cieszyć się z prezentów i wspólnie wieszczyć. Ale na razie to on był górą, a oni – znerwicowani i wściekli. Tylko właściwie... Co chciał przez to osiągnąć?

Skrócki zadał sobie to pytanie po raz pierwszy w życiu i zdziwił się, że nie umie znaleźć na nie odpowiedzi. Wcześniej wydawało mu się oczywiste, że skoro ludzie mają dobre humory, to trzeba im pokazać, że życie to nic wesołego, i sprawić, aby trochę pocierpieli. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że poza wzbudzeniem niechęci współpracowników niczego więcej nigdy nie zyskał. A po co mu była ta nienawiść ludzi?

W pierwszej chwili chwycił za telefon, żeby zadzwonić do kilku osób i zrobić piekielną awanturę, ale po chwili poczuł, że wcale nie ma na to ochoty. Po głowie kołatała mu się inna myśl...



*Trzecia osoba niebezpieczeństwo odegna, groźbie zaradzi...*

Jak na razie Skrócki spotkał dwie osoby. Nie żeby tak do końca uwierzył w przepowiednię Cyganki, a jednak w głębi ducha czekał na to, co jeszcze się dzisiaj wydarzy. Sam się przy tym nie poznawał. On, racjonalista, zawsze kierujący się rozumem, zaczyna ufać jakimś czarom, gusłom? Chyba z wolna zaczyna dziecinnieć, choć w sumie jeszcze zbyt wcześnie na to. A może to początki demencji, Alzheimera albo jakieś zmiany w mózgu? Tak, trzeba się będzie po świętach wybrać do neurologa i zrobić sobie jakiś rezonans albo inną tam tomografię. A na razie robi sobie herbatę...

Skrócki przeszedł do swojego gabinetu, gdzie w biurku miał ukrytą swoją ukochaną czarną herbatę z bergamotką, a na niskim stoliczku trzymał stary czajnik elektryczny. Ponieważ jednak nadal był wściekły, wyżył się dodatkowo, trzaskając z całych sił drzwiami od swojego gabinetu i doskonale zdając sobie sprawę z tego, że czyni to ot tak, sztuka dla sztuki, bo i tak nikt nie może tego usłyszeć.

Nie wiedział jednak, że w wyniku uderzenia futryna drzwi lekko się przekrzywiła, uniemożliwiając ich ponowne otwarcie. Na razie więc, nieświadomy niczego, Skrócki pstryknął włącznikiem czajnika i jednocześnie wyciągnął z teczki prezent od pana Alojzego. Połączone literki tytułu *Opowieść wigilijna* zdawały się jaśnieć magicznym blaskiem w świetle lampy stojącej przy biurku Euzebiusza.

Pogładził książkę, przypominając sobie, że choć teraz uważa ją za ramotę, to gdy jako dziecko czytał ją po raz pierwszy – był nią zauroczony. Powoli zaczął przewracać strony i przeglądać ilustracje. Stare, piękne wydanie... Nigdy nie widział takiego w żadnej księgarni.

Był już w połowie, gdy nagle jego umysł odnotował, że

dzieje się coś niezwykłego. Oderwał wzrok od powieści, aby kątem oka zobaczyć, że za jego plecami błyskają złociste płomienie. Przez chwilę stał jak zamurowany, a potem dotarło do niego, co się stało. Skręcony sznur od wysłużonego czajnika iskrzył chwilami już od jakiegoś czasu, a teraz jedna z tych iskier sprawiła, że zapaliły się dokumenty, przez przypadek pozostawione na stoliczku obok urządzenia. Teraz paliły się już nie tylko one, ale i cały stoliczek oraz tapeta nad nim. Powoli zajmowały się także same ściany, nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności wyłożone dość leciwą boazerią.

Euzebiusz przez chwilę stał jak sparaliżowany, zastanawiając się w panice, gdzie w teatrze znajduje się gaśnica, po czym ruszył w stronę drzwi. Szarpnął za klamkę, ale drzwi ani drgnęły. Naparł na nie mocniej, czując, jak dym zaczyna łaskotać go w gardle i kręcić w nosie.

Nie oddychać! Nie oddychać! – pomyślał w panice, starając się za wszelką cenę uchylić drzwi choć odrobinę. Bezskutecznie. Piekielne drzwi nawet się nie poruszyły! Dym wypełniał już cały pokój. Skrócki poczuł, że od braku oddechu zaczyna się dusić. Wypuścił powietrze, po czym zaczerpnął nowy jego haust. A potem kolejny i kolejny... Kilka chwil potem leżał nieprzytomny przy drzwiach swojego gabinetu, a płomienie ognia zbliżały się do niego powoli, z nieubłaganą konsekwencją...

\* \* \*

– Kochanie, sięgnij na górną półkę i podaj mi sól – Iza

patrzyła na Euzebiusza z uśmiechem. – Tutaj już się skończyła, a tam jest zapas. Ja nie dosięgnę, a ty bez trudu...

Skrócki stał pośrodku jasnej kuchni. Ze zdumieniem rozejrzał się wokół siebie. Na kuchennym blacie zobaczył półmiski ze świątecznymi daniami. Śledzie pod pierzynką, pierogi, sałatka warzywna, karp w galarecie... Jak zaczarowany, Euzebiusz sięgnął ręką nad swoją głowę i ze zdumieniem wyciągnął z jednej z szafek torebkę z solą. Podał ją Izie.

– Dlaczego masz taką dziwną minę? – zapytała ta, parszcząc śmiechem. – Jakbyś przybył z innej planety! Łap za wazę. Pora zacząć przygotowywać stół, bo moi rodzice napisali, że wyszli już z domu. Za jakieś trzy kwadransy powinni być, nie mamy zbyt wiele czasu...

Skrócki posłusznie odebrał z jej rąk ozdobne naczynie. Ku swojemu zdziwieniu od razu wiedział, dokąd ma je zanieść. Wyszedł z kuchni i przez mały, oświetlony czerwonymi lampkami przedpokój trafił do salonu. Na jego środku pysznił się przystrojony już stół, a w rogu potężna choinka... Przy drzewku stała jego córka, zakładając na gałązki duże, srebrne bombki.

– Zobacz, tato! – zaszczebiotała na jego widok. – Powiesiłam już prawie wszystkie. A mówiłeś, że nie dam rady!

Euzebiusz patrzył na nią jak urzeczony. Mała miała na sobie niebieską sukienkę wykończoną białą koronką, a jej blond włosy upięte były w dwa warkoczyki. Wyglądała jak mały anioł.

– Tato? – powiedziała, podbiegając do niego i przytulając się do jego nogi. – Czyż to nie wygląda fantastycznie?!

Euzebiusz poczuł, że chce coś powiedzieć, ale ze ściśniętego gardła nie jest w stanie dobyć żadnego słowa. Jak się tu znalazł? I co to właściwie wszystko oznacza?! Znów popatrzył na swoją córkę i nagle przestał analizować. Poczuł się

po prostu szczęśliwy. I nie chciał, aby ten stan się skończył. Kiedykolwiek.

– A o której będą twoi rodzice? – zapytała Iza, pojawiając się z kolejnymi daniami w progu salonu – Ebi?

Nagle salon zaczął wirować. Meble przesuwały się z miejsca na miejsce, sufit zaczął się kręcić, podłoga zamieniła w ocean, pośrodku którego pojawił się wir, wciągając kolejne meble, półmiski, dekoracje świąteczne... Skrócki złapał swoją córkę za rękę i cofnął się w stronę ściany, czując, jak czarna otchłań zaczyna porywać także i jego. Przerażony spojrzał na Izę, która nadal stała w progu, uśmiechając się tak, jakby nic się nie działo.

– Euzebiusz, o której przyjadą twoi rodzice? – powtarzała swoje pytanie coraz głośniejszym głosem. – Euzebiusz?!  
Euzeeeeeebiusz...?!!!

\* \* \*

Skrócki otworzył oczy, czując, jak ktoś z całych sił wali go w klatkę piersiową. Odetchnął i w tym momencie zakrztusił się. Walcząc o kolejny oddech, zaczął głośno kaszleć. Po chwili udało mu się ustabilizować oddech. Rozejrzał się przytomniejszym wzrokiem i ku swojemu zdumieniu zobaczył nad sobą Jacka w towarzystwie nieznanej dziewczyny. Oboje wyglądali na przerażonych i patrzyli na niego z przestraczeniem pomieszanym z lekką ulgą.

– Już myślałem, że jest po panu! – krzyknął Jacek. – Ale nas pan wystraszył...!

– Jakim sposobem...? – zaczął Euzebiusz, czując, że ma pustkę w głowie i nawet nie wie, jak sformułować pytanie. – Co się tu stało...? Jak...?

– Po tym, jak się z panem rozstałem, przez przypadek spotkałem Agnieszkę na rogu pod Nagietkiem – wyjaśnił Jacek. – A przy okazji, to moja ukochana, a to człowiek, który uratował mi dziś życie...

– Bardzo mi miło – szepnęła dziewczyna, podając Skróckiemu rękę. – Agnieszka Kowalczyk...

Skrócki przedstawił się odruchowo, nadal nie rozumiejąc, co się wydarzyło.

Jacek, widząc jego mocno zdezorientowaną minę, pospieszył z dalszymi wyjaśnieniami.

– Porozmawialiśmy tak od serca – kontynuował. – I okazało się, że miał pan rację. Nie było powodów ani do zazdrości, ani do zmartwienia...

– Głuptas! – uśmiechnęła się dziewczyna. – Być zazdrosnym o mojego trenera! Też coś. Nie dość, że mi się nie podoba, to jeszcze, jakby to powiedzieć, gra w przeciwnej drużynie.

– Nic nie rozumiem – powiedział Skrócki.

– Powiedzmy tak... – dziewczyna zastanowiła się przez chwilę. – Jakby na świecie nie było ani jednej kobiety, to mój trener wcale nie czułby się zmartwiony...

– Aaa, rozumiem – Skrócki odwzajemnił jej uśmiech. – To znaczy, tak mi się wydaje. Ale jakim cudem znaleźliście się tutaj, w teatrze?

– Chciałem panu od razu podziękować – odpowiedział Jacek. – A że wspomniał pan, że spieszy się do teatru na próbę, postanowiliśmy pana odwiedzić. Kiedy weszliśmy, poczuliśmy, że śmierdzi tu dymem i takim sposobem dotarliśmy do pana

gabinetu. Wywlekliśmy pana stamtąd dosłownie w ostatniej chwili. Ma pan szczęście, że Agnieszka uczyła się w szkole pielęgniarskiej. Gdyby nie jej pomoc, byłoby po panu...

– A co z teatrem? – powiedział Skrócki. – Czy pożar...?

– Straż przyjechała natychmiast, bo wezwaliśmy ją od razu, gdy tylko poczuliśmy dym – powiedział Jacek. – Kończą właśnie sprawdzać pana gabinet i instalacje. Zdaje się, że nie ma żadnych większych strat.

Euzebiusz zrobił jeszcze kilka głębokich oddechów, po czym spróbował wstać. Kręciło mu się w głowie, a w gardle czuł nadal taki smak, jakby zjadł zwęglonego kurczaka. Poza tym miał się całkiem nieźle.

– Wydaje mi się, że muszę zrobić jedną rzecz... – powiedział w zamyśleniu, po czym wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy. – Obiecuję, że moja rozmowa nie potrwa długo...

\* \* \*

W wigilijny wieczór śnieg prószył na całego. Euzebiuszowi to jednak nie przeszkadzało. Szybkim krokiem doszedł do miejsca, gdzie dzień wcześniej spotkał tajemniczą Cygankę. Ta czekała już na niego.

– I jak się ładny pan czuje? – zapytała swoim skrzekliwym głosem. – Uwierzył pan Cygance?

– Tak – powiedział Skrócki. – Ku ogromnemu zaskoczeniu, tak.

– Cyganka zawsze mówi prawdę – kobieta uśmiechnęła się szeroko. – Czy ładny pan zmienił swoje życie?

– Jestem chyba na dobrej drodze – przyznał Skrócki. – Wczoraj... Hm... Wydarzyły się różne rzeczy. I nagle pewne decyzje wydały mi się banalnie proste.

– Ładny pan da teraz Cygance rękę? – zapytała kobieta. Skrócki podał jej dłoń.

– Szczęście widzę przed ładnym panem – powiedziała Cyganka zadowolonym głosem. – Rodzinę widzę, miłość, zrozumienie. Ładny pan się zmieni, zmieni nie do poznania. Dobro widzę, życzliwość. Dobry pan łaskawy będzie dla wszystkich...

– No, bez przesady – zaśmiał się Skrócki. – Niech się pani tak nie rozpędza. Moi pracownicy i tak usłyszą ode mnie kilka gorzkich słów...

– Niech ładny pan nie da się nigdy opanować złości – poradziła Cyganka. – I niech pamięta, że i zło wraca do człowieka, i dobro. A dobro zawsze w dwójnasób.

– No dobrze, dobrze... – mruknął Skrócki. – Niech mi tu pani nie robi wieczorku buddyjskiego. Starczy.

Wyrwał jej dłoń. Cyganka popatrzyła na niego uważnie, znów się uśmiechnęła i wyciągnęła swoją rękę. Skrócki zrozumiał ten gest i z torby wyjął troszeczkę nadpalony przez ogień prezent od pana Alojzego. Żał mu się było rozstawać z książką, ale nie chciał, żeby Cyganka rzuciła na niego jakiś urok. Po wczorajszych wydarzeniach wołał nie ryzykować. Podał jej książkę.

– Ładny pan słowny – pochwaliła go kobieta, chowając powieść Dickensa za pazuchę. – Cyganka lubi słownych ludzi. To szczęście ładnemu panu przyniesie. A teraz niech idzie już do swoich bliskich, świętuje z nimi, raduje się. Nasze drogi się teraz rozchodzą na zawsze...

Skrócki popatrzył na nią z wahaniem, bo chciał jeszcze

zadać kilka pytań, ale Cyganka machnęła niecierpliwie ręką.

– Niech idzie! – rozkazała.

Skrócki zwlekał jeszcze przez chwilę, ale ostatecznie się poddał.

– Dziękuję – powiedział cicho, po czym odwrócił się i zaczął się oddalać, aby chwilę później zniknąć za kurtyną śnieżnych płatków.

Cyganka też się odwróciła. Przebiegła kilka metrów, po czym skręciła w małą boczną uliczkę, gdzie stał zaparkowany samochód. Czekala tam na nią mała dziewczynka.

– I co? – zapytała. – Udało się?!

– Tak – kobieta wsiadła do samochodu, po czym zdjęła z głowy chustę i opaskę, a następnie zaczęła odklejać z twarzy elementy charakterystyki, co wyglądało tak, jakby zrywała sobie skórę. – Mamy książkę!

– Trochę mi szkoda tego pana – powiedziała dziewczynka.

– Naprawdę zdążyłam go polubić. A powiedz mi, mamó, po co ci było to przebranie?

– Jeśli prawda kiedykolwiek wyjdzie na jaw, to wolałabym, żeby ten pan nie opisał mnie takiej, jaką jestem, ale taką, jaką mnie zapamiętał – powiedziała kobieta. – Poza tym kiedyś pracowałam w jego teatrze. Krótka, bo krótka, i raczej miałam z nim mało do czynienia. Zawsze wydawał mi się niemożliwy do zmiany, ale kiedyś zobaczyłam go na spacerze z córeczką. Wyglądał i zachowywał się zupełnie inaczej niż w pracy. Poczułam, że kołaczą się w nim jakieś resztki człowieczeństwa. I wiesz, co zrobiłam...?

– Powróżyłaś! – odgadła od razu dziewczynka.

– Tak – potwierdziła kobieta. – I wyszło mi, że pomogę mu się zmienić, wyjść ze skorupy, która z roku na rok coraz bardziej go uwierała. Nie wiem, czy to, co przeżył w ciągu ostatnich



godzin, czegoś go nauczyło, ale wiem, że przynajmniej spróbuje się zmienić... A teraz, Kalinko, sięgnij do bocznej kieszeni drzwi i podaj mi scyzoryk.

Dziewczynka spełniła polecenie. Kobieta otworzyła nożyk, po czym przejechała ostrzem po grzbiecie książki, rozdzielając twardą oprawę na dwie części. W środku znajdowała się kartka formatu A4, złożona na pół. Kobieta rozłożyła ją, przebiegła wzrokiem i uśmiechnęła się szeroko.

– Wreszcie! – powiedziała głośno z zadowoleniem. – W końcu dostałyśmy to, co nam się od dawna należało.

Dziewczynka spojrzała na nią uważnie, po czym z wahaniem zadała jeszcze jedno pytanie:

– A skąd wiedziałaś, że wszystko potoczy się tak, jak się potoczyło?

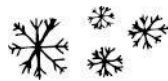
– Nie wiedziałam o wszystkim, tylko o tym, co wspólnie przygotowaliśmy z wujkiem Jackiem i ciocią Agą – wyjaśniła. – A reszta... No, nie patrz na mnie tak karcąco. Przecież nie wywołaliśmy pożaru! Nasz plan był inny, lecz czasem życie pisze najlepsze scenariusze. W tym przypadku najlepsze dla nas. Ale swoją drogą wiedziałam, że coś się jeszcze takiego dziwnego wydarzy tej nocy. Cóż, my, Cyganie, wiemy o pewnych sprawach. Nie wiadomo skąd, ale wiemy...

– A czy ja też będę kiedyś o takich sprawach wiedziała? – zapytała dziewczynka.

– Na pewno... – zapewniła ją kobieta. – W końcu, Kalinko, też jesteś Cyganką. A Cyganie mają magię we krwi!

Dziewczynka pokiwała głową, a kiedy jej mama zapaliła silnik i samochód zaczął jechać w górę ulicy, otworzyła okno. Do środka wpadło kilka płatków śniegu. Mała nabrała powietrza w usta, po czym dmuchnęła w płatki. Te, spadając na jej dłoń, ułożyły się w kształt małego serduszka. Dziewczynka

uśmiechnęła się. Teraz już była pewna, że jej mama ma rację.



## MAGDALENA WITKIEWICZ



*Nikt nie powinien być sam w taki wieczór*

*Jeśli potrafisz spędzić z kimś pół godziny w zupełnym milczeniu i nie czuć przy tym wcale skrępowania, ty i osoba ta możecie zostać przyjaciółmi.*

Lucy Maud Montgomery, *Błękitny Zamek*

Joanna zamknęła za sobą drzwi księgarni. Była pewna, że

w tym roku nie znajdzie pod choinką żadnego prezentu. Tak samo jak co roku, już od kilku lat.

Jednak tym razem się myliła. Może nie leżał pod choinką, ale jednak dostała prezent, z którego bardzo się ucieszyła. Starszy pan, którego tak lubiła odwiedzać, ofiarował jej ten świąteczny podarunek. Nie tylko jej. W drzwiach księgarni przy Wiśniowej minęła się z jakimś poirytowanym mężczyzną niosącym pod pachą identyczną paczuszkę. Najwyraźniej pan Alojzy postanowił tuż przed świętami obdarować wszystkich stałych bywalców swojej Księgarenki.

Joanna trzymała zawiniątko w rękach. Po sposobie zapakowania (płaski, dość twardy i ciężki pakunek zawinięty w aksamitny w dotyku, błękitny papier i obwiązany złotą wstążką) wnioskowała, że to książka. Cóż innego mogła dostać w prezencie od właściciela księgarni? Podarunek sprawił jej wielką radość, jednak w uszach miała ciągle tę złą wiadomość, którą pan Alojzy przekazał jej, gdy tylko weszła i otrzepała buty ze śniegu.

Księgarenka zostaje zamknięta.

Jak to? Zamknięta? Miejsce, do którego przychodziła niemal codziennie przez ostatnich kilka lat... Miejsce, które pomagało jej zapomnieć o smutkach, które bardzo często zastępowało jej tlen, gdy traciła oddech... Które leczyło jej smutki i było dużo lepsze niż psychoterapia, miało zostać zamknięte?

To był najgorszy świąteczny prezent, jaki mogła sobie wyobrazić. Zamknięcie niewielkiej księgarni przy Wiśniowej było niczym odcięcie powietrza wtedy, gdy jest najbardziej potrzebne.

Jak mógł jej to powiedzieć właśnie teraz, dzień przed Wigilią?!

Wyszła stamtąd niezauważona, jak tyle razy przedtem. Łzy ciekły jej po policzkach, ale w taką pogodę nawet nie było widać, czy to łzy, czy roztopiony śnieg spływający po twarzy.

Książki pomagały jej przetrwać każdy kolejny dzień. Nie stać jej było na nowe, czasem wyszperała coś w koszu z promocjami, ale zwykle nie kupowała ich, tylko czytała na miejscu. Pan Alojzy nie protestował. Doskonale wiedział, że będą w nienaruszonym stanie.

Joanna siadała w starym fotelu wciśniętym w kąt księgarni i zatapiała się w lekturze. Zaczętą książkę chowała za kilkudziesięciotomową encyklopedią na najwyższej półce. W tych czasach mogła być pewna, że z encyklopedii nikt nie będzie chciał korzystać – a już na pewno, że nie będzie chciał jej kupić. W epoce Internetu i Wikipedii każdy wolał zajrzeć do komputera. Zawsze to szybciej i wygodniej niż wertować stare, już pożółkłe strony. O, dziwo, pamiętała taką samą encyklopedię w swoim domu rodzinnym. Jako mała dziewczynka lubiła siadywać z ojcem, czytać niezrozumiałe słowa i przeglądać różnorakie rysunki.

Czasem oglądali z uwagą straszego pająka, a innym razem uczyli się rozpoznawać ptaki, które właśnie siadały na okiennym parapecie. Dzisiaj pewnie drukowałyby te wszystkie obrazki z Internetu i przypinała magnesem na lodówce. Lodówce, która w jej dzieciństwie nigdy nie była pełna, ale Joanna nie pamiętała, by czegokolwiek kiedyś im brakowało.

Ojciec pełnił jednocześnie rolę taty i mamy – tę znała tylko ze zdjęcia stojącego na stoliku nocnym w sypialni. Piękna brunetka z błękitnymi oczami. Oczami, które codziennie patrzyły na Joannę z lustra. Oczami, które tak kochał jej ojciec.

Ojca nie było z Joanną już jakiś czas. Niestety, długowieczność nie była mocną stroną jej rodziny. Tata odszedł

na długo przed tym, jak spotkała Artura. Często myślała, że dobrze, iż odszedł, bo nie widział tego, co się działo potem w jej życiu. A może widział? Podobno z góry wszystko widać lepiej. Jeśli jednak zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę, dlaczego zgodził się, by spotkał ją taki los?

Chociaż... Może się nie zgodził? Może to on kazał Arturowi wtedy wsiąść do samochodu i jechać tak bardzo szybko, tak bardzo ryzykownie... Nie było dnia, żeby o tym nie myślała. Nie było nocy, żeby nie winiła się za to, że nie zabrała mu wtedy kluczyków. Nawet jeśli ceną miałyby być kilka siniaków więcej, przysłoniętych długimi rękawami swetra lub skrywanymi za słonecznymi okularami. Nieważne. To już było nieważne. Siniaki na ciele dawno się zagoiły, zostały jeszcze tylko te na duszy.

Nie miała pojęcia, jak długo to wszystko będzie jeszcze bolało. Nie chciała o tym myśleć. Woląca siadywać w księgarskim fotelu, wyjmować zaczętą książkę z tej wielotomowej encyklopedii i zatapiać się w lekturze. Kiedyś w domu miała całkiem pokaźną bibliotekę. Kiedyś mogła sobie kupować wszystko, o czym marzyła. Kiedyś było zupełnie inne życie. Kiedyś...

Najbardziej kochała *Błękitny Zamek*. Jej zdaniem była to najpiękniejsza książka nie tylko o miłości, ale też o tym, że marzenia się spełniają, że gdzieś na końcu czeka spokojne, piękne życie. I nawet jeżeli człowiek myśli, że za chwilę umrze, to wszystko okazuje się nieprawdą.

Gdy była mała, miała tę książkę. Jeszcze to stare wydanie, w którym bohaterka była Joanną, a nie jakąś Valancy, a zamiast męskiego Edwarda nie pojawił się jeszcze Barney. Joanna zupełnie nie rozumiała i nie akceptowała tych zmian w ukochanej książce. Niestety, już nigdzie nie mogła dostać

tamtej wersji, która była jej tak bliska. Nawet w księgarni pana Alojzego.

Joanna też, jak jej imienniczka z książki, miała swój Błękitny Zamek, do którego uciekała. Jej Błękitnym Zamkiem była księgarnia przy ulicy Wiśniowej, w której mogła zatopić się w lekturze i uciec w sferę marzeń. Miała jednak nadzieję, że naprawdę kiedyś znajdzie się w Błękitnym Zamku wraz z Edwardem, który w rzeczywistości pewnie będzie miał równie idiotyczne imię, jak ten w kolejnych wydaniach jej ukochanej książki.

Na razie jednak nic na to nie wskazywało.

Joanna miała trzydzieści pięć lat i czasem traciła już nadzieję, że kiedyś jej udziałem stanie się radość, miłość. Tylko książki ze szczęśliwymi zakończeniami pozwalały jej jeszcze w to wierzyć. Utrzymywały ją w pionie niczym doskonały antydepresant. I teraz miała zostać od tego odcięta? Smutek i żal mieszały się z wściekłością. Jak on mógł? Jak ten Alojzy mógł jej to zrobić! Ona dałaby wszystko, by pracować w takiej księgarni! By książkami spełniać marzenia czytelników! Oddałaby naprawdę wszystko!

Przechodziła właśnie obok niedokończonego bałwana, stworzonego przez dzieci z okolicznych bloków. Na ziemi stała jedna wielka kula. Na niej druga. Trzeciej najwyraźniej nikt jeszcze nie zdążył ulepić. Rozejrzała się wokół i mocno kopnęła w zbity śnieg. Potem jeszcze mocniej. I jeszcze raz. Już nie liczyła uderzeń. Z głowy spadła jej czapka, włosy rozsypały się w nieładzie, policzki zaczerwieniły się, oczy błyszczały i tylko zaciśnięte usta oraz siła ciosów, które dostawał biedny bałwan, świadczyły o stopniu zdenerwowania Joanny.

– Oho. Ale ktoś panią wkurzył – usłyszała nagle z lewej strony.

Odwróciła się. Obok niej stał mężczyzna. Zadrżała. Znała go z widzenia i zawsze trochę się go bała. Mijała go czasami, najwyraźniej mieszkał gdzieś niedaleko. Zawsze ubrany na czarno, nosił skórzane spodnie, taką samą kurtkę. Jego ręce pokryte były niemal w całości tatuażami. Widziała go kiedyś z grupką łysych nastolatków. Wolała nie wchodzić im w drogę.

I jeszcze to zwierzę! Mężczyzna często spacerował z olbrzymim psem. Nie miała pojęcia, co to za rasa, ale na pewno figurowała na liście szczególnie niebezpiecznych. Wolała nie przekonywać się na własnej skórze, jak ostre są jego zęby. Nigdy nie podchodziła blisko. Bała się psów, nawet tych najbardziej łagodnych.

Nie chciała mieć z tym człowiekiem nic wspólnego. Wszystko wskazywało na to, że jest przestępcą albo przynajmniej przyjaźni się z przestępcami. Nie zamierzała zadawać się z kimś takim. Już kiedyś miała do czynienia z hazardystą... Tylko że tamten hazardzista wyglądał całkiem normalnie. Na początku był czuły, miły, pachnący dobrymi perfumami i uwodzicielski. A potem – cóż. Wszystko się zmieniło.

Joanna próbowała wyminąć nieznajomego. Bez skutku. Naprawdę zaczynała się bać.

Ona krok w lewo – on też. Ona w prawo – on w prawo.

Czyżby zamierzał ją okraść? Ale z czego? Miała tylko książkę, której nie zdążyła nawet rozpakować z kolorowego papieru...

– Mogę pani w czymś pomóc? – zapytał mężczyzna, kiedy już zaczynała rozważać zawołanie na całe gardło: „Ratunku!”.

– Nie, proszę pana. Dziękuję – odparła stanowczo chłodnym tonem.

– Jest wieczór, a pani najwyraźniej potrzebuje się wygadać.



– Myli się pan. Zawsze sama załatwiam swoje problemy – powiedziała może nieco zbyt obcesowo, po raz kolejny próbując go wyminąć.

– I z jakim skutkiem? – zapytał z ciekawością.

Joanna nie odpowiedziała. Nie zamierzała rozmawiać z tym typem spod ciemnej gwiazdy! Ani tym bardziej mówić mu, że skutek był marny. Przecież nie był. Radziła sobie całkiem nieźle, dopóki znajdowała azyl w wytworach fantazji przeróżnych autorów. Ale jak teraz to wszystko będzie wyglądało, gdy Księgarenki już nie będzie, gdy nie będzie fotela i książek skrywanych za encyklopedią? Nie wiedziała.

– Nieważne, proszę pana, muszę już iść – odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie zdecydowanie, szybko, stanowczo.

Poszedł za nią. Joanna jeszcze przyspieszyła kroku.

Mężczyzna również.

Kątem oka Joanna dostrzegała, że dystans między nimi wcale się nie skraca, mimo iż ona coraz bardziej przyspiesza.

Czego ten człowiek od niej chce? Co zamierza zrobić? Pies szedł przy jego nodze, wyprężony jak struna. Czyżby szykował się do ataku?

Joanna wpadła w panikę. W tej okolicy nie brakowało podejrzanych typów. Musiał być przestępcą albo wykolejńcem.

Musiał?

Ona nie była ani jednym, ani drugim, a jednak tu mieszkała. Jakby przez chwilę o tym zapomniała, bo przecież miała swój Błękitny Zamek.

– Uważaj! – usłyszała nagle krzyk, a zaraz potem głośny pisk opon.

Po chwili leżała na ziemi na mężczyźnie. Trzymał ją bardzo mocno. Pies, przerażony, lizał jej twarz, jakby chciał zapytać, czy nic się nie stało.

Samochód, który o mały włos w nią nie uderzył, nawet nie próbował zahamować. Raczej dodał gazu...

– Wszystko w porządku? – zapytał mężczyzna.

– Jezu... – Joanna nie mogła złapać oddechu. – Nie wiem, chyba w porządku.

– Na pewno nic się pani nie stało? – spojrzał na nią wnikliwie.

– Nie, nie – usiadła na śniegu.

– Boże, policzek pani krwawi – wyciągnął z kurtki chusteczkę i przyłożył do jej twarzy. – Powinniśmy odwiedzić lekarza.

– Nie, nie – Joanna pokręciła głową. – Zagoi się, naprawdę...

*Déjà vu.*

Tylko wtedy było trochę inaczej. Wtedy to ona zamierzała odwiedzić lekarza, a Artur nie chciał nawet o tym słyszeć.

\* \* \*

*Wcześniej...*

Stał nad nią wzburzony.

– Gdzie schowałeś pieniądze? Gdzie schowałeś te cholerne pieniądze?

– Nie powiem – patrzyła mu prosto w oczy. – Nie powiem ci. Znowu wszystkie przegrasz, znowu będę musiała się martwić. Znowu zostanę z tym wszystkim sama.

– Źle ci jest? Żyjesz jak królowa! – wskazał ręką na pokój,

w którym się znajdowali. Olbrzymi pokój w domu z ogrodem. Ich domu z ich ogrodem. W bardzo pięknej dzielnicy. Mieszkali tam tylko najbogatsi, jeździli drogimi samochodami, ich dzieci chodziły do prywatnych przedszkoli i elitarnych szkół. Dom miał czterysta metrów, we dwójkę mogli się ganiać po wszystkich pomieszczeniach i na początku właśnie tak robili. Czują się niczym Pretty Woman lub Kopciuszek, który nagle spotkał księcia i naprawdę miał zamiar żyć długo i szczęśliwie. Los jednak miał inne plany względem niej. Względem jej męża również. O ile ona miała żyć długo i niezupełnie szczęśliwie, o tyle on nawet nie miał żyć długo...

Ale o tym Joanna jeszcze wtedy nie wiedziała.

Kilka dni wcześniej natomiast dowiedziała się nieoczekiwanie, że wieczorne wyprawy męża na piwo z kolegami bardzo często były samotnymi wyprawami do kasyna czy na automaty. Wtedy jeszcze nawet tego nie rozróżniała. To nie był jej świat. Nigdy nie lubiła blichtru, złota i drogich gadżetów, którymi bogaci panowie wymachują na lewo i prawo.

Niestety, pewnego dnia odwiedzili ją dwaj panowie w ciemnych garniturach i bardzo grzecznie poinformowali ją, że zabierają telewizor.

– Ale jak to? O co chodzi? – próbowała się dowiedzieć. – Co wy w ogóle tutaj robicie?

– Mężulek nic nie powiedział?

Joanna pokręciła głową.

– A to proszę go zapytać, gdy przyjdzie – powiedział ironicznie mężczyzna, zdejmując ze ściany obraz.

Obraz nie przedstawiał żadnej materialnej wartości, ale pochodził z jej domu rodzinnego, dla niej był bardzo ważny.

– Proszę, tylko nie ten obraz – próbowała go zatrzymać. – On dla mnie jest bardzo ważny... Proszę... – zdjęła z szyi złoty

wisiorek. Prezent od męża. Jeden z tych bardzo drogich prezentów, które uwielbiał jej dawać. I nie tolerował tłumaczenia, dlaczego nie lubi ich nosić.

– Brylant?

– Tak.

– Oddaj jej ten obraz. To żaden Picasso – zarechotał drugi z mężczyzn, który do tej pory trzymał się z boku.

– Na razie jesteśmy kwita – powiedział ten bardziej barczysty. – Ale coś twojego męża fart opuścił – rozejrzał się wokół. – Cóż, widać, że jeszcze może sobie na to pozwolić – uśmiechnął się.

Joanna opadła bezsilna na łóżko. Bezwiednie złapała się za szyję w tym miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą wisiał naszyjnik od Artura. Pokręciła głową. Dlaczego, do cholery, zabrali telewizor? O co w tym wszystkim chodzi? Co zrobił jej – do tej pory wydawałoby się – idealny mąż?

Siedziała w milczeniu przy zgaszonym świetle do czasu, gdy przyszedł Artur.

– Dzień dobry, kochanie. Dlaczego siedzisz po ciemku? – zapytał, podchodząc do niej powoli.

Joanna nadal siedziała bez słowa. Artur zapalił światło i rozejrzał się szybko po pokoju.

– Co tu się stało? – zapytał. – Telewizora nie ma? Popsuł się? Oddałaś do naprawy?

Joanna nadal milczała.

– Gdzie masz naszyjnik? Nie mów, że zgubiłaś – skarcił ją jak dziecko.

Joanna pokręciła głową.

– Co tu, do cholery, się dzieje? – dopytywał się, wyraźnie podenerwowany.

– Ja powinnam cię o to zapytać – Joanna spojrzała mu

głęboko w oczy. – Chyba jesteś winien mi pewne wyjaśnienia – westchnęła.

– Jakie wyjaśnienia? Wracam do domu, ty siedzisz po ciemku, nie masz na sobie biżuterii, którą dostałaś tydzień temu, w domu bałagan, obiadu nie ma, nie mówiąc już o telewizorze! Co się stało? – potrząsnął ją za ramiona.

– Twoi przyjaciele w garniturach przyszli i zabrali telewizor. I mój naszyjnik również. Bardzo uważnie się rozglądali. Stwierdzili, że masz jeszcze pole do popisu – mówiła głośno. – Możesz dalej grać – spojrzała na niego wnikliwie. – Czy mógłbyś mi wreszcie powiedzieć, dokąd chodzisz w sobotnie wieczory? I w co ty grasz? Czym ty się, do cholery, zajmujesz?

Artur siedział w milczeniu ze spuszczoną głową.

– Grałem kilka razy. Z przyjaciółmi.

– Ładnych masz przyjaciół! – krzyknęła.

Artur nic nie odpowiedział.

– I nie miałeś im jak zapłacić? Ile przegrałeś?

– Trochę. Ale ja się odkuję. Teraz, w sobotę...

– Nie pójdziesz nigdzie w sobotę.

– Joanno! Już się umówiłem!

– Ze mną się też umawiałeś na spokojne, uczciwe życie.

– Nie mów, że ci ze mną źle! – krzyknął. – Przecież masz wszystko! Piękny dom, samochód, ciuchy...

– Czy wiesz, że to wszystko możesz stracić w jeden dzień?

– Joanno, nie dramatyzuj.

– Przychodzi do mojego domu dwóch facetów. Naruszają moją przestrzeń, włączają do sypialni, a ty mówisz, że dramatyzuję? Zastanów się trochę! Tu nie ma potrzeby dramatyzować, tu rozgrywa się klasyczny, prawdziwy dramat!

Artur schował twarz w dłoniach.

– Kochanie. Ostatni raz. Przecież tak lubiliśmy sobie siedzieć i oglądać razem seriale... Wieczorami, przytuleni... No przecież chcesz mieć z powrotem telewizor.

– Nie muszę mieć telewizora, jeżeli masz go wygrywać – krzyknęła. – Boże, o czym my tu w ogóle mówimy. To jakiś absurd! – pokręciła głową. Miała wrażenie, że znalazła się w samym środku jakiegoś kiepskiego filmu. Że to, co się dzieje naprawdę, to nie jest jej życie, ale jakaś niezbyt dobrze przemyślana fikcja literacka.

– Artur, proszę cię... To chyba można leczyć...

– Zwariowałaś? Nie jestem chory.

– Artur... Wszyscy tak mówią – powiedziała spokojnie.

– Joanno, przesadzasz.

Zawsze potrafił jej wmówić, że to ona jest winna całej sytuacji. Nie potrafiła z nim rozmawiać, nie umiała odierać ataków, wygrywać z nim na argumenty. Niemniej jednak idiotyczne wydawało jej się stwierdzenie, że to ona przesadza.

W kolejną sobotę nie umiała go zatrzymać w domu. Przyszedł po północy z triumfalnym wyrazem twarzy. Obudził ją. Na kołdrze położył jej naszyjnik.

– A tak we mnie nie wierzyłaś – uśmiechnął się szeroko. – Wszystko z powrotem jest nasze.

– Nie podoba mi się to – powiedziała.

– Co ci się nie podoba? Że odzyskałem pieniądze?

– Nie podoba mi się sposób, w jaki je odzyskałeś – odwróciła się na drugi bok. Nie chciała z nim rozmawiać. Nie sądziła, że zaśnie tej nocy, ale chciała, by przestał ją przekonywać, że hazard jest bardzo lukratywnym zajęciem.

– Myszko... – przytulił się do niej. – Kochanie, już wszystko będzie dobrze.

Uwierzyła mu wtedy. Kochali się tamtej nocy chyba po raz

ostatni. Czule, namiętnie. Przez moment była pewna, że wszystko będzie jak dawniej. Że nigdy więcej nie przyjdą panowie w dobrze skrojonych garniturach, że nikt nie będzie chciał jej pozbawiać pamiątek rodzinnych i ukochanych bibelotów.

Po raz pierwszy uderzył ją w pewien sobotni wieczór, gdy zabrała mu kluczyki do samochodu, by nie mógł wieczorem wyjść. Uderzył ją na tyle mocno, że upadła i zraniła się w policzek.

– Boże, policzek mi krwawi – spojrzała przerażona na męża. – Powinnam chyba iść do lekarza.

– Nie, nie – wystraszony Artur pokręcił głową. – Co mu powiesz? Przecież nie prawdę – spojrzał na nią. – Zagoi się za kilka dni.

Nawet nie powiedział „przepraszam”. Po prostu wyszedł.

\* \* \*

– Dobrze się pani czuje? – z zamyślenia wyrwał ją głos wytatuowanego mężczyzny. – Powinniśmy jechać do lekarza.

– Nie, naprawdę nie trzeba – próbowała się uśmiechnąć, ale rozcięty policzek bolał przy każdym ruchu. – Dziękuję, chyba mnie pan uratował.

– Jak na razie same szkody widzę – pokręcił głową.

– Gdyby nie pan, byłoby gorzej – usiadła na śniegu obok mężczyzny.

– Edward jestem – wyciągnął dłoń.

Uśmiechnęła się.

– Na pewno nie Barney?

– Sł... Słucham? – zapytał zdziwiony.

– Nie, nie. Nic takiego. Joanna – odwzajemniła uścisk. –

Widuję czasem pana... Z psem...

– Tak. Niekiedy się nim opiekuję – nie chciał kontynuować tematu. – Odprowadzę cię do domu, Joanno. Jeszcze dwie przecznice przed nami, możesz sobie zrobić krzywdę.

Nie miała siły protestować.

– Dziękuję. Chyba mam zły dzień.

– Zły dzień? Tuż przed Wigilią? – spojrzał na pakunek, który nadal trzymała w ręku. – Prezent nawet już dostałaś, jak widzę!

– Tak. Już dawno nie dostałam prezentu na święta. W tym roku po raz pierwszy od kilku lat – westchnęła. – Zwykle sama robię sobie prezenty.

– Jakie?

– No, w wannie zamiast karpia ja, pełno piany i fajna książka – roześmiała się, przyciskając chusteczkę higieniczną do nadal lekko krwawiącej twarzy.

– Niewiele ci do szczęścia potrzeba – pokiwał głową.

– Teraz już nie.

– A dawniej?

– Dawniej chyba miałam większe oczekiwania – odparła, czując nagłą chęć zwierzenia się temu dziwnemu człowiekowi. – Potem doszłam do wniosku, że pewne rzeczy nie są w życiu zupełnie istotne.

– A co jest istotne?

– Miłość, przyjaźń, zaufanie. Chyba najbardziej zaufanie. I to, by nie być samotnym.

– Masz rację... Ale wiesz, co jest jeszcze ważne? – spojrzał w prawo, na parking galerii handlowej Nagietek, pełen



samochodów z jodłami, świerkami i innymi drzewkami mającymi zapewnić świąteczną atmosferę. – By mieć w święta choinkę! – roześmiał się. – Masz już choinkę?

– Nie. Choinkę? Dla siebie samej? Nie – pokręciła głową.

– A dlaczego? Nie lubisz atmosfery świąt? – zapytał.

– Kiedyś lubiłam. Nawet bardzo. A teraz? Teraz dla mnie samej nie warto przystrajać drzewka, a prezentów raczej, tak jak już ci mówiłam, nie dostaję.

– Dla siebie wszystko warto. Czy chcesz, czy nie chcesz, jesteś skazana na siebie aż do śmierci – powiedział Edward. – Dbaj o siebie, rób sobie prezenty, bądź dla siebie miła. Będzie ci się lepiej szło przez to życie, nawet samej ze sobą.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Sama spędzasz święta? – kontynuował.

– Sama – powiedziała Joanna.

– Jak?

– No, mówiłam ci. Głównie w wannie, potem w szlafroku, z dobrą książką...

– Kupujemy choinkę. Ja już sobie kupiłem.

– Nie, nie – próbowała go powstrzymać. – Po co mi jakaś choinka?

– Choinka? Na święta musi być i już – uśmiechnął się. – No, nie kupię ci największej, tylko malutką. Bombki masz?

Nadal trzymała się za policzek, ale spróbowała się uśmiechnąć. Miała rację, ten facet nie był zupełnie normalny. Wyglądał jak przestępca, a najwyraźniej miał duszę anioła.

– Tylko kilka... Tyle co nic. Od dawna nie były mi potrzebne.

– Dobra, w takim razie musimy załatwić jeszcze bombki.

– Tam na rogu w kiosku mają – powiedziała przechodząca obok kobieta w szarym płaszczu. Widocznie przysłuchiwała się

ich rozmowie.

– No widzisz. Zaraz będziemy mieli choinkę, bombki też się znajdują, tylko proszę cię, nie kładź na niej waty, bo tego strasznie nie lubię.

– Ja też nie – uśmiechnęła się mimo bólu.

\* \* \*

*Wcześniej...*

– Nie kładź tylko waty na choinkę – uśmiechnęła się do Artura.

– Dlaczego? Przecież to śnieg!

– Nie lubię – skrzywiła się.

– Ale ja specjalnie porwałem płatki kosmetyczne!

– Wariat!

– No dobra. Nie położę.

To była ich pierwsza Wigilia. Pierwsza zaraz po ślubie. Spędzali ją tylko we dwoje. Stół był zastawiony przepyszными tradycyjnymi potrawami, przygotowanymi przez Joannę i podanymi na porcelanowej zastawie ze złotym brzeżkiem, drogie wino Artur nalał do kryształowych kieliszków.

Luksusowe wnętrza dużego domu, pięknie zapakowane prezenty pod choinką i przecudowna atmosfera.

– Nie otworzysz prezentu? – zapytał.

Joanna wyciągnęła spod choinki najmniejsze zawiniątko.

– Co to?

– Otwórz. Zobaczysz.

Rozwinęła czerwoną wstążeczkę, rozpakowała złoty, błyszczący papier. W środku znajdowało się pudełko, takie jak na biżuterię. Jednak nie było tam kolczyków ani pierścionka. W zamkniętym pudełeczku leżały kluczyki do samochodu.

– Artur?

– No co? Zawsze przecież mówiłaś, że chciałybyś mieć własny samochód.

– Dziękuję! Nie wiem, co mam powiedzieć.

– No co? – roześmiał się. – Kochany mężu, będę po ciebie jeździć na imprezy.

– Będę, będę – obiecała, całując go. – Fajnie, zaraz po obronie dyplomu będę mogła iść do pracy.

– Ale po co do pracy? – zastygł bez ruchu.

– No jak to po co? – zdziwiła się. – Przecież nie będę cały czas w domu siedzieć. Teraz będzie mi łatwiej, bo stąd trudno się wydostać autobusem.

– Joanna, ale ja nie chcę, byś szła do pracy. Przecież jest dom, ogród, masz co robić. Może wkrótce pojawią się dzieci?

– No może. Ale jak na razie jakoś się nie pojawiają.

Przecież mogę pracować. Żyć normalnie.

– Ale, kochanie, nie musisz pracować! Przecież stać nas, byś siedziała w domu.

– Artur, ja nie chcę siedzieć non stop w domu!

– A ja nie chcę, byś przychodziła po południu, przynosiła swoje zawodowe problemy do domu, była zmęczona i miała wory pod oczami! Wolę, żebyś czekała na mnie tutaj, uśmiechnięta, pachnąca...

– Chcesz mieć zabawkę, a nie żonę... – zamyśliła się. – Mogłeś mi to wcześniej powiedzieć.

– Przecież wiedziałaś, że dobrze zarabiam, że możesz mieć wszystko!

– Tak. Wiedziałam. Ale czy nie rozumiesz, że ja też chcę być potrzebna, ważna? To, co mamy teraz, możemy w sekundę stracić. Ja mogę cię w sekundę stracić i możemy zostać z niczym.

– Czarnowidztwo.

– Nie. Realizm.

Joanna wtedy nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo była bliska prawdy.

Artur wtedy po raz pierwszy wyszedł w nocy z domu. Gdzie mógł się podziewać jej dobry, pracowity mąż przed północą w wigilijny wieczór? Pewnie jest na Pasterce. Wtedy tak myślała...

\* \* \*

– W jakim stylu chcesz mieć choinkę? – zapytał Edward.

– W jakim stylu? Ale ja nie powiedziałam przecież, że w ogóle będę ją miała!

– To, że będziesz miała, już ustaliliśmy, teraz się pytam, w jakim stylu. To, że bez waty, też już wiemy. Ale chcesz mieć w jednym kolorze? Srebrną, białą? Wy, kobiety, macie czasem swoje zachcianki.

– Kiedyś... Kiedyś, jak byłam mała, miałam taką, na której były wyłącznie ozdoby... jadalne – zamyśliła się Joanna.

– Ależ mi robisz pod górkę!

– To jednak nie znaczy – pospieszyła z wyjaśnieniami – że teraz taką chcę, bo ja nie wiem wcale, czy chcę...

– Tak, ale ja to wiem. Chcesz choinkę. W święta powinno

się mieć choinkę, usiąść przy stole...

– Samemu?

– No, samemu byłoby ciężko – zatrzymał się na moment, spojrzał gdzieś w przestrzeń.

Czyżby to oznaczało, że też spędzi samotnie tę Wigilię?

Wiedziała, że powinna teraz powiedzieć, by do niej przyszedł, powinna zaprosić go na wspólną kolację, ale nie zrobiła tego. Przecież to kompletnie bez sensu zapraszać kogoś, kogo się poznało zaledwie przed kilkoma minutami... Kogoś, kto jeszcze do niedawna wydawał jej się przestępcą. Zresztą, kto wie, może naprawdę nim jest? Przecież uczciwy człowiek nie mógł tak wyglądać, nie mógł pożyczać sobie psa na spacer. I to takiego, że ludzie na jego widok przechodzili na drugą stronę jezdni. Nie, nie zaprosi go na Wigilię, choć on najwyraźniej na to czekał. Przecież uratował jej życie...

– No dobra. Czyli kupimy pomarańcze i pierniki.

– Kiedyś suszyłam pomarańcze.

– No właśnie. Jest jeszcze czas. Z pomocą piekarnika dasz radę.

Uśmiechnęła się. Już po chwili szli razem do jej domu z zakupami. Edward taszczył pod pachą niewielką choinkę. Nie pozwoliła mu kupić takiej aż po sufit, i tak by się nie zmieściła w jej małym mieszkanku. Kiedyś, gdy mieszkała w wielkim domu z Arturem, zamawiali ponad dwumetrową jodłę, która stała potem w ich wysokim salonie. Ale te czasy już minęły. Teraz musiała się zmieścić w swojej kawalerce wraz z niewielką choinką.

– Cieszę się, że w końcu cię poznałem – powiedział Edward. – Kilka razy chciałem podejść, zagadać. Ale teraz takie czasy, że ludzie nie poznają się na ulicy. Chyba że przez Facebooka.

– Nie mam Facebooka.

– To nie istniejesz!

Bywały chwile, gdy wolałaby nie istnieć. Chciała skulić się, by nie zostać przez nikogo zauważona. Odczęła się od świata, wyjechała na drugi koniec Polski, by zacząć od nowa. Zaczęła. Powoli, może niezbyt udolnie, ale w poczuciu bezpieczeństwa. Przynajmniej tak jej się wydawało. Stroniła od ludzi, nie szukała nowych znajomości. Nie chciała, by ktoś połączył ją z przykrymi zdarzeniami sprzed kilku lat.

A przecież zaczęło się jak w bajce.

\* \* \*

*Wcześniej...*

Poznała Artura w kawiarni. Dorabiała sobie w czasie studiów, pracując jako kelnerka. Przychodził specjalnie dla niej, zamawiał hektolitry kawy, herbaty, tony ciastek. Pewnego dnia oświadczył, że jeżeli się z nim natychmiast nie umówi, to on za jakiś czas nie zmieści się w drzwiach. Bo tak naprawdę to on nie lubi słodczy, wolałby, żeby bekon sprzedawała. Roześmiała się. Oczywiście umówiła się z nim raz, drugi, trzeci.

Artur był kilka lat od niej starszy. Właśnie założył firmę. Jak się miało okazać, firma od początku była strzałem w dziesiątkę. Handlował metalami, które sprowadzał z całego świata.

Bardzo szybko pobrali się, urządzili huczne wesele na sto osób. W zasadzie tylko z jego rodziny. Ona nie miała nikogo.

Pochodziła z małego miasteczka, była sama z ojcem, a potem, cóż... Pozostał jej tylko Artur. Była w nim szaleńczo zakochana. Ze wzajemnością.

Pierwsze lata ich małżeństwa przypominały bajkę. Wybudowali cudny dom na skraju miasta, Artur zarabiał, ona nie pracowała. Z trudem zgodził się, żeby nadal studiowała tę swoją polonistykę. W połowie musiała wziąć dziekanę, bo wyjechali na kilka miesięcy za granicę. Kończyła studia, kiedy zaczęły się problemy.

Gdy odwiedziło ją po raz pierwszy dwóch panów w garniturach, właśnie złożyła pracę u promotora. To był początek końca. Początek końca ich małżeństwa i początek końca ich życia.

Wtedy jeszcze nie podejrzewała, że jej mąż jest hazardzistą. Nawet to słowo wydawało jej się zupełnie niepasujące do ich życia.

Tak, wiadomo, to się nie zdarza normalnym ludziom. Przynajmniej wtedy Joanna tak myślała. Oczywiście, gdy byli razem w klubach, czasem grał na automatach, ale jej też się to przecież zdarzało. Dla frajdy, może raz, może dwa. By w życiu spróbować czegoś nowego. On, jak widać, próbował wielokrotnie. Z różnym skutkiem.

Potem zaczął się umawiać z kolegami na piwo. Jak się później dowiedziała, grywał wtedy w pokera. Z nią też często grywał. W rozbieranego. Traktowała to jako całkiem podniecającą grę wstępną.

Artur zniknął z domu raz, może dwa razy w tygodniu. Jak jej potem opowiadał, nie wygrywał zbyt dużo, dużo też nie przegrywał. Stawki były początkowo niewielkie – pięć złotych, czasem dziesięć. Po prostu robił to dla adrenaliny. Nadal był czułym, kochającym mężem, pomagał żonie w domu, przynosił

kwiaty. Jeździli razem na wakacje, prowadzili długie rozmowy i chodzili na spacer. Idylla.

Kilka miesięcy później Artur zaczął grać o wyższe stawki. Joanna o niczym nie wiedziała. Zdała sobie z tego sprawę dopiero parę miesięcy później.

Wtedy myślała, że mąż po prostu musi odreagować stresy w pracy. Przecież firma wciąż dobrze prosperowała. Kupował coraz droższe samochody. Zmieniał je czasem z dnia na dzień. Czy powinno ją to było zaniepokoić?

Kiedyś zadzwoniła Kamila, żona kolegi Artura, z którym chadzał na męskie imprezy.

– Może byśmy się spotkały? – zapytała.

– Jasne. Zapraszam.

Była zaskoczona. Nigdy nie pałały do siebie szczególną sympatią. Joanna nawet podejrzewała Artura o to, że chce jej zorganizować czas, i poprosił Kamilę, żeby się nią zajęła. Miał jakiś ważny przetarg i siedział bardzo długo w pracy. Wracał czasem dopiero przed północą, gdy już spała.

Nie bała się, że ją zdradza. Ufała mu bezgranicznie. Dlatego też zdziwiła się, gdy Kamila zaczęła opowiadać trudne do uwierzenia historie. Bo niby dlaczego miała wierzyć Kamili, a nie mężowi? Czy on ją kiedyś okłamał? Wtedy myślała, że nigdy. Było jednak inaczej.

Tamtego dnia prawie wyrzuciła Kamilę z domu. Początkowo traktowała jej słowa z przymrużeniem oka, ale gdy kobieta zaczęła jej opowiadać o nocnych wyprawach Artura i jej męża do kasyna, o wielkich kwotach, jakimi obracali, Joanna nie mogła tego słuchać.

– Posłuchaj mnie – prosiła Kamila. – Joanno, posłuchaj. Musimy coś z tym zrobić, póki jeszcze nie jest za późno.

– Kamila. Wiesz, rozumiem, że możesz mieć problemy.



Chętnie wam pomożemy, ale to nas nie dotyczy – Joanna starała się mówić spokojnie. – Nie zauważyłam, by Artur miał jakieś kłopoty!

– A to wszystko? – Kamila pokazała na salon.

– No, to chyba nie świadczy o kłopotach, prawda? – uśmiechnęła się Joanna. – To świadczy o tym, że jest dobrze!

Kamila pokręciła głową.

– Zawsze na początku jest dobrze. A potem może być bardzo źle.

– Bardzo chętnie ci pomożemy. Wam pomożemy – Joanna wstała z sofy. Uznała, że nie ma sensu kontynuować tej rozmowy.

– Sprawdź lepiej stan konta. Możesz się naprawdę bardzo mocno zdziwić.

Joanna nigdy nie kontrolowała konta bankowego męża. Wystarczało jej, że przelewał regularnie pieniądze „na życie”. Raz więcej, raz mniej. Jednak na tyle dużo, że zdołała sobie odłożyć już kilkadziesiąt tysięcy złotych. Nie zastanawiała się na co. Po prostu nie czuła potrzeby wydawania wszystkiego, co ma. Zresztą za prawie wszystko płacił Artur. Czasem zdarzało się, że pożyczał od żony. Miał swoje pieniądze na lokatach, ale gdy nadchodził dzień płatności faktur, twierdził, że nie chce zrywać tych lokat. Pożyczał dwadzieścia tysięcy, czasem mniej, czasem więcej. Zawsze oddawał. Śmiała się, że nie będzie trzymać pieniędzy na lokatach, bo lepiej wychodzi na pożyczaniu ich Arturowi. Pożycza mu pięć tysięcy, a on zwraca jej dziesięć.

– To chyba zakazane w Polsce – śmiała się.

– Wiele rzeczy jest zakazanych. Albo moralnie wątpliwych. Ale jakże przyjemnych! – powiedział. – I nie masz chyba nas na myśli? – rozpiął jej bluzkę wprawnym ruchem. – My już jesteśmy po ślubie, możemy legalnie i jest to całkiem moralne!

Może trochę uśpił wtedy jej czujność. Czasami słowa Kamili powracały niczym bumerang, ale przecież było cudownie! Artur kupił nowy samochód, wyjechali na kilka dni do ciepłych krajów naładować akumulatory. Artur mówił, że chce w ten sposób świętować wielki kontrakt. Wierzyła mu. Dlaczego miałyby mu nie wierzyć?

Teraz wiedziała, że miał wtedy dobrą passę. Zawsze tak jest. Zwycięstwa, sukcesy i towarzysząca hazardowi adrenalina sprawiają, że chętnie ryzykuje się coraz większe sumy. Wtedy, kiedy Kamila ją odwiedziła, Artur wciąż miał szczęście. Szczęście, które wkrótce miało się skończyć, o czym poinformował ją pewnego dnia męski głos w telefonie.

– Pogoń, laleczko, mężulka ze zwrotem szmalu, bo może się to źle dla ciebie skończyć – powiedział, gdy odebrała.

– Ale... Ale... O co chodzi?

Usłyszała w słuchawce tylko głuchy szum. Mężczyzna już się rozłączył.

Próbowała dodzwonić się do Artura. Bezskutecznie. Jeden raz, drugi, dziesiąty. Naprawdę bała się, że coś mu się stało.

Wrócił do domu przed północą. Pijany, w rozchełstanej koszuli, w fatalnym humorze. Ledwo co był w stanie wysiąść z taksówki.

Nie zauważył jej siedzącej na sofie w salonie.

Podszedł do barku, wyciągnął wódkę, odkręcił butelkę i zbliżył ją do ust.

Joanna wstała.

– Ty chyba już na dzisiaj masz dość – powiedziała. Wyrwała mu butelkę.

Zachwiał się. Mruknął coś niezrozumiale. Chciał ją przytrzymać, ale mu nie wyszło.

– Idź spać na kanapę – powiedziała. Sama poszła na piętro,

do sypialni. Zamknęła drzwi na klucz. Nad ranem, wciąż pijany, zaczął się dobijać do pokoju.

– Joanno! Co ty wyprawiasz? Jestem twoim mężem! Nie masz prawa się tak zachowywać!

Naciągnęła poduszkę na uszy. Miała prawo do wszystkiego. Nie będzie się wdawała w pijackie awantury. Poczekaj, aż wytrzeźwieje. Nigdy nie widziała go w takim stanie.

Obudziła się o dziewiątej. Nie zeszła od razu na dół. Poczekaj jeszcze dwie godziny. Kiedy w końcu wyszła, Artur był w łazience. Już po prysznicu, właśnie się golił. Bez słowa minęła go, by wziąć swoją szczoteczkę do zębów.

– Przesadziłem, co?

– Przesadziłeś – wycedziła przez zęby.

– Przepraszam.

– To chyba nie wystarczy. Powinniśmy porozmawiać – westchnęła cicho.

– Kotek... Przecież mężczyznom zdarza się czasem zaszaleć... – próbował ją przytulić, ale wysunęła mu się z objęć.

– Nie tylko o to chodzi – powiedziała i poszła robić śniadanie. Niedzielne śniadanie, które do tej pory było dla nich przyjemnością. Lubili je celebrować. Przeciągali posiłek niemal do obiadu, siedząc w szlafrokach i dolewając sobie kawy do filiżanek. Tym razem Joanna zrobiła śniadanie tylko sobie. Po raz chyba pierwszy od czasu, gdy byli razem. Usiadła do stołu.

Po chwili przyszedł Artur i zajął miejsce naprzeciwko.

– A dla mnie nie ma jajecznicy?

– Nie – pokręciła głową.

– Foch? – zapytał.

Joanna westchnęła.

– Gdzie byłeś wczoraj?

– U Andrzeja – odpowiedział krótko.

– Co robiłeś? – pytała dalej.  
– A co to? Przesłuchanie?  
– Być może. Mam ku temu powody.  
– Joanno, w jaki sposób ty ze mną rozmawiasz?  
– W jakikolwiek. Bo ty ze mną nie rozmawiasz.  
– Ja? Nie rozmawiam?  
– Nie mówisz mi o swoich kłopotach.  
– Ależ ja nie mam żadnych kłopotów – powiedział może nieco zbyt szybko, może uśmiechając się trochę za szeroko.

Joanna westchnęła. Chyba już nie umiała z nim rozmawiać. Czowała się tak, jakby stąpała po cienkim lodzie. Jeszcze do niedawna był stabilny i bezpieczny, ale nagle zaczął się pod nią załamywać. Nie chciała tego. Nie chciała nagle znaleźć się w zimnej wodzie, nie chciała tonąć. Nie teraz.

– Artur...  
– Kotku... Wszystko jest okej...  
– Pogadajmy szczerze... Może... Może chodźmy na spacer. Gdzie zostawiłeś samochód? Przespacerujemy się po niego?  
– Samochód? Samochód... Pożyczyłem.  
– Pożyczyłeś? – Joanna nie uwierzyła. – Artur, błagam, powiedz mi prawdę. Gdzie jest samochód?  
– Pożyczyłem.  
– Komu?  
– Nie znasz go.  
– Artur, grozili mi – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

Zamarł.  
Zacisnął wargi.  
– Już wszystko załatwione – powiedział.  
– Co to znaczy, że wszystko załatwione? – Joanna nie zamierzała kończyć tematu.

– Jak mówię, że załatwione, to załatwione, prawda? – krzyknął.

– Nie podnoś na mnie głosu.

Nic nie odpowiedział. Wstał i podszedł do barku. Nalał sobie whisky do szklanki.

– Artur! Od rana pijesz?

– Wiesz co? Daj mi spokój. Wciąż tylko mnie kontrolujesz! Nie mogę pić, nie mogę nigdzie wychodzić, nie mogę w swoim własnym domu krzyknąć. Mogę! – wrzasnął. – Jeżeli będę miał na to ochotę.

Joanna pokręciła głową. Kruchy lód właśnie pękł.

– Artur...

Nalał sobie kolejną szklankę alkoholu. Wypił niemalże duszkiem.

Do popołudnia butelka była pusta.

– Gdzie się wybierasz? – zapytała, gdy zauważyła, że wychodzi.

– Nie twoja sprawa.

– Moja – stanęła blisko niego, zagradzając mu drogę do drzwi.

– Nie twoja! – powiedział i odepchnął ją. Upadła i mocno uderzyła się o kant szafki na buty. Artur, nie zważając na nic, otworzył drzwi i wyszedł z domu.

Potem coraz częściej wracał pijany. Coraz częściej robił awantury. Kilka razy podniósł na nią rękę. Samochodem nie jeździł. Dowiedziała się, że przegrał go w karty.

Któregoś dnia znowu chciał pożyczyć od niej pieniądze, ponoć na podatek.

Nie pożyczyła.

Zrobił karczemną awanturę. Jak zawsze utonął potem w morzu alkoholu. Wcześniej jednak coś sprawdzał w banku

i zapomniał się wylogować. Zajrzała na jego konto.

Saldo wynosiło 3 złote i 25 groszy.

Nie mieli nic.

\* \* \*

– Dasz mi swój numer telefonu? – z zamyślenia wyrwał ją głos Edwarda.

– Jasne...

Jej nowy znajomy właśnie umocował choinkę w masywnym uchwycie i postawił drzewko na stoliku.

– Udekorujesz ją sama?

– Jutro. U nas w domu była tradycja, że dekorowaliśmy drzewko dopiero w wigilijny poranek. Kochałam to... Tata zostawiał mi pełną dowolność. Sama ubierałam choinkę. Moje bombki wisiały tak wysoko, jak tylko mogłam dosięgnąć – uśmiechnęła się. – Każdego roku coraz wyżej. Tata wysoko wieszał tylko te, które zostały. Ta granica była wyraźnie zaznaczona. Na dole zabawki, zwierzątka, kolorowe papierowe gwiazdy, a u góry klasyka.

– A potem? Z mężem?

– Potem wszystko było pod dyktando teściowej – Joanna wzruszyła ramionami. – Pojawiła się w moim życiu jak grom z jasnego nieba. Prawdę mówiąc, nie wiedziałam, że żyje. Nie pokazała się na naszym ślubie, pierwsze święta spędzaliśmy we dwoje... A miesiąc później nagle w progu stanęła teściowa. Okazało się, że była przez półtora roku w Stanach u siostry. Wtargnęła w moje życie jak tornado i zaczęła o wszystkim

decydować.

– Nawet o choince? – Edward spojrział na nią z niedowierzaniem.

Pokiwała głową.

– Gdy teściowa robiła srebrną choinkę, na mnie przypadała czerwona, a na drugą synową granatowa. Rotacja co trzy lata...

– Trochę nudno, co?

– Nudno. Miałam kilka zabawek z rodzinnego domu, ale Artur nie chciał, bym je wieszała. Nie słuchałam go. Wieszałam tuż przed Wigilią, gdy już było za późno na zmiany. Czasem dopiero wtedy, gdy szedł otwierać drzwi swojej mamie. Potem tylko widziałam jego karcący wzrok. Udawałam jednak, że tego nie dostrzegam.

– Masz jeszcze te zabawki?

– Mam. Od kilku lat już nie mam choinki, ale w każdy wigilijny wieczór je wyciągam i oglądam.

– Czyli jest jeszcze jakaś prawdziwa wigilijna tradycja oprócz ciebie w charakterze karpia?

– Cha, cha, cha. Faktycznie, na to wygląda...

– To dobrze, bo już się poważnie niepokoiłem.

Gdy Edward wyszedł, Joanna położyła swój prezent pod jeszcze nieubraną choinką. Od razu zaczęło być milej, przytulniej. W takich chwilach na filmach rysunkowych zaczyna zawsze wirować srebrny pył, a w tle słychać dźwięk świątecznej piosenki. Joanna włączyła radio. W realnym świecie również słyszała świąteczne piosenki. Uśmiechnęła się.

Dzisiejsze spotkanie z mężczyzną, który do tej pory wydawał jej się zupełnie kimś innym, zaowocowało tym, że słucha świątecznych piosenek i cieszy się choinką. Tak! Naprawdę cieszy się tym drzewkiem, które stoi w jej maleńkim

pokoju.

Poszła do kuchni, pokroiła pomarańcze i cytryny na grube plastry i włożyła do uchylonego piekarnika. Miała zamiar potem przywiązać do nich kolorowe wstążeczki i zawiesić na choince. Szkoda, że pierników nie zrobiła wcześniej. Kiedyś, z tatą, to była tradycja. Tuż po Wszystkich Świętych, zaraz po odwiedzinach grobu mamy, zabierali się do przygotowywania ciasta. Musiało swoje odleżeć. Ale to był znak, że można już zacząć myśleć o świętach. Bardzo lubiła ten czas oczekiwania.

Potem próbowała w swoim domu kultywować te tradycje, ale nie wyszło. A potem... Potem zaczął się ten koszmary ostatni rok z Arturem.

\* \* \*

*Wcześniej...*

Artur coraz więcej pił, coraz częściej wychodził. Zdarzało mu się podnosić na nią rękę. W domu zjawiali się różni ludzie. Nie podobali jej się.

– Artur, mamy kłopoty. Ja nie chcę tak żyć!

– A jak chciałabyś żyć?

– Normalnie.

– No tak, żyjesz jak księżniczka i to nie bardzo ci odpowiada – pokiwał głową.

Nie żyła jak księżniczka. Żyła w ciągłym strachu, że następnego dnia obudzi się w pustym domu, a w jej sypialni będą panoszyć się obcy mężczyźni, przeglądając jej prywatne



rzeczy. Nie mogła tak dalej żyć.

Wielokrotnie próbowała porozmawiać z Arturem. Niestety, albo rozmowy nie przynosiły oczekiwanych efektów, albo po prostu do nich nie dochodziło. Artur pił coraz więcej i coraz częściej.

Postanowiła, że odejdzie. Odwiedziła adwokata, zdecydowała się wnieść sprawę o rozwód. Pani mecenas dziwiła się, że Joanna tak długo z tym czekała. Joanna sama była zdziwiona. Dlaczego tak długo wytrzymywała? Chyba z tego samego względu, co żona alkoholika. Żyła z dnia na dzień z nadzieją, że wszystko się zmieni. Codziennie Artur mydlił jej oczy, że to już ostatni raz, że tylko się odegra i kończy z tym. Wierzyła. Pozwalała sobą pomiatać.

Jak żona alkoholika... Właściwie on chyba już nim był. Nie tylko hazardzistą, ale i pijakiem. Nie potrafił przeżyć dnia bez picia, do samego dna.

– Złożyłam pozew o rozwód – powiedziała, gdy wrócił do domu.

– Joasiu... – zaszklily mu się oczy.

Nie mogła na to patrzeć. Odwróciła głowę.

– Joasiu, nie kochasz mnie już?

– Artur, nie wiem...

Najpierw błagał. Błagał, by tego nie robiła. Potem straszył, że sama sobie nie poradzi, że przecież jeszcze nigdy nie pracowała. Na koniec wyzywał ją, obrażał. Joanna nic nie mówiła. Z każdą minutą jego monologu upewniała się, że podjęła słuszną decyzję.

– Nie poradzisz sobie. Byłem dla ciebie wszystkim. Kochankiem, kasą, przyjacielem.

Tak, faktycznie tak było. Obiecała sobie wtedy, że nigdy żaden człowiek nie będzie dla niej wszystkim. Powiedziała

sobie, że zawsze będzie stała pewnie na dwóch nogach. Swoich nogach. Że zrobi wszystko, by nie uzależnić się już nigdy od nikogo.

Artur zniknął na tydzień. Nie dzwonił, nie wracał na noc.

Po tygodniu do jej domu zapukał policjant. Urzędowym tonem poinformował ją, że nastąpiła kolizja, bo jej mąż Artur kierował samochodem pod wpływem alkoholu i innych środków odurzających.

Jakich, do cholery, środków odurzających? To jeszcze były jakieś inne środki odurzające?

Artur zginął na miejscu.

Joanna miała ogromne wyrzuty sumienia, bo wtedy przez dwie sekundy pomyślała, że gdyby on przeżył i był inwalidą, musiałyby się nim opiekować całe życie. A tego by nie zniosła.

Była przerażona swoimi myślami.

Gdy policjant wyszedł, położyła się na sofie. Nie umiała płakać.

Telefon do teściowej, telefon do przyjaciół. Tylko czy to byli prawdziwi przyjaciele, skoro wciągnęli Artura w takie bagno?

Kilka dni po pogrzebie rozzwonił się telefon. Znajomi, nieznajomi, instytucje finansowe... Każdemu Artur był winien większe lub mniejsze kwoty. Przestała ogarniać swoje życie. Musiała żyć życiem męża. Och, jakże proste byłoby pójście do kasyna i odegranie się za wszystkie czasy. Nawet jej to proponowano. Nie chciała jednak chodzić ścieżkami wydeptanymi przez Artura. Nie tym razem.

Wraz z księgową męża usiadła któregoś wieczora i wszystko podliczyła. Nie wyglądało to dobrze. Aby spłacić wszystkie długi, musiała sprzedać dom. Dom, który razem budowali, w którym znała każdy centymetr. Dom, który kochała.

– Ale jak to sprzedać dom? Przecież on jest Artura! –  
teściowa była oburzona.

– Mamo. Artur nie żyje.

– Nie musisz mi przypominać, że Artur nie żyje! Gdybyś  
inaczej gospodarowała pieniędzmi, nie musiałabyś sprzedawać  
domu!

– To Artur narobił długów. Nie ja.

– Ty mu na to pozwoliłaś!

– Mamo, on był dorosły! Co ja miałam robić!

– Mogłaś mi powiedzieć!

– Sygnalizowałam ci wielokrotnie, że Artur ma problemy!

I co wtedy mówiłaś?

Faktycznie. Wielokrotnie mówiła teściowej, że Artur pije,  
że znika gdzieś z kolegami. Wiele razy jej wspominała, że bywa  
w kasynie. „Cóż, kochana. Mężczyzna czasem musi się  
wyszaleć. Ciesz się, że na inne baby nie zerka” – to było jej  
jedyne wytłumaczenie. Może „zerkanie na baby” byłoby mniej  
problematiczne.

Joanna podjęła ostateczną decyzję, gdy zobaczyła linię  
kredytową na sto tysięcy złotych na koncie, o którym nie miała  
pojęcia. Ile było jeszcze takich kont, o których nie wiedziała?

– Musiałaś coś podpisywać – mówiła Kamila, która po  
śmierci Artura doradzała jej w wielu sprawach. Jej mężowi  
udało się wydostać z tego bagna. Widać, w porę zareagowała...  
A on pozwolił sobie pomóc, nie tak jak Artur...

– Może i coś podpisywałam. Nie wiem – Joanna pokręciła  
głową. – Naprawdę nie pamiętam.

Czasem Artur podsuwał jej jakieś dokumenty do podpisu.  
Mieli oddzielne konta, ale nie zawarli intercyzy, a więc wiele  
spraw wymagało jej podpisu. Na wszystko się zgadzała, bo  
dlaczego miałyby nie ufać mężowi? Wtedy nie było powodów.

– Zawsze czytaj, co podpisujesz. Zawsze – powtarzała Kamila.

Pomogli jej sprzedać dom. Joanna pospłacała wszystkie długi. Co do złotówki.

– Musiałam to zrobić – powiedziała teściowej.

– Na pewno było inne wyjście.

– Jakie?

– Pójść do pracy.

– Mamo, do pracy tak czy inaczej pójde, ale nawet gdybym zarabiała kokosy, i tak nie byłabym w stanie utrzymać domu. A kto by długi spłacił? Ponad dwieście tysięcy na jednym koncie, sto na drugim, kolejne dziesiątki u ludzi, którzy wciąż się do mnie zgłaszają...

Teściowa nic nie odpowiedziała. Według niej na pewno było jakieś inne wyjście. Nie знаła wartości pieniędzy. Zawsze je miała. Szkoda tylko, że nie chciała pomóc w momencie, gdy jej synowa tak bardzo tej pomocy potrzebowała. Tym bardziej że długów narobił jej syn. Joanna czuła, jakby w momencie śmierci Artura przestała należeć do tej rodziny. I tak chyba było w istocie.

– Co teraz będzie? – zapytała Kamila, gdy siedziały na pustej podłodze. Wszystkie meble zostały już wywiezione, za tydzień Joanna miała się wyprowadzić.

– Co będzie? – powtórzyła Joanna. – Nie wiem. Nowe życie będzie. Zupełnie inne, może nieco gorsze. Będę szukać swojego Błękitnego Zamku.

– Czego?

– Błękitnego Zamku. Nie czytałaś?

– Chyba nie.

– Dwudziestodziewięcioletnia Joanna Stirling, stara panna, marzy o zamku w Hiszpanii, gdzie jest adorowana przez tabuny

rycerzy. Tylko że ja chyba już nie chciałabym być adorowana. Na tę chwilę mam dosyć.

– I co potem?

– Co potem? Znajdę pracę, będę dalej żyć.

– Nie o to pytam. Co się stało z tą Joanną od Błękitnego Zamku?

– Z Joanną Stirling?

– Tak. Znalazła swój Błękitny Zamek?

– Znalazła – Joanna się uśmiechnęła. – Zakochała się w przystojnym, aczkolwiek na pierwszy rzut oka niezbyt grzecznym mężczyźnie i...

– I żyli długo i szczęśliwie?

– Tak – pokiwała głową Joanna. – Ale to dopiero później. Na początku mieli pod górkę.

– Czasem bywa pod górkę – zamyśliła się Kamila. – Wiesz, chyba kupię tę książkę.

– Koniecznie. Fajnie jest mieć swój Błękitny Zamek. Choćby w snach.

Jaki był jej Błękitny Zamek? Niewielki, przytulny. Z dominacją bieli. Gdy jeszcze zamykała się przed Arturem w sypialni, gdy słyszała jego walenie w drzwi, gdy naciągała kołdrę na uszy, zawsze uciekała myślami w miejsce, w którym czuła się bezpiecznie. Nie był to zamek w Hiszpanii, ale małe mieszkanko na wielkim osiedlu. To, które zostało po tacie. Do tej pory wynajmowane studentom, miało stać się jej domem już chyba na zawsze. Nie liczyła na księcia z Błękitnego Zamku, który nagle zabierze ją do krainy szczęśliwości.

– Ależ to drugi koniec Polski! – krzyknęła Kamila.

– Tak. Zaczynam wszystko od nowa.

– Z czego będziesz żyła?

– Tak samo mogę tam pracować, jak i tutaj. Być może będę szukać pracy w szkole. Może zaczepię się w jakiejś bibliotece? Zobaczymy, co los dla mnie zaplanował. Jak na razie nie szczędzi mi atrakcji.

– Będziesz tam zupełnie sama...

– Tu też jestem sama. Chodzę tymi samymi ścieżkami, którymi jeszcze niedawno chodziłam z Arturem. I wiesz? Bardzo to dziwne, ale im więcej czasu mija od jego śmierci, tym mniej pamiętam złe chwile, a częściej wspominam te szczęśliwe. Ten dom przypominał mi właśnie te najgorsze.

– Odwiedzisz nas kiedyś?

– Jasne. Do mnie też zapraszam. Warunki pewnie będą gorsze niż tutaj, ale zawsze jakoś się pomieścimy.

Joanna tak naprawdę nie zdawała sobie sprawy, co zastanie na miejscu. Spakowała cały swój dobytek w kilka kartonów, zamówiła transport i pojechała.

Mieszkanie zdecydowanie nie było Błękitnym Zamkiem z jej snów.

Bardziej przypominało ruderę. Wszędzie brudno, szaro, ponuro. Obdrapane ściany i podarte tapety.

Gdy tylko zajechała, zaczęła sprzątać. Nie miałyby inaczej gdzie spać. Nie tak wyobrażała sobie powrót do swojego rodzinnego domu.

Kolejny dzień rozpoczęła od zakupów w markecie budowlanym. Kupiła farby, pędzle. Nigdy wcześniej tego nie robiła. Ale chciała zacząć od nowa. Symbolem nowego życia miały być wymarzone białe ściany i meble, które też zamierzała przemalować na biało.

Po dwóch tygodniach zakończyła remont.

Jej Błękitny Zamek był gotowy. Ściany w kolorze złamanej

bieli przyozdobiła obrazami, które udało jej się ocalić przed wierzycielami Artura, stare kuchenne meble pomalowała farbą kredową i zabezpieczyła woskiem. Na rzeźbieniach nieco ciemniejszym. Uszyła zasłonki i obrus. Podobało jej się bycie królową we własnym domu.

Zdawała sobie jednak sprawę, że pieniądze, których trochę jej jeszcze zostało, stopnieją szybciej niż lód.

Przez kilka miesięcy szukała pracy. W końcu zatrudniła ją miejscowa szkoła, na razie na pół etatu. Została pomocnicą nauczycielki w świetlicy. Kochała dzieciaki ze wzajemnością, jednak za połowę pensji bardzo trudno było przeżyć. Nie starczało jej na wiele codziennych potrzeb. A dla Joanny podstawową codzienną potrzebą były książki. Dlatego też gdy odkryła Księgarenkę przy ulicy Wiśniowej i możliwość siedzenia w fotelu i czytania, całkiem za darmo, poczuła się najszczęśliwszą kobietą na świecie.

Czasem, gdy udało jej się dostać jakąś dorywczą pracę albo udzielić korepetycji, pozwalała sobie na kupno książek. Szperała wtedy w starym koszu, wyciągała najbardziej ckliwe romanse za niewielkie kwoty i kupowała je, by potem spędzać z nimi długie, samotne noce.

Nauczyła się żyć w tym swoim Błękitnym Zamku. Czuła się bezpiecznie. Dlatego też gdy pan Alojzy poinformował ją, że księgarnia zostanie zamknięta, poczuła, jakby jej układany misternie przez ostatnie kilka lat świat właśnie się zawalił. A ona leżała pod gruzami, bez możliwości ruchu w żadną stronę. Bezsilna.

\* \* \*

Spojrzała na swoją choinkę i prezent pod nią. Tak dawno nie dostała podarunku. Czy można otwierać prezent w przeddzień Wigilii? Można. Przecież jest dorosła.

Rozdarła szybko i nerwowo papier.

*Błękitny Zamek?* Alojzy jednak go znalazł! Piękna okładka, jaką miała w dzieciństwie. I Joanna! Nie jakaś tam Valancy! I Edward zamiast Barneya!

Uśmiechnęła się i otworzyła książkę na chybił trafił.

*– Edwardzie, idź stąd! Na miłość boską, odejź!*

*– Nigdy! – wymamrotał przez zaciśnięte zęby. Jeszcze raz szarpnął sznurowadło. Gdy pociąg zahuczał na zakręcie, poderwał się i wyciągnął Joannę z pułapki. Wywołany biegiem pociągu pęd powietrza owionął mu twarz i wtedy poczuł, że oblewa go lodowaty pot. – Bogu dzięki! – szepnął z wysiłkiem.*

I wtedy przypomniała sobie dzisiejsze popołudnie. Krzyk Edwarda, nie tego z książki. Tego z prawdziwego, realnego życia. Krzyk i to, że pociągnął ją na siebie, by nie wpadła pod samochód. Zupełnie jak w książce!

Wiele rzeczy było tak, jak w książce. Tajemniczy mężczyzna, który do tej pory wydawał jej się nie do końca grzeczny, *Błękitny Zamek*, do którego uciekała myślami. Nie była wprawdzie starą panną mieszkającą z okropnymi ciotkami, ale była samotną wdową, całkiem jeszcze młodą, spragnioną nowego, pięknego życia. Kobieta, która nieśmiało marzyła o przyszłości, o miłości, ale naprawdę bała się do tego przyznać, nawet sama przed sobą.



Tej nocy do późna czytała *Błękitny Zamek* – książkę, która zawsze była lekiem na całe zło. Na wszystkie smutki tego świata. I jakoś tak ciepło jej się robiło w sercu, że Joanna i Edward żyją długo i szczęśliwie. Gdy była nastolatką, czytała tę książkę od deski do deski, naraz. Ile razy? Tego nie wiedziała. Wiele. Tak było i tym razem. Postanowiła, że kolejnym razem przeczyta powieść w oryginale. Znała ją prawie na pamięć, więc nie powinno to dla niej stanowić trudności. Była ciekawa, czy w oryginale jest Valancy, czy Joanna. Wpisała w wyszukiwarkę *Blue Castle*. Valancy? Niemożliwe. W oryginale wcale nie było Joanny!

Następnego dnia rano ubrała choinkę. Zapachniało igliwem w całym mieszkaniu.

Po szesnastej nakryła stół białym obrusem i tradycyjnie ustawiła dwa nakrycia. Dla siebie i dla kogoś, kto być może zapuka. Wygładziła obrus i usiadła do wieczerzy. Pierwszy raz od lat zadbała o dekorację, wyłożyła haftowane serwetki, stół przystroiła gałązkami świerku.

– Wszystkiego najlepszego, kochana... – powiedziała cicho sama do siebie. – Dasz radę. Kto jak nie ty.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Nie oczekiwała gości. Spojrzała przez wizjer.

– Edward? – zdziwiła się.

– Cześć... Tak pomyślałem, że może... Że może masz nakrycie dla nieoczekiwanego gościa...

Joanna stała przed drzwiami, nie wpuszczając go do środka.

– Nie w porę przychodzę? – Edward zrobił krok w tył.

– Nie, nie, po prostu jestem zaskoczona – Joanna otworzyła drzwi na oścież. – Zapraszam – uśmiechnęła się.

– Przyniosłem rybę, trochę barszczu...

– Sam to wszystko zrobiłeś? – zapytała.

- Muszę powiedzieć prawdę?
- Nie – roześmiała się.
- Jeśli nie muszę mówić prawdy, to sam – zawtórował jej śmiechem. – Siedziałem od rana, najpierw zrobiłem barszczyk, potem ulepiłem uszka, a następnie usmażyłem rybę.
- Joanna patrzyła na niego spod zmrużonych powiek.
- Akurat!
- Przecież pozwoliłaś mi kłamać.
- Pozwoliłam – potwierdziła.
- Tak naprawdę dostałem to od siostry. Dała mi też trochę dla ciebie, jakbyś nie chciała dać się zaprosić.
- Gdzie zaprosić?
- No, na Wigilię.
- Na Wigilię?
- To święto rodzinne. Nie można być samemu w taką noc – powiedział cicho. – Moja siostra też ma talerz dla niespodziewanego gościa... A ciebie się spodziewamy.
- Przecież... Przecież wcale się nie znamy... – Joanna pokręciła głową.
- Znamy się! Wiesz, że mam na imię Edward, wiesz, że niekiedy pożyczam psa, by się nim opiekować... Widujesz mnie czasem. Po raz pierwszy spotkałaś mnie kilka lat temu. Nie mówimy sobie „dzień dobry”. A w zasadzie nie mówiliśmy, bo w momencie, kiedy zobaczyłem, jak pastwisz się nad tym biednym bałwanem, stwierdziłem, że jednak warto cię zaczepić i zapytać, o co chodzi...
- I zaczepiłeś...
- No tak. A potem odprowadziłem do domu.
- W tak zwanym międzyczasie ratując mi życie.
- To tak mimochodem.
- Właśnie – powiedziała cicho Joanna. – Chyba ci jeszcze

za to nie podziękowałam.

– Nie ma sprawy.

– Dziękuję – szepnęła, a po chwili dodała: – Może masz rację. Czasem spotykamy kogoś i wydaje nam się, że znamy go już długo, a czasem znamy kogoś długo i potem nas bardzo swoim zachowaniem zaskakuje.

– Tak jest często, faktycznie – potwierdził.

– Wiem.

– Złe wspomnienia?

– Tak – uśmiechnęła się smutno. – Pytasz, jakbyś był psychoanalitykiem.

Edward chrząknął.

– Nie mów mi tylko, że jesteś psychoanalitykiem! – Joanna spojrzała na niego zaskoczeniem i potrząsnęła głową. – O, matko. Jesteś.

– Niezupełnie. Jestem psychologiem. Pracuję z chłopakami, którzy trochę nabroili w życiu.

– A ja myślałam, że to ty nabroiłeś. Wiecznie ubrany na czarno, mina poważna, powiedziałabym, zbuntowana, no i te więzienne tatuaże.

– Więzienne są zupełnie inne – roześmiał się.

– A te twoje? Opowiadają jakąś historię? Są manifestacją twoich poglądów? – zapytała Joanna.

– Jesteś ciekawa moich tatuaży? – spojrzał na nią badawczo. – Zabrzmiało to jak propozycja.

– To nie była propozycja... – zarumieniła się.

– A szkoda. To co, mogę wejść?

– Ojej, przepraszam – dopiero teraz zauważyła, że ciągle trzyma go w progu. – Wejdz...

– Śliczna choinka.

– Miałeś rację, że trzeba mieć choinkę. Pachnie świętami –

pokiwała głową. – Ostatnio tak pachniało dawno temu – zamilkła na chwilę. – Teraz boję się ci cokolwiek mówić, bo zrobisz mi jakąś pogłębioną psychoanalizę.

– Dzisiaj mam wolne. Nie po to ratowałem ci życie, by robić psychoanalizy.

– A po co?

– Jeszcze nie wiem. Ale wierzę, że wszystko jest po coś na tym świecie. Że przychodzimy tutaj i umawiamy się sami ze sobą na nasz los, na dalsze życie. Wszyscy, których los stawia na naszej drodze, niezależnie czy są to przyjaciele, czy wrogowie, mają nas czegoś nauczyć.

– A czego miał mnie nauczyć mąż hazardzista?

– Nie wiem. To ty odpowiesz sobie kiedyś na to pytanie.

Gdy przyjdzie czas.

– Może masz rację... – zamyśliła się na moment. – A ciebie czego życie nauczyło?

– Mnie? Chyba tego, że nie warto być samemu. Że dobrze jest być za kogoś odpowiedzialnym. A gdy uratujesz komuś życie, stajesz się za tego kogoś w dużej mierze odpowiedzialny. Nie mam racji?

– Chyba masz.

– To co? Idziemy do mojej siostry? Czy usiądziemy tutaj, zjemy to, co dla nas przygotowała, i po prostu pobędziemy...

Joanna nic nie powiedziała.

– Nie wierzę, że chcesz być sama – spojrzał na nią wnikliwie.

– Nie chcę – usiadła naprzeciwko niego. – Dopiero gdy ustroiłam choinkę i nakryłam do stołu, spostrzegłam, że naprawdę nie chcę być dzisiaj sama. W ubiegłym roku nie odczuwałam tego tak bardzo. Pewnie podświadomie nie chciałam, by ten dzień różnił się od innych. Nie chciałam

świętować. Nie miałam z kim. Nie stroiłam choinki i pod nią też nie leżały prezenty.

– O właśnie. Zapomniałbym... – Edward położył pod choinką całkiem spory pakunek. – Prezent dla ciebie. Podobno ma ci się spodobać.

– Dziękuję! Ale ja niczego dla ciebie nie mam.

– Nieważne. Nadrobisz w przyszłym roku – szepnęła. Nie pozwolił jej nic powiedzieć. – Wesołych Świąt.

– Wesołych Świąt.

Żadne z nich nie pomyślało o opłatku, przełamali się więc kromką chleba.

Nie poszli do siostry Edwarda. Joanna nie czułaby się swobodnie w obcym domu, wśród obcych ludzi...

– Nie pogniewa się na nas? – zapytała.

Edward pokręcił głową.

– Zrozumie. Nie musisz się tym martwić.

Oboje zastanawiali się, co przyniosą im najbliższe dni, miesiące, lata. Joannie dźwięczały w uszach słowa Edwarda, że wszystko jest po coś. Że wszyscy ludzie, których los stawia na naszej drodze, są tam w jakimś celu.

Po wieczery usiedli na sofie. Niczym starzy znajomi przykryli się jednym kocem i rozmawiali. Ona opowiedziała mu o swoim mężu, on o swojej żonie, która odeszła kilka lat temu, o pracy, którą kochał, o kilkunastu mężczyznach, którzy dzięki niemu wyszli na prostą.

– Niekiedy się chwieją. Ale nieznacznie. Zawsze wracają na właściwą drogę.

– Nie masz czasem wątpliwości, która droga jest tak naprawdę właściwa?

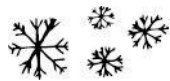
– Czasem mam – spojrzał jej w oczy. – A innym razem zupełnie nie.

Przybliżył usta do jej ust.

Joanna zamknęła oczy. Była w Błękitnym Zamku ze swoich marzeń. Czuła spokój i wiedziała, że od tej chwili wszystko już będzie dobrze. Oczywiście, jak w życiu, trochę pod górkę, trochę z górki. Przytuliła się do Edwarda. Nieważne, czy pod górkę, czy z górki. Byle razem. Uśmiechnęła się. I starała się naprawdę nie myśleć, że w oryginalnej wersji *Błękitnego Zamku* Joanna to Valancy. Najważniejsze było, że ona, Joanna, znalazła swój Błękitny Zamek tu i teraz.

Wszyscy napotkani ludzie pojawiają się w życiu w jakimś celu. Joanna czuła, że spotkanie z tym wytatuowanym mężczyzną w czarnej skórzanej kurtce mogło oznaczać jedynie szczęście.

W telewizji ktoś śpiewał *Cichą noc*, a ona po raz pierwszy od dawna czuła się szczęśliwa.



**MARTA OBUCH**



*Niezła szopka*

*Puchatek, czując, że z każdą chwilą coraz bardziej zaczyna być gdzie indziej, zaczął rozglądać się za samym sobą.*

*Alan Alexander Milne, Wielka księga Kubusia Puchatka*

Pociągi były w porządku.

W końcu człowiek miał wrażenie, że nie służą do przewozu

bydła, kultura osobista w toalecie również nabierała nowego wymiaru, więc w serca pasażerów powoli zaczęła wstępować nadzieja. Bo co by nie mówić, estetyka zawsze miała związek z rozwojem. Wystarczy wspomnieć malowidła naskalne, a działająca spłuczka i wolny dostęp do mydła też mogą zdziałać cuda – od czegoś przecież trzeba zacząć. PKP walnie przyczyniło się więc do rozwoju cywilizacji, oferując pasażerom miękkie regulowane fotele (we wzorki!) oraz czyste ściany, nie mówiąc o osobistym gniazdku przy siedzeniu, do którego można podpiąć laptopa.

Na zewnątrz warunki również były niezgorsze.

Słońce spektakularnie podświetlało śnieg, który migotał lusterkami odbić, zupełnie jakby ktoś rozsypał za oknem tysiące maleńkich oszlifowanych kamieni. Raj dla jubilera. Aż oczy bolały od tego blasku. Z kolei przykryte bielą drzewa przypominały wyroby z białego złota: każda gałązka, każdy listek, igła, oczko były ważne i misterne wykonane.

Czyste, zimowe piękno, nic dodać, nic ująć.

W pociągu do Olsztyna siedziało się więc komfortowo, a podróż mogłaby upływać całkiem miło, gdyby nie...

Gdyby nie czynnik ludzki.

Tak, z czynnikiem ludzkim zawsze są problemy.

Nie chodziło wcale o to, że Ryszarda Kociołek z zasady nie lubiła towarzystwa. Wręcz przeciwnie, była młodą, pełną życia kobietą otoczoną bliskimi i przyjaciółmi. Tyle że ludzie w przedziale... nie liczyli się z ludźmi. Już na początku podróży okazało się, że na jej miejscu siedzi jakiś kilkulatek. Złote loki, niebieskie oczy. Wypisz, wymaluj – aniołek. Wtedy Ryszarda nie pałała jeszcze chęcią wyrzucenia go z pędzącego pociągu, ale cierpiała na chorobę lokomocyjną i, kupując bilet, specjalnie poprosiła o miejsce przy drzwiach, zgodnie z kierunkiem jazdy.



Przyporządkowana chłopcu rodzicielka wyraziła wielkie niezadowolenie, ale z miną obrażonej królowej przesadziła aniołka na sąsiedni fotel, dokładnie naprzeciw Ryszardy, która w ciągu kwadransa została przepisowo obkopana ślicznymi bucikami na różne śliczne sposoby. Potem mała gadzina uruchomiła swoimi precyzyjnymi paluszkami telefon mamusi, oczywiście usunęła jej połowę kontaktów („Ach, co ty wyprawiasz!”), a następnie odpaliła YouTube’a i zażądała bajeczki. W eter poszedł SpongeBob Kanciastoporty. Na cały regulator. Nieważne, że zarówno Ryszarda, jak i siedzący pod oknem mężczyzna, wzięli się za przegląd prasy i perypetie skrzeczącej kostki sera (albo gąbki, trudno ocenić) interesowały ich tyle, co zeszłoroczny śnieg – co zostało uzgodnione podczas znaczącej wymiany spojrzeń. SpongeBob to, SpongeBob tamto... Cudowny, drący swoją serową paszczę SpongeBob. Nie żeby przez słuchawki, nie żeby uczyć dziecko szacunku dla innych. Po co?! Przecież maleństwo nie będzie żyło z innymi, będzie żyło wirtualnie i komunikowało się ze światem za pomocą Messengera.

Ryszarda westchnęła, ale nie widziała wyjścia.

Trzeba edukować społeczeństwo, jak mawia jej przyjaciółka, Zuza. O ile jednak jej przyjaciółce edukacja wychodziła doskonale, o tyle Ryszarda dopiero stawiała na tym polu pierwsze kroki. Wciąż uważała, że lepszy jest dobry przykład niż nauczka, ale tym razem była wyczerpana przedświątecznym zamieszaniem i rozdrażniona koniecznością podróży na drugi koniec Polski, czego wcale nie planowała. Chciała tylko spokoju, a dostała Kanciastoportego.

Wyciągnęła zatem komórkę, po czym...

Zwiększyła głośność i puściła swój ulubiony kawałek Maleńczuka, do którego miała słabość, ponieważ facet był

inteligentnym łajdakiem, no i siedział w więzieniu, a przestępcy w przedziwny sposób zawsze ją pociągali. Po chwili bełkot Kanciasoportego zmieszał się z nostalgiczną śpiewką:

*Synu, mam z tobą do pogadania...*

*Tym razem jednak porozmawiamy naprawdę.*

*A nie tak, jak zawsze.*

*Sznur od żelazka niech wisi na razie...*

Mamusia po drugiej stronie zrobiła wielkie oczy, a synek spojrzał na nią łzawo i wezwał pomocy:

– Mamo, ja nic nie słyszę... Powiedz jej!

Ryszarda nie ustąpiła. Wytrzymała oburzone spojrzenie mamusi, choć to nie było przyjemne, jednak wtedy na polu bitwy pojawił się kolejny gracz. Pan spod okna uśmiechnął się z uznaniem, po czym wystrzelił z armaty. Ale poszedł w klasykę i Ryszarda stwierdziła, że chyba do tej pory nie doceniała kolęd, bo ta była szczególnie ładna.

W przedziale rozbrzmiała Kayah:

*Skąd to zamieszanie,*

*skąd taki ruch*

*dziś za oknem jest.*

*Przecież świat... wczoraj jakby spał.*

*Trochę to jak bajka, czyż nie?*

*Nie nabierzesz się, przecież jesteś duży.*

*Ding dong.*

*Ding dong.*

Rodzicielce zadrzały usta, ale widząc, że jej przeciwnicy mają przewagę liczebną, ustąpiła. Na szczęście nie wpadła na pomysł panelu dyskusyjnego, tylko bez słowa odebrała aniołkowi telefon i wyłączyła dźwięk. Ryszarda i Pan Okienny poszli jej śladem; lekcja zakończyła się sukcesem.

Tak przynajmniej sądzili.

– Nie słyszę SpongeBoba, co ty zrobiłaś, głupia! – darło się dziecię, jednak mina matki pozostała niewzruszona; może po prostu nie czuła się mądra, więc nie protestowała. – Oddaj mi mojego SpongeBoba! Oddawaj go!

– Nie wolno przeszkadzać – wygłosiła górnolotną formułkę rodzicielka, bardziej do nich niż do dziecka, po czym wręczyła synowi...

Gierkę.

Pierniczone elektroniczne barachło, które przy dźwiękach dzwoneczków pozwalało uśmiercać renifery. Ożywcze, doprawdy. Zwłaszcza kiedy jest się zamkniętym w przedziale, który coraz bardziej zaczynał przypominać szopkę. Przedświąteczną szopkę. W dodatku każdą śmierć zwierzęcia obwieszczała jakaś jerychońska trąba czy inna waltornia, a zaraz za tym szedł przejmujący brzęk sypiących się monet.

– Alanku... – mama znowu poczuła na sobie morderczy wzrok współpasażerów. – Może dam ci gazetę?

– Nie! – mały rzucił się na siedzeniu jak świeży karp, bo rodzicielka, dla odmiany, próbowała przemocą odebrać mu zabawkę.

Zwycięstwo zostało oczywiście okupione rzewnymi łzami, które były podstawową bronią małego słodziaka. Dziecię, obficie karmione chipsami (była nimi zaśmiecona cała podłoga) i batonikami, dało taki koncert, że mogli się przy nim schować zarówno Kayah, jak i Maleńczuk. Rywalizację dźwignąłby jedynie Mick Jagger.

Pod Warszawą nastąpiło jednak zmęczenie materiału.

Tylko Ryszarda nie wiedziała, czyj materiał zmęczony był bardziej.

Zdaje się, że jeśli chodziło o zdolności regeneracyjne, dzieci wygrywały nawet z koszykarzami NBA.

– Zachowuj się! – na koniec mama udzieliła Alankowi reprimendy.

– Nie chcę zachować, ja chcę renifery! Nie! Tak... – Dziecięciu wepchnięto w rękę Tinę i na widok samochodu na okładce oraz białych zębów Joanny Liszowskiej jakby je zatchnęło. – Kupisz mi to? – padło żelazne pytanie, bo na dole okładki Alanek wypatrzył jakieś fascynujące coś.

Pytanie padało jeszcze wiele, wiele razy.

Oczywiście, Pramatka, która powołała do życia Nowe Pokolenie, przytakiwała znad telefonu (musiała przecież ratować swoje kontakty!), a Ryszarda Kociołek przed końcem podróży zyskała już pewność.

Nigdy więcej bachorów.

\* \* \*

### *Czyżby rzeczywiście w rzeczy samej?*

Hardy miał swojego czasu do Ryszardy słabość tak wielką, że zostawił dla niej swoją żonę, Misię. To znaczy, może nie do końca zostawił, ponieważ Misia sama odkryła prawdę i się z nim rozwiodła, ale głównie z tej przyczyny, że prowadził podwójne życie. Nie tylko osobiste, również zawodowe – przez całe małżeństwo utrzymywał ją w złudnym przekonaniu, że jest tylko skromnym biznesmenem, gdy tymczasem pociągał za różne sznurki. I to niekoniecznie zgodnie z prawem. Pociąganie wbrew prawu stało się w końcu tak żelazną regułą, że niektórzy nazywali go śląskim mafioso.

Ale!

Nieważne były tytuły, liczyła się kasa.

A tej, póki co, nie brakowało.

Rysia – niezbyt błyskotliwa, za to rudowłosa dziewczyna o ufnym spojrzeniu i przepastnym dekolcie – wtedy jeszcze nie widziała poza nim świata. Jako asystentka była pełna oddania, a oddawać się sprawie nadzwyczaj lubiła, więc stworzyli razem niezły duet. Tyle że Igła, szef ochrony i jego prawa ręka, okazał się być cholernym farbowanym lisem. A nawet psem. I dotąd chodził, dotąd węszył i udawał przyjaciela, aż Hardego posadzili. Oczywiście zajął się też Misią. Z przyjemnością by się ze zdrajcą rozprawił, ale czuł się winny wobec byłej żony, w dodatku zaczęły się nieprzewidziane komplikacje.

Rysia po dwóch latach, które spędził w areszcie, uznała, że ma dosyć.

Wszystko byłoby fajnie, bo Hardego niezmiernie pociągała nowa pani prawnik, gdyby nie fakt, że Ryszarda śmiała doprawić mu rogi. Spiknęła się z niejakim Lukiem Lucateau, z pochodzenia Francuzem, kucharzyną i delikatesem, wystawiając swojego byłego na publiczne pośmiewisko. Hardy próbował więc regulować sprawę, oczywiście, wydał nawet rozkazy, machina poszła w ruch, ale Ryszardzie i Francuzikowi się upiekło (skończyło się tylko na małym pożarze). Zemsta nie doszła do skutku częściowo przez zrządzenie losu, częściowo przez nieudolność jego ludzi, ale koniec końców nawet się ucieszył. Na pewno nie chciał się z Ryszardą rozstawać ostatecznie, tym bardziej że Francuz, jak się okazało, wcale nie był taki kryształowo czysty.

Gorzej, że Hardy spalił ucieczkę z aresztu.

Nie tylko go złapali, ale osadzili i trafił tu – do Zakładu Karnego w Barzewie. Do miasta, które liczyło około siedmiu

tysięcy mieszkańców, z czego, jak tu wszyscy lubili żartować, tylko kilku przebywało na wolności. Dziura, ale w pięknej okolicy. Już się tu zaaklimatyzował, już ułożył więzienne towarzystwo, kiedy pojawił się nowy kłopot.

Kłopot liczył sześć lat i miał na imię Krzysio.

Był jego synem.

Jednym jedynym i już sam ten fakt wiele znaczył, bo ani z Misią, ani z Ryszardą się nie rozmnożył. Początkowo myślał o chłopaku jak o „błędzie młodości”, ponieważ jego matki ani nie kochał, ani się nią brzydził, ale stało się. Po prostu na jednej z imprez go poniosło. Dziewczyna postanowiła urodzić, niczego od niego nie chciała, więc, nie czując presji, postanowił jej pomagać. Oczywiście w tajemnicy. A potem gówniarz rósł i zaczął go coraz bardziej ujmować za serce.

Sielanka skończyła się w zeszłym tygodniu.

Mały zadzwonił do niego cały zapłakany i wyznał, że mama nie żyje. Wjechał w nią samochód. Na pasach. Krzysio, na szczęście, tego nie widział, ale trudno opisać jego rozpacz, słuchając tej strasznej opowieści, Hardy sam uronił łezkę. Co było robić, Krzysiem musiał się ktoś zająć. Na pierwszy ogień wysłał Alojzego – brata ojca, swojego chrzestnego. Zawsze miał do staruszka słabość. Poza tym wierzył, że ten, kto na co dzień zajmuje się książkami, ma świętą cierpliwość do ludzi. I umie dochować tajemnicy.

Nie mógł powiedzieć rodzicom, nigdy nie wybaczyli mu jego kłamstw, a informacja, że spłodził dziecko jakiejś dziewczynie z robotniczego Załęża, chyba by matkę zabiła. Pozostawał Alojzy i...

Ryszarda.

Alojzy był dobrym człowiekiem, tyle że nie mógł zajmować się na dłuższą metę sześciolatkiem. Miał swoje życie,

poza tym ostatnio popadł w jakieś kłopoty, wspomniał nawet o likwidacji księgarni i wyjeździe za ocean, a do odsiadki zostały Hardemu trzy lata. Niby nic, ale gdyby tak przekonać do opieki swoją była...

Błagał o ten przyjazd cały tydzień, ale dopiero wczoraj się poddała, i to tylko dlatego, że pojutrze była Wigilia. Dzięki układom otworzyli salę widzeń wyłącznie dla niego i kiedy wieczorny chłód zaczął malować na szybach fantazyjne desenie, szczęknęły zamki i do pomieszczenia przypominającego szkolną klasę weszła ona.

Ryszarda Kociołek.

Przyszła macocha.

\* \* \*

*Im bardziej zaglądał do środka, tym bardziej tam Prosiaczka nie było.*

Hardy wyglądał jak wielki bożonarodzeniowy indyk.

Był jeszcze bardziej umięśniony niż poprzednio, jeszcze bardziej opalony i chyba jeszcze bardziej cwany. Ryszarda nie miała pojęcia, jak to działało, ale wszędzie, gdzie się pojawiał, dosłownie wszędzie, spadał na cztery łapy, a nie jak inni, na cztery litery. Teraz też. Strażnicy mu się kłaniali, a on sam bardziej przypominał turystę, który wrócił z Madery, niż więźnia z oddziału o podwyższonych standardach bezpieczeństwa.

Nie mówiąc już o tym, że na stole stało... różowe wino!

– Miałeś tu siedzieć nieszczęśliwy – wytknęła mu więc na

dzień dobry, bo w rozmowie telefonicznej tak właśnie odmalował szczegóły swojego aktualnego życia.

Akurat!

Znowu dała się nabrać.

– Jestem bardzo nieszczęśliwy – zapewnił ze znajomą kpina w oku i otworzył butelkę. – Witamy w naszych skromnych progach. Ślicznie wyglądasz. Jakoś tak... inaczej.

Dobrze powiedziane.

Tu Ryszarda, dla dodania sobie animuszu, dmuchnęła w rudowłosą grzywkę. Owszem, wyglądała inaczej, ale Hardy nie zamydli jej oczu komplementami. Chociaż trzeba przyznać, że nigdy nie wyglądała lepiej. I nie czuła się lepiej. Niedawno całkiem zmieniła swój image, miejsce zamieszkania oraz, co najważniejsze, ukochanego. Ta ostatnia zmiana sprawiła, że urosły jej skrzydła.

I chyba było je widać nawet przez sweterek!

– Już nie chcę pytać, jak wygląda twoja cela – prychnęła w odpowiedzi i kategorycznie odmówiła alkoholu.

Hardy coś knuł.

Od razu powinna się była domyślić.

Ta nagła prośba o przyjazd, pokorne namowy...

– Czego chcesz? – zapytała, starając się brzmieć jak pewna siebie kobieta, ale w środku czuła się jak... kobieta bardzo niepewna siebie.

I, niestety, tłścioch za stołem doskonale o tym wiedział.

– I po co tak nerwowo? – Hardy wbił w nią swoje głęboko osadzone oczy i słowo „osadzone” nabrało dla Ryszardy szerszego znaczenia. – Uregulowałeś już swoje sprawy finansowe?

Jej sprawy?!

Chcąc go kryć, w swoim czasie podpisała kilka papierów,



kilka zaniedbała, do kompletu wciągnęła w szemrane interesy swojego ojca i w efekcie przez kilka upiornych miesięcy ścigał ją ZUS. Gdyby nie pomoc Luka, Misi i Zuzy, siedziałyby teraz w Norwegii i odmrożonymi rękami sortowała ryby. Bo w ojczystych okolicznościach nie miałyby szansy na spłatę długu.

To trzeba mieć tupet, naprawdę...

– Dobrze wiesz, że to nie były moje sprawy – warknęła.

– Tak? A buty po kilka tysięcy za parę kto kupował? – wycedził. – I za czyje pieniądze?

Tak.

Wspaniale.

Przybieżeli do Betlejem pasterze.

A w szopie stoi... żłób!

Chciała powiedzieć temu żłobowi kilka słów prawdy, już nie była głupiutką dziewczyną, którą zauroczył wpływowy Pan Biznesmen. Ryszarda Kociołek była teraz zupełnie kim innym. Nikt nie będzie jej obrażał i czynił wstrętów, nikt nie będzie jej wprawiał w zakłopotanie... Już otwierała usta, ale w ostatniej chwili przypomniała sobie, że Misia z Zuzą doradzały przed wyjazdem rozwagę.

Więc rozważnie postanowiła milczeć i czekać, choć naprawdę sporo ją to kosztowało.

– Lubisz dzieci? – padło niespodziewane pytanie i zastanowiła się, czy to próba nawiązania rozmowy, czy właśnie haczyk.

Nie zamierzała niczego połykać.

– Tak jak wyrywanie zębów – odparła, wzruszając ramionami.

– A gdybym ci zapłacił za porządne znieczulenie? – Hardy uniósł kieliszek. – Gdybym dużo zapłacił?

– Ale o co chodzi? Mam ci urodzić dziecko?!

Uśmiechnął się po swojemu – jakby mu ktoś siłą spiłował górne jedyunki – i znowu zatrzymał na niej spojrzenie swoich podłych oczu. W kolorze tanich płytek z ubikacji.

– Mam syna – powiedział poważnym tonem, ale to wciąż brzmiało jak żart.

Niby kiedy miałyby go spłodzić?!

I z kim.

– Ze strażniczką?

Niestety, odpowiedź, która padła, nie pozostawiała złudzeń: okłamywał ją, tak samo jak Misię, całymi latami. Tylko dlaczego po raz pierwszy, odkąd tu weszła, zaświtała jej w głowie zdradziecka myśl, że Hardy to też człowiek?

Nie mógł być człowiekiem.

Był świnia, a świnia zawsze podkłada świnie.

– Ma sześć lat. Właśnie dowiedziałem się, że jego matka nie żyje... – ściszył głos i zadrgała mu lewa powieka.

Nieomylny znak, że Hardym szarpały silne emocje, tego akurat Ryszarda była pewna.

– Sześć lat?! Miałeś syna i przez te wszystkie lata... – zaczęła wzburzona.

Hardy, choć to niemożliwe, jakby się skurczył, a na jego twarzy zagościła najprawdziwsza troska.

– To nie był dla mnie nikt ważny, ta kobieta, dlatego nic nie mówiłem. Ale syna kocham i mam do ciebie prośbę... – wstrzymał w napięciu oddech. Naprawdę się denerwował! – Zaopiekuj się nim.

Co za szalony pomysł!

– Ja?! Zwariowałaś? A Misią? – próbowała szukać innego rozwiązania, ale znała Hardego.

Jeśli coś sobie umyślił, nie ustąpi.

– Misia mieszka z Iglą... – ostatnie słowo wypowiedział takim tonem, jakby zgłaszał dyrektorowi więzienia gwałt. – Chcesz, żebym oddał mojego syna na wychowanie do CBŚ?!

Tak, oczywiście, kwestia honoru.

– Nie znoszę dzieci. Byłabym fatalną matką! – zapewniła z ogniem w oczach Ryszarda, ponieważ nagle uderzyło w nią straszliwie przecucie, że niedługo wszystko się zmieni.

Że upojne chwile, kiedy była pojedyncza, wkrótce będą należeć do przeszłości.

– Byłabyś świetną matką – odparował Hardy, a z kolei w jego oczach zaśniły stal chirurgiczna i tytan. – Tylko na święta. Proszę... Nie chcę, żeby trafił do izby dziecka, chyba każdy zasługuje na Wigilię z rodziną? Nie pożałujesz... Obiecuję.

Może faktycznie czasem zdarza się, że zwierzęta przemawiają ludzkim głosem?

\* \* \*

*A czy będą tam takie małe słodkie przedmiociki z różowym lukrem na wierzchu?*

Ryszarda Kociołek miała wrażenie, że mieszka w bożonarodzeniowej kartce.

I to otwieranej, z puszczań w tle muzyczką.

Wokół wirowały białe płatki śniegu, jakie mogą wirować tylko pośród zimowej nocy, kiedy w domach puszcza się *Jingle Bells* albo *Lulajże, Jezuniu*, a w Biedronce obniża się ceny

czekoladowych mikołajów. Śniegowe gwiazdki siadały na kamienicach, chodnikach, jezdni, drzewach, a zwłaszcza na nosie Ryszardy, który aktualnie przypominał intensywnych kolorów marchewkę i bardziej pasował do bałwana niż do eleganckiej damy w kozaczkach, za jaką starała się uchodzić.

Kiedy pomyślała o bałwanie, a do kompletu o bałwanicy, zaraz poczuła się, jakby z kartki bożonarodzeniowej przeskoczyła do takiej z kondolencjami. Pośrodku czarny krzyż, otwarty grób, wokół kilka rozrzuconych dziecięcych zabawek i napis: „Można być zwyrodniałą kobietą i umrzeć zwyrodniałą kobietą”. Oczywiście, w grobie widziała siebie, a nie matkę syna Hardego, jednak zaraz skarciła się w duchu za takie rozmyślania.

Nie można myśleć minusami.

Ale czy krzyż to nie jest czasem taki jeden wielki plus?

Miała dotrzeć do księgarni na osiemnastą, tyle że auto znowu odmówiło współpracy, więc zaparkowała byle gdzie i pobiegła do tramwaju. Nie mogła zadzwonić po Luka, ponieważ Luk miał się dowiedzieć o dziecku, kiedy już się je jakoś zneutralizuje, odda do radia czy przekaże koleżance w stanie wzmożonego szału macicy, a tych znała sporo – każda chciała być matką.

Każda.

Tylko nie Ryszarda.

Ryszarda uważała, że skoro są na świecie kobiety pragnące potomka, dla równowagi powinny być i takie, które dziecka nie chcą. Albo które myślą, że chcą, ale byłyby fatalnymi matkami, bo nie radzą sobie ze sobą, a co dopiero z drugą, o wiele bardziej kruchą istotą. Dziecko zostawia plamy w kształcie dziecka, dziecko się drze i zadaje pytania, na które nie ma odpowiedzi. Chce jeść, pić i wydalać, a wszystko może robić jednocześnie. A już dziecko w postaci chłopca to murowane ADHD i...

stulejka. O co dokładnie chodziło z tą stulejką, Ryszarda nie wiedziała, ale kiedy padało słowo „syn”, padało również to drugie. Niepokojące i odrażające słowo na „S”.

Gdyby Krzysio był chociaż dziewczynką... To nie, Hardy musiał wyskoczyć z chłopakiem. Temat chłopców Ryszarda przerabiała jednak w wąskim zakresie, codzienna pozasypialniana obsługa małego mężczyzny była jej tak samo obca jak obsługa dźwigu.

I że co, miałyby go na przykład myć?!

Ale Misia była za.

Za dziećmi i rodziną, choćby zastępczą. Wręcz pragnęła dziecka, lubiła wszystko, co malutkie, słodziutkie, piała z zachwytem na widok każdego przedstawiciela homo sapiens w wieku nocnikowym, bez względu na liczbę podbródków. Co prawda, sześć lat dawało nadzieję, że pieluchy należały do przeszłości, ale co wiek, to obyczaj. Choroby wieku dziecięcego nie kończyły się po trzech pierwszych latach życia, a z tego, co mówiła jej siostra, wręcz przeciwnie, dopiero się zaczynały. Różyczka niebędąca jednak kwiatem?! Ohyda. Poza tym sześciolatek ma już chyba swoje zdanie i jeśli wyraża je w taki sposób jak aniołek z pociągu...

Nie, Ryszarda nie lubiła dzieci.

Bo niby dlaczego miałyby lubić każde dziecko?

Dlatego że ma dwie nogi?

Lubiła tylko niektóre dzieci, podobnie jak się lubi niektórych dorosłych.

Dlatego postanowiła, że odbierze syna Hardego z księgarni, tak jak się umówiła z panem Alojzym, zawiezie gówniarza do Misi, a potem wróci do restauracji Luka, gdzie się do niego przytuli, a następnie zje sałatkę nicejską.

Tyle że wydarzenia potoczyły się zupełnie inaczej...

Było naprawdę zimno.

Kozaczki, choć wytworne (prezent od Luka), zostały jednak wykonane z cieniutkiej skórki i stukając nimi po ulicy Kościuszki, pokrytej kilkucentymetrową warstwą śniegu, Ryszarda z zaskoczeniem stwierdziła, że zaczyna być źle. Buty przeciekały! Starając się więc chodzić po śniegu niczym Jezus po wodzie, przeszła wzdłuż rzędu uroczych kamienic, pomiędzy które jakiś architektoniczny geniusz powbił bloki i apartamentowce, po czym przystanąła na chwilę opodal skwerku. Westchnęła z zachwytem na widok śniegowych czap na świerkach, zaczerpnęła lodowatego powietrza, a następnie czym prędzej skręciła w Wiśniową.

Księgarenka Alojzego przypominała pośród tej ciemnej nocy rozświetloną ozdobę świąteczną.

Prowadził do niej niewielki podjazd wybrukowany kocimi łbami, przy wejściu, niczym strażnik, stała żeliwna zabytkowa latarnia, a w oknie wypełnionym ciepłym światłem mrugała kolorowymi lampkami choinka.

Nie wiedzieć czemu, Ryszarda poczuła wokół serca miłe ciepło.

Ale potem było jej już tylko gorąco.

– Witamy, witamy – powiedział serdecznie pan Alojzy, kiedy z impetem otworzyła drzwi i wpadła do środka, a wraz z nią powiew zimnego powietrza oraz drobinki śniegu, które jeszcze próbowały tańczyć, lecz pod wpływem ciepła momentalnie stopniały.

W księgarni panowała cisza.

Przytupnęła kilka razy, rozejrzała się i odetchnęła. Dziecka na razie nie było widać, więc może Hardy zmienił zdanie? A może znalazł inną opiekunkę?

– Dobry wieczór – rzuciła na powitanie i od razu udzieliła

się jej atmosfera tego miejsca.

Pan Alojzy, uprzejmy, dystyngowany starszy mężczyzna o mądrych oczach, stał pośrodku sali niczym dyrygent. A wokół niego stroiła instrumenty orkiestra. Literatura piękna, biografie, kultura i sztuka... Encyklopedie, białe kruki, liryki, opasłe tomiska, Ryszardzie aż zakręciło się w głowie od tego nadmiaru. Książki jednak znały swoje miejsce i wyglądały na zadowolone. Wypełniały każdą półkę, od podłogi po sufit, każdą szczelinę, a w księgarni dominował ten rodzaj spokojnego skupienia co w bibliotece, tyle że tu było zdecydowanie przyjemniej.

Pachniało obraną pomarańczą.

Ryszarda, która zbyt wiele nie czytała (wyjątek stanowiły magazyny mody), lekko się spłoszyła, bo poczuła się jak jakiś barbarzyńca, ale pan Alojzy rozwiał jej obawy.

Uśmiechnął się pośród srebrzystej brody niczym Święty Mikołaj.

– A pani, zdaje się, przyszła po pewnego młodzieńca... – zagaił, ujmując ją serdecznym gestem pod ramię. – Zapraszam do pokoju obok.

Po młodzieńca?

A więc jednak.

Ryszarda wcale nie chciała iść do pokoju obok, a jednocześnie pchała ją tam ciekawość. Czowała się tak, jakby wkraczała do jamy bazyliuszka, wszystko w niej drżało, żołądek skręcił się w ósemkę, ale pan Alojzy odebrał od niej płaszczyk, popchnął delikatnie w kierunku drzwi i już było za późno.

Stała oko w oko z sześciolatkiem.

I zamieniła się, jak żona Lota, w słup soli.

Myśląc o synu Hardego, spodziewała się zobaczyć kolejne bożonarodzeniowe mięsko, źle przyrządzone i twarde, tymczasem Krzysio wyglądał, jakby został stworzony do tego,

żeby go nosić w kieszeni. Żaden indyk! Raczej Prince Polo. Chłopiec był przeraźliwie drobny i chudziutki, miał czarne włosy i najbardziej czekoladowe oczy, jakie Ryszarda kiedykolwiek widziała. Ale czekolada była gorzka – oczęta patrzyły tak smutno i pusto, że trudno było nie odwrócić wzroku. Smutek zresztą wyzierał z całej jego małej postaci. Nawet z krzywo zapiętych guzików przy sweterku.

Krzysio siedział nieruchomo w wielkim fotelu, trzymając na chudych kolanach pomarańczę, ale raczej nie zamierzał jej jeść. Ściskana i miętoszona, zaczęła przypominać żółtą piłkę, z której zeszło powietrze.

Ryszarda podeszła więc do fotela i wyciągnęła rękę.

Mały drgnął, ale od razu skojarzył, że nie chodziło o przywitanie. Oddał jej owoc i przejmująco westchnął. Po czym wytarł rękę o spodnie i demonstracyjnie zapatrzył się w stosik książek na stoliku. Zupełnie ją zignorował.

„Dzień dobry?” „Cześć, słodkie maleństwo?” Na litość boską, jak się mówi do dzieci?!

I to do takich, które niedawno straciły matkę...

– Jestem koleżanką twojego taty. Mam na imię Ryszarda – powiedziała więc po prostu, oglądając się na pana Alojzego, który wcale nie zamierzał pomóc.

Dyskretnie wycofał się do sąsiedniego pomieszczenia.

Chucherko o czekoladowych oczach wciąż patrzyło w grzbiety książek, więc Ryszarda powtórzyła.

– Jestem koleżanką twojego taty...

I wtedy jej odpowiedział. A głos miał niski, niemal chropowaty, niezbyt pasujący do czekoladowego słodziaka.

– Mój tata nie ma koleżanek. Tylko dupy.

Wbił w nią czarne oczęta, wciąż bez żadnego wyrazu, i Ryszarda poczuła się zupełnie wytracona z równowagi.



Tylko dupy.

Jasne, dzieciak trafił w sedno, nie da się ukryć. W świecie Hardego nawet ryż był dmuchany, a kobiety istniały z jednego powodu. Żeby mogły go obsługiwać. Szkoda, że nie przeprowadziła tej interesującej rozmowy kilka lat temu, wielka szkoda. Może tak oczywista prawda w ustach dziecka dałaby jej do myślenia? Tyle że Krzysio wyraził tę prawdę w dość osobliwej jak na sześciolatka formie.

Powtarzał po mamusi?

Ciekawe musiała mieć życie kobieta, oj, ciekawe...

– To prawda. Twój tata nie ma koleżanek – Ryszarda darowała sobie dydaktyczne przemowy. Skoro nie wiedziała, jak należało traktować dzieci, może po prostu spróbuje traktować Krzysia jak człowieka? – Ojej, ale mnie zaskoczyłeś – wyznała. – Dobrze, zacznę jeszcze raz. Byłam... – chrząknęła – ...dziewczyną twojego taty. Ale już nie jestem. I twój tata poprosił, żebym się tobą zajęła.

Krzysiowi nie drgnęła nawet powieka, kiedy wycelował w byłą dziewczynę taty kolejnym pytaniem.

– Masz cellulitis?

– Mówi się: cellulit – poprawiła odruchowo, a mały od razu powtórzył:

– Masz cellulit?

Proszę, czy to ta legendarna dziecięca bezpośredniość, o której tyle słyszała?

Ryszarda usiadła na stojącym obok krzeselku i z ulgą wyciągnęła przemoczone nogi. Dopiero teraz mogła chwilę odsapnąć. Bazyliszek okazał się być gadziną, owszem, ale już się nie bała.

– Mam zakrzepicę – odpowiedziała zgodnie ze stanem faktycznym, bo od paru lat walczyła z chorobą żył, co utrudniało

jej codzienne funkcjonowanie.

Teraz też. Nogi pod wieczór zaczynały jej puchnąć, mimo że nosiła rajstopy uciskowe. Oszaleć można.

– Pokaż – padło z prędkością światła z zaciśniętych w podkówkę ust.

Mogła pokazać, czemu nie, przynajmniej pozbędzie się przemoczonych botków.

Mały po raz pierwszy, odkąd go zobaczyła, okazał ożywienie. Kiedy ściągnęła kozaki, ześlizgnął się z fotela i ostrożnie, jakby zbliżał się do apokaliptycznej bestii, podszedł do jej nóg. Przykucnął.

– Wija ci się żyły! Jak tłuste glisty – stwierdził z fascynacją, po czym spojrzał na Ryszardę z wahaniem, a kiedy nie wyraziła sprzeciwu, wysunął chudziutki paluszek i dotknął tej największej, pod kolanem. – Sprężynuje... Super!

Super, że super, ale zakrzepica to paskudna choroba, Ryszarda wcale się z niej nie cieszyła.

– A cellulit? – mały nie odpuszczał. – Masz cellulit?

Nie, na szczęście nie została ukarana podwójnie.

Chociaż...

– Mam trochę na tyłku – postanowiła nie ukrywać prawdy i chyba to była właściwa taktyka.

Miała tylko nadzieję, że Krzysio znowu nie zażąda demonstracji.

– Tata mówi, że każda kobieta ma ce... – zająknął się – cellulit. I że każda kłamie, a potem gasi światło.

Tak, Hardy niewątpliwie poznał wiele kobiecych sekretów.

– Może tak być – zaryzykowała Ryszarda. – Ale to jak z mężczyznami. Facet przysięga, że kocha, a potem wykorzysta i...

Co ona wygaduje?!

– Każdy w swoim oku nie widzi belki czy tam drzewa, a u innego widzi źdźbło trawy – próbowała zakończyć mądrym cytatem, ale mądre cytaty nie były jej mocną stroną.

– Moja mama nie miała cellulitisa – mały znów wrócił na fotel.

I okopał się na pozycji.

Zamiast w książki, zapatrzył się we własne buty.

Próbowała zagadywać, pytać o szkołę (Boże, czy będzie musiała prowadzić go do szkoły?!), ale Krzysio znowu jakby zanurkował w pustkę. Siedział skupiony, milczący, daleki. Więc Ryszarda z powrotem założyła buty i podreptała do pana Alojzego.

– Co ja mam robić? – spytała, stając przy rzeźbionym w roślinne motywy biurku, na którym piętrzyły się papierzyska i stare gazety.

Pan Alojzy ściągnął okulary.

– Kochać – odpowiedział tak prosto, że Ryszardę przeszedł dreszcz.

Trudno było z tym dyskutować, na miłości opierał się cały świat i Ryszarda kochała wielu ludzi, ale ten konkretny chłopczyk dosłownie i w przenośni zwałił ją z nóg.

– Ojej... – westchnęła ciężko i padła na głęboki powycierany fotel, zapewne służący przez lata czytelnikom, którzy chcieli się rozsmakować w lekturze, zanim zabiorą zakup do domu. – Mam wziąć małego Krzysia na święta. A potem co?

Pan Alojzy sięgnął swoją delikatną jak serwetka dłonią po zieloną książkę, która spoczywała rozłożona na stole.

– *Wielka księga Kubusia Puchatka*. Alan Alexander Milne – rzekł z uczuciem. – Wyborna rzecz. Ilustrowana przez malarza Ernesta Howarda Sheparda.

– Tak, znam Puchatka – Ryszarda mimowolnie się

uśmiechnęła, a wtedy twarz pana Alojzego pojaśniała.

– Mój bratanek, ojciec Krzysia... – pogłaskał książkę tak, jak się głaszcze głowę dziecka – uwielbiał te opowieści i myślę, że małemu również się spodobają. To o chłopcu, który był sam... Nie wiem, czy pani zauważyła, że w powieści nie pojawia się ani jeden dorosły?

Hm, czy Ryszarda zauważyła?

Znała Puchatka z dobranocek, nie czytała co prawda książki, ale jak wyznać to komuś, kto dotyka zadrukowanych stron w taki sposób, jakby dotykał bliskiego mu człowieka? Nie chciała go rozczarować.

– Yyy...

– Nieistotne... – pan Alojzy wsparł ją uśmiechem. – W każdym razie to mój gwiazdkowy prezent. Proszę czytać Krzysiovi przed snem, to poukłada mu myśli. I uspokoi... A może opowieść o zwierzętach ze Stumilowego Lasu oczaruje również i panią?...

– Czytać przed snem... – powtórzyła automatycznie. – Mocno wstrząsnąć...

– Słucham?

– Nic, nic...

Pan Alojzy spojrział z troską.

– Czyli na święta Krzysio ma zapewniony dom. A potem... zobaczymy – rzucił pod wąsem i Ryszardzie wydało się, że starszy pan zachichotał, choć było to tak absurdalne, że musiała się chyba przesłyszeć. Może chrząknął? – Widzimy się za trzy dni, tak? Wesółych Świąt!

Ryszardzie było jednak niewesoło.

Bardzo niewesoło.

I to jakby... podwójnie.

\* \* \*

*– Aha – rzekł Królik, który nie lubił, żeby cokolwiek samo przychodziło do niego, i wolał sam chodzić po wszystko.*

Do samochodu porzuconego na chodniku dotarli tramwajem, potem został im jeszcze kawałek piechotą. Ryszarda ciągnęła na kółkach walizkę Krzysia, on sam ciągnął nogę za nogą, w ogóle się przy tym nie odzywając. Nie pytał, gdzie idą i kiedy znajdą się na miejscu. Nie marudził, nie pisał, że chce chipsy, colę czy coś równie obrzydliwego.

Mały był fajny.

Oryginalny, ale fajny, i Misia z pewnością oszaleje ze szczęścia.

Na pewno oszaleje.

W innych okolicznościach oszalałaby i Ryszarda, ale ona przecież nie lubiła dzieci.

– Cholerka... – wyrwało się jej, bo zapomniała, że auto jest przecież zepsute. – Szlag mi trafił chłodnicę. Dobra – zdecydowała, szukając w torebce kluczyków. – Wejdziemy do środka i zadzwonię po... po Zużę. Ona nas zabierze, a samochód poczeka na lawetę.

I tu nastąpiła pierwsza różnica poglądów.

Kiedy czekoladowe dzieciątko zrozumiało, że ma pakować cztery litery do auta, otworzyło szeroko oczy, po czym stanęło pośrodku chodnika białe i nieruchome jak ulepiony w pośpiechu bałwan. Taki krzywy i nieforemny.

– Nie! – zakrzyknęło. – Nie!

– Co: nie? – nie rozumiała.

– Nie!

Zaczyna się...

– Nie. W porządku, rozumiem – spróbowała negocjacji, choć mróz zaczynał dawać się im we znaki. Palce u stóp Ryszardy sprawiały wrażenie przewiązanych cienkim sznureczkiem, każdy z osobna i wszystkie razem. – Ale wyjaśnij, o co chodzi... Nie chcesz wejść do auta?

Krzysio spojrzał na nią z takim żalem, jakby prowadziła go na pobranie krwi.

A potem z tych przepastnie ciemnych oczu popłynęła łza.

Jedna jedyna, ale obrazek smutnego chłopca stojącego na jakimś wygwizdowie pośród krajobrazu przykrytego bielą... Ten obrazek byłby świetnym plakatem do jakiegoś horroru. Takiego z krojeniem dziecięcych zwłok i upychaniem ich do wielu małych skrzyneczek.

– Chcesz iść na piechotę? Musimy wsiąść do auta, na Akacjową mamy kawał drogi – przekonywała. – Przecież przyjechaliśmy tramwajem – użyła koronnego argumentu i ledwo wypowiedziała te słowa, naprawdę zrozumiała.

Do auta – nie.

AUTO RÓWNA SIĘ ŚMIERĆ.

Od tego aż ją coś w środku dźgnęło.

– Wolisz jechać tramwajem? – upewniła się, nadając głosowi cieplejszą barwę, a wtedy Krzysio szybko skinął głową. – A może być autobus? – zachęcała.

Chłopiec z plakatu pomyślał chwilę, po czym spojrzał w bok i wytarł nos. Roztarta na policzku przezroczysta paćka częściowo wsiąkła w kurtkę, a częściowo zastygła na bielutkiej skórze, tworząc na niej wyjątkowo misterną ozdóbkę. Na upartego można by się nawet doszukać w tych zamrożonych

smarkach gwiazdki.

– Tak – potwierdził cicho.

Ryszarda w pierwszym odruchu chciała ruszyć z odsieczą niczym brygada porządkowa: podejść do małego, wyciągnąć chusteczkę i otrzeć ten perkaty nos, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. To byłoby prawie jak pieszczota albo roszczenie sobie praw.

Zamiast tego wydobyła z płaszczyka telefon.

– Pójdziemy na pizzę – skinęła na odległe zabudowania, gdzie mrugały mętne światła. – Zagrzejemy się, żebyś nie zachorował, a potem złapiemy tramwaj i przesiądziemy się do autobusu. Zgoda?

Realizacja planu zabrała im bite dwie godziny, podczas których Krzysio nie wypowiedział ani słowa! Ryszarda na początku usiłowała naszkicować swoją skomplikowaną sytuację rodzinno-komunalną (przyjaźniła się z byłą żoną byłego narzeczonego i jej przyjaciółką, Zuzą, kochała je jak rodzinę i mieszkała naprzeciwko z nowym narzeczoną), ale nie widząc w oczach małego absolutnie żadnego zainteresowania, dała sobie spokój. Zresztą milczenie wcale im nie przeszkadzało. Krzysio bytował w swojej bańce, Ryszarda w swojej. Tylko raz zabiło jej serce, kiedy mała i usmarkana ręka na chwilę dotknęła jej nogi – do autobusu wsiadło trzech podchmielonych wyrostków – ale szybko okazało się, że panowie już dziś świętowali Boże Narodzenie, ponieważ popisowo wykonali kawałek zaczynający się od słów: *Mędrcy świata, monarchowie...*

Na Akacjową dotarli więc wyciszeni, ale bez sił.

Było kilka minut po dwudziestej trzeciej.

– Teraz poznam cię ze świetną cicią – zapowiedziała Ryszarda, otwierając skrzypiącą furtkę niczym drzwi do zaczarowanego ogrodu, który był zaczarowany, ale aktualnie

pochrapywał przez sen. Drzewa, krzewy i klomby przykrywała puchata kołdra, lecz musiała być gdzieś naddarta, bo wszędzie unosiły się białe pióra. – Ma na imię Michalina, ale wszyscy mówią do niej Misia. Polubisz ją...

– Kogo, do cholery, niesie o tej godzinie?! – za drzwiami, do których grzecznie zapukali, usłyszeli... Zuzę!

A Misia?!

Ryszarda nerwowo zakręciła się w miejscu.

Misia, tak, Misia była świetną ciocią, serdeczną i wyrozumiałą, która przyjąłaby pod swój dach nawet synka Hitlera, natomiast ich wspólna przyjaciółka, Zuza, była... ciocią ekscentryczną. Głośną, złośliwą, nieznoszącą sprzeciwu, kapryśną, cierpliwą inaczej... Długo by opowiadać. Syna Hitlera udusiłaby na miejscu, choćby rozwleczoną skarpetą na prezenty.

– Sodoma i Gomora. Normalnie kogoś porąbało... – stanęła w gwałtownie otwartych drzwiach, a Krzysio z wrażenia przełknął ślinę.

Na progu stała mumia.

W białym szlafroku, z włosami owiniętymi białym ręcznikiem i z maseczką z glinki Zuza prezentowała się nad wyraz intrygująco. W tej bieli odcinały się intensywnie błękitne oczy, jak u lalki, w których błyszczały właśnie dwa znaki zapytania, a pulchne usta w kształcie serca ułożyły się w uśmiech, niestety niezbyt zachęcający.

– Co to? – wskazała na Krzysia jak na przesyłkę Poczty Polskiej o niezadeklarowanej wartości, a Krzyś przekrzywił głowę i spojrzał na Ryszardę.

– Dziecko.

– To widzę, ale dzieci o tej godzinie śpią, a nie włóczą się po ulicy... Zimno – zadrżała, owijając się szczelniej szlafrokiem. – Wchodzicie?



Weszli.

– No? – Zuza, jak zwykle gościnnie, wskazała na kuchnię. Ale gest był raczej grzecznościowy.

– Nie ma Misi? – spytała więc żałośnie Ryszarda, przeczuwając przegraną.

– Wyjechała z Iglą do mamy, a ja się...

– A Jasię przelecieli na sianku! – z łazienki wyskoczył Piotrek Marchewka, w bokserkach, cały rozochocony i wymaseczkowany tak samo jak Zuza, białą glinką. Na szyi dyndał mu choinkowy łańcuch, na uchu natomiast miał zawieszoną bombkę w kształcie szyszki.

Marchewka był komisarzem policji i od niedawna mężem Zuzy i Ryszarda znała go raczej od innej strony. Zdaje się, że przerwała komuś niezłą zabawę.

– O! – wyjąkał zdumiony na widok gości. – Przepraszam was bardzo! – rzucił, po czym schował się w łazience i zakwilił do swojej lepszej połowy: – Możesz mi przynieść spodnie?

Lepsza połowa na chwilę zniknęła w dużym pokoju, żeby zaraz pojawić się z gatkami we wdzięczną kratę.

– Mogą być od piżamy?... A ten co taki zdziwiony? – wskazała oskarżycielsko na minę Krzysia, która wcale nie była zdziwiona, tylko doskonale obojętna. – Twój ojciec nie chodzi po domu w majtkach?

– Mój ojciec siedzi w więzieniu – odrzekł Krzysio bez jakichkolwiek emocji, a wtedy to mina Zuzy się wydłużyła.

– Co to dziecko bredzi? – zaczęła domagać się wyjaśnień, ale już nie od... dziecka. Przywarła spojrzeniem do Ryszardy. – I kto to w ogóle jest?

– Momencik – Ryszarda postawiła walizkę, po czym rozpięła płaszcz. – Może czymś go zajmiemy i wtedy porozmawiamy? – zasugerowała przytomnie.

– A sam się nie umie zająć? Idź do pokoju – pokazała dziecięciu drzwi do salonu, a kiedy Krzysio posłusznie wyszedł z kuchni, wzięła się za przesłuchanie Ryszardy.

– Gdzie przepadłaś? – natarła, ujmując się pod boki. – Luk wydzwania, szaleje...

Ryszarda dotknęła kieszeni płaszcza, w której co chwilę uruchamiała się wibracja, nieomylny znak, że jej Francuz usiłował nawiązać kontakt. Wysłała mu więc uspokajającą wiadomość, że jest zajęta i że wszystko w porządku, ale najwyraźniej SMS narzeczonemu nie wystarczył.

– Musiałam odebrać dziecko... – odparła przygnębiona.

Jej przyjaciółka nie wyglądała na kogoś, kto chciałby przygarnąć na święta sześciolatka.

Ale czemu nie spróbować?

– Właśnie, co to za smarkacz? – Zuza wyraziła umiarkowane zaniepokojenie, o wiele bardziej interesowała ją drzwi łazienki. I rysująca się za szybą niewysoka postać.

Tak, tylko że Zuza miała na Hardego alergię...

– Kiedy wraca Misia? – Ryszarda postanowiła najpierw zbadać grunt.

– Nie wiadomo. Mieszkamy u niej przez święta, ktoś musi pilnować kotów.

Czyli szanse na happy end były nikłe.

Ryszarda w akcie desperacji zaczerpnęła powietrza.

– Ten mały to syn Hardego i go tu zostawiam, bo umarła mu matka – powiedziała jednym ciągiem, a wtedy Zuza usiadła na krzeselku.

– Nie! – wypowiedziała porażona informacją, a ręcznik zjechał jej na czoło.

– Pilnujesz kotów, co ci szkodzi przypilnować dziecka? On jest już duży – przekonywała Ryszarda. – I nie korzysta

z kuwety.

– Syn Hardego? Jak to?! – Zuza była w szoku i nawet nie starała się tego faktu ukrywać. Myśl o byciu nianią jednak jakby w ogóle nie miała do niej dostępu.

Ryszarda odmalowała więc historię Krzysia z wszelkimi dramatycznymi szczegółami, ale Zuza, poza niedowierzaniem i fascynacją, nie zdradzała żadnych innych ludzkich uczuć.

Jak to możliwe?!

– Przecież Misia padnie, jak się dowie – podsumowała tylko, poprawiając odruchowo turban.

Owszem, Ryszarda również podejrzewała, że istnienie potomka Hardego solidnie Misią wstrząśnie, jednak chyba nadszedł właściwy czas, żeby ustalić szczegóły.

– Może tu zostać? – zadała zasadnicze pytanie i z nadzieją przywarła wzrokiem do kształtnych ust Zuzy.

– Pocięło cię? – z kształtnych ust popłynął rzeczowy komunikat. – Czy ja wyglądam na Mary Poppins?

Rzeczywiście, Zuza bardziej przypominała asystentkę doktora Mengele, który robił na dzieciach eksperymenty medyczne, niż dobrotliwą baby-sitter.

Niedobrze.

I wtedy do kuchni wszedł Krzysio.

Z pistoletem Marchewki w dłoni.

Przerażenia Zuzy nie da się opisać, Ryszarda również stanęła jak wryta, ale Krzysio nie zamierzał wymordować połowy Akacyjowej. Zamrugał poczerwieniałymi oczami, po czym opanowanym ruchem odłożył broń na stół i konkretnym tonem poinformował:

– Zabezpieczyłem. Tata też ma taki...

Zuza jeszcze chwilę zipała, łapiąc się za serce, a potem ruszyła do ataku.

– Kto ci pozwolił?! To jest pistolet! – grzmiała, unosząc brwi przypominające skrzydełka wrony. Takiej przegonionej z gałęzi i złej. – Wiesz, co się mogło stać?!

Krzysio może i wiedział, ale nie zaszczyił nowej cioci odpowiedzią.

Za to nie odrywał od niej napiętego spojrzenia.

Ciocia szalała dalej.

– Wiesz, co to jest otrzewna? – rzuciła z mocą, ponieważ uwielbiała mocne porównania. – To sobie teraz wyobraź dziurkę. Dziurkę w otrzewnej. Wyobraź sobie rozlane na kafelkach flaki – Zuza uruchamiała się coraz bardziej, a Krzys wciąż patrzył, mrugając czekoladowymi oczętami. Po chwili jego spojrzenie powędrowało do Piotrka Marchewki, który przestał się ukrywać i zaalarmowany krzykami wychylił głowę z łazienki. – Kto by za to wszystko odpowiadał?! Co?!

Chłopiec pociągnął nosem, po czym znowu przemówił:

– Jesteś bardzo stara?

Z Zuzy jakby ktoś spuścił powietrze, a Marchewka stłumił chichot i jednak wyszedł do gości. Uciecha na jego twarzy mówiła, że za nic nie przegapi takiego przedstawienia.

Ryszarda postanowiła się nie wtrącać, nadzwyczaj ciekawił ją finał.

– Dlaczego stara? – spytała po chwili milczenia Zuza. Ale poprzednia bojowość dziwnym trafem z niej wyparowała.

– Bo masz na twarzy tapetę.

– To jest maseczka, dziecko. Upiększająca.

– Po co? I tak jesteś ładna – stwierdził autorytatywnie mały mężczyzna, a Marchewka puścił do niego oko.

Krzysio pozostał niewzruszony na sygnały męskiej solidarności, ale Zuza od razu wychwyciła próbę porozumienia i postanowiła sobie ten dyshonor odbić.

– A ciebie nikt nie uczył, że do dorosłych nie mówi się na „ty”?

– Ty też mi mówisz na „ty”.

– Bo jesteś dzieckiem! – Zuza omal nie tupnęła nogą, ale widać było, że rozmowa zaczyna ją wciągać.

I słusznie, Krzysio jeszcze nie skończył:

– A Piotruś Pan?

Dialog z pewnością przeciągnąłby się do godzin porannych, Zuzie zaczęły już z rozbawienia drgać policzki, ale zrobiło się późno. Ryszardę czekała jeszcze rozmowa z Lukiem i na samą myśl o tym cała w środku drętwiała. Zupełnie nie wiedziała, czego się spodziewać. Tak samo nie spodziewała się, że Krzysio spojrzy na Zuzę i Marchewkę, przeprosi, że musi już iść, po czym złapie Ryszardę za rękę.

Ogród wyglądał jak zaczarowany.

– Ojej! – rzuciła ze zdziwieniem Ryszarda, czując drobną rękę Krzysia w swojej. Niesamowite. Poradziłeś sobie z Zużą. Wiesz co? Będiesz moim dzieckiem obronnym...

\* \* \*

– *Tak – przyznał Prosiaczek. – Królik jest mądry.*

– *I ma Rozum – rzekł Puchatek.*

– *Tak – zgodził się Prosiaczek. – Królik ma Rozum.*

*Nastąpiło długie milczenie.*

– *I myślę – ciągnął Puchatek – że on właśnie dlatego nigdy nic nie rozumie.*

Luk Lucateau, Francuz z pochodzenia, z zamiłowania Polak, już dawno nie starał się zrozumieć kobiet. To znaczy we Francji, ale kiedy przyjechał z *maman* tutaj, do jej ojczyzny, pojął, że na świecie są kobiety i... Kobiety. Czyli Polki. Małą próbkę miał już w domu, ponieważ jego rodzicielka była osobą nietuzinkową. Myślącą inaczej niż wszyscy, odważną, mądrą, troskliwą, pracowitą, gotującą... Tak, z gotowaniem to było trafienie natury w punkt, ponieważ Luk również został kucharzem i oprócz Ryszardy to kuchnię w życiu kochał najbardziej. Dlatego po przyjeździe do Polski otworzył z *maman* restaurację pod dźwięczną nazwą „Francuski piesek”, gdzie wspólnie serwowali swoje ukochane dania; francuskie, jakże by inaczej.

Ryszardę poznał w czerwcu i choć od tego czasu minęło zaledwie pół roku, wiedział już doskonale, że właśnie z nią chce się zestarzeć. Z wielu powodów. Jednym z nich był fakt, że Ryszarda, choć nieco zbyt szczerą i ufna, nie ulegała stereotypom i nie bała się, podobnie jak *maman*, myśleć. Nie były to może jakieś filozoficzne dumania, ale zwykłe, proste prawdy, które sam podzielał. Dlatego żył z Ryszardą w przyjemnym przeświadczeniu, że ją rozumie.

Tyle że, póki co, nie potrafili się porozumieć w jednej kwestii.

W kwestii dzieci.

Luk nie wiedział za bardzo, czy jego wybranka chce rodziny, choć podejrzewał, że za dziećmi nie przepada. Miała przecież siostrę, która powiła chłopca i dziewczynkę, jednak odwiedzili ją zaledwie raz, a sugestie rewizyty były za każdym razem ucinane. Nic na siłę. Z dziećmi czy bez, Luk wielbiłby swoją kobietę nawet po usunięciu jajników, szkoda tylko, że nie chciała o tym rozmawiać. On sam nie miałby nic przeciwko, ale

jego sytuacja prawna nie wyglądała najlepiej. We Francji toczył się przeciwko niemu proces, bo pewnego feralnego dnia zagapił się i potracił człowieka. Nic poważnego, mężczyzna wyszedł po kilku dniach ze szpitala, ale Luk żył odtąd w zawieszaniu, nie wiedząc, czy za chwilę ugotuje *coq au vin*, czy trafi za kratki.

Teraz też miał o czym myśleć!

Ryszarda nie uprzedzała, że planuje na dziś coś specjalnego, a przepadła na cały wieczór. Zaczął się już poważnie martwić. Nie odbierała telefonów, Zuza również nic nie wiedziała – ale kiedy wpadł na pomysł, żeby porozmawiać o zaginięciu z Marchewką, kliknęła brama i w drzwiach stanęła ona.

Kobieta z grzywką i...

Dzieckiem u boku?!

Obok Ryszardy stało na progu jakieś trzęsące się chuchro i przewiercało go tak palącym spojrzeniem, że odczytał to jako dedykowany mu wyrzut.

Wielki wyrzut.

W panice dokonał nawet pospiesznie przeglądu zasobów personalnych, żeby po chwili ustalić, że żadnej z Francuzek ani Polek skutecznie nie zapłodnił. Skąd więc tyle żalu w zupełnie obcym dziecku?!

– Dobrego wieczora macie? – zapytał jednak wesoło, bo co innego się o kogoś martwić, a co innego zasypać ukochaną osobę... z dzieckiem... pretensjami.

Zaraz się wszystko wyjaśni.

– To jest mój chłopak, Luk – Ryszarda posłała chłopcu promienny uśmiech, chłopiec pozostał jednak poważny. Zbyt poważny. – Jest Francuzem i niezbyt dobrze mówi po polsku.

– Ale staranny jestem – zapewnił, przesuwając się, żeby weszli do środka.

– Żabojady są beznadziejni w nogę. Patałachy... – orzekł mały gość, nie spuszczając z Luka oskarżycielskiego spojrzenia i Lukowi wyświetlił się w głowie komunikat: PROWOKACJA.

Choć sedna sprawy wciąż nie pojmował.

– Łachy w nogę? – upewnił się, czy dobrze słyszy.

Chłopiec mówił bardziej do swojego szalika niż do niego, ale i tak w tym niskim głosiku wyczuwało się wrogość. – Kapcia? – podpowiedział. – Chcesz kapcia?

Chuchro zacisnęło piąstki.

– Mówi się sędzia kalosz. A w ogóle to ja mam już tatę...  
Zupełnie stracił głowę.

W dodatku Ryszarda błagała go o coś wzrokiem.

Bardzo próbował zrozumieć, czuł, że dzieje się coś ważnego, ale im bardziej się starał, tym rozumiał... mniej.

Kim był ten dziwny dzieciak?!

I co robił w jego domu?

– Ja nie mam taty – pozwolił więc sobie na szczerą, bo kiedy nie wiedział, co powiedzieć, szczerą sprawdzała się najlepiej.

– Czemu? – padło podejrzliwe pytanie.

Luk znowu zerknął na Ryszardę, a na jej twarzy zobaczył takie przerażenie, że zgłupiał do reszty.

Jak rozmawiać z dziećmi o takich sprawach?!

– Odszedł – wyjaśnił więc, wybierając najmniej drastyczną z opcji.

– Przejechał go samochód? – chłopiec schował za siebie ręce, a głos niebezpiecznie mu zadrżał.

Już nie był groźny, raczej przeraźliwie smutny.

– Miał serce zawał – odpowiedział równie cicho Luk i wbił spojrzenie w podłogę.

– To dobrze, że nie przejechał go samochód... Masz – mały



wydobył z kieszeni kurtki sfatygowaną paczkę gumisiów i podał Lukowi niczym gałązkę oliwną. – Weź sobie żółtego. Smakuje sikami. Jak nerka...

\* \* \*

*Czy te P to są prosiaczki? Bo ja myślałem, że to są puchatki.*

Ryszarda oddałaby Lukowi nie tylko nerkę, serce, ale wszystko.

A już po tym, jak zachował się wobec Krzysia, poczuła do niego tak wielką miłość, że kiedy zaprowadziła małego na górę, żeby rozpakował rzeczy, zbiegła do kuchni i długo dusiła Luka w objęciach. Jej ukochany przyjął informację o ojcostwie Hardego z westchnieniem, ale westchnienie bardziej dotyczyło tego, że przeszłość znowu się o nich upomina, niż tego, że będą mieć na święta gościa.

I bardzo współczuł chłopcu straty.

– Psychologował go ktoś? – spytał, wyciągając z lodówki bezę. – Może dam mu?

– Na noc? – Ryszarda zareagowała jak rasowa matka. – Nie można go uczyć złych nawyków. Może zrobimy herbatę malinową?

– Dobrze, robię. Psychologował? Matka trupa bardzo trudna dla dziecka sprawa...

– Nie mam pojęcia. Jutro zadzwonię do pana Alojzego. Ale co... Porozmawiać z Krzysiem o mamie? – złękła się.

Luk również wyglądał na spłoszonego. Podrapał się po głowie.

– Jutro przyjdzie *maman*, Wigilia... – zaczęła, a Ryszarda pomyślała o pani Danieli, matce Luka, i od razu zrobiło się jej lepiej. Pani Daniela, kobieta nadzwyczaj energiczna, będzie wiedziała, co robić.

– Idę mu poczytać – stwierdziła więc, ale ciągle coś ją powstrzymywało. – Luk...

– Tak? – zalał herbatę i spojrzał na nią badawczo. Jednocześnie w tych jasnych oczach zobaczyła tyle ciepła, że postanowiła podzielić się myślami, które od dawna ją prześladowały, tylko czaiły się gdzieś na dnie.

– Moja siostra miała depresję poporodową. Widziałam, jak nie umie... – zabrakło jej słów. – Jak nie umie sobie poradzić. I jak się to wszystko, zupełnie wszystko, cały świat... Jak to się zmieniło po urodzeniu dzieci. Przez pierwsze dwa lata żyła jak niewolnica...

– Ale szczęśliwa teraz – zauważył Luk, wcale nie krytykując tego, co powiedziała, za co była mu wdzięczna.

– Teraz tak. Ale macierzyństwo wcale nie jest słodkie.

– Synorzyństwo też – podszedł do niej z uśmiechem i wręczył gorący kubek. – Mam *maman* od czterdziesta lata... Wszystko i słodkie, i słone. Normalna rzecz... jak w kuchni. Żeby smakowało różnych przyprawy trzeba wrzucić. Ale myśleć tylko cukrem masz – pogroził jej palcem. – Żadnego depresja nie pozwolę.

– To tak każda matka musi przeżywać? – zapytała Ryszarda tonem rodzącej, której wykonano właśnie nacięcie krocza.

Luk zarechotał.

– Każda matka innego przeżywania ma.

– A dzieci też są czasem paskudne – dołożyła.

– Ten bardzo ładny chłopaka... I bystry mocno. Idź, cała Polska czyta dzieciom...

Więc poszła, ogrzewając dłonie herbatą.

Jednak na to, co zastała w pokoju, była zupełnie nieprzygotowana.

Całą podłogę i łóżko zawałały dziecięce ubrania. Podarte, skołtunione... Całość bardziej przypominała salę selekcji w lumpeksie niż pomieszczenie dla ludzi, a rzucony pod szafę miś z wywleczonym na drugą stronę brzuchem stanowił wisienkę na torcie.

Autor tego projektu siedział obok misia i dźgał go beznamiętnie długopisem.

Twarz miał bladą i tylko rozarte po policzku łyzy mówiły, że akt zniszczenia dokonał się w wielkich emocjach.

Ryszarda przez chwilę zbierała myśli.

I zbierając, pomyślała, że jeśli ktoś ma w sobie dużo bólu, ten ból musi się wylać, żeby nie został w środku i nie zatruł człowieka po czubek głowy. A jeśli się wylewa złością, trudno. Ważne, że wychodzi na zewnątrz, a nie siedzi jak kolec, wbity głęboko, zaropiały.

– Chciałam ci poczytać przed snem, ale tu jest straszny bałagan... Tak nie można. Chodź, spróbujemy to jakoś ogarnąć – zaczęła pospiesznie uprzątać rzeczy. – Znasz Kubusia Puchatka?

– Każdy go zna. To pedał.

– Słucham? – Ryszarda myślała, że się przesłyszała, ale mimo wszystko poczuła nadciągającą falę gorąca.

A więc jednak niedaleko pada jabłko od jabłoni...

– Bo on tylko z Prosiaczkiem... – mały odrzucił zmaltretowaną zabawkę.

– Pedał?! – powtórzyła naprawdę zła i dopiero ta złość

zrobiła na nim wrażenie.

Spojrzał takim wzrokiem, jakby naprawdę coś przeszkrobał.

– Ale...

– A nie można powiedzieć: gej. Z mniejszą pogardą?

Wiesz, co to jest pogarda? – upewniła się szybko.

– Tata mówi, że geje to pedały – wyjaśnił tak pokornie, że Ryszardzie znowu coś opadło.

I to nie był biust.

– Twój tata zawsze mówi prawdę? – odważyła się zadać pytanie.

Nie, żeby podkopywać ojcowski autorytet, ale wściekłość aż w niej bulgotała. Co za kmiotek z tego Hardego, naprawdę... Tylko czy kmiotek musi wychować kmiotka?!

– Tata mówił, że mama będzie ze mną zawsze... – padło z drżących nagle ust.

– Pomożesz mi? Sama nie dam rady – Ryszarda chciała zyskać na czasie, więc ponagliła Krzysia do porządków. – Tu akurat twój tata ma rację – podjęła po chwili. – Mama będzie z tobą zawsze. W twojej głowie i w sercu. Nikt ci jej nie odbierze. A co do Kubusia Puchatka... Ludziom zawsze podobali się ludzie innej płci albo tej samej.

– Jak to zawsze?

Udało się, połknął haczyk.

– Zawsze.

– Czemu?

Ryszarda lekko się zaplątała, co Krzysio jednak od razu wychwycił.

– Czemu chłopakowi podoba się chłopak? – uściślił, zgarniając ubrania na kupkę, a jego ruchy nie były już tak gwałtowne.

– Chyba chodzi o budowę mózgu. Nikt nie ma na to

wpływu. Dlatego nie można się śmiać. I świat nie jest czarno-biały.

– Każdy głupi to wie – stwierdził Krzysio. – Chyba że w nocy.

– Tak by było prościej – ciągnęła Ryszarda, zastanawiając się nerwowo, czy od rozmów o śmierci matki naprawdę woli dywagacje na temat tęczy. – Ale nie jest. A ludzie zawsze boją się tego, kto jest inny. Wcale nie chcą go poznać, ale się boją.

– Ja lubię Puchatka – wyznał mały i chyba musiało go to trochę kosztować, bo swoim zwyczajem umknął wzrokiem w bok. – Ale w klasie lubią go tylko baby.

– To jest prezent od pana Alojzego – Ryszarda wzięła do ręki przygotowaną na stoliku książkę. – Specjalnie dla ciebie.

– Dla mnie? – porzucił ubrania i wytarł nos, a potem usiadł przy Ryszardzie, która zdążyła w międzyczasie pościelić łóżko.

– Czy pan... wujek Alojzy... Czy to gej?

Tak, wychowanie dziecka to jak darmowa przejażdżka kolejką górską.

W połowie drogi zerwanie trakcji, skok w choinki i...

I wszystko od nowa.

– Skąd taki pomysł?

– Nie wiem – mały wzruszył chudziutkimi ramionkami i usiadł bliżej. – Nie widziałem jego żony.

– Twój tata też nie ma żony.

– Ale miał.

– A skąd wiesz, że pan Alojzy nie miał? – zapytała z uśmiechem i Krzysio po raz pierwszy również się uśmiechnął.

Ale tylko ustami.

– Jeden zero dla ciebie – pokiwał czarną głową, po czym, niby przypadkiem, przylgnął do Ryszardy całym bokiem.

Był wzruszająco bezbronny.

– Wszystko okej? – rzuciła, żeby pozbyć się napływających do oczu łez.

– Mój mózg też ma budowę – stwierdził Krzysio, wylamując palce. – Ale teraz nie podoba mi się Asia ani inne dziewczyny, ani nawet psy. Nic mi się nie podoba.

– Asia to koleżanka z klasy?

– Tak. Lubi... samochody. I jest niezła w rejestracjach.

– A psy?! Czemu akurat psy?

– Bo chciałem mieć psa. Mama mi obiecała...

Ryszarda otarła oczy.

A potem z radością stwierdziła, że ma pewien pomysł na... psychologowanie. Ale o szczegółach pomyśli jutro, teraz była zbyt zmęczona. Wyciągnęła z kieszeni chusteczkę, podała Krzysiovi i wesoło oznajmiła:

– To co? Zaczynamy Puchatka?

*Rozdział pierwszy. W którym poznajemy się z Kubusiem Puchatkiem i z pszczołami, i tu zaczyna się opowiadanie...*

\* \* \*

*– Bo my ciągle szukamy Domu i nie możemy go znaleźć, więc pomyślałem sobie, że jeżeli zaczniemy szukać Dołka, to wtedy go na pewno nie znajdziemy. I to jest Dobra Myśl, bo może wtedy znajdziemy coś, czego wcale nie szukamy, i może to będzie właśnie to, czego naprawdę szukamy.*

Krzysio budził się w nocy co chwilę.

Przez sen nie działała mu opcja kontroli, więc zanosił się

płaczem. Płakał każdą samotną porzuconą komórką ciała, a że za bardzo nie wiedział, co dzieje się dookoła, płakała i Ryszarda, do towarzystwa pochlipywał również Luk. Jednak kiedy nastał poranek, zmieniła się scenografia, a wraz z nią i gra aktorów.

Słońce świeciło tak wesoło, tak intensywnie, że Krzysio podbiegł do okna i otworzył z zachwytu buzię.

– Jaaa cię!

A potem rozległ się dzwonek do drzwi.

Ryszarda ogarniała z Lukiem sypialnię i już miała biec na dół, kiedy Krzysio zamienił się w mały pocisk, wyminął ją, a następnie nadzwyczaj sprawnie uporał się z zamkiem.

Szczęknęło żelastwo i...

Doszło do spotkania trzeciego stopnia.

– Jakie śliczności! – na progu stała pani Daniela, która wyglądała w tym śnieżnym krajobrazie jak żona Mikołaja albo przynajmniej jego matka (Mikołaj, zdaje się, nie miał żony...). Otupała buty na wycieraczkę, potrząsając przy okazji prezentami, a jej fryzura błyszczała w słońcu żywym srebrem nie mniej niż wesoły, biały uśmiech.

– Dzień dobry – przywitała się Ryszarda, a pani Daniela wbiegła do środka, rzucając na komodę przyniesione dobra i rozplątując pospiesznie czerwony szalik.

W przedpokoju czuło się przyjemny powiew świeżego powietrza.

– Kto to jest ten piękny chłopak?! – zakrzyknęła, a piękny chłopak najpierw się speszył, a potem wyciągnął chudą brodę i zaszurał kapciami, które na jego patyczkowatych nóżkach wyglądały jak narty biegowe.

– Krzysztof Maziarz. Syn patologii, pewnie i tak pani powiedzą... Mój tata to Hardy. Ale on wcale nie jest hardy, tylko musi być niemiły, żeby go słuchali. Ja go czasem nie

słucham – zastrzegł, a pani Daniela wybuchnęła perlistym śmiechem.

O Hardym słyszała, oczywiście, Ryszarda opowiedziała jej historię swojego życia. Dawny narzeczony przyszłej synowej nie był z pewnością osobą, którą chciałaby poznać bliżej... Jednak poranek był oszałamiająco piękny, wieczorem czekała ich Wigilia i żadne wieści nie mogły tego popsuć. Żadne. A chłopiec spodobał się jej od pierwszego spojrzenia buńczucznych, ciemnych oczu.

– Widzisz! Teraz już wiem, dlaczego mnie podkusiło i kupiłam całą torbę cukierków!

Krzysio znieruchomiał i schował za siebie ręce.

– Masz zmarszczki – powiedział, zapatrzony w twarz pani Daniela, przez którą dopiero teraz przemknęło zdumienie, lecz dobrotliwe, bo kto jak kto, ale mama Luka miała do siebie zdrowy dystans.

– A tak. Ale zmarszczek na szczęście się nie kupuje... – odparła ciepłym głosem. – Dostałam je za darmo. W promocji, można powiedzieć.

– I się cieszysz?

– Ze zmarszczek? Z niektórych się cieszę, inne mnie wkurzają – pokazała na pionową bruzdę pośrodku czoła. – Ale bez nich byłabym inna.

– Jaka?

– Gdybym nie miała trosk, może byłabym marudną starą babą?

– Jesteś stara – zapewnił rozbrajająco szczerze Krzyś. – Bardzo stara.

– Ale nie marudna, zapytaj mojego syna...

Syn stanął właśnie na schodach, po nocy rozkopany i rozwleczoney. W piżamce z napisem: ZAGOTUJĘ TWOJE



KARTOFELKI. Przedgwiżdżkowy prezent od Ryszardy.

– Moja *maman* najlepsza – rozstrzygnął spór, ziewnął, po czym podszedł do rodzicielki i siarczyście ją ucałował. – Kawa robimy?

– Przyszły do was pocztówki świąteczne – pani Daniela zmierzwiła głowę Krzysia, wyciągnęła spośród prezentów kartki i już biegła do kuchni.

Krzyś został niniejszym rzucony w wir zdarzeń rodzinnych.

Nikt się nim nie przejmował, nie jójczył, dzięki czemu czuł się swobodnie.

I był dziś chyba mniej blady.

– Młodzieża niech czyta – Luk przekazał kartki Krzysiovi i powlókł się za mamą oraz Ryszardą. – Chodź, sam byłem z kobiety. Teraz my siła!

W kuchni zaczęły trzaskać talerze, szklanki, a z radia popłynęła ulubiona kolęda pani Daniela: *Jest taki dzień*. Na ten dźwięk starsza pani aż zaklaskała w dłonie. Zaraz też wyciągnęła z siatek piernikowe serca, wstążki i najrozmaitsze pakunki z jedzeniem.

– Czyli ty jesteś Krzysztof? – zapytała Krzysia, który usiadł na krześle i nie odrywał od niej wzroku.

– Tak.

– A wiesz, co znaczy twoje imię?

– Święty Krzysztof opiekuje się... autami. Ale ja się wcale nie chcę opiekować autami. Auta są złe...

Małe usta były teraz proste jak linijka.

– Święty Krzysztof z tego, co wiem, opiekuje się kierowcami. Żeby nie stała się im krzywda.

– Kierowcami? – okazał zainteresowanie Krzyś.

Pani Daniela przegoniła Luka, który dobierał się właśnie do makowca, po czym nastawiła ekspres do kawy. Z kolei

Ryszarda, przysłuchując się wymianie zdań, przygotowała jajka i patelnię. Była bardzo ciekawa, w jakim kierunku potoczy się ta rozmowa. Poza tym wciąż walczyła ze zmęczeniem.

– Pewnie, że kierowcami – ciągnęła pewnym głosem pani Daniela. – A twoje imię pochodzi z języka greckiego i znaczy: „niosący Chrystusa”.

– Ja noszę plecak! – zaprotestował odruchowo mały.

– Ale to metafora. Niosący Chrystusa, czyli dający ludziom dobro.

Krzysio bąknął „Aha”, po czym uznał, że temat został wyczerpany. Ale Chrystus nie poszedł w odstawkę, tym bardziej że na stole leżały bożonarodzeniowe kartki, a pośród nich ta najładniejsza. Z Dzieciątkiem Jezus, wytłoczonym i połyskującym. Zdobienia wyglądały tak apetycznie, tak zachęcająco, że Krzysio zerknął ukradkiem, czy nikt nie patrzy (Ryszarda patrzyła), po czym je... polizał.

Na drobnej twarzy odmalowało się lekkie zdziwienie.

– Co, polizales Jezusek? – rzucił od niechcienia przechodzący obok stołu Luk.

Krzysio najpierw się przestraszył, a potem pokazał w uśmiechu szczerbate zęby.

– Polizałem Jezusa!

– Daj, polize ja Maryja.

– Luk! – zawołała pani Daniela, lekko oburzona, ale radość na twarzy tego smutnego dziecka to było coś.

– Zabawa zawsze dobra – Luk mrugnął do niej okiem i usiadł obok chłopca. – Daj Maryja...

– Maryja to Marysia? – spytał Krzysio panią Danielę, która została tym samym mianowana specjalistką od imion.

– Tak. Maryja to Marysia.

– Ona zawsze coś ma – rzucił odkrywczco Krzyś.

– Co ma Maryja? – Luk był żywo zainteresowany. Tak żywo, że polizał pocztówkę. – O! Miętowa!

To już było interesujące.

Ryszarda porzuciła krojenie koperku i, zaciekawiona, dołączyła do grona profanatorów.

– Dajcie spróbować.

– Polizaj żłóbka – doradził Luk, po czym wrócił do porzuconego tematu: – Co ma Maryja?

Krzysio stanął przy pani Danieli, bo przy stole zrobiło się zamieszanie i nie bardzo wiedział, jak powinien się zachować.

– Ma... ryja albo ma rysia. Zawsze coś ma – powtórzył i tym już całkiem rozbawił panią Danielę. Tak bardzo, że z rozpędu go uściskała.

Uścisk został zaakceptowany.

– To dopiero kawaler! – zakrzyknęła. – Rysiu, a ty na śniadanie wolisz żłóbek, czy jednak jajecznicę?

– Ja zrobię! – wystartował z propozycją Krzyś, pytając Ryszardę wzrokiem o zgodę. – Umiem.

– Tak? – spytała pani Daniela przyjemnie zaskoczona, a Luk wypiął dumnie klatkę, aż KARTOFELKI przestały być takie wymięte.

– Mama mnie nauczyła – wyjaśnił Krzyś. – Gotowałem, kiedy była w pracy.

– A często gotowałeś? – Tematy kulinarne interesowały panią Danielę nie mniej niż przeszłość tego rezolutnego dzieciaka.

Ale coś jej mówiło, że nie powinna zadawać zbyt bezpośrednich pytań.

– Umiem gotować. Zawsze gotowałem, nawet dla mamy. Bo była zmęczona – pociągnął nosem. – Po pracy...

W kuchni zaległa cisza.

– I mogę gotować dla was. Jeśli chcecie... – dodał.

Luk posłał Ryszardzie wielce wymowne spojrzenie, w którym, oprócz całego morza i kilku oceanów uczuć, wyczytała również decyzję. Choć ta decyzja zapadła już w nocy, kiedy trzymał zapłakanego malca w ramionach. Jego niebieskie oczy mówiły, że właśnie zyskał kulinarnego kompana i jeśli ktoś go stąd zabierze, będzie miał do czynienia... z Francuzem.

Odetchnęła.

Dziś była Wigilia, dziś Ryszarda nie chciała się zadreć smutnymi myślami, ale kiedy pomyślała, że za siedemdziesiąt dwie godziny będzie musiała Krzysia spakować i zwrócić do księgarni jak jakąś niepotrzebną książkę... Czuła, że nie będzie tego w stanie zrobić. Bez względu na wszystko, nie będzie w stanie. Świadomość, że Luk to rozumie, że jest gotowy na wyrzeczenia (Krzysia trzeba będzie wozić do szkoły i to do tej samej, żeby mu nie fundować dodatkowych zmian), była najpiękniejszym prezentem, jaki mogła otrzymać w Wigilię. A przy okazji prezent był niespodzianką i dla niej samej.

Już nie pojedynczej i nawet nie podwójnej.

Ale... potrójnej. A jeśli liczyć panią Danielę – poczwórnej. Tak, tylko że była jeszcze Misia i Igła, Zuza i Marchewka...

Dobrze nie być samej.

Luk przez chwilę milczał, po czym tonem mentora podjął arcyważną kwestię:

– A wiesz, co to jest winegret?

Dzieciątko wydeło usta.

– Pewnie. Sosik.

Luk z radości uderzył ręką o stół i zakrzyknął:

– No! To teraz można wigiliować.

Wigiliować, psychologować...

Ryszarda popatrzyła jeszcze przez chwilę na zmagania

kulinarne Krzysia („Dusia cebulka!” – wykrzykiwał zachwycony Luk), po czym przeprosiła wszystkich i poszła na górę, do pokoju. Tam usiadła przed laptopem, puściła w tle kolędę Kayah o dzwoneczkach i wpisała hasło: „Oddam szczeniaka”. Wyskoczyło całe mnóstwo wyników, całe mnóstwo rozmaitych pysków i ogonów, ale Ryszarda przeglądała jedynie zdjęcia; czekała na znak z Kosmosu. Na to szczególne piknięcie, które oznajmia, że świat daje ci coś przeznaczonego właśnie dla ciebie.

Kiedy na jednej z fotografii zobaczyła ucieszoną mordkę kundelka – czarnego, jak Krzyś, ale podpalanego złotem – nie miała żadnych wątpliwości. A potem wykonała dwa telefony. Jeden do właściciela, który zapewnił, że pies jest odrobaczony, przeszedł już pierwsze potrzebne szczepienia i że dostarczy go przed wieczorem. Drugi zaś do... pana Alojzego.

Tylko że ten drugi telefon kosztował ją sporo wysiłku.

Chyba nigdy nie denerwowała się tak przed żadnym telefonem.

– Dzień dobry – zaczęła dość nieśmiało, pilnie wsłuchując się w dźwięki po drugiej stronie. – Przepraszam, że przeszkadzam panu w Wigilię...

Pan Alojzy zaśmiał się gromko.

– Ale jakie przeszkadzam! Ogromnie się cieszę...

– Bo ja w sprawie Krzysia – bąknęła.

– Mam nadzieję!

Choć pan Alojzy brzmiał przez telefon tak samo miło jak w księgarni, Ryszarda wypuściła powietrze i nie wiedziała, jak ubrać myśli w słowa. Bała się, że palnie coś niezręcznego. Zresztą, co miała powiedzieć? Że Krzyś podbił jej serce? Że nie chce, żeby się gdzieś poniewierał?

Trudno opowiadać o takich sprawach.

– Bo umawialiśmy się, że ja go miałam odwieźć zaraz po świętach...

– Tak?

– Ale wolałabym go nie odwozić – dokończyła cicho, bojąc się, że usłyszy coś strasznego.

Że pan Alojzy powie, że to niemożliwe, że Krzysio trafi do innej rodziny albo że zostanie umieszczony w... domu dziecka!

Na samą myśl o tej placówce Ryszardzie zrobiło się zimno. Placówka, co za okrutne, wyzute z uczuć słowo. Jak można zamykać dzieci w placówkach?!

Pan Alojzy westchnął, z wyraźnie słyszalną ulgą.

– Nawet pani nie wie, jak bardzo się cieszę. Naprawdę!

– Naprawdę?

– Bardzo naprawdę – zapewnił szczerze. – I bardzo naprawdę życzę państwu wszystkiego najlepszego. Przede wszystkim miłości. Obojętnie w jakiej formie. Żeby was wypełniała i żebyście się nie bali...

– Ja się już nie boję – odważyła się wyznać Ryszarda.

– I bardzo dobrze – stwierdził. – Lęk to śmierć. Nie zapominajcie o tym. Nie można go przywoływać złymi myślami, bo się u was rozgości. I nie bójcie się o Krzysia. On sobie z wami poradzi...

Ryszarda zamieniła z panem Alojzym jeszcze kilka zdań, wypytała o szczegóły dotyczące szkoły i dokumentów, które będzie musiała wypełnić, żeby wystąpić o prawo do opieki, a potem złożyła mu życzenia.

Po skończonej rozmowie czuła się lekka jak piórko.

Jak białe piórko, które opadnie tam, gdzie trzeba.

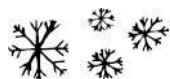
I stojąc tak przy schodach, wsłuchiwała się przez chwilę w odgłosy płynące z kuchni. Z kuchni, gdzie lizało się Jezusa i Maryję, i gdzie na stół wjeżdżała jajecznicą z dwunastu jaj.

Z koperkiem i cebulką!

Tak.

Krzyś sobie z nimi poradzi.

Jest przecież dzieckiem obronnym...



## LILIANA FABISIŃSKA



### *Zadanie niemal niewykonalne*

*I nic już więcej, tylko dwie róże,  
i jedno słowo złote i duże,  
zwinięte w papier leży w ukryciu –  
może się przydać jeszcze raz w życiu.*

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, *Pamiętki*



23 grudnia

Alojzy zamierzał pracować przez całe święta. Pakować książki do kartonów, opisywać starannie każdy z nich. Zbierał te mocne tekturowe pudła na zapleczu już od wielu miesięcy. Wszystko dokładnie zaplanował. Jedne książki musiały wrócić do wydawców i do hurtowni, inne obiecał staremu przyjacielowi, Romanowi.

Przez wiele lat Roman pracował w dużej księgarni w pobliżu rynku, potem założył własny antykwariat. Przyjaźnili się już od ponad pół wieku. Nie jeden raz podsyłali sobie klientów... albo białe kruki. Teraz Roman miał przejąć najcenniejsze książki z regałów Alojzego – i te osoby, które regularnie go odwiedzały. Kilku stałych gości dostało już karteczki z adresem księgarni Manuskrypt i telefonem do Romana oraz obietnicą, że będzie im pomagał w zdobywaniu książek, których potrzebują. Tak jak pomagał Alojzy przez te wszystkie lata.

Tak właśnie o nich myślał: „stali goście”. Wolał słowo „gość” niż bezosobowe „klient”. Tym bardziej że wielu z nich wcale nie zostawiało w księgarni pieniędzy. Nie kupowali książek... Po prostu sięgali po nie z blaskiem w oczach, a potem siadywali w wygodnym, wysłużonym fotelu, wciśniętym w kącie niewidoczny od strony wejścia, i czytali, czytali... Całymi godzinami.

Jakimś cudem przez tyle lat ani razu nie było w tej samej chwili dwóch chętnych na ten fotel. Ani razu, aż do tego popołudnia.

Miejsce w fotelu zajął Franek, jak zwykle w nabożnym skupieniu przeglądając *Małego Księcia*.

Pan Alojzy był przekonany, że chłopiec zna już tę książkę

na pamięć, nie mówił jednak ani słowa, żeby go nie spieszyć. Franuś należał do dzieci wyjątkowo płochliwych. Wystarczało dłużej zatrzymać na nim wzrok, by złapał kurtkę i wybiegł, nie mówiąc nawet „do widzenia”. Bardziej płochliwa niż Franio była tylko Celestyna.

Zawsze przychodziła tuż przed zamknięciem, z zaróżowionymi policzkami, unikając kontaktu wzrokowego nawet z właścicielem, którego znała od lat, i szła prosto do regału z nowościami. Patrzyła na lśniące grzbiety, nie dotykając, nie wyjmując z półki... Po prostu patrzyła tymi szeroko otwartymi, błękitnymi oczami. Najczęściej łapała jednak książkę, którą sama schowała poprzedniego dnia za dwunastotomową encyklopedią, zapadała się z nią w fotel i nie wstawała z niego, dopóki nie skończyła.

Były też inne dni, znacznie rzadsze, kiedy wyciągała coś – chyba na chybił trafił, bo trwało to dosłownie trzy sekundy – z kosza z wielkim napisem: „Promocja”, biegła prosto do kasy, rzucała na ladę odliczone drobniaki i wypadała na ulicę, mruczając pod nosem coś, co zdaniem Alojzego miało przypominać pożegnanie.

Żaden inny stały gość nie odwiedzał księgarni tak często, jak ona. A jednak Alojzemu nigdy nie udało się wciągnąć jej choćby w najkrótszą rozmowę. Nie wiedział nawet, jak naprawdę ma na imię.

Nazywał ją w myślach Celestyną z powodu wielkich błękitnych oczu i tej tajemnicy, którą w sobie nosiła. Chodziła zawsze tak, jakby unosiła się centymetr nad ziemią. Po łacinie *caelestis* znaczy przecież niebiański. Została więc Celestyną. Rzadko słyszał jej głos. Poza cichutkim „dzień dobry” i „do widzenia” odezwała się tylko raz, w duszne lipcowe popołudnie, tuż przed burzą.

– Szukam *Błękitnego Zamku* Lucy Maud Montgomery – powiedziała, uciekając wzrokiem w stronę okna. – Ale starego wydania.

– Z którego roku? – sięgnął po długopis, żeby zapisać zamówienie.

– Nie mam pojęcia – zaczerwieniła się aż po same uszy. – Chodzi o takie, w którym główna bohaterka ma na imię Joanna, a nie Valancy. A główny bohater to...

– Edward? – dokończył za nią z uśmiechem.

Spuściła głowę.

– Czytał pan *Błękitny Zamek*? – zapytała z niedowierzaniem.

– Oczywiście. Znajdę dla pani to wydanie, proszę się nie martwić...

A jednak wcale nie było to takie proste. Od wielu lat nie wznawiano tłumaczenia, w którym główna bohaterka została – z niewiadomego powodu – przechrzczona z Valancy na Joannę. Egzemplarze, które udawało mu się wyszukać, były brudne, pomazane, miały pieczątki bibliotek, ekslibrisy, zagięte rogi, wyrwane kartki... Ta niebiańska dziewczyna zdecydowanie zasługiwała na coś lepszego.

W końcu w połowie listopada znalazł to, czego szukał. Książkę w doskonałym stanie, niemal nieużywaną. W dodatku pachnącą delikatnie lawendą. Musiała przeleżeć lata w jakiejś bieliźniarce w towarzystwie woreczka z ziołami, mającego odstraszyć mole.

Od razu postanowił, że podaruje tę książkę Celestynie. Nie było mowy, żeby płaciła... Liczyła każdą złotówkę, zauważył to już przy jej pierwszej wizycie. Kupowała wyłącznie najtańsze książki, nigdy nie wzięła z półki żadnej nowości, żadnego bestsellera w pełnej cenie. Nie dlatego, że nie chciała... Widział

wyraźnie, jak błyszczą jej oczy, kiedy patrzy na ich grzbiety, kiedy wyjmuje je ostrożnie z półki, przerzuca strony i wkłada nos między kartki, żeby je powąchać...

Na pewno spodoba jej się ten delikatny, lawendowy zapach.

W pierwszej chwili chciał dać jej *Błękitny Zamek* natychmiast, tego samego dnia. Wpadła wieczorem przemoczona do suchej nitki, z połamaną parasolką i nieszczęśliwą miną. Rzuciła na ladę garść drobniaków i wyciągnęła z kosza najgrubszą książkę w najbardziej różowej okładce. Wyraźnie potrzebowała pocieszenia...

A jednak zdołał się powstrzymać. Wiedział już, że zamknie księgarnię zaraz po Bożym Narodzeniu. Postanowił, że ten *Błękitny Zamek*, z Joanną i Edwardem, poczeka na Celestynę kilka tygodni. Dostanie książkę w prezencie pożegnalnym...

Niełatwo było mu ukrywać w szufladzie ten skarb, kiedy na nią patrzył. Była taka smutna, blada... Jak Joanna (czy może Valancy), która dowiaduje się, że zostało jej tylko kilka miesięcy życia.

Wiedział, jak bardzo czeka na tę książkę. Jakby lektura mogła dodać jej sił, naprawić coś w jej życiu...

A jednak nie zmienił planów. Dopiero dwudziestego trzeciego grudnia wieczorem wręczył jej paczkę zawiniętą w najbardziej niebieski i radosny papier, jaki udało mu się zdobyć. Niebieski jak jej oczy...

A ona, zamiast wybiec bez słowa, jak miała w zwyczaju, ucałowała go w oba policzki.

Poczuł delikatny zapach lawendy.

Czy to pachniała książka, czy Celestyna?

– Wesółych Świąt – powiedziała, po raz pierwszy uśmiechając się do niego szeroko i naprawdę wesoło. – Do zobaczenia za trzy dni.

Musiał jej to powiedzieć. Oczywiście, że musiał.

Nie przypuszczał tylko, że Księgarenka ma dla niej aż takie znaczenie.

– Jak pan może? – płakała chwilę później, nie ocierając nawet łez. – Nie wolno panu tego zrobić! To miejsce... Tylko tutaj naprawdę bywam szczęśliwa!

Objął ją i pogłaskał po głowie jak Różę, kiedy była maleńka. Bardzo, bardzo dawno temu. I – tak samo jak Róża – Celestyna przestała szlochać, jej plecami nie wstrząsały już te rozpaczliwe dreszcze... Podniosła na Alojzego wielkie, mokre oczy i powiedziała z rezygnacją:

– Pan nie ma pojęcia, ile dla mnie znaczy pana księgarnia.

Nie odpowiedział ani słowem. Bo jak niby miałyby odpowiedzieć? Że wie, ale to nie zmieni jego decyzji? Że nie wie, ale to bez znaczenia?

Każda odpowiedź byłaby przejawem arogancji wobec bólu Celestyny.

Rozsądek podpowiadał mu, że zapomni o jego księgarni jeszcze tej zimy. Życie młodych kobiet nie stoi w miejscu... Pojawi się jakiś mężczyzna, jego czułe słowa i pocałunki z powodzeniem zastąpią te, o których czytała w książkach z różowymi okładkami. Alojzy życzył tego Celestynie z całego serca. Czuł, że ta wielka miłość, która odmieni jej życie, już czai się gdzieś za rogiem, jest na wyciągnięcie ręki. Mógłby powiedzieć: „Idź, dziewczyno... Biegnij na spotkanie przeznaczeniu”. Nie mówił jednak ani słowa – nie tylko dlatego, że nie chciał jej spieszyć ani wyjść na zdziecinniałego staruszka, któremu brakuje szóstej klepki.

Po prostu w sprawie Celestyny było coś, co nie dawało mu spokoju. Sam nie wiedział, co. Jakby miał jeszcze coś do zrobienia... Jakby stanęła w drzwiach księgarni i ciągle tutaj

wracała tylko po to, żeby zmusić go do działania.

Wiedział, że w takich sprawach nie można niczego przyspieszyć. Zrozumie, o co chodzi, kiedy przyjdzie odpowiedni moment. Zawsze tak było. Ale tym razem, przy Celestynie, po raz pierwszy Alojzy zaczął wątpić w to, że los w odpowiedniej chwili wskaże mu właściwą drogę.

Stał przecież naprzeciwko tej uroczej młodej kobiety już po raz ostatni. Żegnał się z nią na zawsze. I wciąż nie wiedział, co miałby dla niej zrobić. Wciąż widział w jej twarzy tę bezbrzeżną rozpacz.

Celestyna przytuliła prezent do piersi i ruszyła w stronę powycieranego fotela, jak tyle razy wcześniej.

Tyle tylko, że fotel był już zajęty przez Franusia zaczytanego w *Małym Księciu*.

Alojzy wiedział, że chłopiec mieszka w niewielkim domu, otoczonym ze wszystkich stron blokami. Trudno było nie zauważyć połatanych spodni i butów, które musiało wcześniej nosić inne dziecko. Może nawet niejedno? Były tak powycierane i zdarte, że Alojzemu żal było na nie patrzeć. Franek musiał mieć mokre skarpetki w taki dzień jak ten. Dziwne, że nie kicha i nie kaszle, w dziurawych butach i kurteczce podszytej wiatrem...

Nie chciał go przeganiać z Księgarenki. Niech ten ostatni raz posiedzi jeszcze w ciepłe, w wygodnym fotelu... Niech pochrupie ciasteczka, zawsze podsuwane mu na małym talerzyku... Zostało jeszcze kilka paczek... Początkowo stary księgarz zamierzał oddać je wszystkie Frankowi, kiedy będzie wychodził – to był przecież ostatni wieczór jego księgarni, nie będzie tu więcej żadnych małych gości, lubiących podjadać herbatniki... Nagle jednak, właśnie dwudziestego trzeciego grudnia, w Księgarence na Wiśniowej zaroilo się od dzieci.

I każde z nich z apetytem chrupało ciasteczka...

Franek niemal leżał, rozparty wygodnie w wielkim fotelu ze swoim własnym *Małym Księciem*.

Mateusz, syn tej uroczej aktorki z naprzeciwka, siedział na zapleczu ze swoim pieskiem, Gutkiem. Byli nierozłączni... i coraz częściej zostawali u Alojzego, podrzucani bez zapowiedzi „tylko na momencik”. Nigdy nie odmawiał. Lubił dzieci, a ten mały był wyjątkowo bezproblemowy. Potrafił siedzieć godzinami z nosem w książce.

No dobrze, tak naprawdę to nie były książki, tylko komiksy. Mateusz uwielbiał je czytać. Alojzy przez kilka lat zastanawiał się, czy uznać komiksy za rodzaj sztuki, czy raczej za śmieci szkodliwe dla oczu i mózgu. Przekonała go wystawa komiksów z całego świata, w jednej z największych i najlepszych galerii w mieście.

Dostał zaproszenie na ten wernisaż od Euzebiusza Skróckiego, znanego reżysera i dyrektora teatru, który co kilka tygodni odwiedzał księgarnię i zamawiał przedziwne wydania dramatów z całego świata. Alojzy zawsze znajdował sposób, żeby je sprowadzić – i to ekspresowo. U Skróckiego przecież wszystko musiało być na wczoraj.

Wydawało mu się, że reżyser w ogóle nie zauważa i nie docenia tych jego starań. Zawsze skrzywiony, niezadowolony, sarkastyczny... Na pierwszy rzut oka można byłoby pomyśleć, że nie tli się w nim żadne ludzkie uczucie.

Alojzy jednak wiedział, że tak nie jest. Empatia i ciepło były w Skróckim ukryte bardzo, bardzo głęboko, uśpione i przysypane grubą warstwą cynizmu... Na pewno jednak tam były.

Fakt, że przyniósł księgarzowi zaproszenie na wernisaż wielkiej wystawy komiksów, świadczył o tym dobitnie.

– Są tam prace naszego scenografa, wybitnego artysty – powiedział, kładąc na biurku Alojzego podłużną, niebieską kopertę. – Mam też dla pana kilka komiksów pokazywanych na wystawie i nagradzanych w światowych konkursach. Pomyślałem, że może przekona się pan do takich rysowanych książek i w Księgarence pojawi się nowy dział...

Alojzy nie odpowiedział. Miał całkowitą pewność, że nigdy nie postawi na półce żadnego komiksu.

Tydzień później na Wiśniowej zaparkował jednak samochód ze sklepu meblowego – i dwóch miłych młodzieńców w żółtych uniformach wyniosło z niego dębowy regał, idealnie dopasowany do pozostałych, zamawianych przez Alojzego przed laty.

Komiksy rozgościły się w jego księgarni na dobre, właśnie dzięki Skróckiemu i wystawie, która otworzyła starszemu panu oczy.

Teraz z radością sprowadzał całe serie i pojedyncze zeszyty, wydania kolekcjonerskie, białe kruki wydawane przed półwieczem. Z niedowierzaniem patrzył na nastolatki rozczytujące się w *Kapitanie Żbiku* i *Tytusach*.

I nie miał już wątpliwości, że komiks jest literaturą... oraz sztuką. Bez oporów podsuwał Mateuszowi kolejne serie, odpowiednie dla dzieci. Chłopiec siadał po turecku na podłodze, pod ścianą. Gutek układał się obok, z głową opartą na jego udzie, i pochrapywał miarowo, od czasu do czasu ruszając ogonem przez sen. Tak jak teraz.

– Ja bardzo przepraszam, że pana tak obciążam dzień przed Wigilią. – Urszula, mama Mateusza, zadzwoniła o siedemnastej. Miała lekko zduszony głos, w którym wyraźnie pobrzmiwała histeria. – Ja wiem, że miałam już wrócić, ale mi się bagietka trochę przeciąga...



– Co się... Przepraszam, co się pani robi? – Alojzy nie był pewny, czy dobrze usłyszał. Oczyma duszy natychmiast zobaczył wypieczoną bagietkę, która rozkosznie się przeciąga w świeżej, białej pościeli. Ale gdzie ona się tak przeciągała? U Urszuli w domu? Jeśli tak, to chyba mogła wziąć Mateusza i Gutka, żeby też obejrzeni ten uroczy spektakl?

– Praca mi się przeciąga – wyjaśniła kobieta, teraz już niemal szeptem. – Miałam skończyć godzinę temu, ale w centrum handlowym jest taki tłum... i tylu ludzi jest zainteresowanych bagietkami, że po prostu muszę zostać tutaj dłużej. Nie dostanę ani grosza, jeżeli teraz wyjdę. Tak mi przykro...

– Proszę się nie martwić, naprawdę – uspokoił ją Alojzy. – Ja nad wszystkim panuję. Dałem już Mateuszowi kanapki, zaraz podam mu zupę. Dla Gutka też coś się znajdzie...

Wiedział, rzecz jasna, że kanapki i zupki w proszku zamieniające się w gęstą breję po zalaniu wrzątkiem to nie jest idealny obiad dla kilkulatek. Nie miał jednak wyjścia. Nie nosił co prawda kostiumu bagietki, a jego księgarnia nie przyciągała aż takich tłumów jak centrum handlowe, ruch przed świętami był jednak i tak wyraźnie większy niż zwykle. Co chwilę ktoś wchodził i wychodził.

A w dodatku Alojzy musiał pożegnać jeszcze kilka osób, zatroszczyć się o parę spraw... Czekał też na kuriera, mającego odebrać książki dla pani Wandy, która przeprowadziła się do Krakowa, ale pozostała wierna Księgarence i księgarzowi, u którego zaopatrywała się przez tyle lat. Alojzy robił wszystko, żeby nie sprawić jej zawodu.

Nie było więc mowy o wywieszeniu kartki: „Zaraz wracam” i pójściu do domu, żeby ugotować Mateuszkowi makaron albo usmażyć kotlet. Musiały wystarczyć kanapki

i pomidorowa „na wesoło”, jak reklamowano ją na opakowaniu. Nie była zresztą taka zła... Alojzy też czasami ją jadł, kiedy miał dużo gości w księgarni.

Mały też przetrwał, ten jeden jedyny raz.

– Mama mówi, że to niezdrowe – chłopiec podniósł na niego oskarżycielskie spojrzenie. – Czy ona wie, że pan karmi mnie czymś takim?

Kto inny na miejscu Alojzego powiedziałby może: „A czy ty wiesz, że ja w ogóle nie muszę cię karmić?”. Jemu jednak takie zdanie przez myśl by nawet nie przeszło. Od razu poczuł się winny, wyobraził sobie, że chłopiec zacznie mieć problemy żołądkowe, zaburzenia łaknienia, zapadnie na bulimię albo anoreksję... Nie, chyba trochę się zagalopował. Anoreksja to choroba nastoletnich dziewcząt, a nie małych chłopców z rumianymi policzkami.

Chociaż, z drugiej strony, podobno skoczkowie narciarscy często na to cierpią...

Bezradnie popatrzył na księgarnię, do której weszły właśnie dwie rozchichotane długowłose dziewczyny ściskające w dłoniach kolorowe telefony i jakiś mężczyzna w czarnym płaszczu.

A potem na fotel, zajęty przez Frania, i na stojącą nad nim Celestynę, która chciała usiąść wygodnie i po prostu trochę poczytać.

Jaki miał wybór? Czy powinien przegonić chłopca razem z jego *Małym Księciem*?

Nie mógł tego zrobić. Oswoił go, przekonał, że ten fotel zawsze na niego czeka... Był więc za małego przyjaciela odpowiedzialny.

Kłopot w tym, że o tym samym przekonał Celestynę. I właśnie teraz chciała ona zająć miejsce w fotelu i pogрузić się

w lekturze.

Ją też oswoił...

Tak jak i Mateusza, i jego pieska, Gutka. Obydwaj byli pewni, że należą im się od Alojzego jakieś przysmaki... I nie mógł ich rozczarować.

– Może ja skoczę kupić coś tym dzieciom do jedzenia? – odezwała się nagle zza jego pleców Celestyna. Po raz pierwszy, od kiedy ją znał, wypowiedziała tak długie zdanie.

Po raz pierwszy też wykazała inicjatywę. Nawet wtedy, kiedy wybierała książki z kosza z przecenami, miał wrażenie, że jest jej wszystko jedno. Cokolwiek, byle było romantyczne, z happy endem i lukrem lejącym się z każdej strony. A teraz... Teraz sprawiała wrażenie, że naprawdę obchodzi ją to, żeby Franek i Mateusz zjedli coś ciepłego.

Przez moment rozważał jej słowa, a potem podjął decyzję:

– Jeśli naprawdę ma pani chwilę czasu, proszę tutaj zostać z chłopcami.

– I z psem? – uniosła jasne brwi, wyraźnie zaskoczona.

– I z psem. Nie ma pani alergii na sierść? – zaniepokoił się nagle.

– Nie, skąd. Tylko nie przepadam za psami. Co innego koty...

– Opowiesz mi bajkę o kocie? – zainteresował się nagle Franek, wstając z fotela i odkładając *Małego Księcia* na niski stoliczek. – Mama miała kota, kiedy była mała. Widziałem go na zdjęciach. Gdyby żyła, na pewno mielibyśmy jakieś zwierzątko...

– Opowiesz nam bajkę? – Mateusz najwyraźniej zapomniał o głodzie i usiadł u stóp Celestyny. – Może być o psie takim, jak Gutek... Albo o kocie... Słyszałem kiedyś, jak mama mówiła do koleżanki, że mój tata był jak kot. Zawsze chodził swoimi

drogami i nie umiał przywiązać się do żadnego człowieka...

– To nieprawda, że koty nie potrafią się do nikogo przywiązać – zaprotestowała Celestyna, siadając w fotelu zwolnionym przez Franka. – Opowiem wam historię pewnej małej dziewczynki...

– To historia o tobie? Kiedy byłaś mała? – zainteresował się Mateusz.

– Nie, nie o mnie. Ja niestety nigdy nie miałam kota... Za to ta dziewczynka miała ich aż pięć! A wiecie, jakie imiona dla nich wybrała?

Gutek ułożył się na stopach Celestyny.

Jej głos, kiedy mówiła do dzieci, był jasny, czysty i pewny. Jakby czuła się przy nich znacznie lepiej niż w towarzystwie dorosłych.

Alojzy rozejrzał się po księgarni. Rozchichotane dziewczynki wyszły z pustymi rękami, za to przy ladzie czekał mężczyzna w czarnym płaszczu z całym naręczem książek. Stary księgarz szybko podliczył ich ceny, odjął dwadzieścia procent świątecznego rabatu i – jeszcze zanim zainkasował należność – zajął się pakowaniem, każdej książki osobno, w piękny kolorowy papier.

– Dla dziewczynki czy chłopca? – zapytał rzeczowo, trzymając w dłoni najnowsze ilustrowane wydanie *Pinokia* w twardej oprawie.

– Dla dziewczynki – odparł mężczyzna, a Alojzy bez wahania sięgnął po rolkę lśniącego papieru w wesołe elfy z czapczkami przyprószonymi brokatem.

– A to? – stuknął palcem w zbiór reportaży z podróży po Azji.

– Dla pana po sześćdziesiątce.

Dłoń księgarza zdjęła ze stojaka papier zdobiony

delikatnym nadrukiem w kałamarze.

I tak dalej, i tak dalej... Aż niemal cała sterta książek zamieniła się w stertę prezentów, które ucieszą oczy obdarowanych jeszcze przed rozpakowaniem. Alojzy przywiązywał do tego wielką wagę. Uważał, że odpowiednio dobrany papier, piękne pudełko, mała kokardka albo kwiatek mogą przynieść niemal tyle samo radości, co zawartość, którą kryją.

– Tej nie musi pan pakować – powiedział mężczyzna w czarnym płaszczu, kładąc rękę na cienkim tomiku wierszy. – To dla mnie.

Księgarzowi udało się nie okazać zdumienia. Twarz nawet mu nie drgnęła. Człowiek po drugiej stronie blatu wiedział jednak i bez tego, że sprzedawca jest zaskoczony.

– Wiem, to nietypowe. Ale bardzo ją lubię. Zwłaszcza ten wiersz o listonoszu...

– Też zawsze mnie wzrusza – uśmiechnął się Alojzy i zamruczał, bardziej do siebie niż do klienta:

*Pani traci już wszelką powagę:  
Czyha w bramie na listonosza!  
Patrzy smutno, uśmiechem go błaga  
jak ranny leżący na noszach.*

*Dni tej pani bez listów toną,  
idą na dno w żalu bez granic...  
aż się dziwi zmartwiony listonosz:  
„Ja bym tam napisał do pani” ...*

– Ładny – pokiwał głową mężczyzna w czerni. – Ale ja miałem na myśli ten drugi, o listopadzie.

Wziął do ręki mały tomik w białej okładce i błyskawicznie znalazł odpowiednią stronę.

Pochylili się obydwaj nad książką i czytali w milczeniu, głowa przy głowie:

*Jest listopad czarny, trochę złoty,  
mokre lustro trzyma w ręku ziemia.  
W oknie domu płacze żal tęsknoty:  
Nie ma listów! Listonosza nie ma!*

*Już nie przyjdzie ni we dnie, ni w nocy,  
złote płatki zawiąły mu oczy,  
wiatr mu torbę otworzył przemocą,  
list za listem po drodze się toczy!*

*Listonosza zasypały liście,  
serc i trąbek złocista ulewa!  
ach i przepadł w zamęcie i świcie  
list, liść biały z kochanego drzewa! ...*

Alojzy zamyślił się przez chwilę. Ten mężczyzna tak bardzo czeka na czyjś list... I to pewnie od wielu lat. Czy tamta kobieta wie, że on wciąż czeka? Czy też lubi Pawlikowską-Jasnorzewską?

Gdyby nie zamykał księgarni już za kilka godzin, już na zawsze, zająłby się tą sprawą. Pomógłby mężczyźnie w czerni odnaleźć tę, której nie potrafił zapomnieć... Która doprowadzała go do szaleństwa, nie pisząc i nie dzwoniąc.

– Za późno pan przyszedł – szepnął.

– Słucham?

– Nie, nic, przepraszam – machnął ręką Alojzy. Nie mógł

się w to mieszać. Przecież zamykał Księgarenkę. To już postanowione. – Niech pan weźmie tę książkę w prezencie. Z moimi najserdeczniejszymi życzeniami. I niech pan nie traci nadziei...

Mężczyzna w czarnym płaszczu oparł się o blat, pochylił, spojrzawszy księgarzowi głęboko w oczy, jakby chciał krzyknąć.

Ostatecznie jednak nie powiedział ani słowa. Zapłacił szybko rachunek, pomniejszony przez Alojzego o cenę tomiku wierszy, zgarnął cały stos bajkowo opakowanych książek i wypadł na ulicę.

Alojzy patrzył przez chwilę na jego sylwetkę niknącą za oknem wśród gęstych płatków śniegu. A gdy już – nawet mrużąc oczy – nie był w stanie dostrzec w oddali czarnej kropki, w którą zamienił się długi płaszcz nietypowego klienta, sięgnął po swoją kurtkę, wywiesił na drzwiach kartkę: „Wracam za 15 minut”, a potem postawił kołnierz i szybkim krokiem przeszedł na drugą stronę ulicy, do swojego małego mieszkanka.

Kwadrans na pewno wystarczy, żeby przygotować coś ciepłego dla chłopców i wrócić do księgarni...

Wrócił czternaście i pół minuty później, niosąc naczynie zawinięte szczelnie w koc. Miał nadzieję, że ten sposób, podpatrzony dawno temu w domu którejś z ciotek, pomoże mu uchronić zawartość przed przenikliwym mrozem.

Nie zdołał przygotować niczego wykwintnego... Usmażył na trzech patelniach trzy wielkie omlety, wkroił do nich wszystko, co miał w lodówce: szynkę, żółty ser, gotowane ziemniaki, które zostały z wczorajszego obiadu, przywiedł natkę pietruszki i dwie pieczarki... Pociął omlety na trójkąty, zapakował w naczynie żaroodporne, zawinął w koc – i już był z powrotem.

W drzwiach powitała go cisza. Nawet Gutek, zawsze taki czujny, nie zaszczekał, nie wybiegł na powitanie...

Alojzy odstawił nieporęczny pakunek i ruszył w głąb księgarni, gdzie zostawił Celestynę, Franka i Mateusza.

To chyba niemożliwe, żeby gdzieś wyszli?

Nie znał imienia i nazwiska Celestyny, nic o niej nie wiedział... Mogła być porywaczką, psychopatką, seryjną morderczynią. Sprzedawać dzieci na organy. Nie wypadłby dobrze na przesłuchaniu. Nie miałby na swoją obronę nic, oprócz głębokiego przekonania, że można jej zaufać.

– Opowiesz coś jeszcze? – cienki chłopięcy głosik sprawił, że Alojzy zatrzymał się w pół kroku. – Moja mama zawsze opowiadała mi bardzo długie bajki.

– Ta też będzie bardzo długa – po głosie Celestyny od razu poznał, że się uśmiecha.

– Ale o kocie? – upewnił się drugi chłopięcy głosik.

– O kocie – obiecała Celestyna.

Alojzy wiedział, że powinien jej przerwać. Omlet przecież całkiem wystygnie, zanim kobieta opowie swoją bajkę. Tym bardziej że obiecała, że będzie naprawdę długa.

Coś jednak kazało mu stać w miejscu i nie odzywać się ani słowem.

Przynajmniej dopóki Gutek nie wyczuje, że ktoś czai się za regałem z literaturą podróżniczą. Ulubionym regałem Urszuli, mamy Mateusza i pani Gutka...

– To będzie bajka o kotce Psotce i o dziewczynce, która nie wiedziała, że ma duże serce – powiedziała Celestyna powoli.

Alojzy przymknął oczy i dał się porwać jej historii...

*Psotka była z Dominiką od zawsze. W najdawniejszych wspomnieniach, na najstarszych zdjęciach zawsze były we dwie.*



*Jasnowłosa dziewczynka i czarny jak noc puchaty kotek, z białą plamką pod szyją.*

*– Psotka była przy tobie nawet wtedy, kiedy siedziłaś w moim brzuchu – uśmiechała się mama, wyjmując z szuflady jeszcze jedną fotografię.*

*– To ty? – Dominika widziała to zdjęcie wiele razy, ale zawsze się dziwiła, że ta gruba pani w okularach, z długimi rudymi lokami, to jej mama. Teraz mama była szczupła, miała króciutkie, nastroszone, jasne włosy, a zamiast okularów nosiła szkła kontaktowe.*

*– Oczywiście, że to ja – odpowiadała mama z uśmiechem. Na okrągłym brzuchu tej obcej pani ze zdjęcia leżał mały, czarny kotek. Psotka!*

*– Pewnie było mi bardzo ciepło, kiedy tak leżała – mówiła Dominika do siebie.*

*A Psotka, jakby wiedziała, że o niej mowa, mruczała i domagała się głaskania.*

*Kiedy Dominika rysowała w przedszkolu swoją rodzinę, zawsze byli na obrazku we czwórkę: ona, mama, tata i Psotka. A kiedy miała narysować najlepszego przyjaciela, rysowała... tak, Psotkę, oczywiście. Lubiła Laure, z którą zawsze bawiła się w przedszkolu w sklep, i dwójkę dzieci sąsiadów, Madzię i Łukaszka. Ale prawdziwą przyjaciółkę, której mogła opowiedzieć o największych tajemnicach, miała tylko jedną: czarną, puszystą, z białą plamką pod szyją.*

*Pewnego dnia tata spóźnił się po Dominikę do przedszkola. Była bardzo zdziwiona. Tata nigdy się nie spóźniał. Pani wychowawczyni śmiała się nawet, że mogłaby według niego nastawiać zegarek. Od trzech lat przychodził po córeczkę o szesnastej czterdzieści. Co do minuty. Każdego dnia... Aż do*

*tego piątku.*

*Dominika stała w szatni, w swoich ślicznych różowych bucikach i kurteczce z misiem naszytym na lewym rękawie.*

*Ale taty nie było.*

*– Pewnie utkwił gdzieś w korku – pocieszała ją wychowawczyni.*

*– Może musiał zostać dłużej w pracy? – powiedziała pani kucharka, która akurat wychodziła do domu. Zawsze spotykali ją z tatą przy furtce przedszkola. Codziennie, od trzech lat. Aż do tego nieszczęsnego piątku.*

*– Coś się stało – powiedziała Dominika, czując, że w jej gardle siedzi jakaś ciężka kula. Nie pozwalała przełknąć śliny ani głęboko odetchnąć.*

*Po dwudziestu minutach pani wychowawczyni kazała jej zdjąć kurteczkę i buty, po czym wrócić na salę. Sama zaś poszła zadzwonić do taty.*

*Dominika stała w oknie, a kula w jej gardle robiła się coraz większa i cięższa.*

*– Twój tatuś nie odbiera – powiedziała wychowawczyni z za jej pleców. – Mama też nie. Musimy poczekać. Może zbudujesz coś z klocków? Może zamek ze smoczą jamą?*

*Dominika potrząsnęła głową. Jak mogłaby budować zamek, kiedy jej rodzice zniknęli i mogą już nigdy jej nie odebrać? Co się wtedy stanie? Czy będzie mieszkała w przedszkolu? Sama w wielkim przedszkolu, w którym w nocy zostają tylko zabawki? Lubiła te zabawki i gry, i kolorową salę... Ale nie chciałaby tu siedzieć sama przez całą noc!*

*Wreszcie, po godzinie, w drzwiach przedszkola stanęli mama i tata.*

*Tata patrzył gdzieś w bok, a mamie po policzkach płynęły łzy wielkie jak ziarenka grochu.*

– Psołka zniknęła – powiedziała, przytulając Dominikę do siebie. – Przyszedł listonosz, otworzyłam drzwi i nawet nie zauważyłam, kiedy wyszła. Szukaliśmy jej wszędzie...

Przez cały wieczór Dominika razem z rodzicami chodziła po ulicach, wołając kotkę. Rozwiesili plakaty na okolicznych drzewach. Zapukali do kilkunastu sąsiadów. Tata napisał ogłoszenie i zamieścił je w Internecie. Na wszystkich stronach, które przyszły mu do głowy.

– Idź spać, kochanie... – mama zaniósła Dominikę do łóżka i mocno przytuliła. – Jeśli Psołka wróci, od razu cię obudzimy.

– Obiecujesz? – upewniła się dziewczynka.

– Obiecuję – mama pocałowała ją w czoło i zgasiła światło.

Rano jednak Psołki ciągle nie było w domu. Nie pojawiła się też w porze obiadu ani wieczorem... Ani następnego dnia.

– Pada deszcz. Martwię się o nią – mówiła Dominika, wyglądając przez okno. – Ona tak nie lubi być mokra.

Co chwilę otwierała drzwi, żeby sprawdzić, czy Psołka nie siedzi na progu. Nie było jej jednak. Na wycieracze nie siedział żaden zmoknięty, czarny kotek z białą plamką pod szyją.

Pewnego dnia, tydzień albo dwa później, leżąc już w łóżku, Dominika usłyszała, jak mama mówi szeptem do taty:

– Nie martw się, jest mała, szybko zapomni. Kupimy jej na urodziny nowego kota...

– Nie chcę nowego kota! – krzyknęła, wybiegając ze swojego pokoju. – Chcę moją Psołkę!

– Wiemy, kochanie, wiemy – rodzice przytulili ją do siebie i siedzieli z nią na kanapie tak długo, aż zasnęła.

Nie dostała nowego kota ani na urodziny, ani na imieniny, ani na Dzień Dziecka.

*Przy łóżku wciąż miała zdjęcie Psotki. I wciąż, kiedy wydawało jej się, że nikt nie widzi, wyglądała przez okno, żeby sprawdzić, czy gdzieś nie czeka na nią mała, czarna kotka z białym krawacikiem.*

*– Ile to jeszcze potrwa? – wzdychał tata. – Powinna już zapomnieć...*

*Dominika nie wybiegała już z pokoju i nie tłumaczyła rodzicom, że nie zamierza zapomnieć. Kochała Psotkę i czekała na jej powrót każdego dnia. Dziwiła się tylko, że dorośli tego nie rozumieją...*

*Wiatr zdarł z drzew plakaty, które rozwiesili tamtej okropnej nocy. Poprosiła tatę, żeby wydrukował nowe.*

*– Nie ma sensu, córeczko – tłumaczył. – Minęło już tyle czasu...*

*Ona jednak uparła się, że muszą, po prostu muszą rozwiesić je jeszcze raz.*

*Kilka miesięcy później, w środowy wieczór, nieoczekiwanie ktoś zadzwonił do drzwi.*

*Dominika wstrzymała oddech. Czyżby zdarzył się cud? Czyżby ktoś znalazł Psotkę?*

*Wybiegła do przedpokoju.*

*Stała tam sąsiadka, mama Madzi i Łukaszka, i szeptała coś do jej rodziców. Chyba wcale jej nie zauważyli, przejęci rozmową.*

*– Nie wiem... Naprawdę nie wiem... – głos mamy Dominiki brzmiał bardzo niepewnie. – Nasza córeczka stanowczo nie chce... Obiecaliśmy, że nie będziemy próbowali... Ale w takiej sytuacji...*

*– Może powinniśmy ją zapytać? – tata też mówił jakoś dziwnie.*

– *O co chcecie mnie zapytać? – dziewczynka wyszła na środek i wbiła wzrok w dorosłych. Najpierw w mamę, potem w tatę... a potem, w końcu, w sąsiadkę. I w to, co trzymała na rękach.*

– *Kot? – zapytała, nie wierząc własnym oczom.*

*W ramionach sąsiadki siedział malutki, rudy kociak!  
I rozpaczliwie miauczał!*

– *To nie Psotka – westchnęła Dominika. – Ona jest czarna... I dużo większa od tego maluszka.*

– *Wiem – pokiwała głową mama Madzi i Łukasza. – Wiem, że to nie jest Psotka. Mam nadzieję, tak jak ty, że kiedyś się znajdzie... Ale teraz to maleństwo bardzo potrzebuje pomocy. Ktoś podrzucił mojej znajomej trzy małe kotki. Nie mogą u niej zostać, jej synek ma alergię. Znalazła dom już dla dwóch, został tylko ten rudasek... Jeżeli dzisiaj nikt go nie przyjmie, zawieziemy go do schroniska. I pomyślałam, że może wy chcielibyście... On na pewno będzie się tam bał. Wśród tylu obcych, wielkich psów i kotów... Cały się trzęsie. Uparłam się, że poszukam mu bezpiecznego miejsca. Jesteście moją ostatnią nadzieją...*

*Dominika spojrzała bezradnie na rodziców.*

– *Ona nie chce żadnego nowego kota – powiedziała mama do sąsiadki. – Przykro mi... Może ci państwo z domku na rogu zgodziliby się go przyjąć, przynajmniej na dzień albo dwa?*

– *Weźmiemy go – zawołała Dominika bez zastanowienia. – On nas potrzebuje! Musimy mu pomóc! Może ktoś, gdzieś w innym domu, pomógł tak samo naszej Psotce? Może ona nie umie do nas wrócić i ktoś dał jej nowy dom? My damy więc dom Rudzikowi. Dobrze, mamo?*

– *Dobrze – roześmiali się rodzice. – Jeśli naprawdę jesteś pewna, że jesteś już gotowa na nowego kota...*

*Była gotowa. Nie wiedziała o tym, dopóki go nie zobaczyła. Maleńkiego, biednego, patrzącego na nią tymi swoimi wielkimi oczami.*

*Tego dnia wieczorem, głaszcząc Rudzika, szepnęła do zdjęcia Psotki:*

*– Zawsze będę cię kochać, wiesz? I czekać, aż wrócisz.*

*I nagle poczuła, że w jej sercu jest miejsce dla dwóch kotów. A miłość do Psotki nie stała się ani trochę mniejsza przez to, że pokochała Rudzika.*

*– Mam chyba większe serce niż myślałam – uśmiechnęła się, a kociak zamruczał rozkosznie na jej kolanach.*

*– Głupia bajka! – W cienkim chłopięcym głosiku brzmiała prawdziwa wściekłość. – Czy ta Dominika nie rozumie, że Psotka nigdy nie wróci, tak jak i moja mama?*

*– Moja też nie – powiedział drugi głosik, raczej smutny niż wściekły.*

*– A moja wróci – w trzecim głosiku brzmiała tylko rezygnacja. – Jak tylko zamkną centrum handlowe i będzie mogła zdjąć z siebie kostium bateryjki.*

*– Bagietki – poprawił go Alojzy odruchowo. – Baterijką była w zeszłym tygodniu.*

*Pięć par oczu spojrzało w stronę regału z literaturą podróżniczą.*

*Właściciel jednej z tych par podreptał w stronę nóg Alojzego, ujadając radośnie.*

*Właścicielka drugiej, nieprawdopodobnie błękitnej pary oczu, roześmiała się z niedowierzaniem.*

*– Był pan tutaj przez cały czas?*

*Alojzy zarumienił się i pokiwał głową.*

*– Dlaczego mi pan nie powiedział, że ma pan na zapleczu*

jeszcze jednego małego chłopca? – Celestyna najwyraźniej nie była na niego zła. – To istna akademka pana Kleksa, gdzie nie spojrzę, czai się jakiś rozczochrany chłopaczek!

Mateusz i Franek roześmiali się głośno, kiedy to powiedziała.

Trzeci chłopczyk nie poruszył się, nie uśmiechnął, nie spojrzął na Alojzego.

Powtórzył tylko ze złością:

– Głupia bajka.

– Cieszę się, że się obudziłeś – powiedział do niego księgarz. A potem, czując, że powinien jakoś wyjaśnić jego obecność, mruknął: – To jest Krzyś. Mój... No... Wnuk mojego brata.

– Będziesz teraz mieszkał z panem Alojzym? – Mateusz był bardzo zadowolony, że wreszcie nie będzie przesiadywał sam w księgarni, kiedy mama zarabia na życie przebieraniem się za parówkę, baterię albo paczkę makaronu.

Krzyś wzruszył ramionami.

A Alojzy uznał, że może poinformować chłopców o swoich planach nieco później. Trochę się obawiał, jak to przyjmą...

– Mam omlety, zapraszam do stołu – zawołał więc wesóło i odwrócił się, żeby przynieść naczynie wciąż zawinięte w koc.

Nie do wiary, naprawdę było jeszcze ciepłe! Stare ciocine sposoby znowu okazały się najlepsze.

Wyszedł na moment na zaplecze po talerzyki i sztućce. Nastawił wodę na herbatę, znalazł nawet białą serwetkę, którą mógł położyć na małym stoliku...

– Patrzcie! On zasnął na środku podłogi – Franek oskarżycielsko wyciągnął palec w stronę pochrapującego Krzysia. – Po prostu położył się i zasnął!

Alojzy pokiwał głową. Nie był zdziwiony. Krzyś, od

chwili, kiedy przyjechał do niego z sympatyczną policjantką, zasypiał niemal na stojąco. W łazience, przy stole, na środku przedpokoju. Księgarz zadzwonił nawet do przychodni na Kościuszki, żeby upewnić się, czy malcowi nic nie dolega. Połączono go z młodym pediatrą. Wysłuchał całej historii i zalecił spokój.

– Chłopiec przeżył szok. Jest w nowym miejscu. Wie, że lada chwila znowu się przeprowadzi. To jego mechanizm obronny. Niech śpi, im więcej, tym lepiej. Zna pan to powiedzenie: „Sen jest najlepszym lekarzem”?

Alojzy znał, oczywiście, niemal wszystkie stare powiedzenia. Nie znał się za to na wychowywaniu dzieci. Nie przeżył ząbkowania, radości z pierwszego kroku ani upiornego buntu dwulatka. Nie umiał rozpoznać ospy, odry i różyczki.

Różyczka... To słowo sprawiło, że zachwiał się na nogach. Nie potrafił myśleć spokojnie o swojej córce.

Żona Alojzego, Krystyna, wyjechała z Różą do Niemiec, a stamtąd do Australii, kiedy mała skończyła cztery miesiące. Do dziś nie rozumiał, dlaczego go okłamała. Udawała, że jedzie tylko na tydzień albo dwa zobaczyć się z kuzynką mieszkającą w pobliżu Monachium. Dużo później dowiedział się, że nie było żadnej kuzynki. Był za to pewien pilot, który zawrócił jej w głowie rok po ślubie z Alojzym. Była wtedy w piątym czy szóstym miesiącu ciąży. Zupełnie mu to nie przeszkadzało. Alojzy o niczym nie miał pojęcia, do samego końca. Naiwnie czekał na jej powrót, próbował nawet zgłosić zaginięcie żony i córki, szalał z niepokoju. Wtedy zadzwoniła i powiedziała, że ma dać jej spokój i skończyć z poszukiwaniami. A co do rozwodu, to niech się nie martwi. Ona sama załatwi to przez konsulat.

Nigdy tego nie zrobiła. Pilotowi ślub nie był najwyraźniej



potrzebny. A może w ogóle nie było już pilota, może ten romans okazał się równie krótkotrwały jak uczucie Krystyny do Alojzego?

Księgarz o złamanym sercu nie zakochał się już nigdy więcej. Nie potrzebował rozwodu, nie domagał się przysłania dokumentów. Był więc mężem Krystyny jeszcze przez trzydzieści osiem długich lat. Aż do jej śmierci.

A Róża? Róża ząbkowała, stawiała pierwsze kroki, przeżywała bunt dwulatka, szła do przedszkola i pierwszej klasy – z dala od niego. Widział ją tylko na zdjęciach. Ich, w przeciwieństwie do papierów rozwodowych, domagał się od Krystyny stanowczo. Dostawał grube koperty z pieczętą: „Ocenzurowano”. Wyjmował z nich pliki zdjęć córeczki, coraz większej, coraz piękniejszej. Patrzyła na niego ogromnymi ciemnymi oczyma. Takimi samymi, jak jego oczy.

A teraz, po tylu latach, takimi samymi oczami patrzył Krzyś.

Alojzy był przecież jego stryjecznym dziadkiem. Wielkie ciemne oczy przechodziły najwyraźniej z pokolenia na pokolenie.

– Możemy już jeść? – Franek przestępował z nogi na nogę, pochylając się nad naczyniem i usiłując wciągnąć w siebie cały aromat omletów.

Alojzy z trudem wrócił do rzeczywistości.

Mały chłopiec z ogromnymi, prawie czarnymi oczami, przewrócił się na drugi bok i objął się ciasno ramionami.

– Chyba mu zimno – stwierdził Mateusz beznamiętnym tonem.

Alojzy, niewiele myśląc, przykrył Krzysia swoją kurtką.

Gutek położył się obok niego, wciskając szpiczasty pysk pod ramię chłopczyka.

Malec uśmiechnął się przez sen.

– Jedzmy, jedzmy – Alojzy przysunął do stoliczka fotel, stołek-drabinkę, na którą wspinał się, gdy sięgał na wyższe półki, krzesło z za lady i dwie paczki książek, które nadeszły z hurtowni. Nierozpakowane, w twardych pudłach, czekające, aż je odeśle zaraz po świętach... Chłopcy chyba mogą na nich na moment usiąść? Takie chucherka... Nie połamią przecież kartonów, nie pogniotą książek...

– Proszę, niech pani siada – Alojzy wskazał Celestynie honorowe miejsce, czyli powycierany fotel. Tyle że Celestyny już nie było.

– Ona poszła do domu – oświadczył Franek, wgrzyzając się w pierwszy kawałek omleta. – Szkoda, bo jest bardzo miła. A to jest bardzo smaczne.

– Bardzo smaczne – potwierdził Mateusz, choć w jego głosie brzmiało wyraźne niezadowolenie. Dopiero po chwili księgarz zrozumiał, że nie wywołał go omlet, tylko Gutek pochrapujący miarowo w ramionach Krzysia. Mateusz po prostu był zazdrosny, że jego pies okazuje tyle sympatii jakiemuś innemu, obcemu dziecku.

Alojzy machinalnie sięgnął po jedzenie i połykał kolejne kęsy, nie czując smaku.

Ostatnich kilkadziesiąt godzin naprawdę obfitowało w niespodzianki. Najpierw ten telefon od bratanka. Nie chciał mieć z tym człowiekiem nic wspólnego. Za wiele zła wyrządził innym ludziom... Odbierał im to, co mieli najcenniejszego, Alojzy sam boleśnie tego doświadczył. Henio, który teraz kazał mówić do siebie per Hardy, miał zostać raz na zawsze wymazany z pamięci starszego pana. Oraz z jego serca.

Nic z tego. Kiedy zadzwonił i łamiącym się głosem poprosił, by wujek przyjął do siebie Krzysia, by podpisał te

dokumenty jako bliski krewny małego... Alojzy nie miał sumienia odmówić. Nie tylko dlatego, że dziecko nie było niczemu winne, straciło matkę i absolutnie nie powinno spędzać świąt w żadnym domu dziecka czy pogotowiu opiekuńczym. Było coś jeszcze... W tonie głosu Heniutka, w jego niepokojach... Coś, co kazało Alojzemu uwierzyć, że ten bezwzględny przestępca może się jeszcze zmienić. Że prawdopodobnie nie ma wcale serca z kamienia... A nawet jeśli ma, to jest to być może stan odwracalny.

Bratanek zapewnił go, że pojawi się jakaś kobieta – dobra i uczciwa – która zabierze Krzysia na święta. Alojzy nie miał pojęcia, gdzie Heniutek poznał uczciwą osobę, ale miał nadzieję, że naprawdę jest właśnie taka. Krzyś powinien spędzić Boże Narodzenie w domu pełnym śmiechu, pachnącym ciastem i igliwem... Alojzy miał przecież na te dni zupełnie inne plany. Musiał zlikwidować księgarnię. Zapakować paczki – i to wcale nie te z prezentami. Opróżnić regały, szafki, zapłacić ostatnie podatki, ostatni czynsz... A potem włożyć do walizki kilka najpotrzebniejszych rzeczy i pojechać na lotnisko.

Nie mógł dłużej odkładać wizyty u Róży.

Już i tak czekał z lotem za ocean stanowczo zbyt długo.

Bratanek zrobił mu nielichą niespodziankę, ale nie była to jedyna niespodzianka w ciągu ostatnich dni.

Najpierw zaczęła go nachodzić jakaś Cyganka. A raczej – był o tym dziwnie przekonany – kobieta przebrana za Cygankę. Może i w jej żyłach płynęła cygańska krew, ale raczej nie nosiła na co dzień tych wszystkich chustek, koralików i kolorowych spódnic. Zachowywała się bardzo dziwnie. Zamiast powiedzieć, co chce kupić, ukrywała się między regałami, udawała, że przegląda encyklopedię, podczas gdy tak naprawdę dryfowała

w stronę działu z literaturą angielską...

– Nie pomogę pani, jeśli się nie dowiem, czego pani szuka  
– powiedział łagodnie, kiedy pojawiła się po raz trzeci czy czwarty tego samego dnia.

– Szczęścia i bogactwa – odparła, śmiejąc się sztucznie.

Obserwował ją uważnie, gdy pojawiała się w pobliżu. Wreszcie, trzeciego dnia zorientował się, która książka interesuje ją najbardziej. To była *Opowieść wigilijna* Dickensa. Miał ją w kilku tłumaczeniach, w wydaniu dla dzieci, w oryginale, z ilustracjami, z fotosami z filmu i bez żadnych obrazków... Przejrzała je wszystkie po kilka razy, zajrzała pod okładki, przesuwała ostrożnie palcem po grzbietach... A potem odeszła z niezadowoloną miną.

Wróciła po godzinie.

– Którą z tych *Opowieści wigilijnych* ma pan u siebie najdłużej? – zapytała w końcu prosto z mostu.

W głowie Alojzego zapaliła się lampka alarmowa.

– Nie mam pojęcia – wzruszył bezradnie ramionami, układając plan działania. – Sprawdzę w katalogu, jeśli to dla pani takie ważne. Proszę wrócić jutro.

Oczywiście znał odpowiedź na to pytanie. Ta książka przeleżała u niego kilkadziesiąt lat. Pięknie ilustrowana, czekała na zapleczu na kogoś, komu historia Ebenezera Scrooge'a naprawdę będzie bardzo potrzebna.

Kogoś, kogo życie zdoła odmienić.

Dziś wreszcie wiedział, komu musi ją podarować na „do widzenia”. I nie był to wcale Henio zwany Hardym.

On książek, o ile nic się nie zmieniło, używał wyłącznie jako podstawek pod piwo. Czasami podkładał też jakąś pod nogę od stołu, żeby się nie kiwał.

Trzy godziny później Alojzy usiadł sam w powycieranym fotelu, przygasił światła i omiótł wzrokiem swoją księgarnię.

Kochał to miejsce i ludzi, którzy je odwiedzali.

Był jednak coraz starszy i nie mógł tego ukrywać dłużej przed samym sobą. Nie chodziło nawet o bieganie z paczkami pełnymi książek, o wspinanie się na drabinkę i ustawianie grubych tomów pod sufitem... Z tym wszystkim radził sobie całkiem nieźle.

Bardziej martwiło go to, że nie nadąża za młodymi ludźmi. Dziwiło go to, co czytają. Nie radził sobie z internetowym slangiem, z fanpejdżami i liczeniem lajków zamiast tradycyjnych list bestsellerów.

Wyraźnie czuł, że czas ustąpić miejsca komuś, kto rozumie ten język.

Nie wychował następcy... Zatem miał tylko jedno wyjście – zamknąć księgarnię i wyruszyć na antypody. Powinien to zrobić już dawno temu.

Już kiedyś był zdecydowany to zrobić. Miał nawet zarezerwowany bilet.

Jego przyjaciel, Roman, nie prowadził jeszcze wtedy Manuskryptu. Bez problemu zająłby się Księgarenką przez te cztery tygodnie. A w razie gdyby Alojzy zdecydował się nie wracać... Gdyby został w Australii, blisko Róży, już na zawsze, Roman po prostu przejąłby jego firmę.

To był plan doskonały.

Niestety, jak w każdym planie, najslabszym ogniwem okazali się ludzie. A ściśle rzecz biorąc – jeden człowiek. Henryk zwany Hardym. Bratanek z piekła rodem.

Wspomnienia tamtego poranka i tego, co stało się później, wciąż sprawiały mu ból tak ostry, że nie mógł usiedzieć w jednym miejscu. Zaczął spacerować po księgarni, coraz

szybszym krokiem. I nagle... Czy to możliwe? Zobaczył wciśnięty pod kasę fiskalną tomik wierszy Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Mężczyzna w czarnym płaszczu wybiegł tak szybko, że zapomniał zabrać prezentu dla samego siebie!

Szkoda. Wyglądało na to, że naprawdę potrzebuje tej książki...

Księgarz zapatrzył się w wirujące za oknem płatki śniegu, w których kilka godzin wcześniej zniknął tajemniczy klient, i zaczął wymieniać w pamięci wszystkich, których dziś obdarował książkami.

Celestyna dostała swój wymarzony *Błękitny Zamek* z Joanną i Edwardem zamiast Valancy i Barneya. A potem zniknęła... Zupełnie jak Alicja w Krainie Czarów, przechodząca przez lustro albo wpadająca do króliczej nory.

Książkę o Alicji podarował jednak nie Celestynie, ale Urszuli. Ta kobieta była śliczna, urocza, wesoła i... piekielnie utalentowana. Widział ją kiedyś na scenie, w przedstawieniu dla dzieci. Grała mysz... Trzecioplanową rolę, niemal epizod... Ale zagrała go tak, że wszyscy patrzyli tylko na nią. Alojzy był przekonany, że w jej życiu brakuje odrobiny magii, lecz jeśli tylko odnajdzie w sobie małą dziewczynkę... Jeśli uwierzy, że marzenia mogą się spełniać, nareszcie będzie żyła tak, jak pragnęła.

Mateusz, syn Urszuli, otrzymał od Alojzego całą kolekcję komiksów o Muminkach. Bo przecież Muminki miały zawsze do powiedzenia coś mądrego. Na każdej stronie ich przygód można było znaleźć jakiś drogowskaz. A to właśnie chciał dać Alojzy swoim stałym gościom: drogowskazy na dalsze życie...

Na życie bez jego księgarni.

Krzyś, opuszczając Wiśniową z tą zabawną młodą kobietą

przysięgającą, że nie lubi dzieci, niósł w rączce *Wielką księgę Kubusia Puchatka*. Jeżeli ktoś ma na imię Krzysztof, musi poznać przygody Krzysia – i zwierzaków ze Stumilowego Lasu.

– Do zobaczenia po świętach – powiedziała Ryszarda Kociołek już w progu.

Pokiwał jej ręką bez słowa. Był dziwnie pewny, że wcale nie przyjedzie oddać mu Krzysia... A może tylko miał nadzieję, że tak się stanie? Ta dziewczyna naprawdę wyglądała na dobrą i uczciwą. Kompletnie nie pasowała do Henryka i podobno sama już to odkryła. Nie była dla Krzysia rodziną, ale mogła nią zostać. Sądząc przecież nie odbierze dziecka kobiecie, która chce zastąpić mu matkę. A on, Alojzy, chętnie zezna, co trzeba, żeby jej pomóc.

O ile wróci do tego czasu z Australii.

O ile w ogóle z niej wróci?

Wciąż przecież nie wiedział, jak potoczą się sprawy, gdy już dotrze na miejsce...

– Nie myśleć o Róży. Nie teraz – przywołał się do porządku i wrócił myślami do listy stałych bywalców księgarni i do prezentów, które od niego otrzymali.

Celestyna, Urszula z Mateuszkiem, mały Krzyś... I Franio, który uśmiechnął się od ucha do ucha na widok *Małego Księcia*...

Oraz, oczywiście, sędzia Katarzyna Dering. Matka trzech córek, którą przed laty przekonywał, że świetnie sprawdzi się w tej roli. I że – jeśli natura dała jej szansę już po czterdziestce – powinna z tej szansy skorzystać. Bo przecież nie ma nic piękniejszego niż bycie rodzicem.

Wiedział to doskonale. Był przecież ojcem. To nic, że spędził z Różą tylko cztery miesiące. Że nie słyszał, jak płacze, kiedy wychodzą jej ząbki, i nie odwoził samochodem na

pierwszą randkę... Te cztery miesiące wystarczyły w zupełności, żeby zrozumiał, że nie ma w życiu niczego równie ważnego, wspaniałego i ciężkiego, jak rodzicielstwo. Tak właściwie wystarczyły już cztery sekundy, kiedy po raz pierwszy zobaczył jej wielkie ciemne oczy i usta przypominające maleńkie serduszko.

Dering też o tym wiedziała. Nieraz widział, jak wybiera prezenty dla córek, jak przekomarza się z nimi między regałami, jak biegnie na swoich wysokich szpilkach do samochodu zaparkowanego na końcu Wiśniowej, żeby zdążyć odebrać je z przedszkola, szkoły, kina czy urodzin koleżanki.

Kiedy usłyszał w wiadomościach o sprawie Osińskiej, nie wahał się ani chwili. Wiedział, jaką książkę powinna dostać na pożegnanie Dering. Wiedział, że dobrze odczyta to, co w niej najważniejsze.

Tak się złożyło, że znał i Osińską. Odwiedzała jego księgarnię w poszukiwaniu najróżniejszych opracowań o swoich męczennikach, o czasach i miejscach, w których żyli. Planowała z synem wielką wycieczkę ich śladami... Zbierała mapy...

Czy kiedyś wpadła na Dering tutaj, na Wiśniowej? Nie umiał sobie przypomnieć.

Wiedział jednak, że musi pomóc obu kobietom.

Byle tylko nie było za późno...

Na jego liście stałych gości był jeszcze, oczywiście, Euzebiusz Skrócki. To właśnie jemu przypadła *Opowieść wigilijna*, którą tak interesowała się dziwaczna Cyganka. Stare wydanie, z pięknymi ilustracjami, zupełnie niezniszczone. Kiedy zdejmował je poprzedniego dnia z półki, do księgarni wpadła jakaś mała dziewczynka i zapytała, czy mogłaby kupić tę śliczną książkę. Wysypała nawet na blat garść drobnych monet.

Nie znosił odmawiać dzieciom, ale tym razem nie widział



innego wyjścia.

– Ta książka nie jest na sprzedaż – powiedział zgodnie z prawdą. – To prezent dla pewnego bardzo groźnego pana reżysera. Jeśli ona nie stopi lodu wokół serca tego człowieka, to chyba już nikt i nic nie zdoła tego dokonać.

\* \* \*

*27 grudnia*

Alojzy sprzątał już od świtu.

Szło mu jak po grudzie. Każda brana do ręki książka, każdy drobiazg budził jakieś wspomnienia. Trudno było wyrzucić talerzyki, na których układał ciasteczka dla małego Franka, i ten niebieski kubek, w którym co rano parzył sobie kawę – a w samo południe, obowiązkowo, herbatę darjeeling.

Ale przecież nie było innego wyjścia.

Podjął już decyzję i musiał wprowadzić swój plan w życie.

– Precz z sentymentami! – zawołał gromko, by dodać sobie odwagi.

Nagle drzwi księgarni otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł Euzebiusz Skrócki z małą dziewczynką w białym płaszczku.

– Dzień dobry, panie Alojzy – krzyknął wesoło. – Chciałem przedstawić panu moją córeczkę.

Stary księgarz uniósł brwi ze zdumieniem. Nie miał pojęcia, że Skrócki ma dziecko...

– Widzę, że czytał pan książkę, którą panu podarowałem –

stwierdził, obserwując uśmiechniętą twarz dyrektora teatru.

– Gówno tam, a nie czytałem – odparł Skrócki, łapiąc się za usta. Nie chciał przecież przeklinać przy córce!

– Mama zawsze powtarza, że jesteś wrednym dziadem i klniesz jak szewc – powiedziała dziewczynka.

– Wcale nie klnę. Kłamię kiedyś, dawno temu, kiedy twoja mama często mnie widywała... Zmieniłem się od tamtej pory – mruknął reżyser i odwrócił się do Alojzego. – Przepraszam, że tak się odezwałem przy panu i przy dziecku. Po prostu wciąż nie rozumiem, jak to się stało, że straciłem tę książkę... To bardzo zagmatwana historia, nawet nie umiem jej dobrze opowiedzieć. Zabrała mi ją Cyganka, tuż pod pana księgarnią.

– Okradła pana?

To nie mieściło się księgarzowi w głowie. Ta kobieta była dziwna, to fakt, ale kradzież? Zupełnie jej o to nie podejrzewał.

– Gdzie tam, wcale mnie nie okradła. Raczej... zaszantażowała. Zmusiła wróżbą, żebym sam oddał jej tę książkę. Naprawdę nie wiem, jak to panu wyjaśnić. Czasami mi się wydaje, że to wszystko tylko mi się śniło.

– Jeśli ten sen sprawił, że spotkał się pan z córką, to chyba nie ma powodów do narzekań? – uśmiechnął się Alojzy.

– Ja nie narzekam, ależ skąd! – na twarzy Skróckiego też pojawił się uśmiech, jeszcze szerszy niż poprzednio. – Ja tylko chciałem zapytać, czy nie ma pan jeszcze jednego egzemplarza? To było takie ładne wydanie, chyba bardzo stare...

– Bardzo – pokiwał głową Alojzy. – I niestety chyba już niedostępne.

Chciał dodać, że poprosi swojego przyjaciela, Romana z Manuskryptu, żeby poszukał tego wydania, kiedy on będzie już w Australii. Nie zdążył jednak powiedzieć ani słowa, bo drzwi otworzyły się znowu i do środka wpadł Mateusz

z nieodłącznym Gutkiem oraz... drzewo.

– Ja wiem, że pan już zamyka – zadudniło drzewo, kołysząc gałęziami. – I że ma pan mnóstwo pracy. Ale może mogłabym zostawić Mateuszka jeszcze ten jeden, ostatni raz. Tylko na godzinę, bardzo pana proszę. Wpadła mi taka nagła fucha...

– Rola drzewa w *Makbecie*? – roześmiał się Alojzy. – Będzie pani podchodzić pod zamek z całym lasem Birnam, żeby spełniła się przepowiednia?

– Moja mama gra dzisiaj w jasełkach. Drzewo śpiewające małemu Jezuskowi – wyjaśnił Mateusz. – Chociaż chyba wolałaby *Makbeta*...

– „Bo jak wierzyć, że drzewa ruszą do ataku?” – zaśmiał się tubalnie kostropaty dąb, poruszając gałęziami. – „Któż by wymógł to na nich? – To wspaniałe wróżby! Dopóki las Birnamski nie powstanie, bunt mi nie grozi; moje panowanie jest niewzruszone. Podlegam jedynie prawom natury: czasowi, co płynie i niesie ku ludzkiemu przeznaczeniu, gdy duch opuszcza nas w ostatnim tchnieniu”.

– Makbet jak żywy... – Skrócki stał jak zaczarowany, wpatrując się w pluszowe drzewo.

– W tłumaczeniu Antoniego Libery – dodał Alojzy.

– Ja bardzo przepraszam, ale czy mógłbym panią zobaczyć nieco mniej... Jakby to powiedzieć... – zaplątał się Skrócki, wyraźnie podekscytowany.

– Nieco mniej drewnianą – dokończyła więc za niego córka.

– Pani jest doskonała, po prostu doskonała. Co za ekspresja! – przestępował niecierpliwie z nogi na nogę. – Nie wiem, jak pani wygląda i ile ma pani lat, ale nic mnie to nie obchodzi. Chciałbym zaproponować pani angaż w moim teatrze.

– Słucham? – Urszula wychyliła spoconą twarz przez

dziuplę, odpychając uchem pluszową wiewiórkę, która siedziała w niej z plastikowym orzechem w łapkach. – O, matko, to pan? Naprawdę pan? Ten reżyser, Euzebiusz Skrócki?

Euzebiusz Skrócki wysunął do niej szarmancko dłoń... i zawisł z nią w powietrzu, niepewny, czy powinien uścisnąć jedną z gałęzi, czy może łapę wiewiórki.

– Mateusz, pomóż mi to zdjąć. Pamiętasz, gdzie jest suwak? – syknęła Urszula, zdenerwowana.

– Pod uschniętą gałęzią z dwoma żołędziami – wyrecytował chłopiec.

– Nie, zaraz, nie pomagaj. Jestem już spóźniona. Ja bardzo pana przepraszam, taka propozycja... Ale ja mam fuchę, jak już wspominałam, muszę wystąpić jako drzewo w jasełkach... Gdyby pan zechciał spotkać się ze mną jutro albo pojutrze...

– Pieprzyć fuchę – oświadczył stanowczo reżyser. – Matko, przepraszam, ja naprawdę wcale nie przeklinam. No chyba że w wielkich emocjach. A pani budzi we mnie prawdziwe emocje. Co za talent, co za dykcja... Ma pani u mnie etat. Od dzisiaj. I zakaz chałturzenia po jasełkach, festynach i centrach handlowych. Dam pani główną rolę w moim najnowszym spektaklu.

– Klniesz jak szewc – powiedziała cicho córeczka Skróckiego. – Mama miała rację. Ale wcale nie jesteś wrednym dziadem.

Tuż przed dwunastą Alojzy uznał, że potrzebuje krótkiej przerwy.

Bolały go plecy, nogi i głowa. Pogratulował sobie w duchu, że nie schował jeszcze do żadnego kartonu czajnika elektrycznego, włączył radio, które też czekało na zapakowanie, i usiadł w fotelu z niebieskim kubkiem pełnym ulubionej mocnej

herbaty darjeeling.

Radio oznajmiło dwunastoma piknięciami, że wybiło południe. Jakaś kobieta wysokim, nieco piskliwym głosem, odczytywała wiadomości. Nie były zbyt fascynujące, między świętami a Nowym Rokiem świat pogrążony był przecież we śnie, dojadaniu resztek z wigilijnego stołu, spotkaniach z przyjaciółmi i krewnymi i w zachwycie nad sypiącymi się z nieba białymi gwiazdeczkami.

Alojzy pogładził poręcz wysłużonego fotela.

Nie do wiary, że siedzi w nim po raz ostatni. Że po raz ostatni podziwia ten widok za oknem.

Po prostu nie do wiary...

– To nie do wiary – zaszczębiotał wysoki damski głos z radia, wyraźnie podekscytowany. – Takie historie zdarzają się tylko w kinie! Pani Sara, która chce pozostać anonimowa, odzyskała w Wigilię biżuterię... Całą skrzynię biżuterii, należącą do jej rodziny. Skarb przeleżał zakopany w ziemi prawie osiemdziesiąt lat. Jej babcia, Cyganka, opowiadała małej Sarze o tym skarbie, ukrytym przed hitlerowcami, i o mapie, która została schowana w okładce pewnej książki. Tuż przed świętami książka ta trafiła w ręce pani Sary i jej córeczki. Prosiły, by nie dopytywać o szczegóły... I oto rodzinne pamiątki o kolosalnej wartości wróciły do spadkobierców prawowitych właścicieli. Jak w bajce, prawda?

Jak w bajce, tak.

Alojzy uśmiechnął się pod nosem.

Nie miał pojęcia, skąd ta Cyganka (bo jednak była Cyganką, przynajmniej w jednej czwartej) wiedziała, że książka ma trafić akurat do Skróckiego, akurat teraz, przed samą Wigilią. Czyżby ta mała dziewczynka, która weszła do księgarni, kiedy pakował *Opowieść wigilijną* w kolorowy papier, była jej córką

wysłaną na przespiegi? Jeśli tak było, to mała na pewno powtórzyła matce od razu historię o groźnym reżyserze.

Tylko skąd ta Sara wiedziała, który to reżyser? Musiałaby być aktorką, jego kochanką albo krewną, żeby od razu zrozumieć, że Skrócki pasuje jak nikt inny do takiego opisu.

Może tak właśnie było? To brzmiało całkiem logicznie... Ale nie wykluczało innych rozwiązań.

Bo przecież nie miał wcale pewności, że mała dziewczynka, która go odwiedziła w księgarni, naprawdę była córką Cyganki...

Nagle pomyślał, że wcale nie musi tego rozumieć.

W końcu każdy ma prawo do swoich małych sekretów.

On też. I często z tego prawa korzystał.

Drzwi zaskrzypiały jeszcze raz.

Alojzy podniósł wzrok, zaskoczony. Czyżby Urszula uznała, że jednak musi zostawić w księgarni Mateusza i Gutka, choćby na godzinę?

Nie, to nie była Urszula. W progu stała Celestyna, uroczo zaróżowiona. Nie była sama. Towarzyszył jej mężczyzna w skórzanej kurtce z wielkim psem na smyczy.

I pies, i mężczyzna mogliby przestraszyć niejedną osobę, Alojzy jednak od razu zrozumiał, że są łagodni jak baranki. Takie, jak ten z plecaka Frania...

Po prostu dobrze patrzyło im z oczu.

Celestyna rozejrzała się po księgarni, wyraźnie wstrząśnięta.

– Naprawdę pan się pakuje? – szepnęła. – Nie zmienił pan zdania?

– Moje dziecko, to nie była spontaniczna decyzja. Długo się do niej przygotowywałem. Jestem coraz starszy... Chcę odbyć

pewną podróż...

– Do córki, wiem. Pojechać, a potem wrócić? – spojrzała na niego z nadzieją.

Wzruszył ramionami.

Któż to może wiedzieć?

Tak naprawdę jego plan nie sięgał dalej niż do wyjścia z samolotu. Nie wiedział, co stanie się potem... Czy będzie chciał z tej Australii wyjechać jak najszybciej, uciec, jeszcze tego samego dnia, czy może poczuje, że musi tam zostać już na zawsze, poznać wszystkie miejsca i ludzi ważnych dla Róży...

– Zatrzyma się pan u córki? – upewniła się Celestyna.

Uśmiechnął się smutno.

– Niestety nie. Moja córka nie żyje od dwudziestu lat. Nie powiem jej już niczego, co chciałbym powiedzieć. Nie przytulę jej do serca.

– Ale przecież mówił pan, że musi...

– Że muszę ją odwiedzić – pokiwał głową. – Polecieć na jej grób. Stanowczo za długo wybieram się w tę podróż...

Wszystkie nieszczęścia wzięły się właśnie z tego mojego opóźnienia.

Nigdy nikomu nie opowiadał o śmierci Róży. Nie czuł się nawet na siłach, żeby powiedzieć głośno, że nie żyje. Teraz, po raz pierwszy, tamy puściły. Wyrzucił z siebie całą tę historię jak z karabinu, krótkimi urywanymi zdaniami, niemal na jednym oddechu.

– Pisałem do niej listy, dzwoniłem... Zbierałem pieniądze na bilet. W końcu go kupiłem, postanowiłem lecieć. Akurat kończyła studia. Miałem być na rozdaniu dyplomów. Byłem z niej taki dumny. Wiozłem całą walizkę prezentów. Niestety, Henryk... mój bratanek, który miał odwieźć mnie na lotnisko... usiadł za kierownicą po alkoholu. Nie poczułem tego, zatopiony

w myślach o spotkaniu z Różą. Układałem w głowie, co jej powiem przy powitaniu, a on w tym czasie potrącił pieszego. Oczywiście, zrobiło się wielkie zamieszanie, wezwano policję... która przyjechała po czterdziestu minutach. Musiałem zeznawać, nie było mowy, żebym zdążył na samolot. Przebukowałem bilet... Niestety, tego dnia wszystko się zmieniło. Mogłem już zdążyć tylko na jej pogrzeb.

– Pana córka umarła? – Celestyna patrzyła na niego przerażona. – Tak nagle?

– Zginęła w wypadku – odwrócił twarz, żeby nie zauważyli łzy spływającej mu po policzku. – W drodze z lotniska. Wtedy nie było komórek, nie zdążyłem jej zawiadomić. Wyjechała po mnie, zobaczyła, że nie przyleciałem. Musiała bardzo się zdenerwować. Pewnie była roztrzęsiona, może zapłakana...

Wjechała prosto pod tira. I wiecie, co najbardziej mnie męczy?

– To, że zginęła w przekonaniu, że pan ją zawiódł – powiedział cicho mężczyzna w skórze, z tatuażem pełnączym po szyi aż do lewego ucha. – Że wystawił ją pan do wiatru.

I niczego już nie może jej pan wyjaśnić.

Alojzy pokiwał głową, nie hamując już łez.

– Poleciał pan na pogrzeb? – zapytała Celestyna.

– Nie byłem w stanie – odpowiedział. – Chciałem umrzeć, trafiłem do szpitala... Dopiero po kilku miesiącach stanąłem na nogi, wróciłem do księgarni, do normalnego życia. Bałem się tej podróży, nie miałem siły patrzeć na jej grób. Dopóki go nie widziałem, było trochę tak, jakby wciąż żyła. Jakby po prostu nie dotarł do mnie jakiś list...

Celestyna nie wahała się dłużej. Podeszła i pogładziła go po plecach.

Podniósł na nią z wdzięcznością mokre oczy.

– Ale teraz wiem, że muszę tam polecieć. To jest ostatnia



rzecz, którą muszę zrobić przed śmiercią.

– Jest pan chory? – zapytała, znowu z tą samą wystraszoną miną.

– Nic mi o tym nie wiadomo – nareszcie się uśmiechnął, chcąc dodać jej otuchy. – Wyniki badań mam znakomite jak na swój wiek. Nie mogę jednak ignorować tego wieku... Tego, że nie robię się coraz młodszy. Kto wie, czy za kilka lat będę jeszcze miał siłę na taką podróż?

– W takim razie dlaczego zamyka pan Księgarenkę? – Celestyna zaczęła spacerować pomiędzy regałami, już na wpół opróżnionymi. Zaciskała pięści, bardzo przejęta. – Nie rozumiem, po prostu nie rozumiem... Nie może pan wywiesić kartki i wrócić za miesiąc? Klienci przecież o panu nie zapomną...

– Nie chodzi tylko o tę podróż. Ja po prostu mam problem z tą całą nową technologią. Nie dotrzymuję kroku ludziom, którzy czytają książki – powiedział głośno to, o czym rozmyślał od tyłu dni. – Naprawdę już czas ustąpić miejsca komuś młodszemu.

– Powinien pan przyjąć pracownika – Celestyna powiedziała to tak cicho, że w pierwszej chwili nie był pewny, czy w ogóle z jej ust padły jakieś słowa. Może sam je wymyślił? Ale nie, ona mówiła dalej. Coraz głośniej i pewniej. – W tym mieście jest mnóstwo ludzi, którzy chcieliby z panem pracować. Powinien pan wybrać kogoś, komu dobrze patrzy z oczu... Komu pan może zaufać. On by się zajął Internetem, zamówieniami, promocją, fakturami, a pan spokojnie prowadziłby księgarnię, rozmawiał z klientami. Mało jest takich magicznych miejsc. Nie można ich zamykać, ot tak, dla kaprysu.

Zatkała usta dłonią, rozumiejąc, że trochę się zagalopowała.

– Przepraszam. Nie chciałam. Ja wiem, że odwiedziny na

grobie córki to poważna sprawa, a nie żaden kaprys. Ale przecież pan wróci... Naprawdę nie ma nikogo, komu mógłby pan zaufać?

Alojzy bezradnie wzruszył ramionami. Nigdy nie szukał pracownika, nie dawał ogłoszeń, nie prowadził rozmów kwalifikacyjnych. Nie wiedział, jak miałyby się do tego zabrać. Jak znaleźć kogoś, kto naprawdę pokocha to miejsce i jego stałych gości... To musiałyby być bardzo szczególna osoba...

Błękitnooka kobieta wzięła głęboki wdech, wbiła paznokcie w blat i wyszeptała:

– A gdybym ja zgłosiła się do tej pracy? – zrobiła się czerwona jak burak, wypowiadając te słowa. Od razu zrozumiał, że po to właśnie tu przyszła. – Przeczytałam *Błękitny Zamek* chyba po raz setny. I pomyślałam, że to jest moja szansa. Że nie mogę pozwolić jej przejść obok, zgasnąć, minąć... Muszę spróbować. Teraz, kiedy nie jestem już sama... – spojrzała z czułością na mężczyznę w skórzanej kurtce – Stałam się odważniejsza. Postanowiłam spróbować spełnić swoje marzenie. A o niczym nie marzę tak, jak o pracy tutaj... Z panem... U pana...

Alojzy nie umiał na to odpowiedzieć.

– Chwileczkę. Proszę dać mi momencik. Muszę się zastanowić.

– Nad czym? – wtrącił się mężczyzna w skórze, chyba nieco zniecierpliwiony. – Nie znajdzie pan nikogo lepszego. Możemy dostarczyć referencje ze szkoły, w której pracuje moja... moja narzeczona... Ja mogę wystawić jej opinię, niezbyt obiektywną, no ale jednak... Jestem psychologiem... Proszę mi wierzyć, to naprawdę wyjątkowa dziewczyna. I bardzo do siebie pasujecie.

– Nie tak bardzo jak wy – uśmiechnął się Alojzy, który

podjął już decyzję. – Zgoda, zgoda. Zgoda! Nie zamknę księgarni. Będziemy prowadzić ją razem. Polecę do Australii i wrócę... A pani w tym czasie o wszystko się tutaj zatroszczy. Jest tylko jeden warunek.

– Ale jaki? – cofnęła się o krok, niepewna, czy zdoła go spełnić.

– Musi mi pani wybaczyć, jeśli czasami przez pomyłkę nazwę panią Celestyną. Wciąż nie wiem, jak naprawdę się pani nazywa.

– Joanna – szepnęła.

– Joanna. No jasne. A nie Valancy.

– Ale Celestyna brzmi bardzo ładnie, nie mam nic przeciwko temu imieniu.

– Świetnie – wyciągnął do niej dłoń. – Witam na pokładzie, pani Joanno. I mam od razu dla pani pierwsze zadanie. Z gatunku raczej niewykonalnych, bo takie lubię najbardziej. Trzeba odnaleźć smutnego mężczyznę w czarnym płaszczu i oddać mu tomik wierszy, który zostawił tutaj przez pomyłkę. I sprawdzić, czy da się zrobić dla niego coś jeszcze... Oraz, oczywiście, wypakować ze mną te wszystkie pudła, które pochopnie zapakowałem przez ostatnie dni! A na razie... – zerknął za szybę i uśmiechnął się do siebie. – Widzę, że Franio wraca z bazarku, z babcią i z panią Anielą. Wyglądają na bardzo zmarzniętych. Zaprośmy ich tu na herbatę...

## KSIĄŻKI Z ULICY WIŚNIOWEJ



Lewis Carroll, *Alicja w Krainie Czarów. Po drugiej stronie Lustra*, tłumaczenie Robert Stiller, Wydawnictwo Alfa, Warszawa 1990.

Charles Dickens, *Opowieści wigilijne*, tłumaczenie Krystyna Tarnowska, Czytelnik, Warszawa 1985.

Harper Lee, *Zabić drozda*, tłumaczenie Maciej Szymański, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2006.

Alan Alexander Milne, David Benedictus, *Wielka księga*

*Kubusia Puchatka*, tłumaczenie Irena Tuwim, Michał Rusinek, Nasza Księgarnia, Warszawa 2013.

Lucy Maud Montgomery, *Błękitny Zamek*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1985.

Lambert Noben, *Orędzie z grotty betlejemskiej*, w: „Posłaniec Zwycięskiej” 6/98.

Antoine de Saint-Exupéry, *Mały Książę*, tłumaczenie Jan Szwykowski, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1967.

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, *Poezje zebrane*, tom 1 i 2, Wydawnictwo Algo, Toruń 1993–1997.

Wiliam Szekspir, *Makbet*, tłumaczenie Antoni Libera, Oficyna Literacka Noir Sur Blanc, Warszawa 2002.

**Polecamy powieści autorów *Księgarenki przy ulicy Wiśniowej*, wydane w Wydawnictwie FILIA:**

**LILIANA FABISIŃSKA**

*Córeczka, Śnieżynki,*

seria „Jak pies z kotem”: *Sanatorium pod Zegarem* oraz

*Weranda na Czarcim Cyplu*

**GABRIELA GARGAŚ**

*A między nami wspomnienia, Droga do domu, Jutra może  
nie być,*

*Tylko Ty, Wybacz mi*

**AGNIESZKA KRAWCZYK**

*Magiczne miejsce, Dolina mgieł i róż, Ogród księżycowy,  
Jezioro szczęścia*

saga „Czary Codzienności”: *Siostry oraz Przyjaciele  
i rywale*

**REMIGIUSZ MRÓZ**

seria z komisarzem Forstem: *Ekspozycja, Przewieszenie  
i Trawers*

oraz *Behawiorysta*

**MARTA OBUCH**

*Francuski piesek*

**ALEK ROGOZIŃSKI**

*Jak cię zabić, kochanie?*

## MAGDALENA WITKIEWICZ

*Awaria małżeńska (wspólnie z Nataszą Sochą), Cześć, co słyhać?, Milaczek, Moralność pani Piontek, Opowieść niewiernej, Panny roztropne, Pensjonat marzeń, Pierwsza na liście, Po prostu bądź, Pracownia dobrych myśli, Szczęście pachnące wanilią, Szkoła żon, Zamek z piasku*





## **Antologie świąteczne w Wydawnictwie FILIA:**

### ***Cicha 5***

*Katarzyna Bonda, Katarzyna Michalak, Natasza Socha,  
Małgorzata Kalicińska, Małgorzata Warda, Magdalena  
Witkiewicz, Krystyna Mirek*

### ***Siedem życzeń***

*Liliana Fabisińska, Natasza Socha, Małgorzata Kalicińska,  
Agnieszka Krawczyk, Małgorzata Warda, Magdalena*

*Witkiewicz, Albena Grabowska*

*Ostatnie święta* Copyright © by Liliana Fabisińska, 2016

*Malutkie czary* Copyright © by Agnieszka Krawczyk, 2016

*Sędzia* Copyright © by Remigiusz Mróz, 2016

*Oswoić szczęście* Copyright © by Gabriela Gargaś, 2016

*Cyganka prawdę ci powie* Copyright © by Alek Rogoziński, 2016

*Nikt nie powinien być sam w taki wieczór* Copyright © by Magdalena Witkiewicz, 2016

*Niezła szopka* Copyright © by Marta Obuch, 2016

*Zadanie niemal niewykonalne* Copyright © by Liliana Fabisińska, 2016

Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2016

Projekt okładki: Olga Reszelska

Fotografie na okładce: © Lee Avison / Trevillion Images

Redakcja i korekta: SEITON, [www.seiton.pl](http://www.seiton.pl)

Skład i łamanie: Graphito, [www.graphito.pl](http://www.graphito.pl)

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

[darkhart@wp.pl](mailto:darkhart@wp.pl)

eISBN: 978-83-8075-187-3

**FILIA**

Wydawnictwo FILIA

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

